

KIM UN SU

Groza, czarny humor, przewrotna intryga. Arcydzieło.

L  
I  
K  
W  
I  
D  
A  
T  
O  
R



KIM UN-SU

# LIKWIDATOR

PRZEŁOŻYŁ  
RADOSŁAW MADEJSKI



Tytuł oryginału: ***The Plotters***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Renata Jaśtak*

Copyright © 2010 by Kim Un-su

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Radosław Madejski

ISBN 978-83-287-1195-2

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2019

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6212519

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](http://MAGRAF.s.c.), Bydgoszcz

---

# Spis treści

---

W gościnie  
Pięta Achillesea  
Krematorium dla zwierząt  
Psiarnia  
Piwny ciąg  
Świński Targ  
Mito  
Robótki ręczne  
Wielkie ryby pożerają mniejsze  
Golibroda i jego żona  
Drzwi po lewej

---

# W gościnie

---

Stary mężczyzna wyszedł do ogrodu.

Reseng wyregulował celownik optyczny i pociągnął rączkę zamka, z metalicznym szczękiem wprowadzając nabój do komory. Rozejrzał się dookoła. Oprócz wysokich jodeł, których wierzchołki kołysały się na tle nieba, wszystko trwało w bezruchu. W lesie panował niczym niezmacony spokój; nie trzepotał skrzydłami żaden ptak zrywający się do lotu, nie brzęczał żaden owad. W takiej ciszy huk wystrzału mógłby się ponieść bardzo daleko. A jeśli ktoś go usłyszy i tu przybiegnie? Nie, to było mało prawdopodobne. Strzały w tej okolicy nie należały do rzadkości. Ludzie pomyślą, że to jakiś kłusownik poluje na dziki. Zresztą komu by się chciało marnować czas i zapuszczać w głąb lasu, żeby sprawdzić, kto strzelał? Reseng zmierzył wzrokiem zbocze góry wznoszącej się na zachodzie. Słońce wisiało wysoko nad granią. Miał jeszcze czas.

Stary mężczyzna zaczął podlewać kwiaty. Niektórym nie skąpił wody, inne tylko lekko zraszał. Przechylał konewkę z niezwykłym dostojeństwem, jak gdyby nalewał gościom herbaty. Od czasu do czasu lekko kołysał ramionami jak w tańcu i muskał pieśczośliwie płatki kwiatów. Jednemu z nich pomachał i roześmiał się. Wyglądało to tak, jakby prowadził z nim pogawędkę. Reseng zmienił ostrość lunety, żeby dokładniej przyjrzeć się roślinie, do której przemawiał starzec. Wydawała mu się znajoma, ale nie pamiętał, jak się nazywa. Zaczął się zastanawiać, które kwiaty rozkwitają w październiku. Astry? Cynie? Chryzantemy? Nie, to nie był żaden z tych. Wiedział, że coś mu umknęło. Zmarszczył czoło i wyteżył umysł, usiłując sobie przypomnieć nazwę, ale szybko dał za wygraną. To tylko kwiat. Nieważne jaki.

Z głębi ogrodu wyłonił się ogromny czarny pies, powolnym krokiem podszedł do mężczyzny i otarł się głową o jego udo.

Czystej krwi mastif. Juliusz Cezar sprowadził te bestie z podbitej Brytanii, a Rzymianie używali ich do polowań na lwy i zaganiania koni. Pies zamerdał ogonem i zaczął się plątać pod nogami swojego pana, który rzucił mu sflaczałą piłkę futbolową i z powrotem zajął się podlewaniem kwiatów. Tak jak wcześniej przemawiał do nich, witał się z nimi i gestykulował. Schylił się po piłkę, którą przyniósł mu pies, i znów ją rzucił, tym razem znacznie dalej. Budzący trwogę mastif, dawny pogromca lwów sprowadzony teraz do roli klauna, merdając ogonem, pognał za swoją zabawką. Mimo to zwierzę i jego pan wyglądali na całkiem dobraną parę. Raz za razem powtarzali harce z piłką, które najwyraźniej sprawiały im obu przyjemność.

Stary mężczyzna skończył podlewanie kwiatów, rozprostował plecy i uśmiechnął się z zadowoleniem. Potem obrócił głowę i spojrzał w stronę zbrocza, jakby wiedział, że Reseng tam jest. Czy zauważył, że z każdą chwilą cienie stają się coraz dłuższe? Czy zdawał sobie sprawę, że zanim słońce schowa się za górskim grzbietem, będzie martwy? To dlatego się uśmiechał? A może tak naprawdę to nie był uśmiech. Przecięta siatką celownika twarz starca przypominała drewnianą maskę Hahoe, na której zastygł wyrzeźbiony grymas. Reseng wiedział, że niektórzy ludzie przywdziewają takie maski i że nie sposób odgadnąć, co czują, bo uśmiechają się nieprzerwanie, nawet kiedy przepełnia ich smutek lub gniew.

Zastanawiał się przez chwilę, czy to nie jest dobry moment. Jeśli teraz naciśnie spust, jeszcze przed północą będzie z powrotem w mieście. Weźmie gorącą kąpiel i wypije kilka piw, żeby wprawić się w stan przyjemnego upojenia, albo włączy gramofon i słuchając starej płyty Beatlesów, będzie rozkoszował się myślą o pieniądzach, które wkrótce wpłyną na jego konto. Może po tym ostatnim zleceniu zmieni wreszcie coś w swoim życiu. Mógłby otworzyć

pizzerię naprzeciwko swojej dawnej szkoły albo założyć kramik w parku. Wyobraził sobie, jak sprzedaje dzieciom pęki baloników i watę cukrową, jak ucina sobie drzemkę w promieniach słońca. A czemuż by nie? Nagle perspektywa takiego życia wydała mu się urzekająco piękna, jednak wiedział, że nie powinien o tym myśleć, dopóki nie naciśnie spustu. Dopiero wtedy dostanie zapłatę.

Cień górskiego masywu rozpełzał się szybko, pochłaniając drewniany dom starca. Jeśli Reseng miał strzelić, musiał to zrobić natychmiast. Mężczyzna skończył podlewanie kwiatów i lada chwila mógł wrócić do domu. Wtedy będzie o wiele trudniej go zabić. Po co wszystko komplikować, skoro wystarczy nacisnąć spust? Nacisnąć spust, a potem zniknąć.

Czarny pies wciąż biegał, nosząc piłkę w pysku, a stary mężczyzna wciąż się uśmiechał. Jego twarz była wyraźnie widoczna w siatce celownika. Miał brodawkę nad prawym okiem i plamy wątrobiane na lewym policzku, a jego czoło przecinały trzy głębokie bruzdy. Nosił sweter, który nie wyglądał na seryjny produkt i prawdopodobnie był zrobiony na drutach. Zaraz miał przesiąknąć krwią. Reseng wpatrywał się w punkt na piersi mężczyzny, w który za chwilę powinien trafić pocisk. Wystarczyło tylko, żeby zgiął lekko palec, a iglica uderzy w spłonkę, wywołując eksplozję w mosiężnej łusce. Pod wpływem ciśnienia gazów prochowych pocisk kalibru 7,62 milimetra przecisnę się przez gwintowaną lufę i pomknie w kierunku celu. Jego prędkość i niszczycielska siła zamienią narządy wewnętrzne starca w krwawą miazgę, która wytryśnie z rany wylotowej w dole pleców. Na samą myśl o tym Reseng dostał gęsiej skórki na całym ciele. Świadomość, że trzyma w dłoniach życie drugiego człowieka, zawsze przyprawiała go o dziwne doznania.

Naciśnij spust, rozkazał sobie w myślach. Zrób to teraz.



A jednak z jakiegoś powodu nie oddał strzału, tylko położył karabin na ziemi.

– To nie jest odpowiedni moment – wymamrotał.

Nie potrafił uzasadnić swojej decyzji. Wiedział jedynie, że na wszystko musi przyjść odpowiedni moment. Na to, by zjeść lody albo skraść pocałunek dziewczynie. I chociaż mogło wydać się to głupie, dotyczyło to również zabójczego strzału. A czemu nie? Czemu pocisk z jego karabinu nie miałby przeszyć celu w najbardziej odpowiednim momencie? To byłoby cudowne. Oczywiście Reseng nie czekał, aż nadarzy się taki moment. Mógłby się nigdy nie doczekać albo go przeoczyć. Zapalając papierosa, uświadomił sobie, że po prostu jeszcze nie chce zginać palca na spuście.

Cień góry przesunął się coraz dalej i kiedy pochłonął całą bryłę budynku, starzec i pies weszli do środka. Wnętrze domu, który najwyraźniej był pozbawiony oświetlenia elektrycznego, spowijała całkowita ciemność. Po chwili w jednym z okien zamigotał samotny płomień świecy, jednak był tak słaby, że Reseng nie mógł zbyt wiele dojrzeć przez lunetę. Zobaczył tylko cienie mężczyzny i psa, które przesunęły się po ceglanej ścianie i znikły. Gdyby teraz chciał oddać strzał, musiałby czekać, aż jego cel stanie w oknie ze świecą w ręku.

Kiedy słońce całkowicie ukryło się za grzbietem górskiego masywu, las utonął w mroku. Zapadła bezksiężycowa noc i nawet przedmioty leżące w zasięgu ręki stały się ledwie widoczne. Jedyнным źródłem światła był wąty płomień w chacie starca. W tak gęstej ciemności nawet powietrze wydawało się wilgotne i duszne.

Reseng nie potrafił sobie odpowiedzieć na pytanie, co tu jeszcze robi? W końcu zadecydował, że zaczeka do rana, a kiedy zrobi się jasno, naciśnie spust – tak jakby strzelał do jednej z drewnianych

tarcz, na których ćwiczył od lat – a potem wróci do domu. Schował niedopałek do kieszeni i wczłogał się do namiotu. Z braku innego zajęcia dla zabicia czasu zjadł paczkę wojskowych sucharów, a potem otulił się śpiworem i zasnął.

Dwie godziny później obudziło go nagle ciężkie stąpanie. Ziemia zadudniła głucho kilka razy, a wysoka trawa szeleściła, jakby coś się o nią ocierało. Reseng pomyślał, że do jego namiotu zbliża się jakieś zwierzę. Nie potrafił rozpoznać, czy to dzik, czy może żbik. Odbezpieczył karabin i skierował lufę tam, skąd dobiegał hałas. Zdarzało się często, że zaczajeni w zasadzkach najemnicy w przyływie paniki strzelali na oślep, by potem odkryć, że trafili jelenia, psa policyjnego lub, co gorsza, jednego ze swoich kolegów, który zabłądził w lesie podczas misji zwiadowczej. Klęczał później taki obok zabitego, a jego zwaliste wytatuowane cielsko dygotało wstrząsane szlochem, kiedy tłumaczył się przed dowódcą, przysięgając, że naprawdę nie chciał zastrzelić swojego towarzysza broni. I chyba rzeczywiście nie chciał. Ale nigdy wcześniej nie musiał się mierzyć z własnym strachem spowodowanym nocnymi odgłosami w lesie, a w takiej sytuacji ktoś, komu natura poskąpiła rozumu kosztem mięśni, mógł zareagować tylko w jeden sposób – wycelować w ciemność i nacisnąć spust. Reseng czekał spokojnie na to, co wyłoni się z mroku. Ku swemu zdumieniu zobaczył starca i jego psa.

– Co tu robisz? – odezwał się mężczyzna.

To było zabawne. Tak zabawne, jak gdyby tarcza podeszła do strzelca i zapytała, czemu się ociąga.

– Chyba raczej ja powinienem zadać to pytanie – odparł Reseng drżącym głosem. – Mogłem pana zastrzelić.

– Mnie zastrzelić? A nie powinno być odwrotnie? – powiedział starzec z uśmiechem. – To mój teren, a ty jesteś obcym, który wtargnął na cudzą posesję.

Wyglądał na rozluźnionego. Sytuacja była niezwykła, ogłędnie rzecz ujmując, mimo to nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Za to Reseng nie krył zdumienia.

– Wystraszył mnie pan. Myślałem, że to jakieś zwierzę.

Stary mężczyzna spojrział znacząco na karabin w jego rękach.

– Jesteś myśliwym?

– Tak.

– Toż to jest eksponat muzealny, ten twój dragunow. A więc teraz kłusownicy używają zabytków z wojny w Wietnamie?

– Nie obchodzi mnie, ile ma lat, jeśli mogę z niego ustrzelić dzika – odparł Reseng, siląc się na nonszalancki ton.

– Racja, broń nie ma znaczenia, byle tylko powaliła grubego zwierza. Kurczę, gdyby dało się polować pałeczkami albo, dajmy na to, wykałaczkami, można by w ogóle odpuścić sobie strzelanie – powiedział starzec i parsknął śmiechem.

Mastif stał przy jego nodze i czekał cierpliwie. Z bliska prezentował się znacznie okazalej i wzbudzał większy respekt niż wcześniej, kiedy bawił się piłką.

– Miły pies – odezwał się Reseng.

Mężczyzna spojrział w dół i pogładził łeb zwierzęcia.

– Bo naprawdę jest miły. To on cię wywęszył. Ale ma już swoje lata.

Pies ani na chwilę nie odrywał wzroku od Resenga. Nie warczał ani nie szczyrzył zębów, ale też nie zachowywał się przyjaźnie. Jego pan jeszcze raz pogładził go po głowie.

– Skoro zamierzasz tu nocować, lepiej nie ryzykować przeziębienia. Zapraszam do siebie.

– Dziękuję za propozycję, ale nie chciałbym sprawiać kłopotu.

– To żaden kłopot.

Starzec obrócił się na pięcie i zaczął schodzić w dół zbocza, pies podążył za nim. Nie miał latarki, ale bez trudu odnajdywał drogę w ciemności. W głowie Resenga zakotłowały się myśli. Trzymał w rękach załadowaną i gotową do strzału broń, a od celu dzieliło go zaledwie pięć metrów. Przez chwilę patrzył, jak plecy mężczyzny rozpływają się w mroku, a potem zarzucił karabin na ramię i ruszył jego śladem.

W ceglanym kominku buzował ogień, który wypełniał dom przyjemnym ciepłem. W urządzonej po spartańsku wnętrze nie było żadnych mebli ani ozdób, jeśli nie liczyć wytartego dywanu, małego stolika i kilku zdjęć stojących na gzymsie kominka. Wszystkie przedstawiały gospodarza, który stał albo siedział w towarzystwie innych osób, zawsze na honorowym miejscu. Otaczający go ludzie uśmiechali się sztywno, jak gdyby czuli się zaszczytzeni, że mogą razem z nim pozować. Żadna z fotografii nie wyglądała na rodzinną.

Reseng zdjął karabin z ramienia i oparł go o futrynę.

– Trochę wczesna pora na palenie w kominku – zagadnął.

– Im człowiek starszy, tym bardziej marznie. A w tym roku zimno daje mi się we znaki bardziej niż kiedykolwiek.

Starzec dorzucił do ognia kilka suchych szczap i pod ich ciężarem płomienie na chwilę przygasły.

– A w październiku chyba nie wolno polować, co? – dodał,

zerkając w stronę dragunowa.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Umarłbym z głodu, gdybym przestrzegał wszystkich przepisów.

– Racja, nie wszystkich należy przestrzegać. Głupotą byłoby nawet się starać – wymamrotał gospodarz, trącąc pogrzebaczem drewno w palenisku. Jedno z polan, które jeszcze nie zajęło się ogniem, teraz stało w płomieniach. – Mam whisky i herbatę, więc wybieraj, czym chcesz się truć.

Używał bardziej potocznej i poufalej formy, jakby rozmawiał ze starym przyjacielem, ale Resengowi to nie przeszkadzało.

– Herbata będzie w sam raz.

– Nie masz ochoty na nic mocniejszego? Musiałeś nieźle przemarznąć.

– Nie piję alkoholu na polowaniu. Zresztą to niebezpieczne, kiedy się śpi pod chmurką.

– W takim razie dzisiaj możesz sobie pofolgować – odparł starzec z uśmiechem. – Tutaj nie grozi ci wychłodzenie.

Wyszedł do kuchni i po chwili wrócił, niosąc dwa metalowe kubki i butelkę whisky, a potem długimi szczypcami wyjął ostrożnie z kominka osmalony czajnik. Napełnił czarną herbatą jeden z kubków i podał go gościowi. Jego ruchy były płynne i oszczędne. Sobie też nalał herbaty i ku zaskoczeniu Resenga doprawił ją alkoholem z butelki.

– Jeśli nie rozgrzałeś się jeszcze, odrobina ci nie zaszkodzi. I tak nie będziesz polował przed świtem.

– Whisky pasuje do herbaty?

– A czemu nie? Wszystko wchodzi tak samo.

Stary mężczyzna zmrużył oczy w uśmiechu. Miał piękną twarz i z pewnością za młodu słyszał wiele komplementów na temat swojej urody. Jego regularne rysy sprawiały, że wydawał się surowy i życzliwy jednocześnie, jak gdyby upływ czasu wygładził ostre krawędzie i dodał mu subtelności. Reseng podstawił mu swój kubek i woń alkoholu zmieszana z oparami gorącej herbaty uderzyła go w nozdrza. To był przyjemny zapach. Pies przyszedł wolnym krokiem z drugiego końca salonu i położył się obok niego.

– Jesteś dobrym człowiekiem.

– Co proszę?

– Santa cię lubi – wyjaśnił starzec, wskazując mastifa. – Psy znają się na ludziach.

Z bliska spojrzenie zwierzęcia wydawało się zaskakująco łagodne.

– A może jest po prostu naiwny – odparł Reseng.

– Skosztuj herbaty.

Gospodarz uśmiechnął się i pociągnął łyk z kubka. Reseng poszedł za jego przykładem.

– Niezła – stwierdził.

– Zdumiewające, nie? Z kawą też smakuje niezgorzej, ale czarna herbata jest lepsza. Rozgrzewa żołądek i serce. Jakbyś tulił w ramionach piękną kobietę – powiedział stary mężczyzna i zachichotał jak dziecko.

– Gdyby była piękna, nie skończyłoby się na tuleniu – zażartował Reseng. – Zawsze to lepsze niż jakaś zaprawiona herbata.

Starzec pokiwał głową.

– Chyba masz rację. Herbata nie może się równać z piękną

kobietą.

– Ale muszę przyznać, że ta smakuje wyśmienicie.

– Czarna herbata jest przesiąknięta imperializmem i to jemu zawdzięcza swój niepowtarzalny smak. Każdy taki rarytas musi w sobie kryć mnóstwo cierpienia.

– Interesująca teoria.

– Mam trochę wieprzowiny i ziemniaków. Masz ochotę?

– Pewnie.

Mężczyzna wyszedł na zewnątrz, by wrócić z pościem mięsa i garścią ziemniaków. Uwalane ziemią i piachem mięso wyglądało odrażająco. Spod warstwy brudu sterczały gdzieniegdzie kępki sierści, ale jeszcze gorsza była woń zgnilizny, która od niego biła. Starzec wrzucił wieprzowinę do paleniska i dokładnie obtoczył w popiele, a potem nadział na rożen i umieścił nad ogniem. Poruszył pogrzebaczem kawałki drewna, żeby podsycić płomień, i zakopał ziemniaki w popiele.

– Nie powiem, żeby to wyglądało apetycznie – odezwał się Reseng.

– Spędziłem trochę czasu w Peru i nauczyłem się tej sztuczki od Indian. Mięso nie prezentuje się najlepiej, ale za to jak smakuje.

– Szczerze mówiąc, prezentuje się dosyć paskudnie, ale jeśli to sekretny indiański przepis, musi coś w tym być.

Starzec uśmiechnął się szeroko.

– Zaledwie kilka dni temu odkryłem, że z mieszkańcami peruwiańskiej dżungli łączy mnie coś jeszcze.

– Co takiego?

– Nie mam lodówki – odparł gospodarz i obrócił mięso na rożnie. Jego twarz oświetlona blaskiem płomieni miała szczery

wyraz. Trącając ziemniaki pogrzebaczem, przemówił do nich półgłosem: – Upieczcie się porządnie, żeby zadowolić podniebienie naszego dostojnego gościa.

Wypił do końca herbatę i nalał sobie samej whisky, a potem wyciągnął w stronę gościa rękę z butelką. Reseng podstawił mu swój kubek. Spodobało mu się to palenie w przetyku i ciepło promieniujące z pustego żołądka. Fala błogości rozchodziła się po jego ciele i przez chwilę wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. To przechodziło jego najśmielsze wyobrażenia – oto zabójca i jego ofiara siedzą przed kominkiem, w którym buzuje ogień, i zachowują się, jakby byli serdecznymi przyjaciółmi. Ilekroć starzec obracał rożen, wokół rozchodził się wspaniały aromat pieczeni. Pies podszedł do paleniska i zaczął węszyć, ale w ostatniej chwili odskoczył i zawarczał, jakby wystraszył się płomieni.

– Spokojnie, Santa, bez obaw – powiedział jego pan i poklepał go po grzbiecie. – Ty też dostaniesz.

– On ma na imię Santa?

– Spotkaliśmy się w Boże Narodzenie. Tego dnia on stracił swojego właściciela, a ja straciłem nogę. – Starzec podciągnął lewą nogawkę, odsłaniając drewnianą protezę. – Ocalił mi życie. Ciągnął mnie przez pięć kilometrów po zaśnieżonej drodze.

– Rzeczywiście niezwykły początek znajomości.

– Najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostałem – odparł mężczyzna, głaszcząc psa po głowie.

– Jest bardzo łagodny jak na swoje gabaryty.

– Niezupełnie. Kiedyś musiałem cały czas trzymać go na smyczy, bo rzucał się na obcych. Ale teraz jest już stary i z wiekiem złagodniał. To dziwne. Nie mieści mi się w głowie, że zwierzę może zachowywać się tak ufnie w stosunku do ludzi.



Sądząc po zapachu, kolacja była już gotowa. Pomagając sobie pogrzebaczem, starzec zdjął rożen z paleniska i nożem o ząbkowanym ostrzu odkroił kilka cienkich plastrów pieczeni. Jeden z nich podał gościowi, drugi rzucił psu, a trzecim uraczył się sam. Reseng otrzepał mięso z popiołu i ugryzł kawałek.

– Cóż za niezwykły smak – powiedział. – Nie zgadłbym, że to wieprzowina.

– Dobre, nie?

– W rzeczy samej. Ale nie ma pan przypadkiem soli?

– Nie.

– Bez lodówki i bez soli... ciekawy sposób na życie. Czy peruwiańscy Indianie również nie używają soli?

– Nie, nie – odparł gospodarz z zawstydzoną miną. – Skończyła mi się parę dni temu.

– Poluje pan?

– Już nie. Jakoś przed miesiącem znalazłem dzika schwytanego w sidła. Był jeszcze żywy. Kiedy patrzyłem, jak dyszy ostatkiem sił, zadałem sobie pytanie, czy mam go dobić, czy poczekać, aż sam zdechnie. Gdybym poczekał, mógłbym winą za jego śmierć obarczyć kłusownika, który zastawił sidła. A ty jak byś postąpił?

Na twarzy starego mężczyzny pojawił się zagadkowy uśmiech. Reseng zakołysał kubkiem i wychylił resztę whisky.

– Trudno powiedzieć. Myślę, że tak naprawdę nie ma znaczenia, kto zabił tego dzika.

Starzec przez chwilę rozważał jego słowa.

– Chyba masz rację. Właściwie nie ma to najmniejszego znaczenia. Tak czy inaczej, możemy się teraz delektować pieczenią wieprzową po peruwiańsku.

Roześmiał się głośno. Właściwie nie powiedział nic szczególnie zabawnego, ale Reseng mu zawtórował. Był w doskonałym nastroju. Napełnił alkoholem kubek gościa, po czym nalał również sobie i wzniosł toast. Obaj wypili whisky jednym haustem, a potem starzec chwycił pogrzebacz i wydobył z gorącego popiołu dwa ziemniaki. Skosztował jednego, mruknął z zadowoleniem i podał drugi Resengowi, który oczyścił spieczoną bulwę i wbił w nią zęby.

– To jest pyszne – oznajmił.

– Nie ma nic lepszego od pieczonego ziemniaka w chłodny zimowy dzień.

– Kiedy jem ziemniaki, zawsze ktoś mi się przypomina... – rzekł Reseng.

Język zaczynał mu się plątać, a alkohol i ciepło bijące od kominka sprawiły, że miał rozpaloną twarz.

– Domyślam się, że nie jest to wesoła historia.

– W żadnym wypadku.

– Czy ten ktoś żyje?

– Już od dawna nie. To się wydarzyło w Afryce. Dostaliśmy nagłe wezwanie w środku nocy, więc wskoczyliśmy na ciężarówkę i w drogę. Okazało się, że jakiś rebeliant uciekł z obozu, porywając starą kobietę jako zakładniczkę. To był jeszcze dzieciak o puciołowatej twarzy i mógł mieć co najwyżej piętnaście lat. Od razu się zorientowałem, że jest zdesperowany i śmiertelnie przerażony, ale tak naprawdę nie stanowi zagrożenia. Staruszka bez przerwy coś do niego mówiła, a on mierzył jej w głowę z kałasznikowa, drugą ręką wpychając sobie ziemniaka do ust. Wiedzieliśmy, że nic nie zrobi, ale przez radio przyszedł rozkaz, żeby go zdjąć. Ktoś nacisnął spust, a potem podbiegliśmy do niego. Kula oderwała mu pół głowy, a w ustach wciąż miał przeżutą

ziemniaczaną papkę.

– Biedaczysko. Musiał być głodny.

– Patrzyłem w otwarte usta tego chłopca z roztrzaskaną czaszką i naszała mnie dziwna myśl. Co by się stało, gdybyśmy zaczekali dziesięć sekund? Myślałem tylko o tym, że gdybyśmy zaczekali, zdążyłby przełknąć tego ziemniaka.

– Z perspektywy tego nieszczęśnika niewiele by to zmieniło.

– Nie, jasne, że nie – odparł Reseng drżącym głosem. – Ale wciąż dziwnie się czuję, kiedy przypominam sobie tamtą sytuację.

Starzec dopił whisky i zaczął dźgać popiół różnym, żeby sprawdzić, czy zostały jakieś ziemniaki. Znalazł jednego w kącie paleniska i podał go gościowi, ten jednak uprzejmie odmówił. Stary mężczyzna spochmurniał i wrzucił bulwę z powrotem do kominka.

– Mam jeszcze jedną butelkę whisky – powiedział. – Co ty na to?

Reseng zastanawiał się przez chwilę.

– Zdaję się na pana – odparł w końcu.

Gospodarz przyniósł z kuchni drugą butelkę i nalał mu trochę. Popijając w milczeniu whisky, obaj mężczyźni siedzieli zapatrzeni w płomień tańczące w kominku. Reseng czuł się coraz bardziej podchmielony i miał wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

– Ogień jest taki piękny – odezwał się.

– Popiół jest piękniejszy, jeśli go lepiej poznasz.

Nie odrywając ani na chwilę wzroku od ognia, starzec zakołysał kubkiem, a potem uśmiechnął się, jak gdyby przypomniawszy sobie coś zabawnego.

– Mój dziadek był wielorybnikiem – zaczął. – Nawet nie

pochodził z wybrzeża, bo wychował się w głębi lądu, w prowincji Hamgyong, ale w poszukiwaniu pracy przeniósł się na południe do Jangsengpo i został najlepszym harpunnikiem w całym kraju. A było to jeszcze przed wprowadzeniem zakazu połowów. Otóż zdarzyło się raz, że kaszalot wciągnął mojego dziadka pod wodę. I to naprawdę głęboko. Dziadek trafił go harpunem w grzbiet, ale zaplątał się w linę i szarpnięcie sprawiło, że wyleciał za burzę. Wątle stateczki i tandetne harpuny z czasów kolonialnych nie nadawały się do polowania na tak potężne zwierzęta. Samiec kaszalota może mieć nawet osiemnaście metrów długości i ważyć sześćdziesiąt ton. Wyobrażasz sobie? To tyle, co piętnaście dorosłych słoń afrykańskich. Nie chciałbym zadrzeć z tak wielką bestią, nawet gdyby była skręcona z baloników. Za nic w świecie. Ale mój dziadek nawet się nie zawahał i wbił harpun w grzbiet tego olbrzyma.

– I co było potem? – zapytał Reseng.

– Rzecz jasna kompletny zamęt. Wpadając do wody, dziadek doznał wstrząsu i tak go zamroczyło, że nie był pewien, czy to wszystko nie jest snem albo przywidzeniem. Tymczasem zanurzał się coraz głębiej w mroczną toń oceanu, gdzie ciągnął go za sobą rozwścieczony wieloryb. Gdy wreszcie się otrząsnął, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było niebieskie światło bijące od płetw kaszalota. Ten widok sprawił, że dziadek całkowicie zapomniał o grożącym mu niebezpieczeństwie. Kiedy opowiadał mi tę historię, w kółko powtarzał, jakie to było piękne i niesamowite. Wspominając tego olbrzyma o świecących na niebiesko płetwach, który zanurzał się w mroczne odmęty, miał w oczach łzy wzruszenia. Próbowałem mu tłumaczyć, że to niemożliwe, ponieważ wieloryby nie mają właściwości biofluorescencyjnych, ale wtedy rzucił we mnie nocnikiem. Taki był z niego narwaniec! Opowiadał o tej przygodzie każdemu, kogo spotkał, ale z powodu

tego, co mówił o płetwach, wszyscy uważali, że zmyśla. Kiedy mu o tym powiedziałem, odparł: „Ludzie mówią o wielorybach same bzdury, bo cała ich wiedza pochodzi z książek. A wieloryby nie żyją w książkach, tylko w oceanie”. W każdym razie dziadek stracił przytomność, kiedy kaszalot wciągnął go pod wodę.

Starzec dolał sobie whisky do kubka i pociągnął łyk.

– Kiedy się ocknął, zobaczył księżyc w pełni na nocnym niebie i usłyszał plusk fal, na których kołysała się boja. Pomyślał, że dopisało mu szczęście i morze wyrzuciło go na jakąś rafę. Był jednak w błędzie. Okazało się, że leży na głowie kaszalota. Niewiarygodne, prawda? Otóż leżał w kałuży śliskiej krwi wieloryba, który podtrzymywał go nad powierzchnią wody, a w jego grzbiecie wciąż tkwił harpun. Potrafisz sobie wyobrazić coś bardziej osobliwego? Słyszałem, że wieloryby unoszą w ten sposób rannych towarzyszy albo nowo narodzone cieleta, żeby umożliwić im oddychanie. Ale tym razem nie był to żaden krewniak ani nawet foka czy pingwin. To był człowiek, i w dodatku ten sam, który ugodził go harpunem. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ten kaszalot go uratował.

– To rzeczywiście niepojęte. – Reseng uniósł kubek do ust. – Można by się spodziewać, że raczej go rozszarpie.

– No więc dziadek leżał na czubku głowy wieloryba jeszcze długo po odzyskaniu przytomności. Mówiąc oględnie, był w dosyć niewesołym położeniu. No pomyśl, co byś zrobił na jego miejscu? Naprawdę miał przesrane. Dookoła tylko ciemne fale i olbrzymie zwierzę broczące krwią. Dziadek wyznał mi, że gdy zobaczył tę krew w blasku księżyca, przeprosił wieloryba. Przynajmniej tyle mógł zrobić, wiesz? Chciał wyciągnąć harpun z rany, ale to wcale nie było proste. Rzut harpunem jest jak błędna decyzja życiowa; przychodzi z łatwością, ale potem nie sposób naprawić

wyrządzonych szkód. Zatem dziadek przeciął linę nożem, który nosił przy pasie. Gdy tylko to zrobił, wieloryb zanurkował i wynurzył się kawałek dalej. Tymczasem dziadek uchwycił się kurczowo boi, żeby utrzymać się na powierzchni. Pełen wstydu i wyrzutów sumienia miotał się żałością, a jego ciało wciąż oplatała ta nieszczęsna lina. Wieloryb, który podpłynął z powrotem do niego, przyglądał mu się wielkim okiem z prostoduszną ciekawością, a jego spojrzenie zdawało się mówić: „No patrzcie, taki kurdupel, a dziabnął harpunem kogoś takiego jak ja. Jesteś odważniejszy, niż się wydajesz!”. A potem trącił go figlarnie, jakby chciał powiedzieć: „Hej, mały, to było niegrzeczne. Lepiej nie próbuj więcej takich sztuczek!”. Najwyraźniej wybaczył mu ten niecny postępek, chociaż woda dookoła była mętna od krwi, która nadal ciekła z rany na grzbiecie. Ilekroć dziadek dochodził do tego momentu w swojej opowieści, uderzał się otwartą dłonią w kolano i wołał: „To zwierzę miało serce tak wielkie jak całe jego cielsko. Nie to co małostkowi ludzie”. Podczas gdy inni wielorybnicy szukali zaginionego towarzysza, kaszalot nie odstępował go przez całą noc, dopóki nie przybyła pomoc. Na pożegnanie, gdy na horyzoncie pojawił się jeden z kutrów, zatoczył krąg i zniknął w głębinach z tkwiącym w grzbiecie harpunem, na którym widniało wyryte imię mojego dziadka. Niesamowite, co?

– Tak, to zadziwiająca historia – potwierdził Reseng.

– Po tej przygodzie, której omal nie przypłacił życiem, dziadek chyba wszystko sobie poważnie przemyślał. Oznajmił swojej żonie, że już nie chce polować na wieloryby. Moja babcia, bardzo łagodna i wyrozumiała kobieta, objęła go i powiedziała, że jeśli tak bardzo nie odpowiada mu ta praca, to powinien z niej zrezygnować. Podobno płakał jak dziecko w jej ramionach i powtarzał: „Tak się bałem, tak okropnie się bałem!”. I rzeczywiście porzucił to zajęcie, przynajmniej na jakiś czas. Ale nie na długo. W domu się nie

przelewało, miał na utrzymaniu rodzinę, a wielorybnictwo było jedynym fachem, jakiego się nauczył. Nie znał innego sposobu na wykarmienie gromadki dzieci, które kwiliły z głodu niczym pisklęta w gnieździe. Dlatego wrócił do pracy i znów ciskał harpunem w każdego wieloryba, jakiego wypatrzył w wodach Morza Japońskiego, dopóki nie przeszedł na emeryturę w wieku siedemdziesięciu lat. Ale wydarzyło się jeszcze coś osobliwego. W pięćdziesiątym dziewiątym dziadek jeszcze raz natknął się na tego samego kaszalota. Po trzydziestu latach od tamtej nocy, kiedy cudem uniknął śmierci. Olbrzym wciąż miał w grzbiecie jego stary harpun, ale pływał swobodnie i z gracją, jak gdyby ten zardzewiały kawałek żelaza od zawsze był częścią jego ciała. Takie przypadki nie należą do rzadkości. Słyszałem, że w dziewiętnastym wieku upolowano wieloryba, w którego ciele tkwił harpun z poprzedniego stulecia. W każdym razie kaszalot nie uciekł na widok kutra, ale podpłynął do niego z harpunem sterczącym niczym peryskop i okrążył go powoli, jakby mówił: „Hej! Dawno się nie widzieliśmy, stary przyjacielu! Ale cóż to? Nadal polujesz na wieloryby? Naprawdę nie wiesz, kiedy odpuścić, co?”.

Starzec przerwał opowieść i parsknął śmiechem.

– Pański dziadek musiał się poczuć zakłopotany – powiedział Reseng.

– I to bardzo. Marynarze mówili, że gdy tylko rozpoznał tego kaszalota, osunął się na pokład i wydał rozpaczliwy jęk. Zanosił się od płaczu i wołał: „Wybacz mi, wielorybie! Tak bardzo mi przykro! Jak bardzo musiałeś się męczyć, pływając z harpunem w grzbiecie przez tyle lat! Przysięgam, że kiedy się pożegnaliśmy, chciałem z tym skończyć. Pewnie nie wiesz, bo żyjesz w morzu, ale na lądzie jest naprawdę ciężko. Wciąż mieszkam w wynajętym domu, a moje dzieci tak dużo jedzą, że nie uwierzyłbyś, ile kosztuje ich wykarmienie. Musiałem wrócić do tej pracy, bo przymieraliśmy

głodem. Wybacz mi! Spotkajmy się znów i wypijmy razem po kielichu. Przyniosę coś mocnego, a ty złapiesz wielką kałamarnicę na zakąskę. Dziesięć skrzynek soju i grillowana kałamarnica powinny wystarczyć. Tak bardzo mi przykro. Tak mi przykro, wielorybie, że ugodziłem cię tym harpunem. Ależ ze mnie głupiec!”.

– Naprawdę wykrzyczał to wszystko do tego kaszalota? – zapytał Reseng.

– Świadkowie twierdzili, że tak.

– Zabawny facet był z pańskiego dziadka.

– Tak, prawda, był zabawny. W każdym razie po tym spotkaniu na dobre skończył z wielorybnictwem. Wyprowadził się z Jangsengpo i osiadł w Seulu, gdzie pił całymi dniami. Przypuszczam, że czuł się schwyty w pułapkę, bo nie mógł już pływać, a zasieki wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika uniemożliwiały mu powrót na północ w jego rodzinne strony. Więc ilekroć był pijany, zaczepiał ludzi i opowiadał im historię o wielorybie. Zanudzał nią wszystkich na okrągło, mimo że każdy słyszał ją już ze sto razy i nie miał ochoty na powtórkę. Ale nie robił tego, żeby się chełpić swoimi przygodami. Żywił przekonanie, że powinniśmy naśladować wieloryby. Jego zdaniem ludzie stali się nikczemni i przebiegli jak szczury, a czasy, w których posuwali się naprzód wielkimi krokami, odeszły w niepamięć. Epoka gigantów minęła bezpowrotnie.

Stary mężczyzna dopił whisky. Reseng ponownie napełnił jego kubek i sam pociągnął łyk.

– Kiedy dziadek był już po osiemdziesiątkę, dowiedział się, że ma raka wątroby w ostatnim stadium. Właściwie nie było w tym nic zaskakującego, gdyż jako marynarz nigdy za kołnierz nie wylewał. Ale przypuszczam, że ta wiadomość nie zrobiła na nim wrażenia,



bo gdy tylko wrócił od lekarza, od razu przyssał się do butelki. Zwołał wszystkie swoje dzieci i oznajmił, że nie zamierza się leczyć. „Wieloryby potrafią się z tym pogodzić, kiedy nadchodzi ich czas” – powiedział. Już więcej nie poszedł do szpitala. Po miesiącu założył najlepsze ubranie i pojechał do Jangsengpo. Ludzie w porcie widzieli, jak załadował do małej łódki dziesięć skrzynek soju i powiosłował w stronę horyzontu. Nigdy nie znaleziono jego ciała. Może faktycznie podążając za wonią ambry, natrafił na ślad swojego kaszalota i jeżeli się spotkali, nadrobili zaległości z wszystkich tych lat rozłąki. A jeżeli nie, prawdopodobnie dziadek dryfował po oceanie i upijał się w samotności, dopóki nie umarł. A może wciąż gdzieś tam pływa.

– Zakończyć życie w taki sposób to nie byle co.

– Odszedł z godnością. Moim zdaniem człowiek powinien wybrać sobie taką śmierć, która będzie godnym zakończeniem jego życia. Ale tylko ktoś, kto podąża własną drogą, potrafi dokonać takiego wyboru. Ja przez całe życie lawirowałem, więc nie zasługuję na dostojny koniec – rzekł starzec i uśmiechnął się z goryczą.

Widząc jego posępną minę, Reseng poczuł się w obowiązku, żeby powiedzieć coś pogrzbającego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Stary mężczyzna znów dolał sobie whisky i opróżnił kubek jednym haustem. Przez długą chwilę obaj siedzieli w milczeniu. Ilekroć płomienie zaczynały dogasać, Reseng wrzucał do kominka kolejną szczapę, która gwałtownie zajmowała się ogniem, trzaskając i rozsiewając iskry, by potem wypalić się powoli i przybrać postać rozżarzonego węgla, który w końcu zamieniał się w biały popiół.

– Zagadałem cię dzisiaj na śmierć – odezwał się starzec. – Podobno im człowiek starszy, tym bardziej powinien liczyć się ze

słowami, a mniej z pieniędzmi.

– Och nie, słuchałem pana z przyjemnością.

Starzec potrząsnął butelką i przyjrzał się jej pod światło. Tego, co zachlupotało na dnie, wystarczyło zaledwie na jeden kubek.

– Nie masz nic przeciwko, żebym dokończył?

– Śmiało – odparł Reseng.

Gospodarz wypił resztkę whisky.

– Wystarczy na dziś. Musisz być wyczerpany, a ja cię zamęczam gadaniem, zamiast pozwolić ci spać.

– Ależ skąd, to był bardzo miły wieczór. Dzięki panu.

Starzec rozciągnął się na podłodze po prawej stronie kominka.

– Musisz coś zjeść na śniadanie, zanim wyjdiesz rano – powiedział. – Źle się poluje o pustym żołądku.

Na ceglanej ścianie zakołysał się cień psa, który podszedł do swojego pana i zwinął się w kłębek u jego boku.

– Oczywiście – odparł Reseng po chwili wahania. – Na pewno coś zjem.

Ułożył się po przeciwnej stronie paleniska i spojrzął na karabin oparty o futrynę. Trzask płonących polan wydawał mu się nienaturalnie głośny. Długo wsłuchiwał się w miarowe oddechy psa i starego mężczyzny, aż w końcu sam poszedł w ich ślady, zapadając w spokojny sen.

Kiedy się obudził, gospodarz już krzątał się w kuchni. Przyrządził prosty posiłek złożony z białego ryżu, kimchi z rzodkwi i zupy sojowej z kawałkami ziemniaków. Nie mówił zbyt wiele i zjedli śniadanie w milczeniu. Potem zawinął w płócienną serwetę sześć gotowanych ziemniaków i wręczył gościowi, który już wyszedł z domu. Reseng pożegnał go serdecznie i przyjął od niego

zawiniątko. Ziemniaki były gorące.

Gdy Reseng dotarł z powrotem do namiotu, starzec znów podlewał kwiaty. Tak jak poprzednim razem przechylał konewkę z namaszczeniem, jakby częstował kogoś herbatą, i przemawiał do swoich roślin. Reseng obrócił lekko pierścień lunety i kwiat o znajomym wyglądzie nabrał ostrości, by po chwili znów się rozmyć. Wciąż nie mógł sobie przypomnieć jego nazwy. Pomyślał, że powinien był zapytać o to starego mężczyznę.

Ogród prezentował się urokliwie. Rosnące przed domem dwie persymony rozpościerały gałęzie, jak gdyby przeciągały się niefrasobliwie, a kwiaty tłoczyły się na rabatkach, czekając pokornie na nadejście zimowych chłódów. Santa podbiegł do swojego pana i otarł się głową o jego udo. Pasowali do siebie. Starzec schylił się i rzucił mu sflaczałą piłkę, a potem wrócił do podlewania kwiatów. Co takiego im mówił? Kiedy chodził, dało się zauważyć, że lekko utyka. Mogłem go zapytać, jak stracił nogę, pomyślał Reseng, ale doszedł do wniosku, że właściwie nie ma to znaczenia. Za drugim razem starzec rzucił piłkę znacznie dalej. Pies najwyraźniej był w dobrym humorze, bo okrążył go kilka razy, zanim popędził na drugi koniec ogrodu po swoją zabawkę. Dotarłszy na skraj rabaty, mężczyzna postawił konewkę na ziemi i uśmiechnął się pogodnie. A może się śmiał? Czy ta twarz podobna do rzeźbionej w drewnie maski rzeczywiście się śmiała?

Reseng nakierował siatkę celownika na jego pierś i nacisnął spust.

---

---

# Pieta Achillesa

---

---

Resenga znaleziono w śmietniku. Może nawet tam się urodził; tego nie wie nikt.

Ilekroć Stary Jenot, który od dwudziestu ośmiu lat zastępował mu ojca, wypił odrobinę za dużo, dworował sobie z jego pochodzenia.

– Matka wyrzuciła cię do kubła na śmieci naprzeciwko ochronki – mówił. – A może sam ten kubeł cię urodził. Któż to wie? Tak czy inaczej, przykra sprawa. Ale spójrz na pozytywne strony. Śmietnik, z którego korzystały siostrzyczki, musiał być najczystszy w okolicy.

Reseng nie przejmował się docinkami Starego Jenota. Uznał, że czysty kubeł na śmieci jest lepszy od łona matki gotowej porzucić swoje dziecko na śmietniku. Pierwsze cztery lata życia spędził w zakonnym sierocińcu, a potem zamieszkał w bibliotece Starego Jenota, który go adoptował. Gdyby spędził resztę dzieciństwa w ochronce, gdzie łaska boża spływała z nieba niczym promienie wiosennego słońca, a życzliwe siostry oddawały się bez reszty starannemu wychowywaniu sierot, jego życie mogłoby się potoczyć zupełnie innym torem. Zamiast tego dorastał w bibliotece, pętając się pod nogami płatnych zabójców, cyngli i łowców nagród. Wszystkie nasze życiowe tragedie mają swój początek w miejscu, w którym stawiamy pierwsze kroki i niczym kiełkujące ziarno trafiamy na podatny grunt. Ale Reseng był zbyt młody, by opuścić miejsce, w którym się zdomowił.

W dniu swoich dziewiątych urodzin siedział w rattanowym fotelu bujanym Starego Jenota i czytał *Opowieści Homera*. Parys, ten durny książe Troi, właśnie napinał cięciwę, żeby posłać strzałę w kierunku pięty Achillesa – bohatera, w którym Reseng zakochał

się w trakcie lektury. Jak powszechnie wiadomo, jest to niezwykle emocjonujący moment, więc chłopiec nie zauważył, że jego przybrany ojciec przygląda mu się od jakiegoś czasu z rozgniewaną miną.

– Kto cię nauczył czytać? – zapytał Stary Jenot.

Nie posłał Resenga do szkoły. Ilekroć chłopiec pytał, dlaczego nie może robić tego, co inne dzieci, odpowiadał mu: „Bo szkoła nie nauczy cię niczego o życiu”. W tej kwestii miał rację. Zatem Reseng nie odebrał żadnej formalnej edukacji, jednak nigdy nie miał z tego powodu problemów. Zresztą jakie problemy mógłby mieć? Tak więc Stary Jenot nie posiadał się ze zdumienia, kiedy odkrył, że jego podopieczny, który nie spędził ani jednego dnia w szkolnej ławie, czyta książkę. Co gorsza, miał taką minę, jakby czuł się z tego powodu oszukany. Kiedy chłopiec podniósł na niego wzrok i nic nie odpowiedział, Stary Jenot przemówił tym niskim głębokim tonem, którego używał do zastraszania ludzi:

– Pytam. Kto. Cię. Nauczył. Czytać?

Jego głos brzmiał tak złowroźnie, jak gdyby zamierzał dopaść tego kogoś i wyrządzić mu krzywdę. Cichym i drżącym głosem chłopiec odpowiedział, że nikt go nie uczył, ale jego przybrany ojciec wciąż miał srogą minę. Było jasne, że mu nie uwierzył, więc Reseng wyjaśnił, że sam się nauczył czytać z książek z obrazkami. Wtedy Stary Jenot spoliczkował go z całej siły.

Tłumiąc szloch, Reseng przysiągł, że nie kłamie. Naprawdę sam nauczył się czytać. Kiedy wśród dwustu tysięcy tomów ściśniętych na półkach mrocznej i przepastnej biblioteki natrafił na kilka pozycji godnych uwagi – komiksową adaptację powieści o niewolnictwie w Ameryce, tandetny magazyn dla dorosłych i postrzępioną książkę pełną rycin, które przedstawiały żyrafy i nosorożce – dopasowując obrazki do słów, rozszyfrował znaczenie

koreańskiego alfabetu. Wskazał na stertę książek w kącie gabinetu, a Stary Jenot pokuśtykał do nich i obejrzał je dokładnie po kolei. Na jego twarzy malowało się zdumienie, gdy zachodził w głowę, jakim cudem tak nędzne książki trafiły do jego biblioteki. Kołysząc się na chromej nodze, podszedł z powrotem do Resenga, zmierzył go wciąż jeszcze nieufnym wzrokiem i wyrwał mu z rąk *Opowieści Homera*.

– Czytając, skazujesz się na życie pełne strachu i wstydu – rzekł, popatrując to na swojego przybranego syna, to na twardą oprawę książki. – Nadal masz ochotę na czytanie?

Reseng wbił w niego tępe spojrzenie, gdyż tylko tak mógł zareagować, nie miał bowiem pojęcia, o czym mówi Stary Jenot. Strach i wstyd? Miał dopiero dziewięć lat i nie był w stanie tego ogarnąć. Życie, które potrafił sobie wyobrazić chłopiec w jego wieku, składało się co najwyżej z marudzenia na źle przyprawiony obiad. Było to życie obfitujące w przypadkowe wydarzenia, tak samo niemożliwe do opanowania jak plasterki cebuli, który ześlizguje się z kanapki. Słowa Starego Jenota nie brzmiały jak pytanie, a raczej jak groźba albo nawet klątwa. To tak, jakby Bóg przemówił do Adama i Ewy: „Jeżeli zjecie owoc z tego drzewa, zostaniecie wygnani z raju. A więc nadal chcecie się poczęstować?”. Reseng czuł strach. Nie miał pojęcia, jakie są konsekwencje tego wyboru. Ale przybrany ojciec nie odrywał od niego oczu i czekał na odpowiedź. Czy sięgnie po zakazany owoc, czy nie?

W końcu chłopiec zebrał się w sobie, z wysiłkiem uniósł głowę i zacisnął pięści, a jego twarz przybrała wyraz determinacji.

– Chcę czytać – oznajmił. – Oddaj mi książkę.

Stary Jenot zmierzył wzrokiem pasierba, który z trudem powstrzymywał łzy, a potem wręczył mu z powrotem *Opowieści*

*Homera.*

Tak naprawdę decyzja Resenga nie była spowodowana pragnieniem czytania ani porywem buntu. Zażądał zwrotu książki, bo nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi z tym „życiem pełnym strachu i wstydu”.

Dopiero kiedy został sam, po twarzy pociekły mu łzy. Zwinął się w kłębek na rattanowym fotelu i omiół wzrokiem wnętrze gabinetu, w którym zapadał już mrok, bo okna były skierowane na północ. Patrzył na ciągnące się pod sam sufit rzędy książek pokrytych warstwą kurzu i zastanawiał się, czemu jego pragnienie czytania tak rozgniewało Starego Jenota. Nawet teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, ilekroć wspominał przybranego ojca, który większość życia spędził wśród tych zakurzonych półek pogrążony w lekturze, nie mógł tego zrozumieć. Ale wtedy, w swoje dziewiąte urodziny, poczuł się tak, jakby któryś z kolegów wyrwał mu z ust lizaka, chociaż sam miał ich pełne kieszenie.

– Żebyś się zesrał, stary głupi pierdzielu – mruknął i otarł wierzchem dłoni resztę łez, a potem otworzył książkę.

A jakżeby inaczej? Czytanie przestało być jedynie sposobem na zabicie czasu. Stało się dla niego doniosłym i niezbywalnym prawem. Przecież wywalczył je sobie kosztem niemałych ofiar, w imię tego prawa oberwał i został skazany na życie pełne strachu i wstydu. Reseng wrócił do sceny, w której Parys, ten dumny księżę Troi, napina cięciwę. Do sceny, w której strzała przecina powietrze, pędząc nieubłaganie w stronę celu. Do sceny, w której ta przeklęta strzała trafia Achilleśa w piętę.

Chłopiec dygotał na całym ciele, kiedy Achilles wykrawiał się na szczycie wzgórza Hisarlik. Spodziewał się, że jego ukochany bohater wyszarpcie grot z rany, a potem ugodzi Parysa oszczepem w samo serce. Ale stało się coś niepojętego. Co poszło nie tak? Jak



to możliwe, że syn Tetydy zginął? Jak to możliwe, że ten niepokonany heros o ciele odpornym na strzały i dzidy poniósł śmierć z ręki takiego półgłówka jak Parys? A co gorsza, sam okazał się półgłówkiem, bo nie zadbał, żeby osłonić swój słaby punkt, tak mały, że zmieściłby się we wnętrzu dłoni. Reseng jeszcze raz przeczytał cały fragment, ale nie natrafił na wzmiankę o zmartwychwstaniu Achilleśa.

O nie, pomyślał. Ten głupi Parys naprawdę go zabił!

Siedział pogrążony w zadumie, dopóki w gabinecie Starego Jenota nie zapanowała całkowita ciemność. Nie widział już książki, którą trzymał na kolanach, a jej kartki szeleściły niczym zeschnięte liście. Rattanowy fotel poskrzypywał od czasu do czasu, ale chłopiec nie był w stanie się poruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Nie przyszło mu do głowy, żeby zapalić światło, chociaż lampa stała w zasięgu ręki. Trząśił się jak dziecko uwięzione w mrocznej jaskini, w której roi się od robactwa. Życie nie miało sensu. Po co Achilles zadawał sobie tyle trudu, po co dźwigał cały ten pancerz na piersi, skoro wystarczyłoby osłonić tylko lewą piętę, ten jedyny wrażliwy punkt? Cóż za idiota! Nawet dziewięćolatek by na to wpadł. Myśl, że Achilles dopuścił się takiego zaniedbania, nie dawała Resengowi spokoju. Nie mógł wybaczyć swojemu bohaterowi tak głupiej śmierci.

Rozpłakał się. Na stronicach każdej z nieprzeliczonych książek, które go otaczały i po które sięgał, żeby zaspokoić ciekawość albo zwalczyć nudę, dzielni bohaterowie i piękne kobiety, ludzie zmagający się z przeciwnościami i własnymi słabościami w dążeniu do celu, wszyscy ginęli z rąk głupców, gdyż nie zadbali o osłonięcie swoich słabych punktów. Reseng był zszokowany tym, że życie jest tak zdradliwe. Nie ma znaczenia, jak wysoko zajdziesz, jak niezniszczalne wydaje się twoje ciało i jak bardzo zabiegasz o swoją potęgę, ponieważ wystarczy jeden mały błąd, by wszystko

przepadło w ułamku sekundy.

Ogarnęło go przytłaczające poczucie nieufności wobec świata. W każdej chwili mógł wpaść w jedną z pułapek, które na niego czyhały. Któregoś dnia nieprzychylny los mógł mu zgotować życiową zawieruchę i narazić na koszmar, od którego nigdy nie zdoła się uwolnić. Nabrał dziwnego przeświadczenia, że wszystko, co jest mu drogie, kiedyś w jednej chwili zamieni się w nicość. Czuł się bezwartościowy, zrozpaczony i całkowicie samotny.

Tamtego wieczoru Reseng siedział bardzo długo w bibliotece Starego Jenota. Łzy nie przestawały cieknąć po jego twarzy, aż w końcu usnął zapłakany w bujanym fotelu z rattanu.

---

# Krematorium dla zwierząt

---

– Jeśli coś się nie ruszy, jestem w czarnej dupie – powiedział Niedźwiedź, ciskając niedopałek na ziemię. – Interes kręci się tak niemrawo, że cały dzień muszę palić psy.

Siedział w kucki, a jego spodnie napinały się tak mocno, jakby zaraz miały strzelić w kroku. Kiedy dźwignął swoje ponadstukilogramowe cielsko i otrzepał tyłek, Reseng bez słowa naciągnął bawełniane rękawice robocze.

– Niektórzy ludzie są na tyle głupi, żeby porzucać ciała w lesie, wyobrażasz sobie? Kiedy cel jest martwy, twoje zadanie się nie kończy, bo musisz jeszcze po sobie posprzątać. W jakiej my żyjemy epoce, żeby zakopywać trupy w lesie? Teraz w lesie nawet psów się nie grzebie. Ale gdyby zryć zboczne góry buldożerem, znalazłby się niejeden grób. Mówię ci, już nikt nie traktuje poważnie tej roboty. Żadnych zasad. No bo jak można zadźgać kogoś i po prostu sobie pójść? Tak robią zbiry, ale nie zawodowi zabójcy! Swoją drogą, wcale nie jest tak łatwo pozbyć się ciała. Kilka dni temu wpadło trzech idiotów z Incheon, którzy taszczyli zwłoki w walizce.

– Zamknęli ich? – spytał Reseng.

– No jasne. Przecież nietrudno zgadnąć, po co trzech roślących facetów idzie w środku nocy do lasu z łopatami i wielkim kufrem. Jak sądzisz, co sobie pomyśleli miejscowi, kiedy ich zobaczyli? Że wybierają się na wycieczkę w góry? Kompletna głupota! Dlatego uważam, że zamiast grzebać ciała na pustkowiu, można je palić tutaj. To bezpieczniejszy sposób, nie zostawia się żadnych śladów i jest bardziej przyjazny dla środowiska. A w interesie jest taki zastój, że ledwie żyję!

Niedźwiedź założył rękawice, nie przerywając narzekania. Zawsze narzekał. Mimo to ów mężczyzna o posturze orangutana

wydawał się nieszkodliwy jak Kubuś Puchatek. Może dlatego, że wyglądał jak on. A może to Puchatek był do niego podobny. Niedźwiedź zajmował się usuwaniem trupów, chociaż świadczył te usługi nielegalnie. Oczywiście ze zwierzętami było inaczej. Miał licencję na kremację psów i kotów, a ludzkie zwłoki palił po kryjomu. Był zdumiewająco sympatyczny jak na kogoś, kto uprawia taki proceder.

– Nie uwierzyłybyś, jakie rzeczy ja tu widziałem. Całkiem niedawno przyszło dwoje takich z legwanem. Miał na imię Andrew albo Andre. Jak można tak nazwać legwana? Dlaczego nie jakoś prościej, żeby się łatwo wymawiało, na przykład Iggy czy Spiny? W każdym razie to śmiechu warte, jakie ludzie wymyślają imiona. No więc głupi legwan zdechł, a ci młodzi tulili się do siebie, płakali i w kółko powtarzali: „Tak strasznie nam przykro, Andrew. Nie dostałeś jedzenia na czas. To wszystko nasza wina, Andrew”. Normalnie nie wiedziałem, gdzie oczy podziać.

Niedźwiedź wpadł w trans. Reseng otworzył drzwi magazynu, jednym uchem słuchając jego tyrady.

– Czym go przewieziemy? – zapytał, a gdy zwalisty mężczyzna zajrzał do środka i wskazał ręką dwukołowy wózek, dodał: – Nie będzie za mały?

Niedźwiedź zmierzył wózek wzrokiem i pokręcił głową.

– Przecież to nie krowa. Gdzie zaparkowałeś?

– Za budynkiem.

– Czemu tak daleko? I będzie pod górę.

Reseng przyglądał się, jak właściciel krematorium dla zwierząt wyprowadza wózek i rusza dziarskim krokiem, który przeczył jego skłonności do narzekania. Zazdrościł mu tej pogody ducha. Niedźwiedź nie był pazerny. Nie należał do tych, którzy harują do

upadłego, żeby się dorobić. Zadowalał się tym, co przynosi mu jego skromny interes, a nawet samodzielnie wychował dwie córki. Starsza uczyła się teraz w koledżu.

– Jadam lekkie posiłki – zwykł mawiać. – Żeby nie zabrakło mi na jedzenie. Muszę jeszcze wytrzymać kilka lat, dopóki dziewczyny się nie usamodzielniają.

Niedźwiedź był bojaźliwy. Nigdy nie pakował się w nic podejrzanego, nawet jeśli brakowało mu pieniędzy. I to dlatego przetrwał tyle lat w branży, w której średnia długość życia była niewiarygodnie niska.

– Stary Jenot mówił tylko o jednej przesyłce – odezwał się, przechylając podejrzliwie głowę, kiedy zajrzał do bagażnika i zobaczył dwa worki na zwłoki.

– Jeden mężczyzna, jeden pies – wyjaśnił Reseng.

– To jest pies? – zapytał właściciel krematorium, wskazując mniejszy worek.

– Nie, to człowiek. Pies jest w tym większym.

– Co to za bestia większa od człowieka? – Niedźwiedź z niedowierzaniem pociągnął suwak i spomiędzy zębów zamka błyskawicznego wypadł długi język mastifa. – Jasny chuj! Teraz rozumiem. Ale co ci zrobił ten pies, że go zabiłeś? Ugryzł cię w jaja?

– Pomyślałem, że jest za stary, żeby się przyzwyczaić do nowego właściciela.

– No proszę, nie trzymasz się instrukcji patrona – powiedział Niedźwiedź i zaśmiał się drwiąco. – Powinieneś uważać. Nie napytaj sobie biedy przez jakiegoś psa.

Reseng zasunął zamek i znieruchomiał na chwilę. Właściwie dlaczego zabił Santę? Kiedy zszedł ze zbocza, żeby zabrać ciało

starca, mastif stał przy nim spokojnie, jakby pełnił wartę. Nawet nie warknął. Prawdopodobnie nie mógł pojąć, czemu jego pan się nie rusza. Reseng spojrział w zamglone brązowe oczy zwierzęcia, w których odbijały się promienie jesiennego słońca. Nie ma już nikogo na tym pustkowiu, kto by cię nakarmił, pomyślał. A jesteś za stary, żeby uganiać się po lesie za pożywieniem. Rozumiesz, co mam na myśli? Poglądził psa po karku, a potem uniósł karabin i strzelił mu w głowę.

– Ciężki jak na starucha – stwierdził Niedźwiedź, chwytając jeden z worków.

– Mówiłem ci, że w tym jest pies. Stary jest w drugim.

– Ciężki ten cholerny pies.

W krematorium dla zwierząt panowała absolutna cisza. Nie mogło być inaczej. Nikt nie korzystał z jego usług o drugiej w nocy.

Niedźwiedź odkręcił zawór i zapalił gaz. Buchnęły płomienie i winylowe worki popękały i rozlazły się niczym wężowa skóra, odsłaniając swoją zawartość. Stary mężczyzna leżał rozciągnięty na ruszcie, a na jego brzuchu spoczywała głowa psa. Temperatura w piecu rosła z każdą chwilą i wysuszone ścięgna zaczynały się kurczyć. Starzec zgiął się wóół, jakby wciąż próbował uchwycić się świata żywych. To był smutny widok. Czy w ogóle zostało mu coś, czego mógłby się uchwycić? To nie miało znaczenia. Dla niego wszystko było skończone. W ciągu dwóch godzin miał zamienić się w kupkę popiołu, a pod taką postacią nie mógł już niczego się chwycić.

Reseng patrzył na skulone ciało. Za życia stary mężczyzna był generałem. W czasach dyktatury wojskowej, która rządziła Koreą Południową przez trzy długie dekady, jako szara eminencja działał za kulisami, organizując zamachy na przeciwników politycznych. Jak do tego doszedł? W tamtym okresie byli oficerowie z północy

niezwykle rzadko osiągnęli tak wysokie stanowiska w armii południa, a jeszcze rzadziej trafiali do wywiadu. Ale jemu się udało. Przetrwał rządy pierwszego dyktatora, który przez prawie dwadzieścia lat sprawował władzę żelazną ręką, upadek reżimu i zamach stanu, a potem kolejną dekadę nowej junty. Wyszedł obronną ręką z rozgrywek politycznych i mimo nieufności, jaką darzono byłych żołnierzy z północy, dosłużył się stopnia generała. Ilekroć ktoś popadł w niełaskę u dyktatora, generał zjawiał się w bibliotece Starego Jenota, któremu wręczał listę celów i bezwstydnie wykorzystywał pieniądze podatników do uregulowania należności.

Ale koniec końców jego nazwisko również trafiło na jedną z takich list. Bo tak to już jest. Prędzej czy później dobra passa się kończy i ci, którzy zostali zdetronizowani, muszą uprzątnąć bałagan, którego narobili, jeżeli chcą przeżyć. A czas nigdy nie działa na ich korzyść.

Pewnego razu, kiedy Reseng miał dwanaście lat, generał przyszedł do biblioteki. Był ubrany w piękny mundur, a na jego czapce połyskiwały dwie gwiazdki.

- Co czytasz, chłopcze? – zapytał.
- Sofoklesa.
- Ciekawe to jest?
- Nie mam taty, więc niewiele z tego rozumiem.
- A gdzie jest twój tato?
- W śmietniku przed sierocińcem.

Generał wyszczerzył zęby w uśmiechu i zmierzwił jego włosy. To było dwadzieścia lat temu. Chłopiec dobrze zapamiętał tę krótką wymianę zdań, ale stary mężczyzna prawdopodobnie o niej zapomniał.



Reseng oderwał wzrok od pieca, w którym szczątki starca i psa stapiały się ze sobą pod wpływem żaru, i wyjął papierosa. Niedźwiedź podał mu ogień, a potem sam zapalił i zaczął pogwizdywać jak ptak, wydmuchując dym. Kiedy wyszedł na zewnątrz, jeszcze raz rozejrzał się czujnie dookoła, jak gdyby oczekiwał, że nagle ktoś wychynie z mroku.

Zaskakująco wielu idiotów trwa w błędnym przekonaniu, że wystarczy osobiście pozbyć się dowodów, żeby mówić o zbrodni doskonałej. Wywożą zwłoki ofiary w odludne miejsce, polewają benzyną z kanistra i podpalają. Tu jednak spotyka ich przykra niespodzianka, ponieważ kremacja wcale nie jest taka prosta, jak się ludziom wydaje. Jedynym efektem, jaki udaje się w ten sposób osiągnąć, jest wielka kupa ohydnie cuchnącego mięsa. Patrząc na takie zwęglone szczątki, każdy anatomopatolog może bez trudu ustalić wiek, płeć i przyczynę śmierci ofiary, a także odtworzyć jej wygląd. Żeby ulec całkowitemu spopieleniu, ciało ludzkie musi się palić co najmniej dwie godziny w temperaturze przekraczającej tysiąc trzysta stopni Celsjusza. Nie mając do dyspozycji pieca krematoryjnego, względnie garncarskiego albo hutniczego, bardzo trudno jest osiągnąć taką temperaturę. To dlatego interes Niedźwiedzia wciąż się kręcił.

Ponieważ medykom sądowym wystarczą zaledwie trzy kawałki miednicy, żeby wyczytać bardzo wiele na temat ofiary, kolejnym ważnym krokiem jest zmielenie kości. Nie można także zapominać o zębach, które zachowują swój pierwotny kształt w najbardziej ekstremalnych warunkach, z ogniem włącznie. Dlatego wszystkie szczątki muszą zamienić się w proch, który potem należy rozsypać w jakimś bezpiecznym miejscu. To jedyny sposób, żeby ofiara znikła bez śladu.

Reseng zapalił kolejnego papierosa i spojrział na zegarek. Było dziesięć po drugiej. Obliczył, że o wschodzie słońca zakończy pracę

i będzie mógł wrócić do domu. Nagle ogarnęło go zmęczenie, które zdawało się przygniatać mu kark i ramiona. Jedną noc spędził w drodze, drugą w domu starego mężczyzny, a na trzecią przyjechał do krematorium Niedźwiedzia. Nie było go w domu trzy dni i jego kotom prawdopodobnie skończyło się już jedzenie. Wyobraził sobie pogrążone w mroku mieszkanie i dwa syjamy miauczące z głodu. Stołek i Lampa. Niezwykle było to, że zaczynały się zachowywać zgodnie ze swoimi imionami. Stołek wyginał się często w taki sposób, że jego sylwetka przybierała kształt kwadratu, i zastygły w bezruchu wpatrywał się w jakiś skrawek papieru na dywanie, za to Lampa lubiła wyciągać szyję i gapić się przez okno.

Reseng pomyślał, że ostatnio ma szczęście, kiedy Niedźwiedź wrócił z koszykiem gotowanych ziemniaków i poczęstował go. Tamtych sześć, które rankiem poprzedniego dnia dostał od starca, wciąż leżało w samochodzie. Był głodny, ale pokręcił głową.

– Dlaczego nie jesz? Nie wiesz, jakie dobre są ziemniaki z prowincji Gangwon? – Niedźwiedź spojrzał na niego zdumiony. Nie mógł pojąć, jak można odmawiać sobie czegoś tak pysznego. Wepchnął do ust całą bulwę i pociągnął spory łyk soju z butelki, którą również przyniósł.

– Niedawno spaliłem tu pana Kima – powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni.

– Tego od kurwidołka?

– Yhm.

– Kto go zlikwidował?

– Myślę, że Duho wynajął paru młodych Wietnamczyków. Teraz to oni biorą wszystkie fuchy i pracują za marne grosze. Gdzie nie spojrzysz, tam sami Wietnamczycy. Oczywiście można też spotkać Chińczyków, jest trochę dezertków z północnokoreańskich sił specjalnych, a nawet są Filipińczycy. Dasz wiarę, że taki facet jest

gotów sprzątnąć kogoś za marne pięćset tysięcy wonów? W dzisiejszych czasach można wynająć cyngla za pół darmo. Nic dziwnego, że wszyscy tak skaczą sobie do oczu. Kiedy pan Kim znalazł się na liście, było już po nim.

Reseng wypuścił kłęb tytoniowego dymu. Śmiać mu się chciało z Niedźwiedzia, który nie miał powodu do narzekania na niskie stawki w branży zabójstw na zlecenie. Im więcej ciał przywożono do krematorium, tym lepiej mu się powodziło i bez znaczenia było, kto zabijał.

– Swoją drogą wydarzyło się coś dziwnego – dodał Niedźwiedź z taką miną, jakby sobie o czymś przypomniiał. – Kiedy skończyłem z panem Kimem, zauważyłem, że w jego prochach coś połyskuje. To wyglądało jak perły. Pozbierałem je, żeby się dokładnie przyjrzeć i wiesz, co to było? Śariry. Znalazłem ich trzynaście, każda nie większa od ziarna fasoli. Niesamowite!

– Co ty opowiadasz? – obruszył się Reseng. – Takie rzeczy pojawiają się jedynie w prochach mnichów buddyjskich. Ale nie kogoś takiego jak Kim.

– Nie kłamię, przysięgam. Chcesz, to ci je pokażę.

– Daj spokój. – Reseng machnął ręką z irytacją.

– Są prawdziwe, mówię ci. Z początku też nie chciało mi się wierzyć. Ten cały Kim... Jak wszyscy go nazywali? Satyr? Bo złapał różne eliksiry na potencję, a potem posuwał wszystko, co się ruszało. Zresztą właśnie to go zgubiło, sam wiesz. Ale żeby coś tak bezcennego jak śariry powstało ze szczątków człowieka tak zepsutego jak on? I jeszcze trzynaście. To ma oznaczać, że ktoś był oświecony, ale w tym przypadku nie mogło być mowy o ciągłej medytacji, wstrzemięźliwości i przestrzeganiu umiaru. To był raczej ślepy traf.

– Na pewno są prawdziwe?

– Na pewno – odparł Niedźwiedź z naciskiem. – Pokazałem je świętobliwemu Hyecho, przeorowi klasztoru Weoljeong. Przyglądał się im długo z rękami założonymi do tyłu, a potem oblizał usta i powiedział, że chce je ode mnie kupić.

– Po co świętobliwemu Hyecho śariry pana Kima?

– Wiesz, że ten bezwstydnny mnich ciągle ugania się za spódniczkami, obstawia zakłady i zalewa pałę, ale widocznie coś go tknęło. Zaczął się martwić, co ludzie sobie pomyślą, kiedy umrze, a w jego prochach nie znajdą żadnej śariry. Dlatego zainteresował się tymi z pana Kima. Połknie je przed śmiercią i odejdzie w spokoju.

Reseng zachichotał. Niedźwiedź pociągnął kolejny łyk z butelki i podsunął mu ziemniaka, jakby zawstydzony, że obżera się sam. Patrząc na bulwę w jego dłoni, Reseng przypomniał sobie nagle, jak starzec przemawiał do psa, do wieprzowiny skwierczącej na rożnie, a nawet do zagrzebanych w popiele ziemniaków. „Upieczcie się porządnie, żeby zadowolić podniebienie naszego dostojnego gościa”. Znów usłyszał jego głos o niskim hipnotycznym brzmieniu i uzmysłowił sobie, że ten stary człowiek musiał czuć się samotny. Tak samotny jak drzewo w zimie, które zrzuciło wszystkie liście i wyciąga ku niebu ogołoczone gałęzie. Nagle poczuł nieprzeparty głód. Wziął ziemniaka, odgryzł kawałek i przeżuując, zajrzał w głąb pieca. Wśród płomieni i dymu nie potrafił już rozróżnić kształtu starego mężczyzny i psa.

– Smaczne, co? – odezwał się Niedźwiedź.

– Smaczne.

– Nie żebym zmieniał temat, ale czemu, do cholery, edukacja jest dziś taka kosztowna? Moja starsza córka właśnie zaczęła studia. Będę musiał co miesiąc spalać co najmniej pięć trupów więcej, żeby opłacić jej chesne i stancję. Ale jak ja znajdę tyle trupów w tej

sytuacji? Nie wiem, czy to tylko spadek koniunktury, czy świat staje się bardziej przyjazny, ale nie jest już tak jak za starych dobrych czasów. No i jak ja teraz sobie poradzę?

Niedźwiedź zmarszczył czoło, jakby nie mógł znieść myśli, że czasy zmieniają się na lepsze.

– Może powinienes pomyśleć o córkach i skończyć z tym procederem – zasugerował Reseng. – Poprzestać na paleniu kotów i psów, no wiesz, tak bardziej przyjaźnie.

– Kpisz sobie? Przede wszystkim to by musiało się opłacać. Za kremację liczę od kilograma, a teraz wszyscy oszaleli na punkcie tych małych szcurkowatych piesków. Nie wyszedłbym na swoje. Co by mi zostało po opłaceniu gazu, prądu, podatków i innych rachunków? Gdyby tylko ludzie hodowali w domach żyrafy albo słonie, to może byłbym bogaty. – Niedźwiedź potrząsnął butelką, wypił resztę soju i przeciągnął się. Wyglądał na znużonego. – To jak, powinienem je sprzedać?

– Co takiego?

– Przecież ci mówiłem. Śariry z pana Kima.

– Jak chcesz – odparł Reseng poirytowanym tonem. – Po co miałbyś je trzymać?

– Ten cały mnich zaproponował mi trzysta tysięcy wonów, ale mam wrażenie, że chce mnie orznać. Mimo wszystko to najprawdziwsze śariry, nawet jeżeli powstały z takiej kloaki jak ciało pana Kima.

– Potraktuj je tak, jakby naprawdę były święte.

– Powinienem podbić cenę do pięciuset tysięcy?

Reseng nie odpowiedział. Był zmęczony i nie miał ochoty na żarty. Odwrócił wzrok i tak długo w milczeniu wpatrywał się w ogień, aż Niedźwiedź pojął aluzję i sięgnął po kolejną butelkę

soju.

Z komina buchał biały dym. Ilekroć Reseng przywoził do krematorium czyjeś ciało, odnosił niedorzeczne wrażenie, że dusze tych niegdyś pełnych życia ludzi ulatują wraz z dymem. Taki los spotkał również wielu płatnych morderców. Spłonęli tutaj ci, którzy popełnili jakiś niewybaczalny błąd, dali się wytropić policji, byli już zbyt starzy albo zakwalifikowali się do likwidacji z nieznanym nikomu powodem. Wszyscy oni zakończyli swoją karierę w tym piecu.

Dla mocodawców byli jak jednorazowe baterie. Zresztą jaki jest pożytek z płatnego zabójcy, który się zestarzał? Ktoś taki przypomina wzbierający wrzód pełen niewygodnych informacji i dowodów. Jego usunięcie jest całkiem uzasadnione, jeśli dobrze się nad tym zastanowić. Zresztą po co przechowywać zużyte baterie?

W tym samym piecu spłonął Chu, najbliższy przyjaciel Resenga. Chu był starszy o osiem lat, ale łączyła ich wielka zażyłość. Po jego śmierci Reseng poczuł, że jego życie zaczyna się zmieniać. Dobrze znane rzeczy nagle stały się obce. Czuł się nieswojo, patrząc na sprzęty we własnym mieszkaniu, na samochód i fałszywe prawo jazdy, którym się posługiwał. Wszystko to następowało w zadziwiającym porządku. Kiedyś Reseng postanowił się dowiedzieć, kim był człowiek, którego dokumentami się posługiwał. Okazało się, że ten kochający ojciec trójki dzieci i sumienny rzemieślnik, jakim wszyscy go zapamiętali, przed ośmiu laty przepadł bez śladu. Może trafił na listę śmierci, a jego szczątki spoczywały zakopane w lesie albo w zalanej betonem beczce na dnie oceanu. A może nawet spłonął w piecu krematoryjnym Niedźwiedzia. Od ośmiu lat rodzina tego mężczyzny wciąż czekała na jego powrót. Kiedy Reseng siedział za kierownicą, za każdym razem nachodziła go myśl: „Oto jedzie trup”. Przyjmując tożsamość

nieżyjącego, stał się jak zombie i tylko w ten sposób potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego czuje się tak obco we własnym życiu.

Od śmierci Chu minęły dwa lata. Obaj byli płatnymi mordercami, ale w przeciwieństwie do Resenga jego przyjaciel nie należał do żadnej grupy, tylko przenosił się z miejsca na miejsce i wykonywał drobne zlecenia. Mafiozi wyznają pogląd, że najniebezpieczniejszym przeciwnikiem jest *pazzo*, czyli szaleniec. Człowiek, który nie ma nic do stracenia. Ktoś, kto nie oczekuje niczego od innych ani od siebie, kto zachowuje się w sposób przeczący zdrowemu rozsądkowi, kto skrycie wierzy w swoje wartości i uporczywie trzyma się zasad, które dla innych są nie do pomyślenia. Ktoś taki nie da się zastraszyć żadnej potęgą. Człowiekiem tego pokroju był Chu.

Za to bardzo łatwo można się rozprawić z przeciwnikiem, który został przyparty do muru i rozpaczliwie próbuje ocalić wszystko, co ma. Tacy ludzie najczęściej padali ofiarą likwidatorów. Wiadomo, jaki los ich spotykał. Tracili życie, bo do samego końca nie potrafili pogodzić się z faktem, że nie mogą zachować żadnej z rzeczy, których tak kurczowo się trzymają. Ale Chu był inny. Był żywym dowodem na to, że jeśli człowiek nie pragnie niczego, cały ten złowrogi świat ze swoją nieograniczoną władzą nie jest w stanie go powstrzymać.

Chociaż miał trudny charakter, swoją robotę wykonywał tak nienagannie, że Stary Jenot zazwyczaj powierzał mu co trudniejsze zadania. Zależało mu, żeby Chu został oficjalnym członkiem biblioteki.

– Nawet lew pada ofiarą dzikich psów, jeżeli nie obnosi się z dumą – przestrzegał go.

Chu zawsze uśmiechał się kpiąco i odpowiadał:

– Nie zamierzam żyć aż tak długo, żeby stać się kaleką tak jak

ty.

Chociaż nie był związany z żadną grupą, działał w branży od dwudziestu lat. Imponujący wynik jak na płatnego mordercę. Przyjmował każdą mokrą robotę – od polityków, od biznesmenów i od mętów z półświatka – i nie zadawał niepotrzebnych pytań. Ale pewnego dnia przed czterema laty coś w nim pękło jak sprężyna w zegarze. Nikt nie wiedział dlaczego, nawet sam Chu, który zwierzył się Resengowi, że nie ma pojęcia, co się stało. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zegar, który działał niezawodnie od dwudziestu lat, nagle przestał chodzić. W rezultacie Chu nie wykonał zadania. Niedoszła ofiara, którą postanowił oszczędzić, nie była kimś wyjątkowym, tylko jedną z wielu młodych prostytutek z wyższej półki. Wkrótce potem media ogłosiły wiadomość o samobójczej śmierci pewnego parlamentarzysty, za którym ciągnęły się oskarżenia o korupcję i uwiedzenie nastolatki. Trudno było uwierzyć, że taki zboczeniec i łapówkarz wyskoczył przez okno, żeby ratować swój honor, który od dawna sam skutecznie plamił. Każdy mocodawca, który oglądał telewizję, od razu pomyślał o Chu. A Chu na tym nie poprzestał. Postanowił również zlikwidować człowieka, od którego dostał zlecenie na tamtą prostytutkę. Nie zdołał go jednak wytropić. Nawet taki mistrz jak on tym razem okazał się bezsilny. Zresztą wtedy już sam był ścigany.

Należy dodać, że zabezpieczanie kryjówek i dróg szybkiego odwrotu zajmuje likwidatorom więcej czasu niż planowanie zamachów. Ich środowisko funkcjonuje jak jeden wielki kartel. Musieli pozbyć się Chu, ale nie z powodu urażonej dumy. W tej branży nikt się nie przejmuje takimi bzdurami jak duma. Musieli się go pozbyć, żeby nie stracić klientów. Ich świat, tak jak każda społeczność, kieruje się swoimi zasadami. Dzięki ściśle ustalonemu porządkowi, który obowiązuje w tym świecie, możliwe było



stworzenie rynku i świadczenie usług. Gdyby ten porządek upadł, rynek przestałby funkcjonować. Chu musiał o tym wiedzieć i w momencie, gdy postanowił oszczędzić tamtą kobietę, podpisał na siebie wyrok śmierci. Zaryzykował wszystko dla jednej nieszczęsnej prostytutki.

Niecałe dwa miesiące zajęło tropicielom ze Świńskiego Targu odnalezienie kobiety, której Chu darował życie. Ukrywała się w małym mieście portowym. Ta niegdyś ekskluzywna panienka do towarzystwa, która odwiedzała nadzianych klientów w czterogwiazdkowych hotelach, teraz sprzedawała się marynarzom w obskurnych norach. Gdyby nie wyściubiała nosa z czterech ścian, może znaleźliby ją trochę później, ale ona wyszła na ulicę i zaczęła wystawać pod latarnią. Prawdopodobnie brakowało jej pieniędzy. Ponieważ musiała szybko wyjechać z Seulu, nie zdążyła nawet spakować ubrań na zmianę i nie miała gdzie spać. Do tego była zima. Zimno i głód sprawiają, że ludzie tracą czujność w obliczu niewidzialnych zagrożeń. Może doszła do wniosku, że i tak czeka ją śmierć, więc wszystko jedno. Nie wiadomo, czy postąpiła aż tak głupio. Na pewno nie była zachwycona, kurwiąc się w tej miejscinie na obrzeżach cywilizacji i obciążając kutasy marynarzom za marne grosze. Ale musiała nabrać przekonania, że nie ma innego wyjścia. Wystarczyło spojrzeć na jej dłonie, żeby wszystko stało się jasne. Miała przepiękne dłonie o wysmukłych palcach i było wręcz niewyobrażalne, aby mogła nimi dokręcać śrubki, stojąc przy taśmie fabrycznej po dziesięć godzin dziennie, albo wybierać ostrygi w środku zimy. Gdyby pochodziła z dobrego domu, z takimi dłońmi zostałaby pianistką, ale jej dom rodzinny nie miał w sobie nic dobrego, dlatego kurwiła się od piętnastego roku życia.

Musiła zdawać sobie sprawę, że powrót na ulicę oznacza dla niej rychły koniec. Mimo to wróciła. Tak naprawdę nikt z nas nie umie porzucić miejsca, które zna najlepiej, bez względu na to, jak bardzo jest brudne i odrażające. Częściowo przyczynia się do tego brak pieniędzy i innych środków niezbędnych do przeżycia, ale nigdy nie ma decydującego znaczenia. Wracamy do swoich plugawych korzeni, ponieważ to dobrze nam znane plugastwo i łatwiej je znieść niż mierzyć się ze strachem i samotnością, których doświadczamy, kiedy los rzuca nas na głęboką wodę.

Stary Jenot wezwał Resenga, kiedy tylko przyszedł list. Siedział w swoim gabinecie za biurkiem i przeglądał zawartość koperty, w której, jak przypuszczał Reseng, znajdowało się zdjęcie kobiety, jej adres i rysopis, notatki na temat jej zwyczajów i upodobań oraz dane osób spokrewnionych z nią albo związanych w jakikolwiek sposób – słowem wszystkie informacje potrzebne do tego, by ją zabić. Zapewne list zawierał również wytyczne co do formy zamachu i metody pozbycia się zwłok.

– Nie wiem, czemu marnują na nią pieniądze – rzekł Stary Jenot i rzucił mu papiery, nawet na niego nie patrząc. – Podobno waży tylko trzydzieści osiem kilo. Skręć jej kark. To łatwizna, jak rozdeptanie żaby.

Reseng uniósł brwi. Czy rozdeptanie żaby to łatwizna? Wiedział, że jego patron ma w zwyczaju maskować zdenerwowanie cynicznymi żartami. Nie był pewien, czy doskwiera mu konieczność uśmiercenia tej filigranowej dziewczyny, czy boli go urażona duma, bo musiał przyjąć nieopłacalne zlecenie, choć obaj doskonale wiedzieli, że biblioteka musi z czegoś się utrzymywać.

Przejrzał plik kartek. Dziewczyna na zdjęciu przywodziła na myśl japońską piosenkarkę. Z informacji wynikało, że ma

dwadzieścia jeden lat, ale nie wyglądała na więcej niż piętnaście. Jeszcze nigdy nie zabił kobiety. Nie żeby przestrzegał jakiejś szczególnej zasady nakazującej darowanie życia kobietom i dzieciom; po prostu dotychczas nie nadarzyła mu się taka okazja. Reseng nie miał zasad. Brak zasad był jego jedyną zasadą.

– Co z ciałem? – zapytał.

– Oczywiście zawieź do Niedźwiedzia – odparł Stary Jenot z irytacją. – A co miałbyś zrobić? Zawiesić ją na bramie Gwanghwamun?

– Ona mieszka kawał drogi stąd. A jeśli trafię na kontrolę drogową, jak ją będę wiozł w bagażniku?

– To odstaw flaszkę i nie szarżuj. Wątpię, żeby jakiś gliniarz cię zatrzymał i prosił się o kulkę. Oni mają ciekawsze rzeczy do roboty.

Stary Jenot mówił tonem pełnym sarkazmu, który służył mu również do maskowania gniewu. Machnięciem dłoni dał Resengowi do zrozumienia, żeby się wynosił, a potem wstał, zdjął z półki jeden z tomów pierwszego wydania encyklopedii Brockausa, położył go na podstawce i zaczął czytać na głos, bełkotliwie wypowiadając słowa. Powtarzał hasło, które już czytał niedawno, a potem zamierzał je porównać z angielską wersją z *Encyklopedii Britanniki*. Gabinet wypełniła jego niezdarne niemczyzna, której samodzielnie się uczył. Reseng stał jeszcze chwilę przed swoim przybranym ojcem, choć ten nie zwracał już na niego uwagi, a potem otworzył drzwi i wyszedł z gabinetu.

– Rodowity Niemiec nie zrozumiałby ani słowa – mruknął pod nosem, kiedy znalazł się na korytarzu.

Stary Jenot dawno temu przestał zapełniać swoje półki książkami innymi niż encyklopedie i słowniki. Od co najmniej dziesięciu lat, o ile Reseng dobrze sobie przypominał, nie chciał czytać nic innego.

– Słowniki są wspaniałe – mówił. – Żadnych ckliwości ani gładzenia, żadnego moralizowania, a co najlepsze, żadnych napuszonych pierdół, które wciskają nam pisarze.

Miasteczko, w którym ukrywała się kobieta, było wyniszczone jak chore zwierzę. W czasach rozkwitu zaopatrywało japońską armię imperialną w amunicję, ale po wyzwoleniu zaczęło podupadać i nic nie wskazywało na to, aby jeszcze kiedykolwiek podźwignęło się z ruiny. Reseng wysiadł z autobusu i wszedł na parking dworcowy, gdzie zaczął wypatrywać samochodu o numerze rejestracyjnym zakończonym na 2847. Kiedy zobaczył stojącego na samym końcu musso, wyjął kluczyk z kieszeni, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik i na desce rozdzielczej zapaliła się kontrolka rezerwy paliwa.

– Sukinsyn – mruknął pod nosem, przeklinając nieznanego kooperanta, który zostawił mu samochód z pustym bakiem.

Wjechał na podziemny hotelowy parking. Zgodnie z instrukcją miał zaparkować na trzecim miejscu od schodów ewakuacyjnych, ale było już zajęte. Spojrzał na zegarek. Trzynasta dwadzieścia. Duży luksusowy sedan musiał tu stać od wczoraj albo jego właściciel jadł właśnie lunch z kochanką. Nie mając wyboru, Reseng zaparkował w kącie, potem wysiadł i otworzył bagażnik. Zanim wyjął z niego wielką torbę sportową i worek na zwłoki, omiótł wzrokiem ściany i sufit. W tak podrzędnym i starym hotelu nie powinno być kamer, ale wolał się upewnić.

Zegar na ścianie za ladą recepcji, w której zgodnie z informacją zawartą w liście nikogo nie było, pokazywał trzynastą dwadzieścia osiem. Reseng wyjął z przegródki klucz do pokoju trzysta trzy i ruszył na górę po schodach. Zanim otworzył drzwi, założył czarne skórzane rękawiczki.

Wnętrze pokoju świadczyło niezbicie, że czasy jego świetności dawno minęły. Łóżko przykryto narzutą, której nikt nie prał od lat, a na półce stało pół rolki papieru toaletowego, metalowa popielniczka i stare pudełko zapalek. Pokrywająca ściany tapeta była tak wyblakła, że nie dało się odgadnąć jej dawnego koloru. W oknie tkwił co najmniej trzydziestoletni klimatyzator, który kształtem przypominał przedpotopowe radio i sprawiał wrażenie, jakby po naciśnięciu przełącznika mógł wydzielać coś ohydneho. Między materacem a ramą łóżka leżała zużyta prezerwatywa, a przylepiony do niej pojedynczy włos łonowy mógł należeć zarówno do mężczyzny, jak i do kobiety. Światło jarzeniówki z trudem przebijało się przez grubą warstwę kurzu pokrywającą klosz, w którym leżały dziesiątki martwych owadów. Wnętrze pokoju wyglądało jak sceneria czarno-białego filmu z lat trzydziestych.

– Ale dołączający widok – mruknął Reseng, kładąc na podłodze sportową torbę i czarną walizeczkę, z którą przyjechał z Seulu.

Usiadł na łóżku, które było tak brudne, że nieomal słyszał, jak miliony zarazków wydają radosne okrzyki, wyruszając na żer. Włożył papierosa do ust i sięgnął po ośmiokątne pudełko zapalek leżące na półce. Nie wiedziałem, że jeszcze takie robią, pomyślał. Dokładnie o czternastej wybrał numer telefonu, który dostał wraz z innymi informacjami.

– Jestem na miejscu. Pokój trzysta trzy.

Mężczyzna, który odebrał telefon, milczał przez kilka długich sekund i ze słuchawki dochodził tylko nieprzyjemny odgłos jego oddechu, a potem rozległ się ciągły sygnał.

– Co za kutas.

Reseng otworzył okno i zapalając kolejnego papierosa, spojrzął na labirynt wąskich uliczek, które wiły się za budynkiem dworca

kolejowego. O tej porze w dzielnicy rozpusty panował spokój.

Kobieta zjawiała się dopiero po dwóch godzinach. Gdy tylko weszła do pokoju, obdarzyła Resenga obojętnym spojrzeniem i rzuciła mu zdawkowe „cześć” na powitanie. Zachowywała się w nonszalancki sposób, typowy dla kobiet, które zdają sobie sprawę ze swojej urody – oj, mogłaby zawrócić w głowie niejednemu mężczyźnie. Miała jędrne filigranowe ciało, a jej twarz o delikatnych rysach dziecka wyrażała coś trudnego do uchwycenia, ledwie dostrzegalny posepny cień. Patrząc na nią, Reseng przypomniał sobie zdjęcie z kalendarza, które przedstawiało zwiędły liść żeń-szenia.

– Rozbierz się – powiedziała.

Zrzuciła z siebie ubranie. W niespełna pięć sekund pozbyła się sukienki i bielizny i stanęła naga przed Resengiem, który gapił się na jej urzekająco delikatną skórę. Nienaturalnie duże piersi w połączeniu ze szczupłą sylwetką kojarzyły mu się z japońskimi komiksami porno.

Nie miał pojęcia, co wydarzyło się w pokoju hotelowym tamtego parlamentarzysty, ale wątpił, by ta dziewczyna miała coś wspólnego z jego śmiercią. Jej jedyna zbrodnia polegała na tym, że ssła obłe zwiotczące fiuty podstarzałych prominentów, którzy mieli słabość do nieletnich panienek. I na pewno nie zarabiała na tym wiele. Klienci obsypywali ją pieniędzmi, ale lwią część musiała oddać alfonsowi. Po prostu miała pecha. Ale w ostatecznym rozrachunku pech jest tylko jednym z elementów życia.

– Nie rozbierzesz się? – spytała.

Reseng nie odpowiedział. Wciąż na nią patrzył.

– Lepiej się pośpiesz – dodała wyraźnie poirytowana. – Inni też czekają.

Była arogancka jak zwykle, chociaż jej głos przybrał zręczliwy ton. Nie odrywając od niej oczu, Reseng powoli wsunął rękę pod skórzaną kurtkę. Zastanawiał się, czy użyć pistoletu, czy noża. Nie był pewien, czego dziewczyna bardziej się wystraszy, a nie chciał, żeby zaczęła krzyczeć albo rzuciła się do panicznej ucieczki. Większość ludzi bardziej boi się noży niż broni palnej. Uważał to za niedorzeczne, ale przecież strach nie jest racjonalny. Zdecydował się na pistolet, ale nim zdążył go wyjąć, twarz kobiety stężała.

– Mogę się z powrotem ubrać? – odezwała się drżącym głosem.

– Po co?

– Nie chcę umierać nago.

Ich spojrzenia się spotkały. W oczach młodej prostytutki nie było śladu gniewu ani nienawiści. Jej wypalone puste spojrzenie zdawało się mówić, że jest już zmęczona odczuwaniem strachu i nie ma ochoty dłużej oglądać tego świata, który poznała aż nazbyt dobrze w swoim krótkim życiu.

– Nie umrzesz nago – powiedział Reseng, a gdy kobieta wciąż stała nieruchomo, dodał łagodniejszym tonem: – Proszę, ubierz się.

Podniosła swoją garderobę z podłogi i drżącymi rękami założyła maleńkie figi z Myszka Mickey. Kiedy była już ubrana, Reseng chwycił ją za rękę i posadził na łóżku, a potem zamknął drzwi na klucz. Kobieta wyjęła z torebki paczkę Virginia Slim i próbowała zapalić papierosa, ale roztrzęsione dłonie odmawiały jej posłuszeństwa. Reseng sięgnął do kieszeni i wyciągnął do niej rękę z płonąca zippo. Podziękowała mu lekkim skinieniem głowy, zaciągnęła się głęboko i wypuściła kłęb dymu, wydając przy tym przeciągłe westchnienie. Bardzo się starała zachować spokój, jakby przygotowywała się specjalnie na ten moment, ale jej drobne ramiona już zaczynały dygotać.

– Czy mógłbyś to zrobić tak, żeby mnie nie oszpecić? – zapytała

cicho. – Nie chcę być pokancerowana.

Nie błagała o litość. Zależało jej tylko, by umrzeć bez ran i siniaków. Nagle Reseng pomyślał o swoim przyjacielu. Czy ta kobieta miała w sobie coś, co sprawiło, że niezawodny zegar Chu przestał działać? Czy ogarnęło go współczucie na widok jej wątego ciała? A może za bardzo przypominała mu dziewczynę z japońskiego porno? Nie. To byłoby niepoważne. Chu nie należał do tych, którzy są gotowi spać sobie życie w porywie taniego sentymentalizmu.

– Nie chcesz być pokancerowana...

Reseng powtórzył wolno jej słowa. Zauważył w oczach kobiety błysk niepokoju. Nie mógł pojąć, że perspektywa oszpeceń przeraża ją bardziej niż śmierć. Opuścił głowę i wbił wzrok w podłogę.

– Nie będziesz miała żadnych śladów – dodał, starając się zachować spokojny ton.

Kiedy znów na nią spojrział, miała przerażoną minę. Najwyraźniej dotarło do niej, jakie jest przeznaczenie wielkiej sportowej torby, którą zauważyła w kącie. Musiała to sobie wyobrazić, bo całe jej ciało zaczęło dygotać.

– Włożysz mnie do tego?

Jej głos drżał nerwowo, ale zdołała wypowiedzieć całe pytanie bez zająknięcia.

Reseng przytaknął skinieniem głowy.

– Dokąd mnie zabierzesz? Porzucisz moje ciało na śmietniku czy zakopiesz w lesie?

Przez chwilę Reseng zastanawiał się, czy naprawdę musi jej odpowiadać. Nie musiał. Wiedział jednak, że nic to nie zmieni, jeśli jej powie.



– Nie skończysz w lesie ani na wysypisku. Zostaniesz spalona w piecu krematoryjnym, aczkolwiek całkiem nieoficjalnie.

– Więc nikt się nie dowie, że nie żyję. Nie będzie pogrzebu.

Reseng znów przytaknęła.

Kobieta zalała się łzami. Potrafiła jakoś pogodzić się z losem, a jednak ta ostatnia wiadomość ją załamała. Czemu tak bardzo zaprzętała sobie głowę tym, co się stanie z jej ciałem? Wydawała się bardziej przejęta swoim wyglądem po śmierci niż samą śmiercią. Dziwne zmartwienie jak na kogoś w jej wieku.

Zacisnęła zęby i otarła łzy wierzchem dłoni, a potem popatrzyła w oczy człowiekowi, który miał pozbawić ją życia. Jej spojrzenie mówiło, że nie zamierza błagać o litość ani dłużej płakać z powodu kogoś takiego jak on.

– W jaki sposób mnie zabijesz?

Zaskoczyła go. Reseng przepracował w tym zawodzie piętnaście lat, ale jeszcze nigdy nie usłyszał takiego pytania.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak – odparła stanowczo.

Zgodnie z instrukcją miał jej skrócić kark. Łatwizna w przypadku kobiety, która waży zaledwie trzydzieści osiem kilo i prawdopodobnie nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie to szybkie i bezbolesne. O ile nie będzie próbowała się bronić. Podczas szamotaniny mógłby ją oszpecić, gdyby złamane kręgi przebiły się przez skórę, albo zmiażdżyć jej krtań, skazując ją na powolną agonię.

– Jak chciałabyś umrzeć?

Reseng poczuł się jak idiota, gdy tylko wypowiedział te słowa. Co to w ogóle za pytanie? Jego ofiara miałaby sobie wybrać rodzaj śmierci? To zabrzmiało tak, jakby był kelnerem i pytał ją o sposób

przyrządzenia steku. Kobieta opuściła głowę i zamyśliła się. Wyraz jej twarzy zdradzał, że nie zastanawia się teraz nad wyborem, a tylko zatwierdza decyzję, którą już podjęła.

– Mam truciznę – powiedziała.

Dopiero po chwili Reseng zrozumiał, o co jej chodzi. A więc myślała o samobójstwie. Postanowiła rozstać się z życiem za pomocą trucizny. Nie był tym zaskoczony. Według statystyk mężczyźni najczęściej strzelali sobie w głowę albo skakali z wysoka, podczas gdy kobiety wołały przedawkowanie środków usypiających albo strychnięk. Zazwyczaj wybierały taką śmierć, po której ciało nie było zmasakrowane. Jednak wbrew ich wyobrażeniom łatwo dostępne trucizny, jak pestycydy albo kwas solny, powodują bardzo powolną śmierć w męczarniach i często okazują się nieskuteczne.

– Przynajmniej tyle mógłbyś dla mnie zrobić – dodała, patrząc na niego błagalnie.

Reseng odwrócił wzrok, żeby uniknąć jej spojrzenia. Miał po prostu skrócić jej kark, wepchnąć ciało do torby i zawieźć do krematorium Niedźwiedzia. Takie było jego zadanie. Patronom bardzo się nie podobało, kiedy podrzędni zabójcy wykazywali się inicjatywą zamiast wypełniać skrupulatnie ich polecenia. Nie chodziło o prestiż. Problem polegał na tym, że kiedy zmieniał się plan, pozostali ludzie zaangażowani w przedsięwzięcie powinni o tym wiedzieć, w przeciwnym razie ich działania nie były skoordynowane. Gdyby na miejscu zbrodni pozostał jakiś obciążający dowód, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, ktoś inny musiałby zginąć, żeby zatuszować całą sprawę. Czasami był to ktoś, kto popełnił ten pierwszy błąd. Dlatego zmiana ustalonego planu nie była drobnym wykroczeniem i mogła oznaczać wyrok śmierci.

Reseng spojrział na młodą prostytutkę, która wciąż patrzyła na niego, a jej oczy wyrażały niemą prośbę – nie o darowanie życia, ale o tę jedną jedyną ostatnią przysługę. Czy mógł się zgodzić? Czy powinien? Zmarszczył czoło w zadumie.

Ślady trucizny, gdyby ją zażyła, można wykryć nawet w prochach po skremowaniu ciała. A gdyby na jego ubraniu albo w samochodzie znaleziono DNA tej kobiety, a w jej prochach pozostałości trucizny, stanowiłoby to całkiem przekonujący dowód przestępstwa. Ale takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach, a w życiu należą do rzadkości. Mocodawcy nie są perfekcjonistami; w rzeczywistości to banda idiotów. Skręcenie karku czy trucizna – co za różnica? Ciało tak czy inaczej zostanie spalone, a prochy trafią do rzeki.

– Co masz? – zapytał.

Kobieta wyjęła z torebki foliowy woreczek i po krótkim wahaniu podała mu go na wyciągniętej dłoni. Reseng potrząsnął nim delikatnie i obejrzał pod światło. W środku znajdował się biały proszek.

– Cyjanek? – zapytał, a ona przytaknęła, nie odrywając od niego wzroku. – Wiesz, jak to działa?

Przechyliła głowę, jak gdyby nie zrozumiała pytania.

– Wiem, że po połknięciu się umiera – odpowiedziała prowokacyjnym tonem, przez który przebijało zniecierpliwienie. – Co jeszcze muszę wiedzieć?

– Skąd to wzięłaś?

– Ukradłam koleżance, która zamierzała się zabić.

Na twarzy Resenga pojawił się uśmiech. Mógł wyglądać szyderczo, ale tak naprawdę więcej w nim było współczucia. Jego usta zawsze wykrzywiały się w uśmiechu, kiedy nie wiedział, co

powiedzieć.

– Jeśli ta twoja koleżanka kupiła to przez internet albo od jakiegoś dilerka, istnieje spore prawdopodobieństwo, że ją oszukano. I jeśli to fałszywka, masz poważny problem. A nawet jeśli nie, to śmierć przez zatrucie cyjankiem wcale nie jest tak romantyczna, jak ci się wydaje. Nie nastąpi w ciągu kilku sekund. Pewnie myślałaś, że umrzesz natychmiast jak ci wszyscy filmowi szpiedzy, ale oni rozgryzają kapsułki z płynnym cyjankiem, a ten jest w stanie stałym.

Reseng odrzucił pogardliwie woreczek, jakby to był niedopałek. Dziewczyna poderwała się z łóżka, żeby podnieść z podłogi swój bezcenny skarb.

– A więc to mnie nie zabije? – zapytała, unosząc wzrok.

– Dwieście pięćdziesiąt miligramów to dla większości ludzi zabójcza dawka. Ale śmierć jest niezwykle bolesna. Mięśnie tężeją, czujesz palenie w gardle, twoje narządy wewnętrzne się topią i konasz w męczarniach przez długie minuty, a nawet godziny, dopóki się nie udusisz. Niektórzy umierają bardzo długo albo nawet przeżywają. A co gorsza, twoje ciało po wszystkim nie będzie wyglądało zbyt pięknie.

Kobieta zgarbiła się, a na jej twarzy pojawiła się rozpacz. Odwróciła się do okna. Już nie płakała, a nawet przestała dygotać i tylko wpatrywała się w niebo tępym wzrokiem. Reseng spojrzął na zegarek. Było wpół do piątej. Wiedział, że musi opuścić to miejsce, zanim się ściemni. Po zachodzie słońca kręte zaułki w dzielnicy rozpusty wypełnią się prostytutkami o świeżo umalowanych twarzach i ich klientami, którym w głowach szumi alkohol i pożądanie.

– Na twoje szczęście mam coś idealnego – powiedział Reseng, sięgając do walizeczki. Kobieta odwróciła wzrok w jego stronę. –

Kwas barbiturowy. W przeciwieństwie do cyjanku albo trutki na szczury działa bezboleśnie i po śmierci nie będziesz oszpecona. Poczujesz się tak, jakbyś zasypiała. Wynałazł go w dziewiętnastym wieku niemiecki chemik Adolf von Bayer, który prowadził badania nad pigułkami nasennymi. Nadał mu nazwę na cześć swojej przyjaciółki Barbary. Kwas barbiturowy wciąż znajduje zastosowanie jako środek uspokajający pod postacią takich leków jak barbital i luminal. Wykorzystuje się go również w hipnozie, a nawet ma właściwości halucynogenne. To substancja, która na całym świecie służy do przeprowadzania eutanazji.

Kiedy zawiesił głos, kobieta skinęła głową, choć na jego rozwlekły wywód zareagowała pełną zniecierpliwienia miną.

– Dam ci ten środek, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie – dodał. – I wtedy będziesz mogła odejść bezboleśnie.

Młoda prostytutka znów skinęła potakująco głową.

– Pamiętasz wysokiego mężczyznę, który miał cię zabić?

– Tak.

– Dlaczego darował ci życie?

Przyciskając dłoń do czoła, kobieta poruszyła się na łóżku. Kiedy próbowała sobie przypomnieć tamten dzień, wyraz jej twarzy oscyłował między zdumieniem a zgrozą.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Gapił się na mnie prawie przez pół godziny, a potem sobie poszedł.

– I to wszystko?

– Tak. Tylko siedział i patrzył.

– Nic nie mówił?

– Kazał mi unikać miejsc, w których zwykle przebywam. „Nie wracaj tam – powiedział – a może uda ci się przeżyć, jeśli będziesz

miała dużo szczęścia”. Właśnie to mi powiedział.

Reseng skwitował jej słowa skinieniem głowy.

– Czy on nie żyje? – spytała dziewczyna.

– Żyje, ale prawdopodobnie niewiele czasu mu zostało. Jeśli ktoś trafia na listę, jego dni są policzone.

– Zginie przeze mnie?

– Prawdopodobnie tak. Ale nie tylko przez ciebie.

Reseng znów rzucił okiem na zegarek i posłał kobiecie wymowne spojrzenie, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Przyglądała mu się w milczeniu, kiedy otworzył neseserek, z którego wyjął fiolkę z pigułkami i butelkę jacka daniel’sa.

– Jeśli spalisz mnie potajemnie, nikt się nie dowie o mojej śmierci, tak? Moja matka do końca życia będzie czekała na mój powrót.

Rozpląkała się. Całe szczęście, że nie zawodzi wniebogłosy, pomyślał z ulgą Reseng i odłożył otwartą fiolkę. Czekaając, aż kobieta się uspokoi, zastanawiał się, czy właśnie takie ciche pochlipywanie doprowadziło Chu do zmiany decyzji. Po pięciu minutach położył dłoń na jej ramieniu. Chciał jej powiedzieć, że nie mogą już dłużej zwlekać, ale ze złością odepchnęła jego rękę.

– Mogę napisać list do mojej matki? – zapytała i widząc jego zbolaną minę, dodała: – Nie ma znaczenia, czy kiedykolwiek go dostanie.

W jej oczach wciąż lśniły łzy. Gdy Reseng znów spojrzął na zegarek i przyzwalająco kiwnął głową, wyjęła z torebki długopis i mały notesik. Otworzyła go i zaczęła pisać.

Droga mamo!

Przepraszam cię. Przepraszam również tatę, który już poszedł do nieba. Chciałam odłożyć trochę pieniędzy i iść do szkoły, a potem wyjść za mąż, ale mi nie wyszło. Przykro mi, że umieram przed tobą. Nie martw się o mnie. Czeka mnie łagodna śmierć. Zresztą ten świat i tak jest do niczego.

Na słowo „nieba” skapnęła łza, rozmazując tusz. Młoda kobieta podpisała list, po czym wyrwała kartkę i wręczyła ją swojemu zabójcy.

– Ładny charakter pisma – zauważył Reseng.

Zreflektował się od razu, jakie palnął głupstwo. Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Kiedy dziewczyna schowała notesik i zanurzyła dłoń w torebce, pomyślał, że szuka chusteczki, żeby otrzeć łzy, ona jednak ku jego zaskoczeniu wyjęła puderniczkę. Znów spojrzała na niego, dając mu do zrozumienia, że potrzebuje jeszcze chwilę. Ponaglił ją gestem dłoni, a potem przez dziesięć minut stał z uniesionymi brwiami i przyglądał się, jak poprawia makijaż. Przejaw próżności w takiej sytuacji był dla niego niepojęty. Gdy wreszcie skończyła, schowała puderniczkę, a trzask zamykanej torebki wydał się nienaturalnie głośny.

– Będiesz przy mnie, dopóki nie umrę? – zapytała z uśmiechem. – Trochę się boję.

Reseng przytaknął i podał jej tabletki na wyciągniętej dłoni. Przyglądała się im przez chwilę, a potem połknęła je i popiła whisky, której nalał jej do szklanki. Odepchnęła jego rękę, kiedy chciał ją położyć, i wyciągnęła się na łóżku bez jego pomocy. Splotła dłonie na piersi i wlepiła wzrok w sufit. Wkrótce potem zaczęły się halucynacje.

– Widzę czerwony wiatr. I niebieskiego lwa. A tuż obok niego stoi śliczny tęczowy niedźwiedź polarny. Czy to jest niebo?

– Tak, to na pewno niebo. Wkrótce tam trafisz.

– Dzięki, że tak sądzisz. Za to ty skończysz w piekle.

– W takim razie chyba już się nigdy nie spotkamy. Bo ty na pewno pójdziesz do nieba, a ja do piekła.

Dziewczyna zaśmiała się cicho, a po jej twarzy pociekła łza.

Chu przeżył ją o dwa lata.

Był dla patronów solą w oku, ale taki szczwany lis jak on długo wymykał się uporczywej i gorączkowej pogoni. Podążając jego tropem, tropiciele i zabójcy byli zbyt zaślepieni perspektywą nagrody, żeby zachować ostrożność, a pogłoski o ich porażkach, przeinaczone i wyolbrzymione, przez jakiś czas dostarczały uciechy bywalcom półświatka. Reseng nie był tym zaskoczony. Żaden z tych podstarzałych łowców nagród i trzeciorzędnych cyngli, dla których największym wyzwaniem było wyłapywanie zbiegłych prostytutek, nie mógł się równać z Chu. Ale pozostawało tajemnicą, które z plotek krążących po Świńskim Targu niczym unoszone wiatrem bańki mydlane są prawdziwe. Większość zabójców i tropicieli, którzy przypłacili życiem polowanie na Chu, nigdy się nie odnalazła. Tak czy inaczej, nikomu nie udało się go dopaść, więc niewykluczone, że w tym, co powtarzali ludzie, było ziarno prawdy.

Mniej więcej po roku, odkąd zaczął się ukrywać, Chu przeszedł do ofensywy. Wytropił i zabił kilku patronów, a także paru zabójców i pośredników. Pewnego dnia zdemolował biuro jednego z nich. Jednak ludzie, którym dobrał się do skóry, nie mieli nic wspólnego z jego kontraktem na prostytutkę. Bliżej im było do amatorów, podrzędnych cyngli, którym zleca się jednorazowe fuchy. Nikt nie rozumiał, dlaczego Chu wybrał akurat ich. Tak naprawdę nie miał szans nawet zbliżyć się do osób, które rzeczywiście pociągały za sznurki.

Kiedy Chu wtargnął do biura i wykradł dokumentację, z której



nie mógł mieć żadnego pożytku, w bibliotece Starego Jenota zjawiało się kilku mężczyzn. Jednym z nich był Hanja. Chociaż wyglądał jak szef zwykłej agencji ochrony, prowadził firmę najemniczą, zarabiając nie tylko na współpracy z agencjami rządowymi i korporacjami, ale również na szemranych zleceniach. Klientów ze Świńskiego Targu uważał za pospolitych gangsterów, zatem fakt, że zgodził się na spotkanie z nimi, świadczył o tym, jak bardzo Chu zalażł wszystkim za skórę.

Hanja siedział na kanapie i miał taką minę, jakby wdepnął w coś śmierdzącego. Kiedy Stary Jenot zasiadł na swoim miejscu, czarnorynkowi kontrahenci zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Już tego nie ogarniam. O co, kurwa, chodzi temu Chu? Musimy się dowiedzieć, czego chce, jeśli mamy go udobruchać albo wywabić z nory i wykończyć. Tak czy inaczej, zrobmy coś, do jasnej cholery.

– Jestem tego samego zdania. Tylko czemu ten wariat się nie odzywa? Ktoś mu język wyrwał czy co? Jeśli chodzi o pieniądze albo urażoną dumę, powinien to powiedzieć. Jeśli jest wściekły, to niech powie, że jest wściekły, zamiast wszystko rozwalać w drobny mak. Nie może tak milczeć.

– Jego wybryki kosztują mnie majątek. Zabił już trzech moich ludzi, ale na tym nie koniec problemów. Musiałem zapłacić za usunięcie ich ciał. Ja pierdołę, tylko Niedźwiedź na tym korzysta. Ale dlaczego Chu wziął się na mnie? Jest tu wielu gorszych niż ja.

– Patrzyłeś ostatnio w lustro? Kto może być gorszy od ciebie?

– Hej, czy któryś z was wystawił mu weksel? Trzeba płacić gotówką. Gotówką! Chu nie cierpi weksli.

Stary Jenot słuchał swoich gości z rozbawioną miną. Dopisywał mu humor, co było o tyle niezrozumiałe, że w każdej chwili mógł zjawić się Chu i wbić mu nóż pod żebro.

– Uczeni w czasach dynastii Joseon powiadali, że nie sposób przewidzieć, w którą stronę skoczy żaba albo co zrobi książę Heungseon – rzekł z uśmiechem. – To samo mogliby powiedzieć o naszym obecnym problemie.

– Jak myślisz, czego on może chcieć? – zapytał Choi Rzeźnik.

Choi zatrudniał nielegalnych chińskich imigrantów koreańskiego pochodzenia jako tanią siłę roboczą.

– Skąd mam wiedzieć, co temu szaleńcowi strzeliło do głowy? Może chce poderznąć mi gardło? Albo tobie?

– Wyznaczmy nagrodę – przemówił wreszcie Hanja, który dotąd siedział cicho w kącie. – Dla każdego, kto pomoże nam go znaleźć. To zmobilizuje ludzi. Detektywom też będzie trzeba coś odpalić.

– Pieniądze? – odezwał się Choi. – Wszyscy składamy się po równo?

– Jeszcze czego! – obruszył się Minari Pak, któremu Chu zdewastował biuro. – Niektórzy spośród tu obecnych angażują się o wiele bardziej niż inni, więc czemu mieliby płacić tyle samo? Cały ten bałagan w moim biurze też mnie sporo kosztuje.

Hanja uciszył ich, wypowiadając tylko dwa słowa:

– Ja zapłacę.

Nie chciał się popisywać. Zależało mu tylko, by zakończyć spotkanie. Pozostali uczestnicy wyglądali na rozdrażnionych jego pewnością siebie, ale wyraźnie odetchnęli z ulgą.

– Przysłowie głosi, że hojność rodzi się w pełnej spiżarni – powiedział Stary Jenot z wyraźną nutą sarkazmu w głosie. – Bez wątplenia odnosi się to do naszego wspaniałomyślnego i zamożnego przyjaciela.

Hanja uśmiechnął się do niego szeroko.

– Cóż mogę powiedzieć? W przeciwieństwie do was nie jestem grymaśny. Jeśli powierzacie mi jakieś zadanie, wykonuję je. Pracuję ciężko, uczciwie i bez gadania.

Jak na ironię upadek dyktatury wojskowej i powrót do demokratycznych rządów spowodowały ogromny wzrost koniunktury w branży zabójstw na zlecenie. W czasach junty przeprowadzaniem tajnych operacji tego rodzaju zajmowało się wąskie grono zabójców, których szkolił rząd albo wojsko, ewentualnie doświadczeni i godni zaufania przestępcy. Jednak popyt był zbyt mały, by w ogóle mówić o rynku takich usług. Tylko nieliczni wiedzieli o tym środowisku i obracali się w nim, a pracy nigdy nie było zbyt wiele. Wojsko przeważnie nie interesowało się usługami likwidatorów. Każdego, kto sprawiał problemy w tamtych spokojnych i nieskomplikowanych czasach, wystarczyło wciągnąć do jeepa na oczach rodziny, potrzymać w celi i odesłać skatowanego do domu, a nikt nawet się nie skrzywił. Po co było zawracać sobie głowę specjalistami od mokrej roboty?

Dopiero nowe rządy administracji cywilnej wyłanianej w drodze demokratycznych wyborów, która zabiegała o pozory moralności, zaczęły napędzać ruch w interesie. Może politycy myśleli, że zdołają ogłupić społeczeństwo, głosząc hasła: „My nie z armii, więc nie ma problemu”. W gruncie rzeczy każda władza jest taka sama, bez względu na to, jak wygląda z wierzchu. Jak powiedział kiedyś Deng Xiaoping, nie ma znaczenia, czy kot jest czarny, czy biały, byle łowił myszy. Problem polegał na tym, że nowy demokratyczny rząd nie mógł sobie pozwolić na przetrącanie kości krzykaczom z opozycji w kazamatach złowrogiego gmachu na górze Namsan. Dlatego żeby nie przyciągać uwagi społeczeństwa i mediów, żeby nie ujawniać własnych mechanizmów działania i żeby uniknąć przyszłej odpowiedzialności, politycy nawiązali potajemną współpracę z przestępczym podziemiem. I tak oto zaczęła się epoka

zewnątrznych podwykonawców – prostszy i tańszy sposób niż samodzielne rozwiązywanie problemu. A co najważniejsze, odpadała konieczność sprzątnięcia po sobie. W tych sporadycznych przypadkach, gdy zabójstwa nie udawało się zatuszować, rząd miał czyste ręce. Kiedy likwidatorów wyprowadzano w kajdankach z sali rozpraw, musieli tylko udawać zszokowanych przed kamerami i mówić coś w rodzaju: „Jaka straszliwa tragedia!”.

W branży zapanowało prawdziwe ożywienie, kiedy w ślad za rządem poszły korporacje. Biznesmeni napędzali jeszcze większe obroty niż politycy, a do klientów należały zarówno osoby publiczne, jak i prywatne. W miarę jak rósł popyt, zaczęły się mnożyć mniej znane firmy, a na rynku zaroilo się od spalonych cyngli, gangsterów, emerytowanych wojskowych i byłych gliniarzy z wydziału zabójstw, którzy mieli dość tyrania za marne grosze. Hanja niczym aligator czaił się tuż pod powierzchnią i obserwował teren, czekając na dogodny moment. Podczas gdy Stary Jenot, który nie potrafił wyciągać korzyści z przemian, powoli wypadał z obiegu, ten elegancik po studiach menedżerskich na Stanfordzie potajemnie kompletował własną ekipę likwidatorów i najemników pod przykrywką całkowicie legalnej agencji ochrony.

Zasady rządzące rynkiem nie zmieniły się od chwili, kiedy weszły w życie. Górą był ten, kto oferował lepsze usługi za niższą cenę, i Hanja o tym wiedział. Stary Jenot zamknął się w swojej bibliotece, gdzie czytał encyklopedie i wspominał dobrodziejstwa, które spadały mu z nieba w czasach dyktatury, a trzeciorzędni cyngle z półświatka byli zbyt zaślepieni chciwością, by należycie przykładać się do roboty, i kończyli za kratkami. Tymczasem Hanja tworzył nowoczesną sieć urzędników i biznesmenów, pozyskiwał ekspertów ze wszystkich dziedzin i zatrudniał najlepszych likwidatorów. Zamienił ten niegdyś trudny do ogarnięcia chaotyczny rynek w schludny i praktyczny supermarket. Można by

się wręcz spodziewać, że klientów witają piękne hostessy, które pytają z uśmiechem: „Kogo dziś możemy dla pana zabić?”. Bez względu na to, jak wielki smród robili inni likwidatorzy, teraz to Hanja pociągał za sznurki.

Podczas długiego i nudnego posiedzenia nie zapadła żadna decyzja oprócz tej o nagrodzie. Była to nie tyle narada, ile zbiorowe utyskiwanie na Chu. Reseng wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić. Zaciągając się dymem, zauważył, że podchodzi do niego Hanja. Wyciągnął w jego stronę otwartą paczkę papierosów.

– Rzuciłem palenie. Mam już dosyć wszystkiego, co śmierdzi – powiedział patron i z kieszeni marynarki wyjął pozłacany wizytownik. – Zadzwoń do mnie, to może kiedyś zjemy razem kolację. W końcu jesteśmy rodziną.

Reseng przyglądał się przez chwilę jego długim bladym palcom, zanim wziął wizytówkę. Zastanawiał się, dlaczego Hanja, który już nie wrócił na spotkanie i właśnie udał się w swoją stronę, wspomniał o rodzinie. Przecież nie byli spokrewnieni. Łączyło ich jedynie to, że obaj dorastali w bibliotece Starego Jenota, chociaż nie wychowywali się razem. Kiedy Reseng trafił do biblioteki, Hanja studiował w Ameryce.

Chu ciągle pozostawał nieuchwytny mimo nagrody za jego głowę. Pojawiły się kolejne plotki, które niczym spadające jesienne liście na krótko przyciągały uwagę i szybko odchodziły w zapomnienie. Stary Jenot odmówił udziału w polowaniu i całe dni spędzał w gabinecie, studiując encyklopedie. Dlatego Reseng też siedział beczynn timer. Już sama perspektywa pojedynku z kimś takim jak Chu była dla niego nie do pomyślenia. Wciąż prześladowały go koszmarne sny, w których przypadkowo natykał się na niego. Zawsze trząsł się ze strachu w głębi wąskiej ślepej

uliczki, a Chu, bezwzględny morderca, stał na drugim końcu i odcinał mu drogę ucieczki. Wiedział, że nie może się z nim mierzyć, ani w snach, ani na jawie. Pokonać Chu mógł tylko ktoś, kto zaszedłby go od tyłu i wbił mu nóż w plecy jak ten durny książe Parys.

Tego lata padało bez przerwy. Ludzie żartowali, że front monsunowy zatrzymał się na samym środku półwyspu i zalał się w sztok. Jak zawsze podczas zastoju w interesach Reseng zaczynał dzień od puszki piwa, słuchał muzyki, gapił się przez okno i bawił się z kotami. Kiedy Stołek i Lampa zasypiały wtulone w siebie, kładł się na łóżku z książką. Czytał o świetności i upadku imperium rzymskiego albo o walecznych spadkobiercach Dżyngis-chana, którzy niegdyś wędrowali swobodnie po stepie, a kiedy osiedlili się za murami twierdz, nastąpił gwałtowny schyłek ich potęgi. Czytał również o historii kawy, syfilisu albo maszyny do pisania. Kiedy zaczynało go nudzić przewracanie rozmiękłych od wilgotnego powietrza kartek, rzucał książkę, po czym wypijał kolejne piwo i zasypiał. Jeszcze jedno zwyczajne lato.

Podczas ulewy w ostatni dzień września Reseng usłyszał pukanie. Kiedy otworzył drzwi, jego oczom ukazał się Chu przemoknięty do suchej nitki. Był tak wysoki, że krople deszczu spadające z daszka jego czapki zdawały się jeszcze przez chwilę wisieć w powietrzu. Miał duży plecak z przytroczonym śpiworem, a w ręku trzymał reklamówkę, w której pobrząkiwały butelki.

– Muszę się z tobą napić – oświadczył. – To kolejny punkt na mojej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

– Wchodź.

Chu przestąpił próg i zdjął czapkę. Znacząco stracił na wadze.

Zawsze był szczupły, ale teraz wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą. Gdy postawił plecak na podłodze, Stołek i Lampa wystraszone nadejściem ociekającego wodą gościa wspięły się na szczyt kociej wieży i ukryły w domku.

– Nie stać cię na parasol? – zapytał Reseng, podając mu ręcznik.

– Zostawiłem w metrze – odparł Chu i wytarł twarz. – Szkoda mi pieniędzy na nowy.

– Od kiedy to martwi oszczędzają?

Chu zaśmiał się cicho, strzepując wodę z rękawów skórzanej kurtki.

– Trafne spostrzeżenie. Martwy czy nie, i tak nie zamierzam trwonić pieniędzy na nowy parasol.

– Chcesz coś do przebrania?

– Nie, poradzę sobie. Niedługo będę suchy, zresztą wątpię, żeby twoje ubrania na mnie pasowały. Jesteś za niski.

– Jestem średniego wzrostu. To ty jesteś za wysoki.

Reseng nastawił kawę i włączył termowentylator. Koty, nie mogąc zapanować nad ciekawością, wystawiły głowy z domku na szczycie wieży, żeby przyjrzeć się gościowi, który grzał ręce nad strumieniem gorącego powietrza. Wyglądały na zaintrygowane, kiedy do nich pomachał, ale nie opuściły swojego schronienia.

– Nie chcą się ze mną bawić. – Chu sprawiał wrażenie zawiedzionego.

– Uprzedzałem je, żeby nie zbliżały się do złych ludzi.

Gdy Reseng podał kawę przyjacielowi, ten łąpczywie opróżnił kubek. Potem rzucił mokry ręcznik na podłogę i zadygotał z zimna.

– Ile dają za moją głowę? – spytał.

– Sto milionów.

– Mógłbyś za nie kupić mercedesa. Zobacz, jaki daję ci prezent.  
Reseng prychnął z ironią.

– To dopiero zaszczyt. Zyskałbym bogactwo i sławę za zlikwidowanie najlepszego zabójcy na świecie.

– Kogo obchodzi sława? Liczą się tylko pieniądze.

– Nie lepiej odejść spokojnie na swoich warunkach?

Chu, który właśnie wyjmował zakupy z reklamówki, znieruchomiał na chwilę.

– O co ci chodzi? To łatwy zarobek, więc powinieneś skorzystać. Poza tym nigdy nie zrobiłem dla ciebie nic dobrego.

– Masz rację – potwierdził Reseng. – Nigdy.

Przyjaciel spojrzał na niego z rozczarowaniem.

– Ale rachunki w restauracjach płaciłem częściej niż ty.

– Czyżby? Jakoś sobie nie przypominam.

– Co za niewdzięczność.

Chu skończył wyładowywać zakupy. Obok dwóch sześciopaków heinekena ustawił na stole w równym rzędku cztery butelki jacka daniel'sa, jedną johnniego walkera i pięć butelek soju.

– Dziwne zestawienie – zauważył Reseng, który wrócił z kuchni z dwiema szklankami, lodem i paskami suszonej wołowiny. – Masz zamiar to wszystko wypić?

– To mój pierwszy alkohol, odkąd jestem ścigany.

– Na twoim miejscu upijałbym się codziennie. Życie w ukryciu musi być nudne.

Chu się uśmiechnął. Nalał sobie whisky do szklanki i opróżnił ją duszkiem, a jego wielka grdyka poruszała się przy każdym łyku.

– O tak, to trwało zdecydowanie za długo – powiedział i otarł



usta z taką miną, jakby właśnie wrócił do domu po długiej podróży. Znów napełnił swoją szklankę i długo wlepił wzrok w kostki lodu, aż na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech. – Za bardzo się bałem, żeby pić.

– Nie wiedziałem, że tacy jak ty czują strach – odparł Reseng, otwierając puszkę heinekena.

– Nierozsądnie jest się upijać, kiedy nie masz nikogo, kto mógłby cię ubezpieczać.

Chu wychylił whisky i rozgryzł kostkę lodu, która pękła z nieprzyjemnym chrzęstem między jego zębami. Reseng wzdrygnął się, słysząc ten odgłos, i pośpiesznie odstawił puszkę, gdy przyjaciel wepchnął mu znienacka do ręki szklankę i nalał do niej jacka daniel'sa.

– Masz – powiedział i wrzucił do szklanki parę kostek lodu, rozchlapując trochę alkoholu. – To piją prawdziwi mężczyźni.

Resengowi nie spodobał się rozkazujący ton Chu. Zapragnął rozwiązać jego wyobrażenie o prawdziwej męskości i związanych z nią trunkach.

– Ktoś to wymyślił, żebyś mógł się poczuć jak prawdziwy mężczyzna, kupując taką butelkę.

Jego żart nie rozśmieszył Chu, który wciąż patrzył mu w oczy z poważną miną, jakby chciał go ponaglić. Reseng spojrział na szklankę. Alkoholu było za dużo na jeden łyk. Wyłowił lód i rzucił go na tacę, a potem wypił whisky.

Chu zrobił zadowoloną minę. Wstał, rozejrzał się po pokoju i podszedł do kociej wieży. Onieśmielona Lampa schowała się w domku, za to Stołek zdobył się na odwagę i z zaciekawieniem obwąchał dłoń gościa, który podrapał go za uchem. Kot najwyraźniej zadowolony z pieszczoty opuścił głowę i zaczął

mruczeć. Chu bawił się z nim przez chwilę, po czym wrócił do stolika, zabrał szklanekę i usiadł na brzegu łóżka.

– Wiesz, że z początku cię nie lubiłem? – odezwał się, przeglądając rozrzucone na narzucie książki. – Kiedy przychodziłem do Starego Jenota, zawsze coś czytałeś. To mi działało na nerwy. Nie wiem dlaczego. Może ci zazdrościłem. Byłeś inny od nas wszystkich.

– Nigdy nie czytałem. Udawałem tylko, kiedy ktoś się zjawiał. Żeby sprawiać wrażenie innego.

– No cóż, udało ci się. Wyglądałeś na... Nie wiem, jak to ująć. Wydawałeś się wrażliwy.

– Ty też często bywałeś w bibliotece. Założę się, że czytałeś tyle co ja.

– Nienawidziłem czytania. Ale przez coś takiego nawet ja mógłbym przebrnąć. – Chu trzymał w ręku *Historię syfilisu*.

– To nie jest to, co myślisz.

Chu przerzucił kilka kartek i parsknął śmiechem.

– Masz rację, to nie moja bajka. Dlaczego tu nie ma ani jednego obrazka? – Odrzucił książkę na łóżko i sięgnął po następną, która nosiła tytuł *Niebieskie Wilki*. – Wilki? Chcesz się wypisać z branży i założyć hodowlę wilków?

Reseng uśmiechnął się szyderczo.

– To historia ośmiu wojowników Dżyngis-chana. Wiele tu jest o takich bestiach jak ty. W ciągu dziesięciu lat *Niebieskie Wilki* stworzyły największe imperium świata.

– Co się z nimi stało?

– Zamieszkali w fortecy i zamienili się w psy.

Przez chwilę Chu z zaintrygowaną miną wodził wzrokiem po

stronicach książki. Zrozumienie tekstu kosztowało go jednak tyle wysiłku, że szybko się zniechęcił i *Niebieskie Wilki* wylądowały z hukiem na *Historii syfilisu*.

– Mówią, że zabiłeś tę dziewczynę – odezwał się. – To prawda?

Reseng miał wrażenie, że jego uszy płoną. Nic nie odpowiedział, tylko nalał sobie jacka daniel'sa i przez chwilę wpatrywał się w szklanę, zanim podniósł ją do ust. Czuł na sobie badawczy wzrok przyjaciela, który śledził każdy jego ruch.

– Kto mówi?

– Krążą takie plotki.

– Więc chyba już wszyscy wiedzą, skoro to do ciebie dotarło, kiedy się ukrywałeś.

– W naszym środowisku krąży mnóstwo zwariowanych plotek.

Chu uniósł brwi, jakby chciał zapytać, czemu to takie ważne, skąd wie o wszystkim. Reseng spojrzał mu w oczy.

– Niedźwiedź ci powiedział? – zapytał.

– Niedźwiedź jest o wiele bardziej dyskretny, niż ci się wydaje – odparł Chu.

Starał się bronić właściciela krematorium, co niemal na pewno oznaczało, że to z niego wydusił tę informację. Wielu ludzi mogło puścić farbę, ale Niedźwiedź nie miał powodu, żeby podejmować ryzyko przez wzgląd na Resenga. W tym świecie nikt nie był tak głupi, żeby się wychylać i strugać bohatera, jeśli mógł się narazić Chu. Zwłaszcza Niedźwiedź, który samodzielnie wychowywał dwie córki. Gdyby policja węszyła, na pewno milczałby jak głaz. Reseng to wszystko wiedział, a jednak nie potrafił opanować irytacji. Miał świadomość, że jeśli coś takiego wyszło na jaw, prędzej czy później znajdzie się na celowniku innego likwidatora.

– Naprawdę myślałeś, że możesz ją ocalić? – spytał.

– Nie, jasne, że nie. Nie należę do tych, co ratują życie innym. Jestem zbyt zajęty ratowaniem własnego.

– Więc nie ma nic dziwnego w tym, co zrobiłem. To ty jesteś dziwny.

– Masz rację, jestem – zgodził się Chu. – Zrobiłeś, co do ciebie należało.

Co do ciebie należało... Słyszając te słowa, Reseng odetchnął z ulgą i jednocześnie poczuł się dotknięty. Chu podszedł do stolika, napełnił swoją szklanekę i wypił jej zawartość jednym haustem. Butelka była już prawie pusta, więc otworzył następną i nalał sobie jeszcze jedną kolejkę.

– Chciałbym cię o coś spytać – powiedział Reseng. – Czy widziałeś się z nią potem?

– Nie.

– To czemu darowałeś jej życie? Myślałeś, że inni likwidatorzy poklepią cię po plecach i powiedzą: „Każdemu z nas się to zdarza”?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Chu wychylił kolejną szklaneczkę. Jak na kogoś, kto przez dwa lata nie pił alkoholu, bez problemu rozprawił się z butelką w niecałe dwadzieścia minut. Na twarz wystąpiły mu rumieńce. Czyżby naprawdę myślał, że jest bezpieczny u Resenga?

– Spotkałeś kiedykolwiek któregoś z mocodawców? – zapytał.

– W ciągu piętnastu lat ani razu.

– Nie zastanawiasz się, kim są ludzie, którzy mówią ci, co masz robić? – ciągnął Chu. – Bo przecież ktoś decyduje, kiedy masz wrzucić kierunkowskaz, kiedy nacisnąć hamulec, a kiedy gaz, kiedy skrócić w lewo, a kiedy w prawo, kiedy milczeć, a kiedy mówić.

– Czemu to wszystko teraz roztrząsas?

– Patrząc na tę dziewczynę, nagle zacząłem się zastanawiać, kim w ogóle są ludzie, których rozkazy wypełniamy. Mogłem ją zabić jednym palcem. Była tak przerażona, że cała się trzęsła, i wtedy zapragnąłem się dowiedzieć, kto siedzi za biurkiem, obraca w palcach pióro i wymyśla wszystkie główniane intrygi.

– Nie przypuszczałem, że taki z ciebie romantyk.

– Tu nie chodzi o romantyzm czy ciekawość, nic z tych rzeczy. Przyszedł moment, w którym zdałem sobie sprawę, jakim jestem tchórzliwym fiutem – powiedział Chu drżącym od napięcia głosem.

– Patroni są takimi samymi pionkami jak my – odparł Reseng. – Ktoś wysyła zlecenie, a oni obmyślają plan. Mają nad sobą kogoś, kto nimi kieruje, a nad tym kimś stoi inny patron i mówi, co robić. A wiesz, co byś znalazł, gdybyś dotarł na samą górę? Nic. Tylko pusty fotel.

– Ktoś musi w nim siedzieć.

– Nie, nie ma nikogo. Ujmując rzecz inaczej: jest tylko fotel. Każdy może w nim usiąść. I ten fotel, w którym może siedzieć każdy, decyduje o wszystkim.

– Nie rozumiem.

– Tak działa ten system. Wydaje ci się, że jeśli pójdziesz z nożem na samą górę i zaszlachtujesz tego, kto tam siedzi, to rozwiążesz problem. Ale tam nikogo nie ma. Tylko pusty fotel.

– Działam w tej branży od dwudziestu lat. Zabiłem mnóstwo ludzi, w tym również moich przyjaciół. Zabiłem nawet własnego ucznia, któremu podarowałem dziecięce ubranka, kiedy jego córeczka obchodziła pierwsze urodziny. Ale jeśli prawdą jest to, co mówisz, cały czas wypełniałem polecenia pustego fotela. A ty skrzyłeś kark bezbronnej kobiecie, bo pusty fotel tak ci kazał.

Chu wypił następną kolejkę i łapiąc oddech, przechylił butelkę

nad szklanką przyjaciela. Reseng nie zwrócił na to uwagi i pociągnął łyk heinekena. Kusilo go, żeby się przyznać, że nie skrzył karku swojej ofierze, ale postanowił zachować to dla siebie.

– Nie można srać w spodnie tylko dlatego, że kibel jest brudny – powiedział.

Chu uśmiechnął się szyderczo.

– Kiedy cię słucham, coraz bardziej przypominasz mi Starego Jenota – odparł. – To przykre. Po takich wygadanych facetach można się spodziewać tylko noża w plecy.

– A ty jesteś jak marudny bachor. Naprawdę myślisz, że swoim biadoleniem zyskasz w moich oczach? Ani trochę. Choćbyś stanął na głowie, nic nie zmienisz. Tak jak nie udało ci się uratować tej dziewczyny.

Chu rozsunął zamek kurtki i wyjął nóż, który nosił pod pachą w specjalnie przerobionej kaburze na skórzanych szelkach. Zachowywał się spokojnie, żaden z jego ruchów nie miał w sobie nic groźnego.

– Mógłbym ci zadać bardzo bolesną śmierć tym nożem – oświadczył, kładąc go na stole. – Wypruć z ciebie flaki, żebyś konał w męczarniach przez wiele godzin w kałuży krwi. Myślisz, że wtedy też wciskałbyś mi brednie o pustym fotelu i systemie, którego nie da się zmienić? Jasne, że nie. Bo gadasz od rzeczy. Każdy, komu się wydaje, że jest bezpieczny, pieprzy bzdury.

Na stole leżał zwykły kuchenny nóż niemieckiej marki Henckels. Głownia wyglądała na świeżo naostrzoną, a koniec trzonka był ciasno owinięty chusteczką. Chu upodobał sobie ten model, ponieważ miał solidną budowę, nie rdzewiał zbyt szybko i można go było wszędzie kupić. Zdaniem innych likwidatorów nadawał się jedynie dla gospodyń domowych, ale tak naprawdę był porządny i nie łamał się tak łatwo jak noże do sushi.

Chociaż Chu kipiał z gniewu, Reseng nie zauważył w jego oczach złowieszczy błysku, który tak dobrze znał. Zrzucił to na karb otepiałego działania whisky. Patrząc na przyjaciela, próbował sobie przypomnieć, kiedy sam ostatnio kogoś zasztyletował. Sześć lat temu? Siedem? Nie pamiętał. Pomyślał o własnym nożu ukrytym w szufladzie. Zastanawiał się, czy zdążyłby go wyjąć. Nawet gdyby mu się udało, Chu chwyciłby swój nóż, a co wtedy? Czy by sobie poradził? Czy w starciu z nim miał szansę na wygraną?

Mało prawdopodobne. Reseng włożył do ust papierosa i zapalił. Kiedy Chu wyciągnął do niego rękę, zapalił drugiego i podał przyjacielowi, który zaciągnął się dymem i odchylił się do tyłu, zadzierając głowę. Zastygł w takiej pozycji zapatrzony w sufit, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jeśli zamierzasz mnie zabić, zrób to teraz”. Dopiero kiedy jego papieros wypalił się do połowy, wyprostował się i spojrzał na Resenga.

– A więc mam przejebane na całego, tak? Uganiam się za mną cała zgraja cyngli, którzy liczą na nagrodę, tymczasem ja nie mam pojęcia, kogo sprzątnąć i w ogóle co robić. Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, co jest na samej górze. Może faktycznie ten fotel jest pusty, tak jak mówisz, a może siedzi w nim jakiś kutas. Takiemu ciołkowi jak ja nie robi to żadnej różnicy. Gdybym po śmierci wrócił na ziemię pod inną postacią, i tak bym nie zrozumiał, jak to wszystko działa.

– Pójdiesz do Hanji?

– Być może.

– Nie rób tego.

– W takim razie co mam robić?

– Wyjedź za granicę. Do Meksyku, do Stanów, do Francji albo do Afryki... Jest wiele miejsc, w których mógłbyś się zaszyć

i znaleźć pracę w jakiejś prywatnej armii. Wśród innych najemników będziesz bezpieczny.

Chu uśmiechnął się lekko.

– Radzisz mi to samo, co ja tamtej dziewczynie. Mam ci teraz podziękować? – powiedział i dopił whisky. Ponownie napełnił szklaneczkę i od razu wychylił, a potem wlał do niej to, co zostało na dnie drugiej butelki. – Nie napijesz się ze mną? Czuję się samotnie, kiedy piję w pojedynkę.

Nie do końca był to żart. Chu rzeczywiście sprawiał wrażenie osamotnionego, kiedy siedział przy stole. Otworzył butelkę johnniego walkera i kiedy Reseng dopił whisky, znów napełnił jego szklanekę. Potem sięgnął po swoją i podniósł ją jak do toastu.

– O, ta jest dużo lepsza – stwierdził Reseng z uznaniem. – Smakuje mi o wiele bardziej niż tamten trunek dla prawdziwych mężczyzn.

Chu wydawał się szczerze rozbawiony. Pił dużo więcej, ale obaj nie mieli zbyt wiele do powiedzenia, więc rozprawiali się z johnniem walkerem w milczeniu. Kiedy w butelce pokazało się dno, Chu chwiejnym krokiem udał się do łazienki. Chociaż zamknął za sobą drzwi, słychać było, jak sika, wymiotuje i kilka razy splukuje muszlę. Minęło dwadzieścia minut, jednak on wciąż nie wracał. Z łazienki dobiegał tylko plusk płynącej z kranu wody.

Po półgodzinie Reseng oderwał wreszcie wzrok od leżącego na stole noża, wstał i zapukał do drzwi. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, nacisnął klamkę, ale okazało się, że łazienka jest zamknięta od środka. Znalazł płaski śrubokręt i otworzył nim drzwi. Woda z przepełnionej wanny zaczynała wyciekać na podłogę, a Chu klęczał oparty o muszlę i spał. Reseng zakręcił kran i zaprowadził półprzytomnego przyjaciela na łóżko.

Gdy tylko Chu ułożył się wygodnie, zaczął chrapać, jakby po raz



pierwszy w życiu miał okazję dobrze się wyspać. Chrapał tak głośno, jak przystało na człowieka jego postury. Donośny odgłos zaintrygował Lampę, która nieśmiało wychyliła głowę z domku na szczycie kociej wieży, po czym zeszła na łóżko i zaczęła obwąchiwać głowę śpiącego gościa. Reseng rozsiadł się na kanapie, gdzie wypił jeszcze kilka piw. W końcu zasnął, przyglądając się, jak pochłonięte nową zabawą koty gmerają we włosach Chu i skaczą mu po torsie.

Kiedy obudził się rano, po Chu nie było śladu. Zniknął również jego wielki plecak. Został tylko nóż z trzonkiem owiniętym chusteczką, który leżał na środku stołu niczym prezent.

Tydzień później, kiedy ciało Chu trafiło do krematorium dla zwierząt, również lało jak z cebra. Reseng zaparkował przed budynkiem i Stary Jenot wysiadł z samochodu.

– Już po wszystkim? – zwrócił się do Niedźwiedzia, który czekał z parasolem, żeby osłonić go przed strugami deszczu.

Właściciel krematorium wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Jeszcze nie zacząłem – odparł.

Chu leżał w składziku na narzędzia. Chłodnia przeznaczona do przechowywania martwych kotów i psów była za mała, żeby pomieścić tak wysokiego mężczyznę.

– Naliczyłem dwadzieścia siedem ran kłutych – odezwał się Niedźwiedź, gdy wszyscy trzej stanęli nad ciałem.

Stary Jenot pociągnął za suwak, otwierając worek ze zwłokami, rozpiął zakrwawioną koszulę i sam policzył wszystkie rany. Oprócz jednej na wysokości splotu słonecznego – śladu po ciosie, który przebił płuco – większość nie była śmiertelna. Zabójca mógł

z łatwością pozbawić go życia, jednak postanowił odwlec ten moment i uderzał w pobliżu newralgicznych punktów, bawiąc się z ofiarą jak lwiątko z ranną wiewiórką. Ostry koniec złamanej kości, który przebił skórę, sterczał z lewego łokcia Chu, a jego prawa dłoń zaciskała się na rękojeści noża. Był to taki sam kuchenny nóż jak ten, który przed tygodniem zostawił w domu przyjaciela. Reseng pochylił się, żeby wyłuskać go ze zgiętych palców trupa.

– Próbowałem – powiedział Niedźwiedź. – Nie puszcza.

Stary Jenot przez chwilę w milczeniu patrzył na zwłoki, a gdy skinął na znak, że już skończył, jego uniesiona ręka drżała.

Właściciel krematorium pośpiesznie zasunął worek.

– Tym razem Hanja wynajął prawdziwego potwora. Mówią na niego Golibroda. Słyszeliście o nim? – zapytał.

– Tylko plotki – odparł Stary Jenot.

– Podobno to czyściciel. I mówią, że jest bezlitosny. Specjalizuje się w likwidowaniu takich jak my. Przerazający typ. Po co dźgać kogoś dwadzieścia siedem razy? Kiedy widzę, jak skończył wielki Chu... Czy nas też to czeka?

W głosie Niedźwiedzia słychać było strach.

– Powinniśmy być mu wdzięczni za to, że usuwa takie odpadki jak my – odparł Stary Jenot z typowym dla siebie cynizmem.

Niedźwiedź załadował ciało na wózek i ruszył w stronę pieca. Potem wspólnie z Resengiem przeniósł Chu do pojemnika ze stali nierdzewnej. Próbował zgiąć w kolanach nogi trupa, które wystawały poza krawędź płytkiej metalowej rynny, ale nastąpiło już stężenie pośmiertne.

– Psiakrew – zaklął. – Czy on nawet teraz musi utrudniać mi życie?

Osunął się na podłogę i wybuchnął płaczem. Reseng poklepał go po ramieniu i wyszedł z budynku. Stary Jenot z kamienną twarzą patrzył na okaleczone ciało. W końcu Niedźwiedź wstał i ocierając łzy z opuchniętych oczu, zamknął drzwi pieca i włączył palnik.

Ciało Chu już prawie całkowicie obróciło się popiół, kiedy przyjechał Hanja. Oprócz kierowcy towarzyszył mu jakiś wysoki i szczupły mężczyzna. Reseng przyjrzał mu się uważnie. Nie sądził, aby był to człowiek zwany Golibrodą. Wyglądał o wiele za młodo jak na kogoś, o kim ludzie opowiadają tyle strasznych rzeczy. Poza tym Golibroda nie fatygowałby się w takie miejsce z byle powodu.

Hanja wysiadł z czarnego sedana i skłonił się uprzejmie Staremu Jenotowi, który odpowiedział mu ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Chociaż dochodziła druga w nocy, a okolica nie należała do eleganckich, był świeżo ogolony i miał na sobie garnitur. Potoczył dookoła roztargnionym wzrokiem i wszedł do budynku krematorium. Reseng, który kuczał przy piecu i palił papierosa, poczuł silny zapach jego wody kolońskiej.

– Spóźniłem się, ale chciałbym pożegnać wielkiego wojownika – powiedział Hanja i puścił oko do Resenga na znak, że żartuje. – Słyszałem, że Chu był u ciebie, zanim spotkał się ze mną.

– I co z tego?

– Powinieneś być do mnie zadzwonić.

Reseng nic nie odpowiedział i tylko głęboko zaciągnął się dymem. Hanja wyjął z kieszeni srebrne pudełeczko i włożył sobie do ust kilka pastylek miętowych.

– Opłaciłoby ci się, gdybyś do mnie zadzwonił – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała prowokacyjna nuta. – Nie mówiłem ci, że połowa nagrody przysługuje każdemu, kto dostarczy informację, która pozwoli na jego schwytanie?

– Jakoś twój numer wyleciał mi z głowy – odparł Reseng i zdusił niedopałek.

Hanja wyjął wizytówkę z połączonego etui, pochylił się i włożył ją Resengowi do kieszeni.

– Następnym razem nie zapomnij zadzwonić. Musimy wszyscy współpracować.

Hanja podszedł do Niedźwiedzia i wręczył mu wypchaną kopertę, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki. Właściciel krematorium przyjął od niego zapłatę i pokłonił mu się w pas. Kiedy rozmawiali, raz po raz zginał się wpół i powtarzał:

– Tak jest, proszę pana. Tak jest. Oczywiście, proszę pana.

Skończywszy rozmowę z Niedźwiedziem, Hanja zajrzał do pieca, a potem znów pozdrowił Starego Jenota uprzejmym skinieniem głowy, wsiadł do samochodu i odjechał.

Reseng zapalił kolejnego papierosa. Musimy wszyscy współpracować. Wciąż słyszał te słowa, które odbijały się echem w jego głowie. Może Hanja miał rację. Tacy jak oni powinni trzymać się razem. Bo w przeciwieństwie do nich prawdziwi mężczyźni żłopią jacka daniel'sa na pusty żołądek, rzygają jak koty i umierają z kuchennym nożem w dłoni.

\*\*\*

Płomienie w komorze pieca krematoryjnego zgasły.

Niedźwiedź otworzył metalowe drzwi i odsunął się, żeby poczekać, aż opadnie temperatura. Na palenisku wśród rozwiewających się kłębow dymu bieleły się kości starego mężczyzny i jego psa. Wyglądały tak żałośnie jak samotny szkielet wielbłąda na środku pustyni, zapomniany i przeżarty przez burze piaskowe.

Właściciel krematorium odrzucił niedopałek i zabrał się do pracy. Rozwinął niewielki dywan, na którym postawił stolik. Potem przyniósł świecę, kadzidełko, butelkę wina ryżowego i glinianą czarę. Upewniwszy się, że o niczym nie zapomniał, spojrzał na Resenga, jakby chciał go zapytać, czemu tylko się przygląda z założonymi rękami.

– Śmiało, poproś o wybaczenie, żebyś mógł pójść do nieba – rzekł Reseng lekceważącym tonem. – Ja i tak skończę w piekle i wcale mi to nie przeszkadza.

Niedźwiedź zapalił kadzidełko, napełnił czarę winem i skłonił się nisko przed kupką kości leżących w głębi pieca. Przez kilka minut trwał w bezruchu z zamkniętymi oczami, mamrocząc półgłosem jakąś modlitwę albo magiczne formuły. Potem zanurzył palec w czarce i kilka razy potrząsnął dłonią w powietrzu, rozpryskując krople wina wokół stolika i przed drzwiczkami pieca. Reseng przyglądał mu się, stojąc pod ścianą z papierosem w ustach. Nie miał pojęcia, skąd się wziął ten dziwny rytuał. Gryzący dym przyprawiał go o pieczenie, które rozchodziło się po trzewiach.

Niedźwiedź zakończył swoje obrzędy, zwinął dywanik i długim żelaznym hakiem wyciągnął z pieca umieszczoną na szynach blaszaną rynnę. Z kości wciąż sączyły się smużki dymu. Wydawały się zbyt nędzne i nijakie, by kiedyś mogły należeć do człowieka, który jeszcze kilkanaście godzin temu przemawiał do kwiatów i bawił się z psem. Właściciel krematorium założył białe rękawiczki, chwycił szczypce i zaczął przekładać szczątki starego mężczyzny do pudełka.

– Co zrobić z kośćmi psa? – zapytał.

– Zmieszaj wszystko razem.

– Co? Tak nie można. Kto to widział, żeby mieszać ze sobą ludzkie i zwierzęce szczątki? – Niedźwiedź zawiesił głos i wbił

wzrok w Resenga. – Przecież wykonałeś polecenie jak należy, prawda? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. – Czemu chcesz to zrobić? Wiesz, jak wielką wagę nasi mocodawcy przywiązują do tradycji. Oni nie cierpią takich rzeczy.

– Tak jakby ktokolwiek się przejmował kupką popiołów, które popłyną z prądem rzeki.

– Mimo wszystko nie chciałbym za to beknąć.

Reseng pokręcił głową, jakby zamierzał rozwiązać obawy Niedźwiedzia.

– Podobno mieszanie prochów przynosi szczęście, a ty przecież lubisz takie rzeczy – powiedział. – Zresztą stary na pewno by sobie tego życzył. Ten pies był dla niego wyjątkowym darem.

Po chwili zastanowienia właściciel krematorium wrzucił kości Santy do pudełka.

– Kiedy ten dżentelmen był generałem, wpadał tu od czasu do czasu, ale nigdy nie widziałem go w mundurze – wymamrotał. – Był taki elegancki...

Obejrzał dokładnie stalową rynnę, żeby się upewnić, czy nie przeoczył jakiegoś kawałka kości, po czym zgarnął popiół miotłąką.

– Kiedy umrę, spalę tutaj swoje ciało – oznajmił sentymentalnym tonem. – Tacy jak my też powinni odchodzić w ten sposób.

– To jest dobre rozwiązanie.

– O tak, bardzo dobre.

– Ale jeśli umrzesz, to kto cię spali?

– No cóż, o tym nie pomyślałem – odpowiedział skołowany Niedźwiedź.

Wrzucił kawałki kości do żelaznego moździerza i zaczął je

rozgniatać. Robił to bardzo starannie, uważając, żeby z naczynia nie wydostał się nawet najdrobniejszy pyłek. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Kiedy kości wyglądały już na całkowicie rozdrobnione, kilka razy zanurzył palce w popiele i ucierał go ponownie, ilekroć natrafił na jakiś odłamek. Wreszcie po blisko dwudziestu minutach odłożył tłuczek i ostrożnie przesypał zawartość mózdzierza do skrzyneczki z drewna klonowego, którą owinął w płótno i wręczył Resengowi. Popiół był jeszcze gorący. Reseng położył urnę na fotelu pasażera w swoim samochodzie, po czym wyjął z kieszeni kopertę i wręczył Niedźwiedziowi. Właściciel krematorium wyciągnął banknoty i przeliczył je dwa razy.

– Wystawić ci fakturę? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Żebym jeszcze mógł odliczyć to od podatku.

– Wpadaj częściej. Tylko w ten sposób obaj możemy powiązać koniec z końcem. Bo ja ostatnio cienko przędę.

Reseng uśmiechnął się blado. Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Gdy na jego twarz padły pierwsze promienie słońca, które właśnie wynurzało się zza łańcucha gór, poczuł nagłe odrętwienie, jakby uszły z niego wszystkie siły. Przyłożył dłoń do czoła i oparł głowę o szybę.

Widząc, że samochód wciąż stoi w miejscu, Niedźwiedź podszedł do niego i zapukał w okno.

– Dobrze się czujesz? – spytał zatroskanym tonem. – Jeśli jesteś zmęczony, zdrzemnij się trochę przed drogą.

Reseng wzdrygnął się wystraszony i spojrzał na niego spod opadających powiek.

– Nie, muszę jechać – odparł.

Pokiwał głową, jakby chciał pokazać, że nic mu nie jest, po

czym zdjął nogę z hamulca. Ruszył drogą w dół zbocza, w kierunku autostrady prowadzącej do Seulu. Widoczna w lusterku wstecznym sylwetka Niedźwiedzia, który machał mu na pożegnanie, malała z każdą chwilą, aż w końcu znikła.



---

# Psiarnia

---

Oczywiście Stary Jenot nie hodował psów w swojej bibliotece. Nazwał ją psiarnią, żeby zadrwić z ludzi, którzy chodzili po bibliotekach, robiąc wokół tego wielki szum, choć tak naprawdę nigdy nie zajrzeli do żadnej książki. A może szydził z samego siebie, bo czy nie zasługuje na szyderstwo ktoś, kto poświęcił sześćdziesiąt lat swojego życia na dogłądanie księgozbioru, z którego prawie nikt nie korzystał? Zawiesił nawet nad wejściem tablicę z napisem „Psiarnia”. Ci, którzy odwiedzali to miejsce po raz pierwszy, zazwyczaj patrzyli na nią zdumieni albo wybuchali śmiechem. Ale po chwili każdemu z nich rzedła mina.

– Zaraz, czy on uważa mnie za psa? Co to, kurwa, znaczy?

O co chodziło z tą tablicą? Reseng uważał to za przejaw cynizmu typowego dla hołdujących tradycji prostoliniowych intelektualistów, którzy spędzają większość czasu zamknięci w czterech ścianach i otoczeni książkami. Chyba że Stary Jenot chciał w ten sposób zagrać na nosie świata, który wciągnął w swoje tryby młodego bibliotekarza – okulawionego w dzieciństwie przez polio, a jednak zadowolonego z życia – i uczynić go patronem likwidatorów. Cokolwiek nim kierowało, tablica dostarczała mu mnóstwo uciechy.

Reseng uważał to za dziecinadę. Gdyby sam był właścicielem biblioteki, za nic w świecie nie umieściłby nad drzwiami takiego napisu. Ale w życiu nigdy nie jest tak, jak byśmy chcieli, więc gdyby został zmuszony do zawieszenia takiej tablicy przez jakieś osobliwe połączenie zawiłych i podstępnych obwarowań z celnie wymierzonym szantażem (jak gdyby trzeba było kogoś szantażować, żeby zrobił coś tak bezsensownego) to przynajmniej sprowadziłby kilka psów. I oczywiście kolekcję książek z całego świata poświęconych psom.

Wyobrażał sobie, jak jakiś młody naukowiec unosi brwi i pyta:

– Ależ panie Reseng, co to za nazwa dla biblioteki? Czy próbuje pan znieważać szlachetny dorobek intelektualny ludzkości?

W odpowiedzi Reseng uśmiecha się z dystygowaną uprzejmością.

– W żadnym wypadku, młody człowieku. Absolutnie nie mam zamiaru znieważać szlachetnego dorobku intelektualnego ludzkości. Jak w ogóle mógł pan tak pomyśleć? Wbrew pańskim uprzedzeniom psy i książki mogą ze sobą współistnieć. – Wskazuje na zwierzęta, które przechadzają się swobodnie między półkami.

– Proszę im się przyjrzeć – ciągnie. – Czyż nie są wspaniałe? A na tych półkach, od D jedenaście do D czterdzieści trzy, znajdzie pan wszystko o psach. Moja biblioteka dysponuje największym na świecie księgozbiorem o tej tematyce. Mam książki o chihuahua, collie, owczarkach niemieckich, chartach, bernardynach i retrieverach. W zasadzie o wszystkich rasach, jakie występują na świecie, ale to nie wszystko. Posiadam również pozycje poświęcone żywieniu i rozmnażaniu psów, genealogii i konfliktom między rasami oraz wielu innym zagadnieniom. Można by rzec, że moja biblioteka jest duchowym centrum psiego wszechświata, psim Watykanem.

Młody naukowiec kiwa głową.

– Teraz rozumiem! – mówi. – Ma pan naprawdę imponującą kolekcję.

– To moja uświęcona misja.

Psi Watykan. To byłoby coś. Im dłużej Reseng o tym myślał, tym bardziej nabierał przekonania, że zarówno psy, jak i książki byłyby mu wdzięczne, gdyby w ten sposób podniósł ich rangę. Jednak Stary Jenot nie miał na myśli tak wysublimowanej

symboliki. Wybierając nazwę „Psiarnia”, chciał nawiązać do faktu, że jego biblioteka – założona w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, wkrótce po tym, jak Japończycy postanowili przemianować swoją strategię kolonialną z „rządów wojskowych” na „rządy oświecone” – przetrwała dziesiątki lat w cieniu autorytaryzmu i że dorobiła się własnej mrocznej i niesławnej historii jako miejsce, w którym brał swój początek każdy większy zamach w powojennych dziejach Korei Południowej. Stary Jenot pogardzał sobą za udział w budowaniu tej haniebnej renomy, ale przecież sam wybrał takie życie. Dlaczego więc za własne błędy czepiał się poczciwych i niewinnych psów? Zresztą czy psy kiedykolwiek zrobiły coś złego?

\*\*\*

O dziesiątej Reseng wszedł do Psiarni. Jak zwykle biblioteka była pusta. Jedyne pracownice, zezowata kobieta, powitała go, zapatrzona w punkt, którego mógł się tylko domyślać.

– Dzień dobry – powiedziała piskliwym głosem, który zabrzmiał jak świergot skowronka, odbijając się echem od kopulastego sklepienia.

Jej radosny ton zawsze działał mu na nerwy. Brzmiał zbyt pogodnie i nie pasował do tego budynku wzniesionego w czasach kolonialnych rękami japońskich majstrów, który niszczał przez kolejne stulecie. Reseng odpowiedział bibliotekarce zdawkowym kiwnięciem głowy i ruszył w stronę gabinetu Starego Jenota.

– Jest u niego gość – odezwała się kobieta, wstając z krzesła.

Kto mógł przyjść do biblioteki ze zleceniem o tak wczesnej porze? – pomyślał Reseng i przystanął.

– Gość? – powtórzył. – Kto taki?

– Ten wysoki i dobrze ubrany dżentelmen. Jest bardzo kulturalny.

Wysoki, dobrze ubrany i kulturalny? Człowiek o takich przymiotach nie miałby powodu, aby odwiedzać to miejsce. Reseng przechylił głowę zdumiony.

– No wiesz – dodała bibliotekarka nieco zniecierpliwionym tonem, widząc jego pytające spojrzenie. – Ten facet, który nosi eleganckie garnitury i zawsze się wysławia w taki opanowany i wytworny sposób.

To mógł być tylko Hanja. Reseng prychnął kpiąco. Tej kobiecie wydawało się, że Hanja jest kulturalny, elegancki, opanowany i wytworny. Skąd jej to przyszło do głowy? Ale może to on miał błędne wyobrażenie. Bądź co bądź, Hanja był bogaty, miał dyplom ze Stanfordu i zawsze odgrywał rolę dżentelmena. Choć raczej nie mógł uchodzić za przystojnego, nie dało się zaprzeczyć, że jest wysoki.

Reseng pokiwał głową i zrobił krok w stronę drzwi gabinetu, ale bibliotekarka podbiegła do niego i złapała go za rękę.

– Powiedział, żeby nikogo więcej nie wpuszczać. Nie dzisiaj.

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała ze szczególnym naciskiem, jakby ten dzień miał w sobie coś nadzwyczajnego i niepowtarzalnego. Reseng spojrzał wymownie na dłoń kobiety, a gdy wolno przeniósł wzrok na jej twarz, rozluźniła palce zaciśnięte na jego przedramieniu.

– Który z nich nie pozwolił nikogo wpuszczać? Stary Jenot czy Hanja?

– Hanja – odparła bibliotekarka po chwili wahania. – Ale kiedy to mówił, pan Jenot stał tuż obok niego.

Hanja musiał nieźle się wkurzyć zmianą ustalonego planu, skoro

przyjechał do biblioteki o tak wczesnej porze. Reseng spojrział na zamknięte drzwi, po czym postawił na stole drewnianą skrzynkę z prochami starego mężczyzny i jego psa. Usiadł i wyjął papierosa z paczki. Bibliotekarka posłała mu karcące spojrzenie, kiedy go zapalił. Potem wróciła za swoje biurko i zaczęła robić na drutach. Prawdopodobnie wypełniła już wszystkie obowiązki przewidziane na ten dzień. Dziergała coś z czerwonej wełny, ale robótka nie była jeszcze na tak zaawansowanym etapie, żeby dało się odgadnąć, co z niej powstanie. Reseng nigdy nie widział jej z książką w ręku. Nie czytała nawet gazet ani czasopism. Siedziała tylko za biurkiem w opuszczonej bibliotece pełnej książek, których nikt nie czytał, i zabijała czas, robiąc na drutach, wyszywając albo malując sobie paznokcie na wszystkie kolory tęczy.

– Co to jest? – zapytała kobieta, przerywając nagle w połowie ściegu. – Japońskie słodkości?

Patrzyła na drewnianą urnę z prochami, która stała na stole. Skrzyneczka była owinięta w białe płótno i nie dało się jej pomylić z niczym innym. Reseng nie miał pojęcia, jak można było wziąć ją za bombonierkę.

– Tak – odparł – ale nie są dla ciebie, więc trzymaj łapy z daleka.

Bibliotekarka wyduła dolną wargę pokrytą grubą warstwą czerwonej szminki. Pieprzyk nad jej ustami sprawiał wrażenie, jakby był zawiedziony faktem, że nie zdobi twarzy Marilyn Monroe. Używała ciemnoczerwonego cienia do powiek, a w miejscu wyskubanych brwi miała tatuaże w kształcie półksiężyca. Wszystko to sprawiało, że wyglądała dziwnie i zarazem bezpretensjonalnie. Gdyby nie zez, mogłaby nawet uchodzić za ładną.

Na powrót zajęła się swoją robótką, jakby zapomniała o Resengu, który siedział naprzeciwko niej. Teraz druty w jej

rękach poruszały się szybciej, ale było w tym coś nieporadnego. Prawdopodobnie miała problem ze skupieniem wzroku na ściegu.

– Powinnaś iść na operację – zagadnął ją Reseng.

– Jaką operację? – zapytała, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Na oczy. Żeby ci usunęli zeza. Podobno teraz to prosty zabieg i wcale tak dużo nie kosztuje.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną. Miała taką minę, jakby chciała powiedzieć: „Nie masz innych problemów, idioto? Lepiej pilnuj swoich spraw”. Albo: „Mam to gdzieś, że moje oczy się rozjeżdżają. Niby czemu miałabym się przejmować, co sobie o mnie myśli taki frajer jak ty?”.

– To wyłącznie moja sprawa, na co patrzę – powiedziała opryskliwym tonem.

Spiorunowała Resenga wzrokiem i tym razem jej mina wyrażała jednoznaczny komunikat: „Ostrzegam cię, nie będę tolerowała twojej bezczelności. Wkurzyłeś mnie nie na żarty”. Było w tym jednak więcej komizmu niż surowości, kiedy jednym okiem patrzyła w sufit, podczas gdy drugie zerknęło w lewo na sterty książek piętrzące się na podłodze. Nie żeby Reseng nie traktował jej poważnie. Rzecz w tym, że trudno wzbudzić respekt, kiedy spogląda się w dwa oddalone od siebie punkty jednocześnie.

– Przepraszam – odezwał się. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Bibliotekarka nic nie odpowiedziała. Wymamrotała tylko coś niezrozumiałego i wróciła do dziergania na drutach, a jej twarz przybrała wyraz rozdrażnienia.

Przez Psiarnię przewinęło się wiele bibliotekarek, które zazwyczaj traciły pracę z dosyć błahych powodów. Stary Jenot zwalniał je za to, że jakaś książka trafiła do niewłaściwego działu,

że niewielkie rozdarcie na okładce liczącego dwadzieścia lat temu przez ponad miesiąc nie mogło doczekać się zaklejenia albo że warstwa kurzu na jednej z przeszło dziewięciuset półek była za gruba. Wyrzucił nawet bibliotekarkę, która postawiła na książce kubek z kawą. Oczywiście wiele było takich, które same rezygnowały. Jednej z nich przeszkadzało, że ma za mało obowiązków. Pewna kobieta nie mogła znieść posępnej atmosfery tego miejsca, która ją przytłaczała, a inna oświadczyła, że siedząc sama w pustej bibliotece, czuje się jak bohaterka horroru. Jeszcze inna w dosyć dziwny sposób uzasadniła swoją rezygnację, twierdząc, że nie jest w stanie przeczytać nawet jednego zdania, gdy tylko przestępuje próg biblioteki.

Z większością z nich Reseng utrzymywał dobre stosunki, niezależnie od tego, jak długo zagrzały tu miejsce. Uważał je za przyjaciółki – tak naprawdę jedyne, jakie miał – z którymi mógł podyskutować o książkach. Potrafił dzielić się z nimi refleksjami i przeżyciami, jakich doświadczał pod wpływem lektury. Prawdopodobnie dlatego te rozmowy zawsze dawały mu poczucie więzi i wyciszenie.

Zazwyczaj bibliotekarki szybko zaczynały dostrzegać osobliwości swojego miejsca pracy. Kiedy Starego Jenota nie było w pobliżu, ostrożnie podpytywały Resenga, jakiej instytucji podlega Psiarnia i do czego tak naprawdę służy. Każda osoba, która przepracowała tu przynajmniej miesiąc, naturalną kolejną rzeczą zaczynała się nad tym zastanawiać. Słyszając takie pytania, Reseng zawsze wyjaśniał, że biblioteka jest przeznaczona wyłącznie dla wysokich rangą urzędników państwowych. Kobiety przyglądały mu się z niedowierzaniem i mówiły:

– Ale nigdy nie widziałam, żeby jakiś urzędnik przyszedł tu coś wypożyczyć albo przeczytać.



– Dlatego właśnie w naszym kraju jest taki bajzel – odpowiadał i parskał śmiechem.

Jednak zezowata bibliotekarka nigdy nie przejawiała zainteresowania takimi rzeczami. Kiedy pierwszy raz zjawiała się w pracy, nie próbowała się dowiedzieć, na czym polegają jej obowiązki i gdzie ma usiąść. Co gorsza, nie zapytała nawet o toaletę i schowek na miotły. Tak jakby nie obchodziło jej nic oprócz robienia na drutach, malowania paznokci i wyszywania. Wysłuchiwała instrukcji Starego Jenota, patrząc każdym okiem w inną stronę, a potem bez słowa zabrała się do pracy.

Jak dotąd nie zadała ani jednego pytania, choć od tamtego dnia minęło już pięć lat. Prawdopodobnie żadna z kobiet, które zatrudniał chimeryczny i zrzędlivy Stary Jenot, nie utrzymała się tak długo. Nie zastanawiała się, dlaczego w bibliotece nie ma ruchu przez cały rok ani kim są ci ludzie o złowrogich i tajemniczych twarzach, którzy przychodzą od czasu do czasu. Zjawiała się codziennie rano i ścierała kurz z książek, a resztę czasu poświęcała na robótki ręczne. Jednak najbardziej zdumiewające było jej doskonałe rozeznanie w księgozbiorze. Utrzymywała tak idealny porządek, że nawet słynący ze skrupulatności Stary Jenot nie mógł jej niczego zarzucić. Reseng zawsze patrzył z podziwem i niedowierzaniem na tę kobietę, która potrafiła bezbłędnie wskazać miejsce każdej książki, choć sama nigdy nie czytała.

Była najdziwniejszą bibliotekarką, jaką w życiu poznał. Od czasu do czasu napomykał o tym, co aktualnie czytał, a ona natychmiast odpowiadała monotonnym głosem, opierając podbródek na dłoni:

– Podobne książki są w C pięćdziesiąt cztery. Idź i zobacz sobie.

Oczywiście Reseng szedł prosto do działu C-54, czując się nieco zakłopotany i upokorzony.

Do niedawna zasoby biblioteki nie przekraczały dwustu tysięcy tomów. Stary Jenot regularnie zamawiał nowe tytuły, ale za każdym razem dokładnie tyle samo wyrzucał. Twierdził, że to konieczne, ponieważ brakuje dla nich miejsca, chociaż w Psiarni zmieściłoby się bez trudu jeszcze drugie tyle książek. Tak naprawdę chodziło o to, że musiałyby dokupić nowe regały, a nie miał najmniejszej ochoty ruszać z miejsca tych, które rozstawił dawno temu. Jak Reseng sięgał pamięcią, układ półek w Psiarni ani razu się nie zmienił. Tak samo jak metoda selekcji, którą stosował Stary Jenot. Nie brał pod uwagę nowych odmian literatury, jakie powstawały wraz z upływem lat. W efekcie książki, których nie dało się zaszeregować do żadnej z istniejących kategorii, odrzucał jako nieprzydatne, nawet jeśli były całkiem nowe.

Każdą z odrzuconych książek Stary Jenot owijał paskiem czarnego papieru, wydając na nie wyrok i odprawiając ceremonię pogrzebową. W podobny sposób wpisywano na listę śmierci sędziwych zabójców, którzy ginęli z rąk czyścicieli, kiedy nadszedł ich czas. Oczywiście długość życia książek zależała wyłącznie od decyzji Starego Jenota i nikt inny nie umiał pojąć, czemu niektóre z nich spotykał taki los. Raz na jakiś czas bibliotekarki wносиły je na dziedziniec i układały z nich stos. Stary Jenot mógł sprzedać te odrzuty w antykwariacie albo nawet w skupie makulatury, jednak wolał je palić w niedzielne popołudnia, kiedy biblioteka była zamknięta.

Reseng darzył szczególną sympatią te książki skazane na śmierć. Chociaż nie potrafił tego wyjaśnić, czuł, że zasługują na jego miłość. Wolno mu było wybrać z nich coś dla siebie, więc w niedzielne poranki siadał na kanistrze z benzyną i przeglądał stertę przygotowaną do spalenia, odkładając na bok to, co przypadło mu do gustu. Pozostałe książki, które straciły ostatnią szansę na ułaskawienie, wyglądały tak bezbronne i żałośnie, jak jeńcy przed

plutonem egzekucyjnym.

– Nie musisz ich palić – mówił za każdym razem. – Jakiś antykwariusz na pewno by je kupił.

A Stary Jenot za każdym razem odpowiadał tak samo:

– Każda książka musi się poddać swojemu przeznaczeniu.

Innymi słowy, przeznaczeniem książek zamkniętych w tym groteskowym i opuszczonym miejscu, gdzie nikt do nich nie zaglądał, był los znudzonych dwórek, których nietknięte dziewicze ciała usychały z tęsknoty i rozgoryczenia, a gdy były już stare, skazywano je na wygnanie.

Reseng żywił przekonanie, że biblioteka będzie istniała przynajmniej tak długo, jak długo przetrwają ludzie. Pokładał wiarę nie tyle w same książki, ile w półki, na których spoczywały, i cały gmach będący ich domem. Od dziesiątek lat racją bytu Psiarni były solidne drewniane regały wykonane z tych samych szlachetnych sosen, z których budowano pałace za czasów dynastii Joseon. Książki się zmieniały, ale te meble, dzieło cenionego stolarza z epoki kolonialnej, wciąż w idealnym stanie mimo swojego wieku, trwały niewzruszenie na swoim miejscu.

Przez pół godziny bibliotekarka dziergała bez przerwy na drutach. Ilekroć Reseng zapalał kolejnego papierosa, unosiła głowę i spoglądała na niego, groźnie marszcząc czoło. On jednak się tym nie zrażał i dalej palił. I tak już stracił nadzieję, że uda mu się z tą kobietą nawiązać nic porozumienia. Uważała go za prostaka, za to Hanja był w jej oczach elegancki i kulturalny.

– O której przyszedł Hanja? – zapytał.

– O wpół do dziesiątej – odparła bibliotekarka, nie odrywając wzroku od robótki.

– A ty jak długo tu jesteś?

– Od ósmej.

To go zdziwiło. Naprawdę nie rozumiał, po co przychodziła godzinę przed otwarciem biblioteki, skoro oprócz wycierania kurzu nie miała żadnych innych zajęć. Znów spojrzał na zamknięte drzwi gabinetu. Jeżeli Hanja zjawił się o wpół do dziesiątej, oznaczało to, że rozmawiał ze Starym Jenotem od ponad godziny. Ale o czym?

Ilekcioć Hanja spotykał się z jakimś wysoko postawionym urzędnikiem albo innym dygnitarzem, mówił mu, że Stary Jenot jest dla niego jak ojciec. Czasami pomijał słowo „jak” i po prostu nazywał go swoim ojcem. W branży zabójstw na zlecenie działał stosunkowo krótko i sięgająca dziewięćdziesiąt lat wstecz posępna tradycja Psiarni dodawała mu powagi. Skłonni do paranoi i łatwo wpadający w popłoch klienci starej daty, którzy siedzieli na wysokich stołkach, wciąż mieli zaufanie do Starego Jenota i jego rzetelnych metod pracy. Od czasu do czasu, gdy ludzie opowiadali, jak Hanja powołuje się na niego i winduje się dzięki jego renomie, Reseng zastanawiał się, czy rzeczywiście nie jest jego synem. Bądź co bądź, takiego potwora jak on mógł spłodzić tylko inny potwór.

Zapalając kolejnego papierosa, usłyszał dobiegający zza drzwi podniesiony głos. Uniósł głowę i napotkał spojrzenie zezowatej bibliotekarki. Patrzyła na niego oszołomiona. Kiedy rozległy się kolejne krzyki, obydwójce rozpoznali głos Starego Jenota. Po chwili z gabinetu wybiegł Hanja. Na jego poczerwieniałej ze wzburzenia twarzy, która zawsze była gładko ogolona, teraz odcinał się szary cień zarostu. Nawet włosy miał rozczochrane. Wszystko wskazywało na to, że pognał prosto do biblioteki, gdy tylko się dowiedział, że plan zabójstwa starego generała uległ zmianie. Reseng po raz pierwszy widział go w takim stanie. Po raz pierwszy również słyszał, jak Stary Jenot wydziera się niczym pijany marynarz. Jego bronią był sarkazm, nie krzyk.

Hanja zauważył Resenga i zatrzymał się gwałtownie. Spojrzał mu w oczy, a potem przeniósł wzrok na owiniętą w płótno drewnianą skrzyneczkę.

– Co to jest? – zapytał gniewnym tonem.

– Japońskie słodycze – odparł Reseng.

Hanja zgromił go wzrokiem i zacisnął zęby. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę go uderzyć, jednak zdołał się opanować i tylko prychnął pogardliwie. Nabrał tchu, żeby coś powiedzieć, ale najpierw zwrócił się do zezowatej bibliotekarki:

– Czy byłaby pani tak uprzejma i mogła zostawić nas samych? Muszę zamienić kilka słów z tym dżentelmenem.

Kobieta spojrzała na niego beznamiętnie, a kiedy lekko przechylił głowę, zerwała się z miejsca i przemówiła swoim piskliwym, podobnym do ptasiego świergotu głosem, którego używała, kiedy chciała być uprzejma:

– Ależ oczywiście, nie ma problemu!

Rzuciła swoją robótkę na biurko i znieruchomiła na chwilę, jakby nie była pewna, dokąd ma pójść. Wreszcie uśmiechnęła się z zakłopotaniem i pośpiesznie ruszyła w stronę wyjścia. Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, Hanja przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Resenga.

– Mógłbyś mnie poczęstować? – zapytał, wskazując na paczkę papierosów.

– Myślałem, że nie lubisz smrodu.

Hanja zmarszczył czoło. Zdecydowanie nie był w nastroju do przekomarzania się i wyglądał na wymizerowanego, jakby miał za sobą nieprzespaną noc. Wytrząsnął papierosa z paczki, którą Reseng przesunął w jego stronę, zapalił i zaciągnął się głęboko, a potem wypuścił wielki kłęb dymu.

– Tak dawno nie paliłem, że zakręciło mi się w głowie.

Potał oczy, jakby rzeczywiście dostał zawrotów głowy albo podrażnił go dym. Miał przekrwione białka. Sięgnął po papierosa i uniósł go do ust, żeby znów się zaciągnąć, ale zmienił zdanie i zdusił go w popielniczce. Wbił wzrok w drewnianą urnę.

– Prosiłem o ciało generała, a ty przynosisz mi tę skrzynkę. Nic mi po prochach – odezwał się po chwili. – Jak można spieprzyć tak proste zadanie?

Mówił cicho, łagodnym, wręcz przymilnym tonem. Reseng domyślił się, że Hanja próbuje go wysondować, żeby się dowiedzieć, dlaczego Stary Jenot wydał mu polecenie niezgodne z wolą mocodawców.

– Widzisz, ja tu jestem tylko cynglem, który wyrabia swoją dniówkę – powiedział, chcąc dać jasno do zrozumienia, że nie ma sensu go naciskać, bo i tak nic to nie da. – Takie pionki jak ja tylko wykonują polecenia, więc nie mam pojęcia, o co chodzi.

Sięgnął po swoje papierosy i zapalił kolejnego.

– Nie masz pojęcia... – Hanja zabębnił palcami o blat. – Ile wypalasz dziennie?

– Dwie paczki.

– Nie oglądasz telewizji? Rak płuc to najbardziej zabójczy z nowotworów, a jeśli kopcisz jak komin, prawdopodobieństwo zachorowania jest piętnaście razy większe. Masz to jak w banku.

– W tej branży raczej nie pożyję tak długo, żeby dostać raka.

Hanja parsknął śmiechem.

– Zabawny facet z ciebie – powiedział. – Zawsze byłem takiego zdania. Trudno cię przejrzeć, ale potrafisz mnie rozbawić. Chyba dlatego cię lubię. O tak, naprawdę porządny z ciebie gość.

Słuchając jego gadaniny, Reseng czuł przemożną ochotę, żeby strzelić go w zęby. Zgasił niedokończonego papierosa i zaraz zapalił następnego.

– To było zlecenie warte miliardy – ciągnął Hanja. – Coś tak wielkiego, że zwykli wyrobownicy jak ty nigdy nie zdołaliby sobie tego wyobrazić. Ale Stary Jenot musiał wszystko zawalić już na samym początku.

– Ojej, jaka szkoda. Tyle pieniędzy przepadło. Współczuję z całego serca.

– Na pewno uda mi się wszystko naprawić. W końcu to moja specjalność. Ale kto mi wynagrodzi ujmę na honorze i zszarganą reputację? Ten obrzydliwy stary kuternoga? Czy może taki podrzędny cyngiel jak ty?

Reseng poczuł obrzydzenie, słysząc w jego ustach tak górnolotne słowa jak „honor” i „reputacja”.

– Od kiedy twój zasrane honor jest ważniejszy od honoru generała? – zapytał.

– A na co trupowi honor? Zostawisz go, to zgnije w ziemi, tak jak powinien.

– Zadam ci to samo pytanie, kiedy trafisz do krematorium i Niedźwiedź będzie wsuwał cię do pieca.

– Tylko żebyś nie zapomniał. Mogę cię zapewnić, że usłyszysz od mojego trupa taką samą odpowiedź, jakiej udzielę ci dzisiaj. Jesteśmy ludźmi interesu. Po co robić coś tak głupiego, kiedy stawką są miliardy wonów? Gdybyś po prostu dostarczył mi ciało, tak jak sobie życzyłem, zamieniłbym je w chodliwy towar. A teraz politycy i dziennikarze mogą sobie z nim zrobić, co im się żywnie podoba. Mam to gdzieś.

– Nie rozumiem, czemu Stary Jenot toleruje takiego fiuta jak ty!

– krzyknął Reseng. – Powinieneś być jego przyjacielem.

Hanja roześmiał się z wyniosłością. Sprawiał wrażenie uradowanego, jakby nareszcie osiągnął upragniony efekt, do którego cały czas dążył, próbując wytrącić Resenga z równowagi i sprowokować do wyjawienia prawdy.

– Widzisz, mówiłem, że zabawny z ciebie facet – powiedział.

Hanja zamierzał sprzedać temat dziennikarzom. Chciał, żeby sprawa morderstwa pojawiła się w porannym wydaniu wiadomości i na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju. Śmierć generała, który uciekł z Północy i został grubą rybą południowokoreańskiego wywiadu! A rana w jego ciele, sądząc po rozmiarach, mogła pochodzić tylko od pocisku wystrzelonego z rosyjskiego kałasznikowa. Podejrzane morderstwo przy użyciu broni kojarzonej nieodmiennie z brudną robotą.

Dzień po znalezieniu ciała policja otoczyłaby dom starca żółtą taśmą i w odludnej na co dzień okolicy zaroiłoby się od zdeorientowanych śledczych i reporterów zdolnych wyolbrzymić każdy drobiazg. W wiadomościach telewizyjnych można by było zobaczyć, jak skrupulatne i zaawansowane technicznie są poszukiwania śladów na miejscu zbrodni, kiedy operator kamery deptał po piętach ekipie dochodzeniowej przeczesującej las centymetr po centymetrze. Ekran wypełniłaby wielka twarz eksperta o przeredzonych włosach i niezwykle poważnej minie. Prezentując dowody rzeczowe numer 1, 2, 3 i 4 – łuskę po naboju karabinowym, papierek po gumie do żucia, opakowanie po sucharach i ludzkie odchody – łysiejący ekspert zacząłby bredzić bez końca o niestabilnej sytuacji na arenie międzynarodowej i manewrach wojsk północnokoreańskich. Przez kolejne dwa dni telewizja emitowałaby niezliczone komentarze na temat papierka po gumie do żucia, opakowania po sucharach i ludzkich odchodów.



Ale na jaki efekt mocodawcy Hanji liczyli w czasach, kiedy można kupić sobie miejsce w promie kosmicznym, wylecieć na orbitę i przez pięć minut gapić się z rozdziawionymi ustami na Ziemię? Czy naprawdę chcieli rozdmuchać jeszcze jedną banalną aferę szpiegowską? Nie żeby ktokolwiek potrafił wyjaśnić, jaka była geneza tego planu i jego ostateczny cel. Nikt nigdy nie znał całej prawdy. W świecie likwidatorów wszyscy unikali informacji, które nie były absolutnie konieczne. Im lepiej ktoś był zorientowany, tym łatwiej mógł zginąć. Niewiedza zapewniała przeżycie. I nie wystarczyło udawać; naprawdę trzeba było nie mieć o niczym pojęcia. Po co zabójca miałby zadawać sobie trud, pytając kogoś, jak dużo wie, jeśli mógł po prostu nacisnąć spust? Dlatego każdy tkwił w swoich ciasnych opłótkach i nie wychylał się ponad potrzebę. Wystarczyło połączyć ze sobą odpowiednią liczbę takich małych poletek, żeby powstał plan, spleciony z absurdalnie rozległych i zawitych koneksji oraz niezliczonej rzeszy udziałowców. Może komuś chodziło o wywołanie lawiny i z przyczyn budżetowych postanowił doprowadzić do nagłego zawirowania, zabijając starego generała.

Tak czy inaczej, cały plan wziął w łeb. Ciało, które miało posłużyć do rozpętania burzy medialnej, spłonęło w piecu Niedźwiedzia, a z kupki popiołu nie dało się wycisnąć pieniędzy.

Hanja uznał, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Spojrzał na zegarek i wstał z krzesła.

– Pora na mnie. Przez ciebie wszystko szlag trafił, a to mnie wystawią za to rachunek.

– Przeze mnie? – zapytał Reseng, wybałuszając oczy.

– Jeśli wiedziałeś, że Stary Jenot zmienił plan, powinieneś był mnie ostrzec. Przede wszystkim to nie była twoja sprawa. Nie rozumiem, dlaczego się wychylasz i nadstawiasz za niego karku.

Hanja mówił tonem pełnym wyrzutu. Był o wiele spokojniejszy i bardziej rozluźniony, niż kiedy wypadł z gabinetu Starego Jenota. Jako wytrawny realista wiedział, jak naprawić tę porażkę. Może nawet już myślał o jakimś następnym wielkim przedsięwzięciu.

– A na wypadek, gdybyś nabrał błędnego przekonania o sobie – ciągnął – pozwól, że coś ci doradzę. Nie przeceniaj samego siebie. Jesteś nikim. Ta biblioteka to jedyne miejsce, w którym coś znaczysz. Gdy tylko stąd wyjdiesz, staniesz się jeszcze jednym skończonym zbirem z półświatka, cynglem jednorazowego użytku. Więc lepiej się pilnuj. I przystopuj z papierosami. Jeśli nadal będziesz wędził sobie płuca, wypalając dwie paczki dziennie, dostaniesz zadyszki, kiedy przyjdzie czas ratować się ucieczką.

Hanja znów uśmiechnął się z wyższością i przyglądał garnitur, szykując się do wyjścia.

– Aha, czy masz mój numer telefonu? – zapytał i uniósł ręce w przesadzonym geście, jakby zapomniał o jakimś ważnym szczególe. Z połączanego etui wyjął bilecik wizytowy i położył go przed Resengiem, który patrzył na niego w milczeniu. – Przyda ci się. Ta biblioteka już niedługo zwinie żagle, a ty powinieneś zacząć myśleć o swojej przyszłości i może nauczyć się trochę ogłady. Nie wygląda to najlepiej, kiedy zwracasz się do starszych w poufały sposób. Dobrze ci radzę.

– Z każdym tak rozmawiam, a ty nie jesteś dla mnie nikim wyjątkowym – odparł Reseng.

Zmiał kartonik, wepchnął go do popielniczki i zgasił na nim papierosa. Hanja przyglądał mu się przez chwilę. W końcu pokręcił głową, po czym wyjął drugą wizytówkę, ale tym razem wsunął ją do kieszeni marynarki Resenga i poklepał go po policzku.

– Dorośnij – powiedział. – Jak długo jeszcze zamierzasz nadrabiać urokiem osobistym, licząc na pobłażliwość?

Potem ruszył w stronę wyjścia, pogwizdując po drodze. Zatrzasnął za sobą drzwi i z zewnątrz dobiegł jego głos, kiedy zagadnął bibliotekarkę:

– Ojej, ale tu zimno! Tak mi przykro, że musiała pani czekać. Rozmowa trochę się przeciągnęła.

– Och nie, wcale nie jest tak zimno – odparła kobieta piskliwym tonem afektowanej nastolatki.

Reseng wyjął z paczki kolejnego papierosa, ale nie zapalił go, tylko zaczął mu się przyglądać. Co do jednego Hanja miał rację. Zabicie generała nie było zadaniem dla niego. Mocodawcy nie wykorzystują takich jak on, zabójców o wysokich kwalifikacjach, kiedy celem jest jedynie wywołanie rozgłosu. To była robota dla wypalonego cyngla bez szans na inne zlecenia albo dla jakiegoś szczeniaka jednorazowego użytku, który jest świeżo po szkoleniu wojskowym i nie ma pojęcia, jak to wszystko funkcjonuje.

Ilekcroć znajdowano zwłoki ofiary, policja szukała przede wszystkim tego, kto nacisnął spust. Ostatecznie nic więcej śledczych nie obchodziło. Kiedy udawało im się schwytać mordercę, wmawiali sobie, że sprawa została rozwiązana. Ale gdyby się nad tym zastanowić, nie ma najmniejszego znaczenia, kim jest człowiek, który nacisnął spust. Można by nawet powiedzieć, że w przypadku morderstwa jest to najmniej istotna kwestia. Nie liczy się, kto strzelał, lecz kto kazał strzelać. Mimo to w długiej historii skrytobójstwa ani razu nie udało się wskazać żadnej z tych tajemniczych postaci.

Ludzie wierzą, że to Oswald zabił Kennedy’ego. Ale czy taki półgłówek potrafiłby tego dokonać? Podczas gdy prasa i policja były zajęte oskarżaniem Oswalda, mocodawcy i organizatorzy zamachu, którzy mieli na sumieniu śmierć prezydenta, zdążyli się rozproszyć i spokojnie wrócili do swoich bezpiecznych domów,

gdzie zasiedli w wygodnych fotelach przed telewizorami i popijając szampana, oglądali wiadomości. Trzy dni później, kiedy ten pajac Oswald zginął z ręki innego trzeciorzędnego cyngla, jak zakładał plan, policja rozłożyła ręce. No bo co teraz możemy zrobić, mówili śledczy, kiedy sprawca nie żyje? Życie to jedna wielka komedia. Wystarczy, żeby zamachowiec trafił do aresztu, a likwidatorzy uciszyli go na zawsze.

Policja wpada na trop zabójcy, przesłuchuje go i torturuje. Naiwniak, który bezmyślnie nacisnął spust, staje się sławny prawie tak szybko, jak jego pocisk trafia w cel. Wszyscy, którzy go znają, nie kryją zaskoczenia i przestachu, dowiedziawszy się, że był zdolny do czegoś tak okropnego. Dziennikarze wygrzebują wszystko na jego temat, docierają do powiązanych z nim osób, choćby tylko powierzchownie, i publikują ich zdjęcia z zamazanymi twarzami w trosce o prywatność – słowem, robią z naiwniaka legendę. A on sam nie ma nawet pojęcia, co zrobił. Bo niby czemu mocodawcy mieliby ujawniać tak ważne informacje komuś, kto jest już spalony albo wkrótce będzie? Instrukcje, które słyszą zamachowcy, brzmią zawsze tak samo, bez względu na kraj i epokę: Kto kazał ci myśleć? Zamknij się i strzelaj.

Reseng zapalił papierosa. Dotarło do niego, że gdyby nie skremował zwłok starego mężczyzny, w tej chwili również byłby już trupem. Ciekawe, jaką minę miałby Niedźwiedź, gdyby to jego ciało wpychał do pieca? Czy ten facet o wyglądzie przerośniętego pluszowego misia zapłakałby po nim? Czy kłaniałby się w pas, przyjmując od Hanji kopertę z honorarium, żeby dwukrotnie przeliczyć jej zawartość, a widok gotówki osuszyłby jego łyżę? Reseng zaciągał się po raz drugi, kiedy wróciła zezowata bibliotekarka, dygocąc z zimna. Otuliła się swetrem, który wisiał na oparciu fotela, po czym przykucnęła obok grzejnika i zaczęła rozcierać ręce. Upłynęło trochę czasu, zanim się wyprostowała

i usiadła za biurkiem.

– Do jasnej cholery, mam już dosyć tego palenia! – krzyknęła z odrazą.

Reseng zgasił papierosa i spojrzał w stronę gabinetu. Drzwi nadal były zamknięte. Nie mógł się zdecydować, czy wejść do środka już teraz, czy zaczekać, aż Stary Jenot się uspokoi.

– Co byś zrobiła, gdyby biblioteka zakończyła działalność? – odezwał się.

– Biblioteka kończy działalność? – zapytała kobieta.

Wyglądała na zszokowaną.

– Nie. G d y b y zakończyła.

– Znalazłabym jakiegoś sympatycznego faceta i wyszłabym za mąż – odparła bibliotekarka po chwili zastanowienia.

– Hm, sympatycznego faceta... – powtórzył Reseng jej słowa. – A co powiesz na mnie?

Spojrzała na niego, jakby postradał rozum.

– Co z tobą? Upadłeś na głowę, kiedy mnie nie było?

Mówiła tak głośno, że każde jej słowo odbijało się echem od sklepienia. Reseng się roześmiał. Zabrał urnę i ruszył w stronę gabinetu.

Ku jego zaskoczeniu Stary Jenot wcale nie był zdenerwowany. Siedział w swoim fotelu z tą samą encyklopedią co zwykle i czytał ją na głos niewzruszonym tonem. Reseng nie potrafił tego zrozumieć. Jaki sens ma czytanie w kółko jednej książki? Zamknął za sobą drzwi i podszedł do stolika do kawy. Chociaż nie zrobił tego celowo, rozległ się głośny stukot, kiedy postawił urnę na szklanym blacie. Dopiero wtedy Stary Jenot oderwał wzrok od książki i spojrzał na niego.

– Po co zostałeś tam dzień dłużej? – zapytał.

W jego głosie nie było gniewu ani oskarżycielskiego tonu, a jedynie ciekawość.

– Generał zaprosił mnie na kolację – odparł Reseng.

Spodziewał się kolejnego pytania, ale Stary Jenot tylko pokiwał głową i odłożył okulary na biurko. Podszedł do stolika, odwinął białe płótno i obejrzał drewnianą skrzyneczkę, po czym delikatnie przejechał po niej dłonią i podniósł wieczko. Rozchylił papier, w który zawinięte były szczątki starca i Santy, nabrał trochę popiołu i przesypał go między palcami. Prawdopodobnie od razu wyczuł, że jest ich więcej i mają nieco inną konsystencję, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Tchórzliwy właściciel krematorium mógł już do niego zadzwonić i przyznać się do spalenia psa, żeby chronić własny tyłek.

– Niedźwiedź rozdrobnił je naprawdę dokładnie – rzekł Stary Jenot i był to jego jedyny komentarz. Zamknął urnę, owinął ją z powrotem w płótno i postawił na biurku. – Przeczekaj kilka dni w ukryciu. Nic nie rób – zwrócił się do Resenga.

Oznaczało to, że nie ma do niego najmniejszych zastrzeżeń.

– Hanja mocno się wkurzył.

Stary Jenot parsknął śmiechem.

– O co miałyby się wkurzać? Dostał to, czego chciał.

Reseng przechylił głowę i spojrzał na niego zdumiony.

– Ale twierdzi, że zmarnowaliśmy mu interes wart miliardy wonów...

– Naprawdę myślisz, że zaufałby nam, gdyby chodziło o tak wysoką stawkę? Zapewniam cię, że jest na to zbyt inteligentny. Teraz się cieszy, bo wreszcie ma powód, żeby chodzić i rozpowiadać starym prykom z rządu, że Psiarnia nawaliła.

Reseng usłyszał rozbawienie w głosie swojego mentora, ale nie miał pojęcia, z czego się tu śmiać.

– Czy biblioteka zostanie zamknięta? – spytał. – Hanja próbował mnie nastraszyć, mówiąc, że to koniec Psiarni.

Stary Jenot zamyślił się i po chwili na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

– Jeśli będę musiał ją zamknąć, to zamknę – odparł beznamyślnie. – Czego się tu obawiać? Zresztą i tak cała ta biblioteka nigdy nie przysparzała mi chwały.

A więc zamierzał zamknąć bibliotekę, o którą dbał od sześćdziesięciu lat? To było niepojęte. Mówił o tym spokojnie i bez owijania w bawełnę, jakby przygotowywał się na ten moment od bardzo dawna. Może dlatego wydawał się również taki zdeterminowany.

Wszyscy mówili, że Stary Jenot przyszedł na świat w tej bibliotece i spędził w niej całe życie. To nie była przenośnia. Rzeczywiście się tam urodził jako syn konserwatora, który mieszkał w przybudówce i zawsze był pod ręką, kiedy przeciekał dach, nawaliła instalacja elektryczna albo zatkała się rura. W dzieciństwie zapadł na polio, stąd trwały niedowład nogi, a jako sześciolatek zaczął pracować w bibliotece, gdzie zajmował się sprzątaniami. Kiedy miał piętnaście lat, został bibliotekarzem. Stary Jenot nie tylko był inwalidą, ale nie ukończył nawet szkoły podstawowej, mimo to w jakiś tajemniczy sposób zdołał przekonać urzędników kolonialnych, którzy ukończyli Uniwersytet Cesarski Keijo w Seulu albo studiowali w Japonii, żeby sześć lat później mianowali go starszym bibliotekarzem, a następnie dyrektorem biblioteki. Przypuszczalnie ich zdaniem było to zbyt nudne zajęcie, aby ktoś inteligentny mógł mu poświęcić całe swoje życie. A może po prostu zbyt niebezpieczne.

Przez chwilę Stary Jenot uważnie przyglądał się urnie. Nagle zdał sobie sprawę, że jego wychowanek patrzy na niego, i z powrotem przeniósł wzrok na encyklopedię, było jednak oczywiste, że nie czyta. Nie założył okularów. Kiedy tak wpatrywał się tępo w otwartą książkę, wyglądał na dużo starszego.

– Pójdę już – odezwał się Reseng.

Stary Jenot spojrział na niego i pokiwał głową.

Po wyjściu z gabinetu Reseng zorientował się, że zezowata bibliotekarka zniknęła. Pomyślał, że wyszła na lunch, i usiadł w jej fotelu. Na biurku leżały druty i kłębek czerwonej włóczki. Za przegródką kryła się kolekcja około dziesięciu buteleczek lakieru do paznokci, uporządkowanych według koloru, małe puderniczka i zestaw do makijażu w walizeczce podobnej do tych, których używają charakteryzatorzy na planie filmowym. Obok stał plastikowy organizator na przybory biurowe. Nalepka na każdej z szufladek informowała o jej zawartości: SPINACZE, ZSZYWKI, NÓŻ, NOŻYCZKI, LINIJKA. Reseng otworzył pierwszą z nich i przekonał się, że faktycznie w środku leżą spinacze. Większą część blatu zajmowały maskotki – Myszka Mickey, Kubuś Puchatek, panda i wiele innych. Nie zabrakło też porcelanowej figurki manekineko. Sprawiały wrażenie, jakby były tam od zawsze i każda zajmowała miejsce przeznaczone specjalnie dla niej. Reseng trącił palcem uśmiechającego się idiotycznie Kubusia Puchatka w czerwonej koszulce, spod której wystawał okrągły brzuch.

Biblioteka nie uzupełniała już swoich zbiorów. Przed dwoma laty, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w krematorium Niedźwiedzia spłonęło ciało Chu, Stary Jenot przestał kupować książki, a nawet zrezygnował z regularnych zamówień. W zasadzie nie musiał już zatrudniać bibliotekarki. Potrzebował tylko sekretarki albo sprzątaczkę. Osoby, która będzie odbierać telefon,



wyrzucać śmieci i od czasu do czasu ścierać kurz z półek.

Reseng wstał i zaczął przechadzać się powoli wzdłuż półek zastawionych starymi książkami, do których nikt nie zaglądał od dziesiątków lat i które były tak wyschnięte, że wystarczyłaby jedna zapalka, by zamienić je w pochodnie. Wodząc palcami po ich grzbietach, poczuł się, jakby wrócił do miejsca, w którym bawił się jako dziecko. Przystanął i sięgnął po jeden z tomów – *O pochodzeniu wszystkiego*. Obejrzał okładkę i przerzucił kilka kartek. W dawnych czasach pewnie zaczęłyby czytać, ale teraz nawet nie próbował zagłębiać się w tekst. Nie był zainteresowany książką i nie liczył, że znajdzie w niej coś cennego. Po prostu przeglądał ją z przyzwyczajenia. Jedna ze stron zaczynała się od zdania: „Cebula jest pierwszym warzywem, jakie zjadł człowiek”. Nie było w nim nic głębokiego ani pouczającego. Cały jego przekaz ograniczał się do tego, co wyrażały słowa. Książka zawierała wiele podobnych zdań: „Rozkładany fotel jest wynalazkiem Benjamina Franklina” albo: „Pierwszym narzędziem w dziejach ludzkości jest młotek”.

– Stary Jenot byłby zachwycony – mruknął Reseng i zachichotał.

Odłożył książkę na miejsce i rozejrzał się dookoła. Stare drewniane regały lśniły w promieniach słońca, które sączyło się między listwami żaluzji w oknach na piętrze. Tak wygląda biblioteka u kresu swoich dni, pomyślał. Lata jej świetności dawno przeminęły. Może, tak jak powiedział Hanja, pora już zamknąć ten rozdział. Wszystko tutaj było zbyt stare, żeby nadążyć za zmianami, jakie zachodziły w branży. Do przeszłości należały czasy młodszej bez troski, która pozwalała bez narzekania podejmować się trudnych i niebezpiecznych zadań i bezbłędnie je wypełniać. Czasy, w których klienci z kieszeniami wypchanymi gotówką walili drzwiami i oknami, przynosząc dobrze płatne zlecenia. Czasy, w których nawet rządowi oficjale musieli się liczyć ze Starym Jenotem, a jedno jego słowo wystarczyło, żeby cały

półświatek chodził jak szwajcarski zegarek. Te czasy bezpowrotnie minęły. Kiedy przestały przychodzić nowe książki, skończyły się również prestiżowe kontrakty.

Stary Jenot od samego początku powinien być przygotowany na dzień, w którym utraci swoją pozycję. Powinien był zostać współnikiem jakiejś liczącej się na rynku firmy albo, gdyby mu to nie odpowiadało, zawrzeć układ z Hanją i przekazać mu swoją listę klientów. Jeżeli nie chciał, żeby pewnej nocy dopadła go w ciemnym zaułku banda nożowników i żeby jego ciało wyłowiono z kanału, powinien był przynajmniej odłożyć trochę pieniędzy. Albo tak jak inni pomyśleć o bezpiecznym schronieniu i kupić sobie dom w Szwajcarii czy na Alasce. Tymczasem Stary Jenot siedział w swojej podupadającej bibliotece i czytał encyklopedie. Zostały mu tylko te stare książki – tak stare, że nawet handlarz starzyzną kręciłby na nie nosem.

Teraz jego los zależał od kalkulacji Hanji, który miał nadzieję, że zdoła jeszcze coś z niego wydusić, i tylko dlatego pozwolił mu żyć tak długo. Nie ulegało wątpliwości, że w chwili, gdy jego wartość w bilansie Hanji spadnie do zera, będzie martwy.

– Kiedy biblioteka zakończy działalność, moje życie też się skończy?

Reseng roześmiał się i uniósł brwi. Wszedł na piętro i zajrzał do kąta przy zachodniej ścianie. Krzeselko i mały stolik, przy którym kiedyś czytał książki, wciąż tam stały. Biblioteka była jedynym miejscem, w którym zdobywał wiedzę, gdyż nie chodził do szkoły, a z braku kolegów zastępowała mu również plac zabaw. Większość dzieciństwa spędził na zabawie między regałami i ślęczeniu nad książkami.

Patrząc z perspektywy czasu, jego dzieciństwo przepełniały bez reszty marazm i apatia. Nie doświadczył ze strony dorosłych ani

odrobiny życzliwości, której nie brakowało innym dzieciom. Większość jego wspomnień ograniczała się do labiryntu starych regałów, kurzu osiadającego na półkach i wiecznie pogrążonego w lekturze Starego Jenota. Usilnie zabiegał o przyjaźń bibliotekarek, one jednak szybko traciły pracę i odchodziły, a wszyscy zabójcy, tropiciele i informatorzy, którzy odwiedzali to miejsce, zachowywali się opryskliwie i nigdy z nim nie rozmawiali. Niektórzy spośród tych ludzi nadal żyli, niektórzy już dawno gryźli piach, a inni byli tak mrukliwi i zamknięci w sobie, że trudno ich było odróżnić od martwych.

Po incydencie w dziewiąte urodziny Resenga Stary Jenot nigdy więcej nie rozmawiał z nim o czytaniu. Nie mówił mu, po które książki powinien sięgnąć, a których unikać. Nie interesował się nim, podobnie jak własnym życiem. Z księgozbioru nikt nie korzystał. I gdzieś w zakamarkach tej pustej biblioteki upływało dzieciństwo Resenga, tak obojętne wszystkim jak i książki, które niczym nie różniły się od kaktusa stojącego na półce.

Reseng zaczął czytać z nudów. Czytał nie dlatego, że lubił książki. Czytał, bo w przeciwnym razie czułby się zbyt znudzony albo zbyt samotny. Jako dziewięciolatek samodzielnie nauczył się alfabetu i dorastając w bibliotece, nie miał innego wyjścia, jak czytać. Kiedy miał siedemnaście lat, wykonał swoje pierwsze zlecenie i za zarobione pieniądze wynajął małe mieszkanie. Wystarczyło mu jeszcze na elektryczny garnek do gotowania ryżu, miseczki, stolik i sztucce. W tym garnku po raz pierwszy w życiu sam ugotował sobie ryż.

Reseng spojrzał w dół z okna na piętrze, przez które wpadały promienie południowego słońca. Bibliotekarka jeszcze nie wróciła z lunchu, a drzwi gabinetu były nadal zamknięte. Rozejrzał się dookoła, omiatając wzrokiem regały. Rzędy uśpionych książek były milczące i nieruchome jak morze spowite mgłą. Nagle wydało mu

się nieprawdopodobne, że to spokojne miejsce od dziewięćdziesięciu lat służyło za siedzibę gildii likwidatorów. To właśnie w tym budynku zapadały decyzje o czyjejs śmierci, to tutaj powstawały plany zamachów i niewyjaśnionych zaginięć, upozorowanych wypadków i porwań. Dziwił się, jak ktoś mógł dokonać takiego wyboru. Przecież to istne szaleństwo. Więcej sensu miałyby kierowanie tym odrażającym procederem z biura Cechu Rzemiosł Pralniczych albo Stowarzyszenia Hodowców Drobiu. Czemu akurat biblioteka? Biblioteki to zaciszne i wypełnione książkami miejsca. Czy książki kiedykolwiek wyrządziły komuś krzywdę?

---

# Piwny ciąg

---

Reseng otworzył puszkę piwa, podszedł go okna i zapalił papierosa.

Było wpół do ósmej rano i w wąskiej uliczce, przy której ciągnęły się rzędy trzypiętrowych bloków z czerwonej cegły, roiło się od ludzi idących do pracy. Panowała osobliwa aura. Po jednej stronie słabe promienie słońca przedzierały się zza chmur, za to po drugiej padał deszcz. A właściwie nie tyle padał, ile wirował w powietrzu. Przechodnie w wyprasowanych garniturach z niezadowoleniem spoglądali w niebo, nie mogąc się zdecydować, czy otwierać parasole. Reseng pociągnął łyk z puski na cześć tych, którzy musieli iść do pracy w tak kapryśną pogodę.

Chociaż nie wszyscy muszą podzielać tę opinię, tak naprawdę piwo jest idealnym napojem na śniadanie. Po całym dniu ciężkiej pracy puszka piwa stanowi zasłużoną nagrodę, która przynosi orzeźwienie i rozluźnienie. Z samego rana zaś sprawia, że czujemy melancholię i zawroty głowy, dopadają nas zdrotne myśli i nie mamy ochoty zachowywać się tak, jak przystoi odpowiedzialnemu dorosłemu człowiekowi, kiedy wzejdzie słońce. Reseng uwielbiał to poczucie nieodpowiedzialności, które go ogarniało, kiedy zaczynał dzień od piwa. Obserwując ludzi za oknem, miał wrażenie, że za sprawą tego poczucia ostrze jego sarkazmu zwraca się przeciwko niemu. Widzę, że czerpicie z życia pełnymi garściami, myślał. A jeśli chodzi o moje życie, do cholery z nim!

Wypił kolejny łyk. W takie poranki, kiedy złopał piwo i gapił się na przechodniów, w jego głowie pojawiały się surrealistyczne wizje. Wyobrażał sobie, że leży w trumnie i zastanawia się, co zjeść na kolację. Jest martwy, ale burczy mu w brzuchu tak samo głośno jak za życia. Jak to możliwe? Przecież trup nie może być głodny. On jednak odczuwa głód, ale nikt nie podaje mu jedzenia. Wszyscy

żałobnicy rozmawiają o nim.

– To był naprawdę kawał gnoja, nie?

– O tak, skończony dupek.

I tak w kółko.

– Wiem, że nie wypada tego mówić przy nieboszczyku, ale trzeba przyznać, że był z niego kutas. Kto to widział, żeby taki smarkacz zwracał się poufale do ludzi starszych od niego? I nigdy mi nie podziękował za to, co dla niego zrobiłem.

Reseng rozpoznaje głos Niedźwiedzia. Ma wielką ochotę trzepnąć go w ucho za to, że wygaduje o nim takie rzeczy, ale nie może. Jest trupem.

Dokończył papierosa, zapalił następnego i połknął tabletkę aspiryny, obficie popijając piwem. Aspiryna, papieros i piwo. Czuł się ociężały i zamroczony, jakby jego głowę wypełniał potężny tuman mgły. Przynajmniej raz w roku bez najmniejszego powodu ogarniał go lęk i jego nastrój trafiał szlag. Ilekroć do tego dochodziło, zaczynał dzień od puszki piwa. Nie wychodził z domu, słuchał muzyki, siedział skulony na parapecie i pił od rana do wieczora.

Reseng dopił piwo, zgniótł puszkę i rzucił ją na stół. Wylądowała z brzękiem obok dwóch innych, które zdążył już opróżnić. Między zgniecionymi puszkami leżała bomba. Wziął ją do ręki. Była mniejsza od pudełka zapalek i kiedy ją znalazł, pomyślał z ulgą, że coś tak małego nie mogłoby przecież wyrządzić wiele szkody. Jednak właściciel sklepu z artykułami żelaznymi tylko rzucił na nią okiem i wyprowadził go z błędu.

– Więc mówisz, że gdzie ją znalazłeś?

– W muszli klozetowej.

– To mogło ci urwać dupę.

– Taki drobiazg?

– Wewnątrz muszli jest większe ciśnienie. To tak, jakby wybuchła ci petarda w zaciśniętej dłoni. Generalnie, kiedy siadasz na kiblu, zatykasz szczelnie otwór, stwarzając idealne warunki, w których taki ładunek może spowodować maksymalne spustoszenie.

– Mówisz, że to mogło mnie zabić?

– A widziałeś, żeby ktoś przeżył bez dupy?

– Więc to nie była tylko groźba czy ostrzeżenie?

– Nie, jeśli ładunek miał eksplodować. Ale trudno powiedzieć, czy do tego by doszło. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Bomba jest wodoodporna i ma specjalny zapalnik chemiczny, który się uruchamia, kiedy srasz. Ilość materiału jest tak obliczona, żeby urwało ci dupę. Ale równie dobrze może to być atrapa. Trudno powiedzieć. Chociaż mogę stwierdzić, że to dzieło amatora, bo zawodowcy tak nie płaczą kabli. To zbyteczne. –

Właściciel sklepu podniósł bombę do światła, żeby obejrzeć ją jeszcze raz. – Naprawdę sprytne! Kto mógł zrobić takie cacko? Żaden z ludzi, z którymi miałem do czynienia, nie jest tak pomysłowy. Chętnie bym poznał tego gościa.

Reseng spojrział na sklepikarza spode łba. Zaczął chodzić po sprawunki do tego sklepu jako dwunastolatek, co oznaczało, że znał właściciela od dwudziestu lat. Okazało się, że omal nie zginął i najprawdopodobniej figuruje na liście śmierci, mimo to facet niespecjalnie się tym przejął. Dla niego Reseng nie różnił się niczym od rzeszy innych klientów, którzy zostali zlikwidowani.

– W każdym razie można założyć, że to nie jest robota władz? – zapytał.

– Trudno powiedzieć. W dzisiejszych czasach jest tylu zabójców



do wynajęcia, firm i patronów, że nie sposób za nimi nadążyć. A ty jak myślisz?

– Powinienem być już martwy z tylu powodów, że nie potrafię ich zliczyć. W końcu działałem w tej branży od piętnastu lat. –

Reseng wyciągnął rękę, dając właścicielowi sklepu do zrozumienia, że ma się zamknąć i oddać mu bombę.

– No cóż, wygląda na to, że tym razem ci się udało.

– Błogosławione niech będzie zaparcie.

Reseng znalazł bombę mniej więcej przed tygodniem. Po powrocie do mieszkania wyczuł, że zmienił się zapach. Jego koty, które zawsze podbiegały do drzwi, tym razem nie ruszyły się z miejsca. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś złożył mu wizytę pod jego nieobecność. Przez chwilę stał nieruchomo, żeby zapamiętać obcą woń, która unosiła się w powietrzu. Czy to były perfumy? Jakiś kosmetyk? Naturalny zapach ciała? Aromat był zbyt słaby, żeby dało się go rozpoznać. Tak czy inaczej, intruz musiał być amatorem. Zawodowcy nigdy nie zostawiają takich śladów.

Reseng ostrożnie otworzył szafkę, wyjął pojemnik z proszkiem daktyloskopijnym i rozsypał go na korytarzu przed drzwiami. Jego oczom ukazał się odcisk nieznanego buta. Sportowa podeszwa, rozmiar na oko czterdzieści albo niewiele więcej. To mogła być równie dobrze kobieta, jak i bardzo drobny mężczyzna. Na podłodze w przedpokoju nieproszony gość nie pozostawił śladów. Wykazał się grzecznością i zdjął buty przed wejściem.

– Co za kultura – mruknął Reseng.

Wszedł do salonu i wolno potoczył wzrokiem dookoła. Wyszedł z założenia, że intruz mógł coś zabrać albo poprzestawiać. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się takie samo. Dopiero po

chwili zauważył, że książki na biurku są ułożone w odwrotnej kolejności. Pamiątka po Chu, nóż kuchenny, który zawsze spoczywał na trzeciej półce od dołu, przeniósł się półkę niżej, a zabawka dla kota w kształcie wędkę leżała na stole, choć swoje stałe miejsce miała w jednej z przegródek sortownika na listy. Reseng przeszedł do kuchni i ze zdumieniem wziął do ręki kubek, który jeszcze połyskiwał od wody. Leżąca obok ściereczka też była wilgotna. Ktokolwiek złożył mu wizytę, zachowywał się co najmniej zaskakująco.

Nieproszony gość przejrzał po kolei jego książki, które piętrzyły się na biurku, zaczynając od tej na szczycie sterty. Czyżby miał aż tyle czasu? Zadał sobie trud, włamując się do jego mieszkania, tylko po to, żeby zobaczyć, co Reseng czyta? To nie miało sensu. Poza tym bez wyraźnego powodu dotykał wielu przedmiotów i najprawdopodobniej próbował nawet bawić się z kotami, poszedł do kuchni, gdzie zaparzył sobie kawę, a potem umył kubek. Nikt normalny tak się nie zachowuje.

Resenga nie było w domu ponad dwie godziny. W poniedziałki, środy i piątki o czternastej zawsze chodził na basen. Rzadko opuszczał treningi. Intruz prawdopodobnie to sprawdził, zanim złożył mu wizytę. Kimkolwiek był, musiał dokładnie znać jego plan dnia, a to oznaczało, że maczał w tym palce jakiś likwidator. Pierwszym krokiem likwidatorów było zapoznanie się ze zwyczajami przyszłej ofiary. Kiedy Reseng wyszedł tego popołudnia, nieproszony gość miał sporo czasu, aby bez przeszkód buszować w jego mieszkaniu. Nie dlatego zostawił ślady, że był amatorem, ale po prostu nie zależało mu na ich zacieraniu. Chciał zostawić wiadomość: zastanów się dobrze, co mnie tu sprowadziło.

Reseng długo stał na środku salonu, zanim podjął decyzję. Nie przyszła mu łatwo, ale w końcu włączył wszystkie lampy i zaczął metodycznie przetrząsać całe mieszkanie. Obejrzał każdy centymetr

kwadratowy ścian w poszukiwaniu rozdarć albo śladów noża na tapecie, a potem zbadał w taki sam sposób podłogę i sufit. Sprawdził wnętrze piekarnika i wszystkich szafek kuchennych, a także lodówki i zamrażarki. Wysypał zawartość wszystkich szuflad, otworzył każde pudełko, zajrzał do szafy z ubraniami, za biblioteczkę, do pralki i pod łóżko. Na koniec skontrolował zegar ścienny, framugę okna, lampy i zasłony. Niczego nie znalazł.

Spojrzał przez okno na zachodzące słońce. A jeśli rzeczywiście trafił na listę jakiegoś likwidatora? Miał pustkę w głowie, jakby jego mózg otoczyła chmura smogu. Wiedział, że musi coś wymyślić, ale czuł się tak, jakby nagle opuściła go zdolność myślenia. Ktoś się do niego włamał, a nie było to pierwsze lepsze mieszkanie, tylko mieszkanie zabójcy. Na pewno nie zrobił tego dla hecy. Musiał zainstalować podsłuch albo ładunek wybuchowy.

Reseng zaczął od nowa przetrząsać mieszkanie, chociaż nadal nie miał pojęcia, czego właściwie szuka. Tym razem jednak był o wiele dokładniejszy. Wysypał kawę z puszki i przyprawy ze wszystkich słoiczków, a potem opróżnił kosz na śmieci i obejrzał dokładnie każdy z odpadków. Zdjął pokrywę komputera, wymontował wszystkie elementy i sprawdził je jeden po drugim. Rozebrał na części radio, telewizor i młynek do kawy. Wyjął całą zawartość lodówki i rozdarł wszystkie opakowania, a nawet rozciął zamrożoną rybę i przekroił każdy z zamrożonych pierogów. Obmacał każdą parę butów i wywrócił na lewą stronę kieszenie wszystkich ubrań wiszących w szafie. Zdjął książki z regału i przejrzał je po kolei, a nawet wyciągnął z kopert wszystkie rachunki i listy, żeby się upewnić, czy nic tam nie ma.

Słońce dawno już wzeszło, ale Reseng kontynuował poszukiwania. Od ponad dwudziestu godzin niezmordowanie patroszył cały swój dobytek i oglądał wszystko od środka, nie przerywając ani na chwilę, żeby coś zjeść albo się zdrzemnąć. Jego

mieszkanie wyglądało jak po wybuchu bomby, ale on nie zamierzał dać za wygraną. Od czasu do czasu nachodziła go myśl, że intruz mógł niczego nie zostawić. Ale ignorował ją i z grymasem wściekłości na twarzy ciął, rozrywał, dźgał i rozłupywał, by potem odrzucić na bok kolejny zniszczony przedmiot.

Gdy jego ofiarą padł zegar ścienny, chwycił nóż i zabrał się za materac. Zgrzyt ostrza, które natrafiło na sprężynę, przyprawił go o ciarki. Wyrwał kawałek gąbki, zajrzał do środka, a potem powiększył otwór. Wiedział, że to nie ma sensu, ale ciął dalej.

Promienie słońca prześliznęły się nad balustradą balkonu, oświetlając jego twarz. Reseng płakał. Zmrużył oczy mokre od łez, które ściekały po jego policzkach rozpalonych rumieńcem wstydu. Spojrzał na swoje dłonie. Miał połamane paznokcie, a w miejscu, gdzie skaleczył się nożem, z rozciętej skóry ciekła krew. Burczało mu w brzuchu. Przez dwadzieścia jeden godzin bez chwili wytchnienia wywracał do góry nogami swoje mieszkanie i teraz nie miał już siły, żeby zrobić sobie coś do jedzenia. Odrzucił nóż i śrubokręt, oparł się o rozprutą sofę i zasnął.

Obudził się po południu, kiedy jeszcze świeciło słońce. Podłoga w salonie była usiana kawałkami najróżniejszych sprzętów. Co jest ze mną nie tak? – zadał sobie pytanie, patrząc tęnym wzrokiem na spustoszenie, którego dokonał. Jednak ani jeden spośród niezliczonych głosów przekrzykujących się w jego głowie nie udzielił mu odpowiedzi.

Reseng wziął foliowy worek na śmieci i zaczął wkładać do niego kawałki zniszczonych przedmiotów. Były wśród nich starocie, jak również całkiem nowe rzeczy. Niektóre miały dla niego wartość sentymentalną, a na widok innych zastanawiał się, po co w ogóle je trzymał. Mimo to zgarniał wszystko i niczego nie odkładał. Do

spakowania wszystkiego zużył dwa tuziny dwudziestolitrowych worków, które wrzucił do kontenera przed blokiem. Obok postawił sofę i materac, z których sterczały wybebeszone sprężyny. Jeśli rzeczywiście był celem, ktoś mógł go w tej chwili obserwować. Mógł nawet zabrać jego śmieci. Ale Resenga to nie obchodziło. Już nie potrzebuję tych gratów, pomyślał, więc nie krępuj się i wsadź je sobie w dupę.

Likwidatorzy nigdy nie podejmowali żadnych działań bez powodu. Oczywiście, że wzięli go na cel. Czy wyjdzie z tego cało? Szczerze wątpił. Odkąd działał w tej branży, nie słyszał nigdy, żeby ktoś uniknął swojego losu. Zdarzało się, że niektórzy nie umierali od razu i udawało im się trochę odwlec nieuchronne. Ale dlaczego, do kurwy nędzy, stałem się celem? Zaśmiał się szyderczo. Głupie pytanie. Powinien raczej się zastanowić, jak zdołał przeżyć tak długo. Przetrwał piętnaście lat w branży, w której szczególną wagę przywiązuje się do zacierania śladów. Istniało aż nazbyt wiele powodów, dla których ktoś mógłby pragnąć jego śmierci. Gdyby nie renoma Psiarni i Starego Jenota, już dawno byłby martwy. Miał trzydzieści dwa lata. Stosunkowo niewiele, biorąc pod uwagę przeciętną długość życia, ale bardzo dużo jak na płatnego zabójcę. Jego koniec uległ odroczeniu. Idąc za przykładem starej Orin z *Ballady o Narayamie*, powinien wybić sobie zęby kamieniem i wyruszyć w góry na spotkanie ze śmiercią.

Gdy tylko Reseng skończył sprzątanie, zamówił dziesięć zgrzewek piwa. Za każdym razem, kiedy padał na niego blady strach, kiedy porywał go rwący nurt paniki, kiedy czuł, że zapada się w bezdenne bagno depresji, kiedy wracał do domu z czyjąś krwią na rękach albo kiedy stawał w obliczu problemów, ogarniało go to poczucie nieodpowiedzialności, a wtedy zamykał się w domu i pił piwo.

Wpadał w piwny ciąg.

Jeśli zamierzał raczyć się bez przerwy chłodnym i orzeźwiającym piwem, musiał poczynić odpowiednie przygotowania. Krok pierwszy: wyrzucić z lodówki całe jedzenie, żeby zmieściło się tam jak najwięcej puszek. Krok drugi: kupić tyle piwa, ile zdoła wypić. Krok trzeci: napełnić lodówkę piwem. Krok czwarty: przygotować orzeszki ziemne i suszone sardele, które powinien mieć pod ręką, żeby nigdy nie czuł się ani przejezdony, ani głodny. Przygotowania zakończone. Teraz wystarczyło wyjąć puszkę z lodówki, otworzyć ją, opróżnić i zgnieść.

Znalazł się na liście śmierci. Czy nie powinien czegoś zrobić? Od czasu do czasu między kolejnymi łykami w jego głowie przewijało się to pytanie. Ale nie przerywał picia. Na razie nie był zdolny do niczego więcej. Od czasu do czasu zjadał garść orzeszków albo patrzył na swoje odbicie w lustrze łazienkowym, kiedy sikał. Potem spuszczał wodę i otwierał kolejne piwo. Całe szczęście, że nie rozwaliłem lodówki, myślał pełen podziwu dla swojego rozsądku.

Bombę znalazł w drugim dniu pijaństwa, kiedy trzymał głowę w muszli i rzygał po raz trzeci. Trzy albo cztery wycieczki do Rygi były nieodzownym rytuałem, od którego rozpoczynały się obchody piwnego ciągu. Reseng wymiotował, pił piwo, potem znów wymiotował i pił jeszcze więcej. W końcu jego organizm przyzwyczajał się i torsje ustawały. Jego rzygowiny składały się jedynie z soków żołądkowych, piwa i kilku nadtrawionych rybich głów. Krztusząc się, wypluwał resztki żółci, kiedy jego uwagę zwrócił jakiś przedmiot tkwiący na dnie odpływu. Przyglądał mu się przez chwilę, zanim zanurzył rękę w muszli i go wyjął.

Trzymał w dłoni małą ceramiczną kostkę. Nie dało się jej zauważyć od razu, bo miała biały kolor jak muszla i była wykonana z tego samego materiału. Wyglądała jak hotelowe mydło. Nie miał wątpliwości, że to bomba. Pierwszym uczuciem, jakiego

doświadczył na jej widok, nie był szok ani strach, lecz ulga. Jego odkrycie nie miało w sobie nic, co mogłoby poprawić mu nastrój, ale wreszcie znalazł to, czego szukał.

Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się głos Jeongana, który pracował jako tropiciel.

– Popytałem tu i tam. Ludzie mówią, że siedem czy osiem lat temu w Belgii była na to moda.

– Na podkładanie bomb w sraczu?

– Nie, durniu! Ale to dopiero byłby przebój.

– No to o czym mówisz?

– Produkowano bomby o rozmiarach pigułki. Zbyt słabe, żeby rozsadzić muszlę, ale takie miniaturowe eksplozje powodowały spustoszenie, które wyglądało na efekt jakichś powikłań. Podobno KGB używała ich do likwidowania otyłych rosyjskich polityków z rozrusznikami serca albo pompami insulinowymi.

– Jaki to ma związek z bombą, którą znalazłem?

– Zasadniczo budowa jest taka sama. Wszystkie elementy, zapalnik i czujnik zostały wyprodukowane w Belgii, tylko materiał wybuchowy pochodzi z Ameryki. Możesz go kupić na pierwszym lepszym złomowisku. Ale wygląda, jakby złożono ją tutaj, i prawdopodobnie ma chińską obudowę. Nigdy nie widziałem takiego pomieszania z poplątaniem. Człowiek, który ją zrobił, musiał sprowadzić części z całego świata. Można je kupić na czarnym rynku, więc pewnie zamówił w sieci. Albo osobiście poleciał po nie do Belgii.

– No i jaki z tego wniosek? – zapytał Reseng, którego zaczynało ogarniać rozdrażnienie.

– Że na podstawie tego, co tu mamy, nie mogę powiedzieć, kto podłożył bombę w twojej muszli.

– Przecież na częściach są numery seryjne!

– A co ty myślisz, durniu, że gdy jeden artykuł ma numer seryjny, to od razu wiadomo, skąd się wzięły wszystkie inne? Te pochodzą z zaopatrzenia medycznego.

– Więc się dowiedz, kto ją zrobił.

– Masz pojęcie, ilu jest takich macherów? Wszyscy ukrywają się przed glinami, więc nie łudź się, że jeśli zaczniesz za nimi łązić, wybiegną ci naprzeciw z otwartymi ramionami. A swoją drogą czemu tak się interesujesz tą bombą? To chyba nie był twój sracz.

– To był mój sracz! Dlatego szukaj dalej! – krzyknął Reseng i odłożył słuchawkę.

Pociągnął kolejny łyk piwa. Wiedział, że tropiciel zajmie się jego sprawą dopiero wieczorem, kiedy się wyśpi. Jeongan pracował nocami, a sypiał w dzień. Nie był z natury sową, ale większość ludzi, z którymi miał do czynienia, działała wyłącznie w nocy. Kiedy inni mieszkańcy miasta wychodzili do pracy, on kładł się do łóżka. Dlaczego wszyscy w tej branży prowadzili nocny tryb życia? Przecież nikt ich nie zmuszał. To było wycieńczające, a im bardziej człowiek czuł się zmęczony, tym więcej tracił energii.

Reseng przejechał opuszkami po pustej obudowie, z której Jeongan wyjął wszystkie elementy. Spojrzał na nią z ukosa, zastanawiając się, kto mógł użyć takiej małej bomby. Czy naprawdę miała wybuchnąć? Czy naprawdę Reseng miał leżeć martwy na podłodze łazienki ze spodniami spuszczoneymi do kostek i krwawą miazgą w miejscu tyłka? Takie misterne cacko. Przypominało srebrne pudełeczko, w którym Hanja nosił miętówki.

Ale to nie była jego sprawa. Gdyby to Hanja chciał się go



pozbyć, zleciłby robotę Golibrodzie. W ciągu ostatnich kilku lat zawsze korzystał z jego usług, ilekroć jakiś zabójca miał wypaść z obiegu. Golibroda likwidował ich wszystkich, a Niedźwiedź palił zwłoki. To była najbardziej subtelna metoda. W końcu ludzie zaczęli pytać, co się stało z ofiarą, i dochodzili do wniosku, że nie żyje.

– Co tam ostatnio słyhać u Żaby? Taki zdolny z niego facet. Zrobił sobie urlop?

– Rzeczywiście, nie widziałem go całe wieki. Może nie żyje?

Zabójcy od czasu do czasu zapadali się pod ziemię dla własnego bezpieczeństwa i po dłuższej przerwie wychodzili z ukrycia. Czasami ktoś, kogo uważano za martwego, zjawiał się z powrotem cały i zdrowy. A czasami wszyscy byli przekonani, że ich znajomy żyje, ale na próżno wyczekiwali jego powrotu. Jednak nikt się nad tym zbytnio nie zastanawiał. Nikt się nie smucił, nie obchodził żałoby, a co więcej, nie przejawiał ani odrobiny zainteresowania.

W każdym razie Hanji najzwyczajniej w świecie brakowało czasu na takie komedie. Nie był ani dostatecznie pomysłowy, ani dowcipny, żeby użyć tak komicznej bomby. Nie miał za grosz poczucia humoru. Nie była to również sprawka agentów rządowych. Tacy jak oni nie pozwalali sobie na żadne wygłupy. Stosowali staroświeckie metody, brakowało im wyobraźni i nie byli ani trochę elastyczni. W takim razie kto? Kto zainstalował ten cholerny ładunek wybuchowy w jego muszli? Reseng nie potrafił sobie odpowiedzieć.

Wypił kolejny łyk piwa. Musiał wyteńczyć umysł, ale miał mętlik w głowie. Co się z tobą dzieje? – pomyślał. Nie widzisz, że twoje życie wisi na włosku? Jednak odnalezienie bomby nie przerwało piwnego ciągu. Cały czas trzymał w dłoni puszkę.

Wiele razy był w niebezpieczeństwie. Zdarzyło mu się już

spartaczyć robotę i zostawić ślady. Przez pewien czas obserwator śledził każdy jego ruch. Dostał nawet list z upomnieniem od mocodawcy, bo nie wykonał polecenia. Ale nigdy nie był celem. Nikt nigdy się do niego nie włamał. Czy Stary Jenot o tym wiedział? Jeszcze kilka lat temu każdy likwidator musiałby uzyskać jego zgodę, żeby zabić Resenga. Ale czy teraz, kiedy właściciel biblioteki tracił swoją pozycję w branży, mogło się obejść bez tego? A może ktoś wydał wyrok na nich obu i mieli zginąć w tym samym czasie?

Ale dlaczego od takiej komicznej bomby?

W świecie likwidatorów zabójstw dokonywano w dyskretny i prosty sposób. Nikt nie uciekał się do potężnych eksplozji jak w filmach, a makabryczne wypadki samochodowe albo grad kul z broni maszynowej należały do rzadkości. Śmierć była tak cicha jak płatek śniegu, skradała się niezauważalnie niczym kot. Zabójstwa prawie nigdy nie wychodziły na jaw, a skoro nie było podejrzeń o popełnienie zbrodni, nie było śledztwa. Oczywiście pozwalało to również uniknąć rozgłosu w mediach, chmary dziennikarzy, policjantów i prokuratorów. Tylko cichy, smutny pogrzeb z udziałem członków rodziny, którzy o niczym nie mieli pojęcia. Albo pożegnanie bez pogrzebu i bez świadków.

Deszcz nagle przybrał na sile i kiedy krople zabębniły o parapet, Reseng wstał z krzesła, żeby zamknąć okno. Po jednej stronie niebo było bezchmurne i świeciło słońce. Dziwna pogoda, pomyślał, dopijając piwo, i zgniótł puszkę. Potem otworzył szufladę biurka i wyjął paczuszkę kiepskiej marihuany, którą wiele lat temu dostał od Tresera. Zwinął skręta, ale nie potrafił zdobyć się na to, żeby go zapalić. Wróciło zbyt wiele złych wspomnień, które przepełniały go smutkiem i sprawiały, że zaczynał żałować swoich życiowych błędów. Kiedy je popełniał, był zbyt głupi, żeby ich żałować. Wspomnienia, które próbował od siebie odepchnąć, teraz wracały

niczym smród i otaczały go, aż cały nimi przesiąkł.

Tamtego dnia jakieś dziesięć lat temu, kiedy Reseng postanowił zatrudnić się w fabryce, też była taka dziwna pogoda. Kropił deszcz, chociaż na niebie świeciło słońce. Stary Jenot nakazał mu zniknąć na jakiś czas ze stolicy, więc zaszył się na prowincji w przemysłowym miasteczku pełnym kominów fabrycznych, z których buchały kłęby dymu. Wynajął apartament na piętrze i oglądał przez okno pranie rozwieszane na sznurach. Kiedy suszące się ubrania łopotały na wietrze, smagane deszczem i jednocześnie przypiekane słońcem, ich widok przywodził mu na myśl Pierrota, komicznego, a jednak smutnego klauna.

Wszyscy mieszkańcy tej cichej i posępnej miejsciny pracowali w małych fabryczkach, więc w ciągu dnia ulice świeciły pustkami. Wczesnym rankiem przelewały się nimi strumienie rowerów i skuterów, całkiem tak jak w Chinach, a potem około południa znów robiło się tłoczno od tłumów, które śpieszyły na lunch. Przez resztę dnia miasto było wyludnione, jak gdyby cała jego populacja przeniosła się na Marsa.

Siedząc na parapecie, Reseng patrzył na dowód osobisty, w który zaopatrzył go Mun, specjalista od podrabiania dokumentów. Starał się zakodować w pamięci dane potrzebne mu do życia z nową tożsamością – teraz nazywał się Jang Yimun i miał dwadzieścia cztery lata. Niedużo do zapamiętania. Tak naprawdę nie trzeba było wiele, by wsiąknąć w nowe środowisko pod fałszywym nazwiskiem.

Właśnie powtarzał w myślach swój nowy numer identyfikacyjny, kiedy pod jego oknem przeszła grupa roześmianych dziewcząt, które pracowały w pobliskiej fabryce. Tryskały humorem i wyglądały na szczęśliwe. Jego uwagę

przyciągnęła najniższa. Miała ładną okrągłą twarz i poruszała się najbardziej energicznie z całej czwórki. Zaśmiewając się do rozpuku, otarła łzy z oczu i poklepała po plecach idącą obok koleżankę.

– Ja nie mogę – wykrztusiła i zakręciła się w miejscu. – Jakie to pocieszne!

Jej śmiech odbijał się echem od ścian budynków. Reseng wystawił głowę i odprowadził wzrokiem roześmiane dziewczyny, które zniknęły w bramie na końcu ulicy. Patrząc na ich promienne twarze, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wyglądają tak surrealistycznie, jakby pracowały w fabryce Willy’ego Wonki.

Następnego dnia złożył tam podanie o przyjęcie do pracy. Kierownik administracyjny przestudiował dokładnie jego życiorys i uniósł wzrok znad biurka. Naznaczona siateczką zmarszczek twarz przypominała stronę z księgi rachunkowej, jakby człowiek ten urodził się po to, by doglądać fabrycznej buchalterii.

– Liceum Geumseong? To jest chyba szkoła o profilu humanistycznym, prawda? – zapytał, a Reseng przytaknął. – Skoro ukończyłeś taką szkołę, czemu nie poszedłeś na uniwersytet? Nie byłeś żadnym aktywistą czy kimś takim, nie?

Reseng roześmiał się, słysząc słowo „aktywista”. Chciał powiedzieć, że nie chodził nawet do podstawówki, a co dopiero do liceum, ale zamiast tego podrapał się w głowę, zrobił głupkowatą minę i wyjaśnił, że miał złe oceny.

– Jak bardzo złe? – spytał kierownik.

– Prawie najgorsze. Ale nie najgorsze z najgorszych.

– Najgorsze czy nie, i tak musisz mieć rozum, żeby pracować w fabryce. W tych czasach nigdzie bez tego nie zajdziesz. Hm... dwadzieścia cztery lata... Byłeś w wojsku?

– Mam zwolnienie od służby.

– Co? No pięknie, a więc brak ci rozumu i jesteś dotknięty jakimś kalectwem. Co zatem robiłeś przez cały ten czas?

Reseng wydukał speszony, że po ukończeniu szkoły średniej pracował tu i tam na różnych budowach. Gdy kierownik spojrział na niego podejrzliwie, zaczął się tłumaczyć nieskładnie, że z początku nie chciał pracować w fabryce i poszedł na budowę, ale zarobki nie były tak dobre, jak się spodziewał, a praca okazała się zbyt męcząca, więc postanowił się ustatkować i zdobyć jakiś fach. Spocił się cały i był pewien, że jego historia wypadła chaotycznie, ale kierownik pokiwał głową i zachichotał.

– Ech, ci budowlańcy. Ciągłe bałamuca młodych obietnicami świetnych zarobków, a to bujdy. Każdemu się wydaje, że od razu coś odłoży, ale to wszystko jest patykiem na wodzie pisane. Tutaj w miesiąc zarobisz mniej niż na budowie, ale nikt cię nie okantuje, masz gwarantowaną odprawę i całkiem niezłą stawkę za nadgodziny. Jeżeli się przyłożysz, na pewno uda ci się oszczędzić trochę grosza. No i nie musisz pracować w niedziele. Czego chcieć więcej? – Kierownik zakończył swój wywód, który brzmiał jak zachwalanie rzeczy oczywistych. Wstał i poklepał Resenga po ramieniu. – No to pokaż, co potrafisz!

Wyglądał teraz jak jeden z tych ludzi nazywanych opokami przemysłu, których pokazywano w kronikach filmowych w latach siedemdziesiątych.

– Dam z siebie wszystko! – zapewnił Reseng z entuzjazmem i nagle ogarnęło go wrażenie, jakby sam stał się opoką przemysłu.

Dostał przydział do brygady numer trzy, gdzie zajmował się chromowaniem. Wbrew temu, co mówił kierownik administracyjny, zajęcie to nie wymagało wybitnej inteligencji ani szczególnych umiejętności. Wystarczyło tylko zanurzyć odlaną ze

stopu ramę w roztworze chromującym, wyjąć po dziesięciu sekundach, porządnie otrzepać i odłożyć do wyschnięcia. Takiej pracy można by nauczyć nawet małpę. Jednak nikt nie chciał jej wykonywać, ponieważ roztwór obrzydliwie cuchnął i krążyły pogłoski, że jego wyziewy powodują oparzenia skóry, są rakotwórcze i zabijają plemniki, prowadząc do niepłodności.

Reseng robił to przez całe dwa miesiące, dopóki nie zatrudniono nowego pracownika, który zajął jego miejsce. Trzymając oburącz ciężką i nieporęczną ramę, zanurzał ją ostrożnie w płynnej powłoce i wyciągał po dziesięciu sekundach. Stał przy tym na palcach i pochylał się do przodu, jakby wykręcał nad wiadrem mokre pranie. Zdawał sobie sprawę, jak idiotycznie musi wyglądać, kiedy wypina tyłek i rozstawia szeroko nogi, i właśnie tego najbardziej nie znosił. Gdyby sam bóg galwanotechniki zstąpił na ziemię, wyglądałby równie groteskowo.

Pewnego dnia wkrótce po rozpoczęciu pracy, kiedy ostrożnie otrzepywał ramę, starając się nie zachlapać wszystkiego dookoła, podeszła do niego młoda kobieta o ładnej okrągłej twarzy – ta sama, z powodu której zatrudnił się w fabryce. Stała z rękami założonymi do tyłu i przyglądała mu się z nieskrywanym rozbawieniem.

– Po co się tak zaharowujesz? – zapytała. – Nie potrzebujesz nic zjeść?

Gdy Reseng spojrział na nią oszołomiony, wskazała wiszący na ścianie zegar. Była 12.20.

– Przerwy na lunch nie doliczą ci do nadgodzin – dodała.

Jej głos brzmiał tak samo radośnie jak tamtego ranka, kiedy przechodziła pod jego oknem, wypełniając całą ulicę śmiechem. Reseng zdjął rękawice.

– A ty już jadłaś?

– Jeszcze nie. Załatwiałam sprawunki dla szefa i dopiero wróciłam.

– W takim razie gdybyś nie miała nic przeciwko temu, czy mógłbym cię poprosić, żebyś zjadła razem ze mną?

Dziewczyna spojrzała na niego zdumiona.

– Czemu tak dziwnie mówisz? – zapytała i skinęła głową w stronę wyjścia. – Normalnie jakbyś się urwał z kościoła.

Fabryka była za mała, żeby dysponować własną stołówką, i robotnicy chodzili do baru na sąsiednią ulicę, przy której mieściły się inne fabryczki i niewielkie bloki mieszkalne. Reseng przypiął rękawice klamerkami do stalowej linki, po czym zdjął fartuch ochronny i zawiesił go na haczyku. Namydlił ręce nad umywalką i szorował przez całą minutę. Dziewczyna westchnęła ze zniecierpliwienia.

– Jesteś tu dopiero od miesiąca, nie? – zapytała, gdy wychodzili na zewnątrz.

– Od trzech tygodni.

– I jeszcze cię nie przenieśli? Podobno chromowanie powoduje bezpłodność. Za każdym razem, kiedy wkładasz ręce do tej brei, umiera kilkaset plemników. Wyobrażasz sobie to spustoszenie po całym dniu? Nawet nie znam tak wielkich liczb. Jakaś masakra normalnie! Nie wiem, jak oni mogą zmuszać ludzi do takiej pracy.

Wypowiadała te słowa z taką miną, jakby rzeczywiście na jej oczach dochodziło do aktu ludobójstwa. Reseng domyślił się jednak, że tak naprawdę nie jest zmartwiona losiem plemników w jego jądrach.

– Nie przejmuj się – odpowiedział. – Mam ich pod dostatkiem. W ciągu całego życia mężczyzna wytwarza ponad czterysta miliardów plemników. A w każdym wytrysku jest ich około stu

pięćdziesięciu milionów. Całkiem sporo. Choćbym nie wiadomo jak bardzo się starał, nie jestem w stanie odbyć trzech tysięcy stosunków z rządu. Ale w przypadku kobiet może pojawić się tu problem. Przeciętna kobieta wytwarza tylko około czterystu komórek jajowych w ciągu całego życia.

Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na niego z oburzeniem.

– Wytrysk? Stosunek? Nie wypada mówić o takich rzeczach w obecności damy.

Reseng uniósł ręce w obronnym geście.

– Ja naprawdę... – wyjąkał z zakłopotaną miną. – Naprawdę nie chciałem cię urazić.

– Naprawdę? – Dziewczyna parsknęła śmiechem. – Ty jesteś jakiś prawiczek, że tak mówisz?

Ruszyła dalej przed siebie.

– Ale naprawdę tylko czterysta jajeczek w życiu? – odezwała się po chwili.

– Czytałem o tym w książce.

– W książce, tak?

Reseng spojrzał na nią zmieszany. Nie miał pojęcia, skąd się wziął ton niedowierzania w jej głosie.

– Chcesz powiedzieć, że przeczytałeś to w jakiejś dziewczynskiej gazetce, którą kupiłeś w kiosku na przystanku, zgadłam? – dodała, śmiejąc się.

– Richard Cardison wyjaśnia to szczegółowo w książce *Jak pokonać bezpłodność*. Jest ginekologiem i według tego, co napisał, liczba jajeczek jest uwarunkowana genetycznie. W jednym przypadku może to być czterysta dwadzieścia trzy, a w innym



pięćset albo trzysta pięćdziesiąt i tak dalej.

Dziewczyna znów przystanęła, ale tym razem wyglądała na skołowaną.

– To ile ja zdążyłam ich już zmarnować? – wymamrotała.

Ogarnęło ją skrępowanie. Kiedy szli dalej w milczeniu, wymownymi spojrzeniami próbowała dać Resengowi do zrozumienia, że powinien przerwać niezręczną ciszę, ale jemu nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Dopiero mijając okno wynajętego pokoju, przez które zobaczył ją po raz pierwszy, wskazał w górę.

– Tutaj mieszkam.

Dziewczyna uniosła wzrok.

– Drogo cię to kosztuje?

– Niedrogo. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy wonów miesięcznie, nie licząc kaucji.

Popatrzyła na niego zszokowana.

– Co? Jak ktoś, kto zarabia niecały milion na rękę, może mówić, że trzysta pięćdziesiąt tysięcy to nie jest drogo? Nie musisz oprócz czynszu płacić za prąd, wodę, gaz, ścieki i inne takie? Czy chociaż sam sobie gotujesz?

– Dopiero się wprowadziłem...

– Jadasz na mieście? – zapytała, a Reseng przytaknął. – I to pewnie dwa razy dziennie.

– Czasami robię sobie makaron w domu.

– Udało ci się w ogóle coś oszczędzić? Dlaczego faceci są tacy niepoważni? Trzeba odkładać każdy ciężko zarobiony grosz, a nie puszczać wszystko z dymem papierosowym albo przepijać. Dlaczego tak bujasz w obłokach? Jeśli nie zejdziesz wreszcie na

ziemię, nigdy nie dorobisz się własnego domu.

Reseng czuł się jak strofowany uczeń, ale wszystko, co właśnie usłyszał, w większym lub mniejszym stopniu odpowiadało rzeczywistości.

– Mogę tam zajrzeć? – zapytała dziewczyna, wskazując głową okno na piętrze.

– Gdzie? Do mojego pokoju?

– Tak.

Reseng nie krył zaskoczenia jej bezceremonialnym zachowaniem.

– Po co?

– Chcę zobaczyć, jak mieszkasz.

Zanim zdążył odpowiedzieć, dziewczyna wbiegła na schody. Zamiast ją zatrzymać, ruszył w ślad za nią i zobaczył, że zatrzymała się przed jego drzwiami i patrzy na niego.

– Nie dzisiaj – powiedział niepewnym tonem, zastępując jej drogę. – A co byś powiedziała, gdybym zaprosił cię kurtuazyjnie następnym razem?

– Posłuchaj, chyba się nie zrozumieliśmy. To nie randka i nie będziemy się kurtuazyjnie odwiedzać. Ja chcę tylko sprawdzić, jako twoja przełożona, czy masz odpowiednie predyspozycje. Mogłoby się wydawać, że to bez związku, ale jeśli na co dzień nie dbasz o porządek, nie będziesz wydajnie pracował.

Rzeczywiście patrzyła na niego z miną surowej zwierzchniczki. Wyglądała jak sierżant, który przeprowadza inspekcję gotowości bojowej swojego oddziału, albo drobiazgowy przeor podczas kontroli czystości w dormitorium. Jej spojrzenie zdawało się mówić: „Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, to lepiej, żebyś otworzył te drzwi”. Reseng czuł się skrępowany, ale nie miał wyboru.

Nacisnął klamkę i odsunął się na bok.

Ponieważ nie posiadał zbyt wielu sprzętów, w pokoju nie było bałaganu. Cały jego dobytek składał się z futonu, koca i poduszki, które kupił w miejscowym sklepie, oraz torby pełnej ubrań. Wyposażenia dopełniał niski stolik, który zastał na miejscu, kiedy się wprowadził, i czajnik elektryczny. Szafkę pod zlewem wypełniały kubki z makaronem błyskawicznym, a na stoliku i obok posłania leżały książki – *Lato* i *Dżuma* Camusa, *Baron drzewołaz* Itala Calvina, *Samobójstwo* Martina Monestiera i *Anatomia depresji* Andrew Solomona. Niektóre przywiózł ze sobą z Seulu, a inne kupił na miejscu.

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju.

– Co? Przecież tu jest pusto.

– Mówiłem ci, że dopiero się wprowadziłem.

– Jasne, ale powinieneś mieć pewne podstawowe artykuły. W przeciwnym razie będziesz trwonił pieniądze na głupoty.

Reseng pokiwał głową, po czym podniósł ręcznik z podłogi i zawiesił go na haczyku. Tymczasem dziewczyna zaczęła szybki obchód mieszkania, jakby była zainteresowana jego wynajęciem.

– Nie oglądasz telewizji? – zapytała, patrząc na jego książki.

– Nie.

W łazience odkręciła kran, żeby skontrolować ciśnienie wody, a w kuchni zajrzała do każdej szuflady.

– No nie, jak możesz nie mieć ani jednej miski? – wymamrotała pod nosem. – Czy mieszkanie jest podłączone do gazociągi miejskiego? Chyba dlatego ta dzielnica jest taka droga.

Kiedy przeprowadzała inspekcję, Reseng rozejrzał się dookoła i z zadowoleniem stwierdził, że nie jest zbyt brudno. Nagle usłyszał krzyk dobiegający ze schowka na miotły.

– Co to jest?

Dziewczyna trzymała jego majtki, a przed nią stało otwarte kartonowe pudło pełne brudnych ubrań, które czekały na wypranie.

– Miałeś kiedyś sklep odzieżowy? – zapytała, patrząc na dziewczęce opakowania skarpetek i bielizny, które piętrzyły się na półce. – Po co ci tego aż tyle?

Reseng podbiegł do niej, wyrwał jej swoją osobistą część garderoby i wepchnął z powrotem do pudła, a potem pośpiesznie zamknął kartonowe klapki.

– Nie mam pralki.

– To wypierz w rękach. Chcesz powiedzieć, że nosisz wszystko tylko raz, a potem wyrzucasz? Ty naprawdę jesteś niespełna rozumu.

Oczywiście Reseng nie zamierzał wyrzucać znoszonych majtek i skarpetek. Ale nie miał również ochoty siedzieć w kucki w łazience i prać wszystkiego w rękach. Był tak zmęczony i rozkojarzony, że na dobrą sprawę nie zastanawiał się w ogóle, co zrobić z brudną bielizną.

Teraz wlepił wzrok w sufit, rumieniąc się ze wstydu. Dziewczyna patrzyła na niego gniewnie.

– Masz jakąś kobietę, która mogłaby ci wyprać gacie? – zapytała i widząc jego zaskoczone spojrzenie, dodała: – Nie żebym była tobą zainteresowana. Po prostu drażni mnie, kiedy ktoś nie docenia wartości pieniądza. Ale nie chciałabym, żeby twoja partnerka pomyślała sobie coś złego.

Reseng nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Nie mam nikogo, ale...

Kiedy dziewczyna znów otworzyła pudło, próbował ją powstrzymać, ale trzepnęła go w rękę. Cofnął się i patrzył, jak

pakuje jego brudne rzeczy do czarnej reklamówki, którą znalazła na półce. Wreszcie przełożyła wszystko i wyprostowała się.

– Zostaw sobie tylko po dwie pary tych nowych skarpetek i majtek, a resztę zwróć do sklepu – rozkazała, mierząc w niego palcem. – Zrozumiano?

– Nie mogę chodzić bez bielizny – odparł Reseng, wydymając wargi.

Dziewczyna podstawiała mu pod nos torbę pełną brudów.

– Tego, co tu jest, wystarczy na rok. Trzeba tylko wyprać – wyjaśniła i spojrzała na zegarek. – Zostało już tylko piętnaście minut do końca przerwy. Założę się, że jesteś głodny.

– Wytrzymam. Od czasu do czasu mogę sobie odpuścić posiłek.

Kiedy wyszli na ulicę, dziewczyna wstąpiła do sklepu na rogu i po chwili wróciła, niosąc dwa kartoniki mleka o smaku bananowym i ciastka z kremem. Chociaż poczęstunek był skromny, nagle Reseng poczuł do niej niewysłowioną wdzięczność.

– Ładna dziś pogoda – zagadnął ją, kiedy usiedli na ławce, żeby się posilić.

– Owszem, ładna – przyznała, zadzierając głowę. – W taki dzień pranie szybko schnie.

Następnego dnia w pracy zachowywała się tak, jakby go nie znała. Pomachał do niej na powitanie, ale tylko zarumieniła się i przeszła obok. Tłumaczył sobie, że czuła się niezręcznie w towarzystwie koleżanek, ale gdy spotkał ją w pustym korytarzu, zwiesiła głowę i minęła go bez słowa. Pracowała w hali na linii produkcyjnej, podczas gdy on miał swoje stanowisko na zewnątrz pod wiatą, gdzie odbywało się chromowanie i malowanie. Mimo to w tak małej fabryce mieli wiele okazji, żeby natknąć się na siebie. Ilekroć do tego dochodziło, zawsze miała zakłopotaną minę

i trzymała się z daleka albo mijała go szybkim krokiem.

Przyszedł kolejny dzień, a po nim kolejny, ale nic się nie zmieniło. Po pracy Reseng czekał na nią za bramą, ale wychodziła w towarzystwie roześmianych koleżanek, więc nie mógł do niej podejść. Zresztą nawet gdyby była sama, jak miałby ją zagadnąć? Nie miał pojęcia, co mógłby jej powiedzieć. Oddaj mi, proszę, moją bieliznę?

W piątek wieczorem, kiedy leżał na materacu, rozległo się pukanie. Otworzył drzwi i zobaczył ją stojącą na progu ze zwieszoną głową. Kiedy wymamrotał zdawkowe powitanie, podała mu wypchaną reklamówkę, którą trzymała oburącz. Cały czas unikała jego wzroku.

– Dużo o tym myślałam i dotarło do mnie, że posunęłam się za daleko – odezwała się drżącym głosem. – Wybacz, jeśli cię uraziłam.

– Nie musiałś przychodzić, żeby mi to powiedzieć. Ale skoro już jesteś, może wstąpisz na herbatę – odparł Reseng i otworzył szerzej drzwi.

Kiedy dziewczyna pokręciła głową, zrobił krok w jej stronę, ale powstrzymała go, unosząc rękę.

– Zostań. Pójdę już sobie.

Ruszyła z powrotem w głąb korytarza. Reseng patrzył osłupiały na jej przygarbione plecy, gdy oddalała się szybkim krokiem, i zachodził w głowę, co się stało z tą dziarską młodą kobietą, która zabrała jego brudne gacie. Kiedy jej kroki na schodach ucichły, wrócił do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Zajrzał do torby, w której odkrył kilka stosików poskładanej starannie bielizny. Wyjął majtki i powąchał. Pachniały jak świeżo wyprane bawełniane prześcieradło, które suszyło się w popołudniowym słońcu. I wtedy sobie to uprzytomnił – jej życzliwość wynikała jedynie ze

szczerego współczucia dla godnego politowania dużego chłopca, który połowę miesięcznej pensji wydawał na czynsz i media, a resztę na papierosy, alkohol, makaron błyskawiczny i bieliznę. Roześmiał się. A więc ona nie startuje do mnie, pomyślał. Mimo to czuł do niej wdzięczność. Nieważne, czy kierowała się litością, czy po prostu miała dobre serce, Reseng nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego ze strony obcej osoby.

Wybiegł za nią na ulicę i dostrzegł w oddali sylwetkę dziewczyny. Dogonił ją.

– Może pójdziesz ze mną do kina w ten weekend? – zapytał, z trudem łapiąc oddech, i położył dłoń na jej ramieniu.

Miesiąc później wprowadził się do niej. Zatrudniając się w fabryce, powiedział, że ma dwadzieścia cztery lata, ale w rzeczywistości był trochę młodszy. Jest rzeczą oczywistą nie tylko dla filozofów, że dwudziestodwuletni mężczyzna i dwudziestojednoletnia kobieta mają tysiące powodów, żeby zamieszkać razem. Mogą się w sobie zakochać, gdy jedno opatruje drugiemu jakieś drobne skaleczenie. Mogą się w sobie zakochać, dzieląc się kupioną na ulicznym straganie słodką bułką w kształcie rybki. Miłość może ich dopaść nawet podczas skakania na drążku pogo. Zatem na pewno nie brakuje na tej pięknej planecie i takich par, które postanowiły dzielić ze sobą życie, pochylając się nad reklamówką pełną brudnej bielizny.

Jego wybranka okazała się znakomitą gospodynią. Czy chodziło o gotowanie, czy o sprzątanie, pranie, prasowanie albo szycie, wszystko robiła szybko i sprawnie, a efekt był zawsze idealny, chociaż sprawiała wrażenie, jakby niespecjalnie się przykładała. Widząc nieporadnie złożone ubrania, z którymi Reseng męczył się bez powodzenia, wyręczała go w mgnieniu oka, gdy tylko oddalił

się na chwilę. Czasem zdarzało się jej zasnąć, ale nawet w wirze pośpiesznych przygotowań do wyjścia potrafiła jakimś cudem przyrządzić śniadanie złożone z zupy, świeżej sałatki i smażonej ryby.

– Najpierw odłożymy trochę pieniędzy, a potem się pobierzemy – powiedziała pewnego razu. – Jeśli obydwójce będziemy pracowali i oszczędzali przez dwadzieścia lat, kupimy sobie ładne mieszkanie.

– Dwadzieścia lat? – powtórzył zszokowany Reseng.

Właśnie oznajmiła mu, że jeśli mają zamiar uciec z tej ciasnej kłitki do następnej, a potem kupić własne mieszkanie, które będzie niewiele większe od pudełka zapalek, przez najbliższe dwadzieścia lat czeka go wdychanie trujących oparów tego przekłętego roztworu chromującego. Tyle czasu wystarczy, żeby wszystkie plemniki w jego jądrach wyginęły.

– Posłuchaj, mamy dopiero po dwadzieścia parę lat – odparł. – Nie sądzisz, że jesteśmy za młodzi, żeby planować sobie takie przygnębiające i nudne życie?

– W pracy przez cały czas myślę tylko o małżeństwie. Kiedy dokręcam śruby, marzę sobie, że urodzę ślicznego bobaska i będę patrzyła, jak rośnie. Na samą myśl o tym ogarnia mnie radość i podniecenie. Gdyby nie to, cała ta harówka nie miałaby sensu. No bo po co się tak męczyć?

Jedynym tematem, jaki poruszała, było pożycie małżeńskie. Przy każdej okazji mówiła o dzieciach, domu z ogrodem i sprzętach kuchennych. Resengowi przypominało to futurystyczne wizje z jakiegoś filmu animowanego, ale ona była taka poważna i uszczęśliwiona, że tylko jej przytakiwał.

Kupiła mu rower, żeby codziennie po śniadaniu mogli razem pedałowac do pracy.



– Rower jest super – oświadczyła, pokazując mu prezent. – Możesz się pogimnastykować i jeszcze jedziesz za darmo. To, co oszczędzisz na autobusach, możesz wydać na przyjemności.

Ostatnie słowa wypowiedziała takim tonem, jakby wyświadczała mu ogromną przysługę.

– Żaden facet by na to nie wsiadł – odparł Reseng i kopnął w przednie koło. – To jest damski rower. W pracy wszyscy będą się ze mnie śmiać.

Jego rower nie miał przerzutek, był za to wyposażony w ogromny kosz, w dodatku różowy, w którym mogłoby się zmieścić kilkanaście małych kotów. I rzeczywiście nadawał się do gimnastyki jak mało co. Mieszkali na szczycie stromego wzgórza, jakieś sto metrów od głównej drogi, która wznosiła się i opadała, biegnąc przez pagórkowatą okolicę. W dni targowe jego dziewczyna napełniała wielki różowy kosz kostkami tofu, pęczkami szczypioru i rzodkiewki, cebulą i marchwią, tłustymi płatami wieprzowiny na gulasz i świeżo oprawionymi rybami. Robiła to tak metodycznie, że gdyby tylko zechciała, mogłaby zapakować do tego kosza nawet małego niedźwiadka.

– Byłoby lepiej, gdybyś kupiła mi wózek – gderał Reseng.

Kiedy jechał obciążonym rowerem pod górkę, wyciskając z siebie siódme poty, ona lizała loda i promieniała z zadowolenia.

– Zawsze o tym marzyłam – odpowiadała z radosnym uśmiechem.

Sensacja, jaką wzbudził różowy koszyk, przerosła jego oczekiwania. Kiedy parkował rower przed bramą fabryki, otaczało go zbiegowisko i wszyscy prześcigali się w złośliwych docinkach.

– Nigdy bym nie pomyślał, że masz takie wyczucie stylu – powiedział kierownik administracyjny.

– Człowieku – zawtórował mu brygadzysta – jeśli przyjechałeś tym do pracy, to jak twoja mama dostanie się na targ?

Do Resenga podszedł jeden z robotników, który nigdy wcześniej nie zamienił z nim ani słowa. Sprawiał wrażenie, jakby się wahał, czy go zagadnąć, i próbował zapanować nad ciekawością, ale w końcu nie wytrzymał.

– Proszę, nie zrozum mnie źle – odezwał się z bardzo poważną miną. – Po prostu nie daje mi to spokoju.

– Co takiego?

– Chodzą słuchy, że zbierasz na operację zmiany płci. To prawda?

Plotki zaczęły żyć własnym życiem i powtarzali je nawet pracownicy sąsiednich fabryk, aż wreszcie kierownik administracyjny zaczepił Resenga i zapytał półzartem:

– Nie sądzisz, że powinieneś coś z tym zrobić?

Nie mając innego wyjścia, Reseng zawiesił na różowym koszyku tabliczkę z napisem: „Plotki są nieprawdziwe. Nie planuję operacji. I już jestem obrzezany”. Wisiała tak przez trzy dni z rzędu.

Ale za sprawą historii z rowerem w końcu nawiązał koleżeńskie stosunki z innymi robotnikami. Praca szła mu dużo łatwiej i zaczął czerpać z niej przyjemność. Brygadzysta powierzył mu bardziej wyrafinowane i lepiej płatne zajęcie polegające na wierceniu otworów w miedzianych płytach, a nawet poświęcał swój wolny czas, żeby uczyć go obróbki metalu przy pomocy tokarki. Ilekroć Reseng szorował po pracy uwalane smarem dłonie, strzepywał opiłki z fartucha albo ze śmiechem przyglądał się kolegom, którzy podczas przerwy kopali kartonowy kubek jak piłkę, czuł się pełnoprawnym członkiem fabrycznej społeczności. Z dnia na dzień zyskał wielką rodzinę.

Teraz spotykając się w fabryce, Reseng i jego wybranka wymieniali nieśmiałe i ukradkowe spojrzenia. Po pracy jechali do domu różnymi drogami, żeby nikt się nie zorientował. Ona wracała na skróty, a on okrężną drogą, ale i tak zawsze przyjeżdżał pierwszy. Otwierał drzwi i czekał na nią, a kiedy docierała na szczyt wzgórza zlane potem, brał jej rower i przypinał go do stojaka. Potem szli do łóżka.

Wieczorem jedli kolację i oglądali telewizję. Jego dziewczyna lubiła programy rozrywkowe i za każdym razem, gdy ktoś opowiadał dowcip, tarzała się ze śmiechu.

– Ja nie mogę, ale zabawny ten facet – mówiła. – To jest komiczne!

Reseng patrzył z kamienną miną na ekran i zastanawiał się, co ją tak bawi.

– Czemu się nie śmieję? Jestem zbyt głupi, żeby to zrozumieć.

– O tak, jesteś zbyt głupi – przytakiwała, parskając śmiechem.

O dziewiątej wieczorem zasiadała przy stoliku, żeby się pouczyć.

– W zeszłym roku zdałam egzamin gimnazjalny – wyznała kiedyś. – Teraz czeka mnie wstępny do liceum. A ty jak daleko zaszedłeś? Ja skończyłam tylko pierwszą klasę gimnazjum. Potem ojciec nie pozwolił mi więcej chodzić do szkoły.

– W życiorysie napisałem, że mam wykształcenie średnie, ale tak naprawdę nie chodziłem nawet do podstawówki.

– Kłamca – odparła, zerkając na niego podejrzliwie.

Kiedy się uczyła, Reseng leżał i czytał *Biesy* Dostojewskiego. To była gruba i nudna książka.

– Fajnie się to czyta? – zapytała jego dziewczyna.

– Postacie mają bardzo długie nazwiska. Na przykład matka głównego bohatera nazywa się Barbara Pietrowna Stawrogina, a jego nauczyciel to Stiepan Trofimowicz Wierchowieński. Gdy tylko pojawia się jakaś nowa postać, jej imiona i nazwisko zajmują całą linijkę. Więc to nie jest fajne, kiedy trzeba tyle spamiętać.

– No to dlaczego czytasz, skoro nie jest fajne? Oprócz ciebie nie znam nikogo, kto by czytał takie grube książki.

– Bez szczególnego powodu. To tak jak z twoim oglądaniem telewizji. Po prostu nie wiem, co zrobić z wolnym czasem.

O jedenastej zaczynał morzyć ją sen. Opuszczała głowę coraz niżej i niżej, aż w końcu opierała czoło na blacie. To było rozczulające. Reseng klepał ją w ramię i mówił, żeby się położyła, a ona patrzyła na niego zmieszana i odpowiadała, że nie śpi, tylko stosuje specjalną sztuczkę, która pozwala jej zapamiętać to, co właśnie przeczytała. Otrząsała się i dodawała, że egzamin już blisko, po czym otwierała szeroko oczy i wracała do nauki. Trzy sekundy później znów zaczynała przysypiać. Kiedy zanurzała twarz w kartkach starego podręcznika, Reseng przenosił ją na futon. Odsuwał stolik, gasił światło i wślizgiwał się pod koc. Obejmował dziewczynę ramieniem, a ona wtulała się w niego plecami, przyciskała sobie do policzka jego dłoń i kiwała głową, jak gdyby wszystko było tak, jak powinno być. Właśnie w takiej pozycji najbardziej lubiła zasypiać. Powiedziała mu, że najszcześliwsza czuje się w objęciach człowieka, którego kocha.

– Co robiłeś wcześniej? – zapytała go kiedyś sennym głosem.

– Kilka lat pracowałem na budowach tu i tam.

– Kłamca. Nie masz rąk budowlańca. Ale z ciebie podejrzany typ. Naprawdę podejrzany.

Jej głos brzmiał tak, jakby mówiła przez sen.

Czasami Reseng czuł na grzbiecie dłoni łzy, które ściekały z jej policzka. Zdarzały się noce, kiedy bardzo płakała. Oddychał wtedy miarowo, udając, że śpi, i patrzył, jak poświata księżycyca przesuwa się po ścianach. W końcu przestawała płakać, a on zasypiał razem z nią. Ale rano była radosna i pełna energii, jak gdyby nic się nie stało. Nuciała bez przerwy jakieś wesołe melodie, kiedy szorowała zęby, myła włosy i przyrządzała śniadanie.

– Dzisiaj pojedę tą drogą co zwykle – mówiła, wsiadając na rower. – Nie jedź za mną jak ostatnio.

W owym czasie Reseng coraz lepiej radził sobie w pracy. Brygadzista zapytał go, czy nie myślał o zdobyciu uprawnień operatora tokarki.

– Trzeba mieć jakiś fach w ręku – powiedział. – Z takim dyplomem wszędzie dostaniesz robotę. Jeśli zdasz egzamin pisemny, osobiście przygotuję cię do praktycznego.

W piątkowe wieczory robotnicy grywali w bilard. Ustalili, że pokonana drużyna płaci za alkohol i wynajęcie sali, a ponieważ ściśle przestrzegali tej zasady, piątkowe rozgrywki były bardzo emocjonujące. Po meczu opiekali skórki wieprzowe na rozżarzonych węglach i pili soju. Kiedy był z nimi kierownik administracyjny, narzekali na dyrektora, a kiedy go nie było, narzekali na niego. Przypuszczalnie o tym wiedział, bo robił wszystko, żeby nigdy nie opuścić ani meczu, ani popijawy przy grillu.

Tymczasem w Seulu udało się zatuszować sprawę zlecenia, które sfuszerował Reseng. Jego potknięcie nigdy nie wyszło na jaw dzięki paru ugodowym urzędnikom państwowym, którzy nie chcieli utrudniać sobie życia bardziej, niż to było konieczne. Reseng miał nadzieję, że jeśli wszystko powoli wróci do normy, likwidatorzy i ich klienci nie powinni być zbyt rozczarowani. Ale była to

tylko jego opinia. Gdyby uznali, że nie można odpuścić komuś, kto tak partaczy robotę, byłby już martwy. Jednak minęło pół roku, a Stary Jenot się nie odzywał.

Przepracował już w fabryce jakieś osiem miesięcy, gdy w końcu dostał wiadomość. Kiedy pewnego dnia wrócił do domu, znalazł wetknięty za futrynę list. Drżącymi rękami rozdarł kopertę. Nie było na niej adresu ani znaczka, więc ktoś musiał dostarczyć go osobiście.

Od razu rozpoznał pismo Starego Jenota. Treść listu składała się tylko z czterech słów: „Sprawa zamknięta. Możesz wracać”. Reseng nie był do końca pewien, o jaką dokładnie sprawę chodzi i dokąd miałby wrócić. Nie wyobrażał sobie życia w innym miejscu niż to, w którym obecnie przebywał.

Następnego dnia po południu zadzwonił do biblioteki.

– Chciałbym tu zostać trochę dłużej.

Stary Jenot długo milczał.

– Miła jest ta dziewczyna z fabryki? – zapytał wreszcie.

– Tak – odparł Reseng po chwili wahania.

– W takim razie dobrze. Jeżeli jesteś pewien, że nie chcesz wracać do tego zawodu, zostań tam.

Nie powiedział tego z wyrzutem ani z cynizmem, ani ze złością. Po raz pierwszy w życiu Reseng usłyszał ciepły ton w jego głosie. Stał oniemiały, przyciskając słuchawkę do ucha. „Zostań tam”. Nie do końca rozumiał, co tak naprawdę oznaczają te słowa. Zaczęła się przerwa na lunch i z bramy fabrycznej wylegli ludzie. Była wśród nich jego dziewczyna. Puściła do niego oko, a jeden z kolegów przechodzący obok klepnął go w ramię i zapytał, czy się do nich przyłączy. Reseng zasłonił dłonią słuchawkę i odpowiedział, że ich dogoni. Jego dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała na niego, a on

uśmiechnął się i pomachał jej dyskretnie. Odpowiedziała mu uśmiechem i poszła dalej.

– Naprawdę nie będzie to problemem, jeśli tu zostanę? – zapytał, uniósłszy z powrotem telefon do ucha.

– Nazywasz się teraz Jang Yimun, zgadza się?

– Tak.

– Więc niech tak zostanie, a ja wymażę dane, którymi posługiwałeś się tutaj. Dzięki temu nie będziesz miał żadnych problemów.

To powiedziawszy, Stary Jenot się rozłączył.

Reseng wyszedł z budki telefonicznej, powtarzając w myślach ostatnie słowa swojego mentora. „Wymażę dane, którymi posługiwałeś się tutaj. Dzięki temu nie będziesz miał żadnych problemów”. O jakie problemy chodziło? Spojrzał na grupę robotników oddalających się w stronę baru. Był kwiecień i rosnące przy ulicy drzewa kwitły. Dopiero teraz dotarło do niego, że te drzewa to wiśnie. Z jakiegoś powodu utkwił mu w pamięci fragment wiersza, który kiedyś czytał:

*Sakury kwiat marnieje, ledwie swe płatki rozwinie.*

Spojrzał na swoje zgrubiałe od ciężkiej pracy dłonie i powiódł palcami po odciskach.

– Nazywam się Jang Yimun – wymamrotał, wodząc palcami po odciskach, a jego głos zabrzmiał tak, jakby dokonał wielkiego odkrycia.

Wpatrując się w obsypane kwieciami korony drzew, pomyślał o swoim poprzednim nazwisku. Nosił je tyle lat, a teraz miało zniknąć. Zostać wymazane. Nie był do końca pewien, co to właściwie oznacza.

Zrezygnował z lunchu i wrócił do fabryki. Na warsztacie czekała

na niego sterta miedzianych płyt, więc włączył frezarkę i zabrał się do pracy. Po dwudziestu minutach skończył. Zdmuchnął opiłki metalu, obejrzał otwory pod światło i pokiwał głową z zadowoleniem. Zmiótł rozrzucone po podłodze miedziane ścinki i wrzucił je do kosza, a potem umył ręce i spakował swoje rzeczy. Upewniwszy się, że o niczym nie zapomniał, zakradł się do biura i zabrał swój życiorys, który kierownik administracyjny przechowywał w szafie na akta. Nie żeby miało to większe znaczenie. Jego nazwisko i numer identyfikacyjny figurowały również na listach płac i w ewidencji czasu pracy, ale zabrał tylko życiorys. Zmiął go, wepchnął do kieszeni i wyszedł. Przechodząc przez bramę, wyobraził sobie, jak będzie wyglądała fabryka, kiedy jego zabraknie. Czy coś się zmieni? Prawdopodobnie nic. Z nim czy bez niego maszyny będą tak samo warczeć i brzęczeć od rana do wieczora.

Popedałował do domu. Otworzył drzwi i omiótł wzrokiem pokój, w którym spędził kilka ostatnich miesięcy. Miał wrażenie, że wszystko, co tutaj przeżył, wydarzyło się bardzo dawno temu. Zaczął pakować torbę, z którą przyjechał z Seulu, ale jego dobytek trochę się powiększył od tamtego czasu. Wszystko, czego się dorobił podczas wspólnego życia z kobietą, wepchnął do worka na śmieci i porzucił na sąsiedniej ulicy. Potem zebrał świeżo wyprane koszule, zapasowy kombinezon roboczy i bieliznę, zapakował do czarnej reklamówki i zaniósł do kontenera na używaną odzież. Po powrocie do mieszkania zajrzał w każdy kąt i szczelinę. Musiało być jeszcze coś, czego powinien się pozbyć. Rozejrzał się niespokojnie i zaczął wycierać wszystkie przedmioty, których dotykał. Kiedy skończył, zadał sobie pytanie, po co usuwał swoje odciski palców, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Nie zostawił żadnego listu pożegnalnego ani wyjaśnienia. Po prostu spakował się i wyszedł. W połowie ulicy ukrył się i długo



obserwował małeńki apartament, w którym spędził kawałek swojego życia. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zobaczył ją, jak pedałowiała z mozołem pod górkę, wioząc w koszyku kielki fasoli, tofu i zieloną cebulkę. Jak zwykle zostawiła rower w stojaku i weszła do środka. Kilka minut później wybiegła z powrotem. Wyglądała na skołowaną. Zapadł zmrok i zapaliły się latarnie, a ona wciąż stała nieruchomo przed domem. Ukryty w ciemności jak szczur, Reseng patrzył na nią, a gdy wreszcie ogarnęło ją zmęczenie i wróciła do mieszkania, ruszył w dół wzgórza, wlokąc za sobą torbę. Wrócił do Seulu i spalił dowód osobisty należący do Janga Yimuna.

\*\*\*

Deszcz przybierał na sile, a chmury tak zgęstniały, że już żaden promień słońca nie był w stanie ich przebić. Reseng dopił piwo, zgniótł puszkę i rzucił ją na podłogę, gdzie leżały dziesiątki innych. Zanim poszedł do lodówki po następną, przez chwilę patrzył na nie, podziwiając różnorodność ich powyginanych kształtów. Głos rozsądku, jeden z wielu rozbrzmiewających w jego głowie, przemówił do niego:

– Co ty sobie wyobrażasz? Śmierć omal nie dobrała ci się do tyłka, a ty nic nie robisz, tylko pijesz piwo?

Mimo to Reseng otworzył puszkę, która z cichym westchnieniem uwolniła nadmiar dwutlenku węgla. Uśmiechnął się drwiąco. Od kiedy to piwo wzdycha z żalem? Wypił łyk, zastanawiając się, dlaczego dziesięć lat temu postanowił wrócić do tego świata. Gdyby wtedy został w fabryce, nie musiałby trząść się ze strachu z powodu jakiejś głupiej bomby znalezionej w klozecie. Nie musiałby wieść życia naznaczonego koniecznością ciągłego zabijania.

Tamtego wieczoru, gdy wrócił do Seulu, po wykonaniu swojego pierwszego zlecenia zapytał Starego Jenota:

– Czy teraz będę zabijał coraz więcej i więcej ludzi?

– Nie, będziesz ich zabijał coraz mniej. Ale będziesz coraz więcej zarabiał.

– Jak to możliwe?

– Im lepszy się stajesz w swoim fachu, tym bardziej wartościowe cele będziesz likwidował.

Okazało się jednak, że Stary Jenot był w błędzie. Ceny zabójstw na zlecenie spadły, a wraz z nimi spadła wartość atrakcyjnych i wybitnych jednostek. W efekcie ginęło więcej sławnych ludzi, a ich zabijanie nie było już tak kłopotliwe jak wcześniej. Do stworzenia legendy Achillesa potrzeba wielu bohaterskich wyczynów, ale wystarczy jeden durny Parys, żeby go zabić. Zatem jak niewiele trzeba, żeby się rozprawić z głupim księciem?

Reseng spojrział w stronę biurka, na którym leżała ceramiczna obudowa bomby.

– Jeśli to sprawka agentów rządowych, lepiej włóż ją z powrotem do muszli i zgiń – powiedział właściciel sklepu żelaznego. – Ci ludzie się nie cackają.

Dodał później, że żartuje, ale mówił całkiem poważnie. Kiedy ktoś z tego środowiska trafiał na listę śmierci, wszyscy inni mieli nadzieję, że nie będzie próbował się bronić. Takie rzeczy nikomu nie wychodziły na dobre. Gliniarze mogli zauważyć coś podejrzanego i zacząć węszyć, a to spędzało likwidatorom sen z powiek. Reseng wiedział, że jeśli to władze wyznaczyły go do odstrzału, nikt mu nie pomoże. Zadał sobie pytanie, w jaki sposób chciałby umrzeć, a jeden z głosów w jego głowie odpowiedział kpiąco:

– Przynajmniej wiesz, że Niedźwiedź przykłada się do swojej roboty.

Dopił piwo i nerwowym ruchem zgniótł puszkę. Bez obaw, pomyślał. Wcale nie jest tak łatwo umrzeć. Zdarzały się przypadki, że ktoś żył z kulą w głowie jeszcze przez trzydzieści lat. Na bezludnej wyspie znaleziono mężczyznę, który przez tydzień czekał na ratunek z harpunem wbitym w brzuch. Podróżując przez dzikie ostępy, ludzie pili własny mocz albo stęchlą wodę z przegniłych drzew, żuli łądygi kaktusa i wyjadali trzewia martwych zwierząt. Pewna kobieta, która przeżyła miesiąc na tratwie dryfującej po oceanie, zjadła serce, nerki, wątrobę i jelito grube swojego partnera. Zdarzyło się nawet, że lekarz wystawił akt zgonu, przedsiębiorca pogrzebowy umył ciało i przygotował je do pochówku, a nieboszczyk nagle ożył i zaczął walić w wieko trumny jak opętany. Życie może być zaskakującym, okrutnym i odrażającym procesem.

– Życie jest odrażające – mruknął Reseng.

Wyjął z lodówki ostatnią puszkę piwa, otworzył i opróżnił jednym haustem, a potem zgniótł i rzucił na podłogę. Teraz mógł wyjść z domu. Piwny ciąg dobiegł końca.

Kiedy rankiem następnego dnia Reseng zjawił się w Psiarni, nie zastał zezowatej bibliotekarki. Na jej biurku ujrzał niewielką tabliczkę z napisem „Urlop”. Pomyślał, że to prawda, ponieważ wszystkie maskotki i przybory biurowe wciąż leżały na swoim miejscu. Ale czy bibliotekarkom zatrudnionym w Psiarni przysługiwały urlopy? Może poprzednie nie zdążyły ich wykorzystać, zanim wyleciały z pracy.

Reseng wszedł do gabinetu swojego mentora, który jak zwykle

siedział za biurkiem i czytał na głos.

– To było w mojej muszli klozetowej – oznajmił, kładąc przed nim bombę. – Ręczna robota, a części pochodzą z Belgii.

Stary Jenot poprawił okulary na nosie i obejrzał ceramiczną obudowę.

– Domyślasz się, kto ją podłożył? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia. A ty?

– Podejrzanych jest zbyt wielu. Zważywszy na to, jak żyjesz, byłoby dziwne, gdyby ktoś nie chciał cię sprzątnąć.

Właściciel biblioteki mówił takim tonem, jakby chodziło o kogoś całkiem obcego. Resengowi bardzo nie podobała się jego udawana obojętność. Nie żeby twierdził, że nie zasłużył na śmierć, błagał o ocalenie czy skarżył się, jakie to niesprawiedliwe. Chciał jedynie wiedzieć, kto mógł mu to zrobić.

– Czy znasz jakichś likwidatorów, którzy używają czegoś takiego? – zapytał oburzony.

Na twarzy Starego Jenota coś drgnęło. Ulotny grymas, który zagościł na niej przez krótką chwilę, świadczył jednoznacznie, że właśnie o czymś pomyślał i bardzo go to rozbawiło.

– Żaden z tych, których znam, nie podkłada bomb w sraczu. Ludzie ich pokroju nie bawią się w robienie psikusów.

– Więc chodzi tylko o ostrzeżenie?

– Kto by chciał ostrzegać kogoś takiego jak ty?

Reseng nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył w osłupieniu na swojego mentora, który zapalił papierosa i wydmuchał wielki kłęb dymu, a potem jak gdyby nigdy nic pochylił się z powrotem nad encyklopedią i zaczął czytać na głos.

Czemu w ogóle miało służyć to bezsensowne czytanie? Reseng

zastanawiał się nad tym od dwudziestu ośmiu lat, odkąd przybył do biblioteki. Starego Jenota nic nie obchodziło. Polityka, władza, pieniądze, kobiety, małżeństwo czy dzieci – żadna z tych rzeczy nie miała dla niego znaczenia. Bardziej przejmował się drobnymi plamkami pleśni, które wykwiwały między okładkami jego książek. Rzeczywistością, którą autentycznie przeżywał, był świat fikcji. Absorbowały go jedynie problemy istniejące w książkach. Gdy na początku lata gorące poddmuchy monsunu rozpuszczały klej spajający kartki książki, bohater powieści przedzierał się przez zamrożone pustkowia Syberii. To były problemy, którymi Stary Jenot zaprzętał sobie głowę. Dlaczego więc od czterdziestu lat kierował grupą likwidatorów? To nie miało sensu. Powinien był raczej otworzyć antykwariat.

Reseng zabrał bombę i ruszył w stronę drzwi.

– Chcesz przeżyć? – odezwał się jego mentor. – Idź do Hanji.

– A może to nie jego sprawka?

– Nie ma znaczenia, kto to zlecił. Jeśli pogadasz z Hanją, wyjdiesz z tego cało.

– I to wszystko?

– Tak, wszystko.

Stary Jenot wrócił do czytania. Wygląda, jakby się skurczył od ostatniego razu, pomyślał Reseng, patrząc na niego, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

---

---

# Świński Targ

---

---

Brudny, cuchnący, wynędzniały i obrzydliwy. Taki był Świński Targ.

Nadaremny żal, wzbierająca bezustannie apatia i tłumiony gniew, które nie miały gdzie się podziać, zalegały tam jak sterty opadłych liści i czekały, aż ktoś je podpali. Do niczego innego już się nie nadawały.

Trafiał tam każdy, kto chciał zlecić zamach, pozbyć się zwłok albo skorzystać z usługi lekarza gotowego przeprowadzić każdy zabieg. Na Świńskim Targu można było kupić fałszywe dokumenty, narkotyki, broń i organy do przeszczepu. Roiło się tam od lichwiarzy, przemytników, alfonsów, łowców nagród, najemników, płatnych zabójców, tropicieli, drobnych cwaniaczków, włamywaczy, meliniarzy, dziwek, rzezimieszków, skorumpowanych gliniarzy, donosicieli i renegatów, a wszyscy oni kręcili się wokół najróżniejszych pośredników, dysząc niczym jurne psy w upalny dzień i węsząc za okazją do zarobku. Tam również znajdowali swoją przystań ci, którzy sięgali dna z takim hukiem, że w przyływie życzliwości chciałoby się im zasugerować popełnienie samobójstwa, oni jednak dalej parli naprzód, próbując dać życiu ostatnią szansę. Taki był Świński Targ.

Był to najbardziej kapitalistyczny ze wszystkich targów, bo każdy, kto miał gotówkę, mógł na nim kupić wszystko. Nie obowiązywały tam żadne ograniczenia prawne ani moralne. Kłóciłoby się to z zasadami kapitalizmu. Dlatego wszystkie zakazane produkty trafiały na Świński Targ. Asortyment był szeroki – od ludzkich gałek ocznych, płuc, nerek i innych organów po samodiałowe bomby i trucizny, kobiety z Azji Południowej i Europy Wschodniej, tanie narkotyki przemycane z Mjanmy i Afganistanu oraz broń wykradzioną z amerykańskich baz

wojskowych. Przy odrobinie szczęścia można było nawet za półdarmo zaopatrzyć się w ekwipunek i broń, które agenci KGB sprzedawali rosyjskiej mafii. Nie brakowało tam również takich, którzy mieli do zaoferowania zemstę, przyjemność, zniszczenie, zmartwychwstanie i odpuszczenie grzechów. Wystarczyło odpowiedniej osobie wręczyć pięćset dolarów, żeby wynająć nielegalnego wietnamskiego imigranta, który zabije każdą wskazaną osobę, albo kupić zwłoki niezbędne do upozorowania własnej śmierci. Za odpowiednią opłatą dało się nie tylko wyprać brudne pieniądze, ale również wyczyścić swoją brudną przeszłość. Dzięki chirurgom plastykom i fałszerzom dokumentów niejednego ścigany przestępca zamiast gnić długie lata w więzieniu przechadzał się swobodnie ulicami Seulu z nową twarzą i nową tożsamością. Nikogo nie dziwiły również kobiety, które ostrzyły sobie zęby na polisy ubezpieczeniowe swoich zramolałych mężów i chciały szybko owdowieć wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, by cieszyć się pełnią życia. Zdarzyło się nawet, że pewien mężczyzna, który dał sobie wyciąć już wszystko, co mógł spieniężyć i wymienił na żetony w kasynie, przyprowadził swoją jedenastoletnią córkę i zapytał, czy nie ma chętnych także na jej organy. Takim właśnie miejscem był Świński Targ.

Jedynymi towarami, jakich nikt tam nie skupował ani nie sprzedawał, były wyrzuty sumienia, litość i współczucie – nędzne słabostki, na których nikomu nie zależało – i takie przygnębiające puste słowa jak wiara, miłość, zaufanie, przyjaźń i prawda. Nikt nie przyjmował w zastaw ani honoru, ani dobrego imienia. Nie ten adres. W miejscu, gdzie nie obowiązywały żadne zasady moralne, próżno by szukać stoiska z takimi wzniosłymi wartościami. Za to często słychać było łoskot, gdy czyjeś życie waliło się w gruzy, ponieważ na Świński Targ zlatywały się ze wszystkich stron najrozmaitsze okazy degrengolady. Gdyby się nad tym zastanowić,



istniało niewiele miejsc, w które wsiąkło tak dużo łez. Nikt się tam jednak nie przejmował łzami. Nikt nie trwonił sił na bezsensowne współczucie.

Mało zorientowani pytali z wyrzutem, czemu całe to towarzystwo jeszcze nie siedzi za kratkami. Nedorzeczne pytanie. Świńskiego Targu nie dało się zamknąć. Był znacznie większy niż jakiegokolwiek więzienie. Każde więzienie zaś było kolejnym Świńskim Targiem. Wyrastał z niczego i rozwijał się samoistnie jak oaza, która pojawia się na pustyni, kiedy spadnie deszcz, i równie szybko zniknął. Przypominał złośliwy guz, który powiększa się zbyt szybko, by dało się go wyciąć. Inteligentni prokuratorzy i policjanci czerpali z niego korzyści. Doskonale zdawali sobie sprawę, że szczytem głupoty byłoby zarznąć kurę, która znosi złote jajka. Poza tym Świński Targ był zbyt potężny, aby kiedykolwiek zdołali nad nim zapanować.

– On zasługuje na śmierć, prawda?

Kobieta o krótkich kręconych włosach patrzyła błagalnie na Minariego Paka. Wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat, a pod okiem i na kości policzkowej miała ślady po siniakach, które jeszcze nie do końca zbladły. Minari spojrzał na nią zniecierpliwiony.

– Tak, tak, oczywiście – odparł. – Taka gnida aż się prosi, żeby ją rozgnieść. Dlatego to jest szansa dla pani. Może się pani go pozbyć i zacząć wszystko od nowa. Znaleźć sobie nowego męża.

– On ci dobrze radzi. Musisz tylko być silna – odezwała się młodsza kobieta.

Była naganiaczką, cichą współniczką Minariego, a jej zadanie polegało na pozyskiwaniu klientów i podbijaniu ceny.

– On mi zrujnował życie!

Pięćdziesięciolatka z podbitym okiem w zasadzie wygłaszała kwestie rodem z opery mydlanej. Rozpłakała się i uniosła do oczu zwiniętą chusteczkę, którą ugniatała w dłoniach, gdy po jej twarzy pociekły wielkie łzy. Jej wygląd nie pozostawiał wątpliwości, że życie jej nie rozpieszczało. Miała zgrubiałe dłonie, zapewne od ciężkiej pracy, i czerstwą, spaloną słońcem skórę, a jej dwuczęściowy kostium w grochy mógł być modny trzydzieści lat temu. Nie wyglądała na osobę, która przychodzi do płatnego zabójcy, żeby pozbyć się męża. Nie mogła opanować szlochu i Minari spojrzał na swoją współpracowniczkę z miną, która mówiła, że jest bliski obłędu. Młoda kobieta popatrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: „Tylko nie spierdol tego!”.

– Ulżyj sobie. Dobrze, już dobrze – powiedziała, klepiąc klientkę po plecach. – Przy nim nie musisz wstydzić się łez. Możesz mu zaufać.

Reseng, który cały czas siedział za biurkiem Minariego i czytał gazetę, stłumił chichot. Oni naprawdę jej radzili, żeby zaufała zabójcy do wynajęcia? Starsza kobieta najwyraźniej wzięła to sobie do serca, bo zaczęła szlochać jeszcze głośniejsze. Minari wetknął sobie papierosa do ust, a jego mina świadczyła dobitnie, że ma dosyć.

Reseng odłożył gazetę i spojrzał na całą trójkę siedzącą przy stoliku do kawy. Gospodarz i jego współpracowniczka wyglądali żałośnie i żadne z nich nie miało pojęcia, jak obchodzić się z klientką. Minari wpatrywał się pożądliwie w reklamówkę leżącą u jej stóp. W środku prawdopodobnie znajdowały się pliki banknotów, które kobieta przyniosła, żeby zapłacić mu z góry. Było to całkiem intratne zlecenie, zważywszy na słaby ruch w jego interesie, a robota nie należała do trudnych. Jego współpracowniczka urabiała tę kobietę już od kilku miesięcy, by przekonać ją do wynajęcia płatnego zabójcy. Musiała upatrzeć sobie ofiarę, dowiedzieć się o niej jak najwięcej, ostrożnie nawiązać znajomość, która

przeradzała się w przyjemność. Potem czekała tylko na odpowiedni moment, żeby niepostrzeżenie podsunąć jej pomysł.

– Dlaczego to wszystko znosisz? Istnieją różne rozwiązania... – powiedziała jej pewnego razu i rzuciła wyświechtany slogan: – Każdy może zmienić swoje życie jednym śmiałym pociągnięciem.

Oczywiście był to tylko żart. Życie to splątany węzeł, który z każdym rokiem zaciska się coraz mocniej, i nie da się go rozsypać jednym pociągnięciem.

Kobieta wciąż zalewała się łzami, nie zważając na zniecierpliwienie Minariego. Dlaczego płakała? Czy nagle zrobiło się jej żal męża, gdy wreszcie postanowiła go zabić? Czy rozczuliła się nad własnym losem, wspominając, jak urabiała sobie ręce po łokcie, żeby zarobić na utrzymanie mężczyzny, który tylko ją bił? A może w ostatniej chwili dopadły ją wyrzuty sumienia? Siedziała w biurze płatnego zabójcy z reklamówką pełną pieniędzy. Czyżby próbowała mu udowodnić, że jest słaba i niewinna jak oddech niemowlęcia, a jej gniew nie wziął się znikąd? Czyżby jej łzy, spadające niczym płatki uwiędłej chryzantemy, miały uzasadnić decyzję, którą podjęła? Komuś takiemu jak Minari Pak nie trzeba było niczego uzasadniać. Minari nie oczekiwał żadnych dowodów. W środowisku likwidatorów był podrzędną hieną i nie miał oporów przed niczym, jeśli tylko otrzymał zapłatę. Motywy kierujące klientką, choćby ze wszech miar uzasadnione, nie miały wpływu na jego podejście do interesów. Melodramatyczne wapory też nie robiły na nim wrażenia. Gdyby następnego dnia jej mąż zjawił się z bardziej wypchaną reklamówką, Minari bez wahania zmieniłby front.

Kobieta otarła łzy chusteczką i uniosła wzrok.

– Czy nie mógłby pan tylko przemówić mu do rozsądku? Zabójstwo wydaje się zbyt...

Minari spojrzał na nią, jakby coś ciężkiego spadło mu na głowę. Miał ochotę przewrócić stół i wyjść, ale wiedział, że nie może teraz tego spieprzyć. Westchnął ciężko.

– Przemówić mu do rozsądku? Czemu pani sądzi, że w ogóle warto z nim rozmawiać? Musi pani znowu od niego oberwać, żeby się ocknąć? Kiedy mężczyzna zacznie bić żonę, to już nie przestanie. Już nic go nie zmieni. Przyjrzelśmy się pani mężowi i wiemy, że ma słabość do hazardu, alkoholu i kobiet. Nawet gdyby się odrodził pięćset razy, i tak byłby mendą. Można znosić takie rzeczy, dopóki jest pani młoda i ma mocne kości. Ale z wiekiem przychodzi... jak to się nazywa... osteoporoza, i co wtedy? Co się stanie, jeśli panią uderzy, kiedy pani kości będą kruche jak patyki? Wtedy zimne okłady nie wystarczą.

Minari przerwał swój wywód. Wspólniczka zgromiła go wzrokiem i ujęła starszą kobietę za rękę.

– To nie jest rozwiązanie, moja droga. Czas na perswazje dawno minął. Czy ten darmozjad ma jakieś pieniądze na koncie? Dostanie jakąś emeryturę? Nie! Przemawianie mu do rozsądku nie sprawi, że staniesz się bogata i będzie ci się lepiej żyło. Nic z tych rzeczy! Pomyśl, ile przez niego wycierpiałaś. Jaki los ci zgotował. Zrujnował twoje zdrowie i złamał ci serce. Tak nie może być! Jeśli nadal będziesz na to pozwalać, czeka cię pasmo udręk aż do samej śmierci. Ale możesz to zmienić, kochana. On ma dwie polisy ubezpieczeniowe. Odkujesz się i przez resztę życia będziesz odpoczywać. Nie musisz o nic się martwić. Ten pan wszystkim się zajmie.

– Proszę posłuchać swojej przyjaciółki – dodał Minari. – Niech pani przestanie cierpieć i zacznie cieszyć się życiem. Ma pani szansę zacząć wszystko od nowa.

Kobieta zwiesiła głowę i znowu się rozpłakała. Z początku tylko

cicho pochlipywała, ale gdy jej towarzyszka poklepała ją po plecach, wydała z siebie głośny jęk, uderzyła się w pierś i zaczęła szarpać poły żakietu. Minari westchnął ciężko i podszedł do Resenga.

– Ostatnio ta robota mnie wykańcza – szepnął.

W tej samej chwili starsza kobieta zerwała się z sofy.

– Nie mogę! Po prostu nie mogę! Bez względu na to, co mi zrobił, wciąż jest istotą ludzką... – powiedziała nosowym zapłakany głośm i zaczęła bić pokłony przed Minarim. – Bardzo pana przepraszam. Przepraszam, przepraszam...

Potem chwyciła reklamówkę z pieniędzmi i pośpiesznym krokiem wyszła z biura. Wspólniczka Minariego z paniką w oczach wybiegła za nią.

– Widziałeś to? Co za uparta idiotka – warknął Minari, patrząc na Resenga, który znów wbił wzrok w gazetę. – Jeśli nie zamierza zapłacić, to po jaką cholere opowiada mi przez dwie godziny, jaki jej mąż jest podły? Czy ona sobie wyobraża, że ja prowadzę terapię dla ofiar przemocy domowej? No, kurwa, nie wierzę. Będzie mi taka mówić, że jakiś parszywiec jest istotą ludzką. A my niby kim jesteśmy? Jej się wydaje, że ona jedna ma problemy? Psiakrew, teraz już nikt nie jest pewny.

Kopnął ze złością kosz na śmieci, po czym usiadł na sofie i zapalił kolejnego papierosa. Po kilku minutach zadzwoniła jego naganiaczka.

– Cholera jasna, mówiłaś, że jest zdecydowana! – wrzasnął do słuchawki. – Jak mogłaś tak to spieprzyć? Trzeba było lepiej ją urobić... Co? Dać jej więcej czasu? Chyba sobie kpisz... Co? Doszła do wniosku, że za drogo? Głupia zdzira. Jakoś przed chwilą nie przejmowała się za bardzo kosztami... Zgodzi się, jeśli obniżymy cenę? O ile? Ja pier... Co ona sobie wyobraża? Że to

jakiś stragan z owocami? Że rozwalamy ludzi dla zabawy? Dopilnuj, żeby nie puściła pary z gęby. Powiedz jej, że jak piśnie komuś słówko, to poleje się krew albo coś w tym stylu.

W biurze zapadła cisza, kiedy Minari odłożył słuchawkę i zmierzył wzrokiem Resenga.

– Ile trzeba się namęczyć, żeby złapać zlecenie – odezwał się i zapalił kolejnego papierosa. – Ale co sprowadza Waszą Wysokość w moje skromne progi?

Reseng uśmiechnął się, spoglądając na niego znad gazety.

– Siedzę zamknięty w bibliotece i zapominam, jak wygląda prawdziwy świat. Pomyślałem, że jak wpadnę i zapytam, co słyhać, może coś mi doradzisz.

– Kurczę, jakiej rady mógłby oczekiwać ode mnie wielki Reseng? Sam ledwie wiązę koniec z końcem. – Minari zrobił posępną minę i ostentacyjnie spojrział na zegarek. – Szczerze mówiąc, nie trafiłeś na najlepszy moment. Muszę iść.

– Widzę, że jesteś zapracowany. W takim razie zadam ci tylko kilka prostych pytań.

– No dobra. Mam nadzieję, że potrafię na nie odpowiedzieć.

– Odbyło się spotkanie?

– Jakie spotkanie? Chodzi ci o sąsiedzką posiadówkę? – zażartował Minari, siląc się na swobodny ton, ale nie zdołał ukryć zaskoczenia.

Reseng przyglądał mu się z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Słyszałem, że ostatnio dochodzi do wielu spotkań, na przykład u Hanji, ale nie u Starego Jenota. Chcę się dowiedzieć, czy zapadły jakieś ważne decyzje.

– Nie było żadnego spotkania. Sam wiesz, że odbywały się tylko

w bibliotece.

– Czyżby? Ani jednego? – Reseng zmrużył oczy.

– Jeśli coś się odbyło, nic mi o tym nie wiadomo. Po co Hanja miałby mnie wzywać? Ja tylko zarabiam na życie, dodając otuchy starszym paniom. Dla niego się nie liczę. Jestem tylko...

Minari nagle zaniemówił, kiedy Reseng wyjął nóż i położył go na stole. Rękojeść była owinięta chusteczką.

– Należał do Chu. Zawsze się dziwiłem, że używał kuchennych noży, ale teraz, kiedy sam go wypróbowałem, zaczynam rozumieć.

Reseng przyglądał się Minariemu, który zerkał to na nóż, to na niego. Słyszał wręcz, jak w jego głowie kotłują się myśli. Czy on naprawdę przyszedł mnie zaszlachtować, czy tylko blefuje?

– Daj spokój, przecież to do ciebie niepodobne.

– Nie? To co jest podobne do mnie?

Minari odwrócił wzrok, kiedy Reseng spojrzał mu w oczy.

– Nie od wczoraj wiadomo, że Hanja chce się pozbyć Starego Jenota – powiedział.

– Nie o to cię pytałem – odparł Reseng. – Chcę znać konkrety.

– Niby czemu Hanja miałby mi cokolwiek wyjawić?

– Bo cię lubi. Wie, że nigdy nie wzgardzisz żadnym ochłapem.

Minari zacisnął zęby. Te słowa dotknęły go do żywego. Włożył do ust kolejnego papierosa i próbował go zapalić, ale ze wzburzenia tak bardzo trzęsły mu się ręce, że w końcu zrezygnował.

– Stary Jenot przysłał cię tutaj, żebyś mnie zabił, bo uważa mnie za jednego z psów Hanji? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi Resenga, który tylko patrzył na niego w milczeniu. –

No cóż, to zraniło moje uczucia, i to bardzo. Możesz to przekazać Staremu Jenotowi. I dodać, że tym razem posunął się za daleko. Ma

o mnie całkowicie błędne wyobrażenie. To nie w moim stylu. Naprawdę sądzicie, że jestem taki podstępny?

Minari zawiesił głos i wlepił wzrok w twarz Resenga, na próżno starając się wyczytać coś z jego kamiennej miny.

– Prawdę mówiąc, wielu ludzi się skarży – podjął na nowo. – Ile lat minęło od czasu, kiedy ostatnio dostaliśmy jakąś robotę z biblioteki? Stary Jenot może sobie do woli zgrywać świętego i udawać, że żywi się trawą i rosą, ale nas na to nie stać. Nawet kiedy nie ma zleceń, i tak musimy co miesiąc dać jakieś kieszonkowe naszym dzieciom, zapłacić łapówki glinom i odpalić prowizje pośrednikom, nie mówiąc o tych na górze, w efekcie ledwie nam starcza na paczkę makaronu. Nie jadam nawet ochłapów; teraz żywię się gównem! A mimo to Stary Jenot trzyma łapę na tej swojej liście klientów i ani myśli się podzielić.

Znów przerwał i zrobił taką minę, jakby oczekiwał, że Reseng przyzna mu rację, ten jednak ani drgnął.

– Masz pojęcie, jak bardzo poprawiłaby się nasza sytuacja, gdyby odstąpił nam chociaż kilku większych kontrahentów? Ale ten uparty staruch się zawziął. Nic więc dziwnego, że wszyscy się burzą. Sam widzisz, że nie jest łatwo o zarobek, więc niezadowolonych nie brakuje. A jakże! Kiedy ludzie się spotykają, w kółko tylko utyskują na Starego Jenota. Ale nie ja! Ja zawsze staję w jego obronie. Mówię im, że owszem, czasy są ciężkie, ale to jeszcze nie powód, żeby wieszać na nim psy. Przypominam im, ile dobrego kiedyś dla nas zrobił. Tłumaczę, że czasem życie nas nie rozpieszcza, ale musimy jakoś przetrwać te chude lata. Naprawdę! Spytaj, kogo chcesz! Tylko ja tutaj trzymam stronę Starego Jenota. Powiedz mi szczerze, czy ktoś jeszcze ofiarował mu prezent na święta? Nikt, prawda? Tylko ja, Minari Pak. A nie przyszedłem z byle czym, o nie! Przyniosłem mu sardele z Namhae, które



osobiście kupiłem w sklepie. Złowione w bambusową siatkę sardele! Z certyfikatem!

Cała ta gadanina musiała podzielać uspokajająco na Minarięgo, bo udało mu się wreszcie zapalić papierosa.

– Teraz drugie pytanie – powiedział Reseng spokojnym tonem. – Czy Hanja wyznaczył termin?

Minari spojrzał na niego skołowany.

– Zwariować przy tobie można. Próbuje ci coś wytłumaczyć, a ty wciąż nic nie rozumiesz. Utrzymuję się z zabijania staruszek, ale nie oznacza, że byłbym zdolny zdradzić patrona.

– Chciałbyś przejechać się dzisiaj do Niedźwiedzia?

Minari dostrzegł na twarzy Resenga przelotny uśmiech i przeniósł wzrok na jego palce, które zaczęły gładzić rękojeść noża.

– Działam w tej branży od trzydziestu lat i przeżyłem różne kataklizmy – oświadczył podniesionym głosem. – A ten twój kuchenny nożyk to kpina. Jestem Minari Pak, do jasnej cholery!

Uniósł drżącą rękę, żeby zaciągnąć się papierosem, gdy nagle Reseng chwycił nóż i zamachnął się płynnym ruchem. Dwa odcięte palce, wskazujący i środkowy, zatoczyły łuk w powietrzu i wylądowały na biurku z cichym plaśnięciem. Minari popatrzył na swoją prawą dłoń, a potem na zakrwawione palce, między którymi wciąż tkwił dymiący papieros. Pobladł i cofnął się o krok, a jego koszula zrobiła się czerwona od krwi. Reseng uniósł brwi i spokojnie odłożył nóż.

– Pytam ostatni raz: Czy Hanja wyznaczył termin?

Wyjął papierosa spomiędzy odciętych palców i zgasił go w popielniczce, po czym przechylił głowę, dając Minariemu do zrozumienia, że czeka na odpowiedź.

– Ja pierdolę! Po co to zrobiłeś? Kurwa, nie możemy porozmawiać jak cywilizowani ludzie? Musiałeś odcinać mi palce?

– Minari zaczął płakać, ale uspokoił się, widząc, że Reseng znów chwyta nóż. – Hanja planuje coś większego. Nic więcej nie wiem, przysięgam.

– Co planuje?

– Nie jestem pewien. Myślę, że ma to coś wspólnego z rządem. Wiesz, zbliżają się wybory prezydenckie.

Reseng zmarszczył czoło na znak, że czeka na więcej.

– Załatwiłem dla niego parę drobnych spraw, ale to wszystko – ciągnął Minari. – Nie jestem jedyny, a inni są lepiej wtajemniczeni. Ale nie mam pojęcia, co to ma wspólnego z biblioteką albo czy Hanja zamierza rozprawić się ze Starym Jenotem. Przysięgam, ja tylko wyeliminowałem kilku starszych facetów, którzy i tak wkrótce by umarli.

– Czy ja też jestem na jego liście?

– Skąd mam wiedzieć? – Minari wyglądał na autentycznie załamane. – Daj spokój. Pomyśl tylko, czy Hanja, który ma mnie za skończonego dupka, ujawniłby mi coś takiego?

Chwycił się za okaleczoną dłoń, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać, a jego głos przybrał błagalny ton.

Reseng po chwili namysłu sięgnął po nóż, wyjął ze stojącego na biurku pudełka kilka chusteczek i wytarł nimi ostrze. Potem wsunął go do skórzanej pochwy i schował do kieszeni. Minari najpierw cofnął się przerażony, ale uspokoił się i zrobił sobie z chusteczek prowizoryczny opatrunek. Sięgnął po odcięte palce, ale zatrzymał się w pół ruchu i uniósł wzrok. Reseng patrzył na niego i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się i wyszedł.

Kierując się w stronę drzwi, usłyszał, jak Minari mamrocze za jego plecami:

– Co tu się, kurwa, dzieje? Jezu Chryste, co się dzieje?

Był w połowie drewnianych schodów, kiedy zobaczył kobietę o krótkich kręconych włosach, która wcześniej wybiegła z biura. Na jego widok zasłoniła twarz, zawróciła i pośpiesznie wyszła na ulicę. Wspólniczka Minariego odprowadziła ją wzrokiem, nie kryjąc irytacji.

– Co za krętaczka. Zachowuje się tak niewinnie, jakby nie była skończoną zdzirą – powiedziała i spojrzała na Resenga. – Już wychodzisz? Zostań jeszcze. Mógłbyś mi dotrzymać towarzystwa.

– Starczy mi przyjemności na dziś – odparł z uśmiechem.

– Marzy mi się jakaś wspólna fucha z tobą – dodała naganiaczka i spojrzała zalotnie, ale Reseng zbył ją obojętnym skinieniem głowy. Obejrzała się w stronę wyjścia z kamienicy. – Gdzie ta idiotka się podziewa?

Na ulicy Reseng natknął się na starszą kobietę, która stała odwrócona twarzą do ściany. Dostrzegł wyraźne zadrapania na jej szyi i siniaka na policzku. Wysupłał papierosa z paczki. Usłyszawszy pstryknięcie zapalniczki, kobieta odwróciła głowę.

– Proszę to dobrze rozważyć – odezwał się, wydmuchując dym.  
– Pani mąż nigdy się nie zmieni.

Gdy Reseng znowu zjawił się w Psiarni, bibliotekarki wciąż nie było, ale z jej biurka znikła tabliczka z napisem „Urlop”. Nie zauważył również koszyka z kłębkami włóczki, buteleczek lakieru do paznokci i małej puderniczki. Pluszowe maskotki i figurkę kota też ktoś zabrał. Zostawił jedynie organizer na przybory biurowe z opisanymi szufladkami. Reseng odruchowo przejechał

dłonią po blacie.

Usłyszał głuchy łoskot, kiedy z regału na piętrze spadła książka i uderzyła o podłogę. Wszedł na górę, żeby sprawdzić, co się dzieje, i zobaczył swojego mentora, który stał na drabinie i wycierał kurz z półki, zrzucając na dół niektóre tomy. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio zajmował się osobiście porządkami. Kiedy Reseng był jeszcze chłopcem, widywał go czasem kuśtykającego po bibliotece z wiadrem pełnym wody i ścierką. Stary Jenot wspinał się wtedy na drabinę i zaczynając od najwyższej półki, wycierał na mokro każdy zakamarek i wyjmował każdą książkę, żeby zdmuchnąć z niej kurz. Kiedy to robił, na jego zwykle pozbawionej emocji twarzy pojawiał się ledwie dostrzegalny wyraz zadowolenia. Jakby cofnął się o sześćdziesiąt lat do czasów, kiedy zaczynał pracę jako świeżo upieczony bibliotekarz.

Reseng podniósł z podłogi kilka książek i położył je na wózku.

– Wyrzucasz je wszystkie? – zapytał.

Stary Jenot zerknął na niego spod sufitu.

– Nie przetrwały próby czasu.

Reseng spojrzał na przejście między regałami. Wszędzie piętrzyły się sterty książek przeznaczonych do wyrzucenia. Było ich więcej niż podczas poprzednich selekcji, a zwykle zapchane półki wyglądały teraz na mocno przetrzebione. Stary Jenot zszedł z drabiny. Z podwiniętymi rękawami koszuli i wilgotną ścierką w dłoni wydawał się szczęśliwszy i młodszy niż na co dzień, mimo to przechylał się niebezpiecznie w bok pod ciężarem wiadra, które trzymał w drugiej ręce. Nie protestował, kiedy jego wychowanek zaoferował mu pomoc.

– Wygląda na to, że Hanja wyznaczył termin – powiedział Reseng.

– Jaki termin? Żeni się?

– Powinniśmy uderzyć pierwsi.

Stary Jenot milczał przez chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko.

– My? – zapytał i spojrzał na Resenga z miną, która miała wyrażać politowanie, ale więcej było w niej żalu i melancholii. – Jeśli zabijemy Hanję, jakiś inny łajdak zajmie jego miejsce. Piszesz się na to?

Podszedł do okrągłego stolika, który stał między regałami, przetaił blat ścierką i wyjął paczkę papierosów. Wyciągnął ją w stronę Resenga, który dołączył do niego i postawił wiadro na podłodze, ten jednak z początku pokręcił głową i wahał się przez chwilę, zanim w końcu się poczęstował. Stary Jenot podał mu ogień, a potem sam zapalił i milcząc, nieśpiesznie zaciągał się dymem.

Drobinki kurzu szybowały powoli w snopach światła słonecznego, które sączyło się między listwami żaluzji. Reseng pamiętał ten widok z dzieciństwa, gdy siedział w kącie biblioteki i śledził wzrokiem wirujące pyłki. Nawet najłżejszy dźwięk wprowadzał je w ruch. Patrzył na dym z papierosa, który unosił się do sufitu, owiewając tabliczkę z napisem „Zakaz palenia”, i mieszał się z kurzem.

– To kurz jest prawdziwym władcą tej biblioteki – mówił do siebie półgłosem.

Zamykał książkę i godzinami obserwował kształty, jakie tworzyły podobne do cirrocumulusów obłoczki dymu w połączeniu z drobinami kurzu i promieniami słońca.

– Najstarsza zachowana ludzka czaszka ma dziurę po oszczepie – odezwał się Stary Jenot, nie odrywając wzroku od rzędu okien

w zachodniej ścianie budynku. – Prostytycja jest starszym zajęciem niż uprawa roli. W Biblii pierwszy człowiek zrodzony z kobiety jest mordercą. Od tysiącleci wszystkie osiągnięcia ludzkości, takie jak cywilizacja, sztuka, religia, a nawet pokój, były efektem wojen. Wiesz, co to oznacza? Jak to o nas świadczy? Od zarania dziejów zabijamy się nawzajem, żeby przeżyć. Uprzedzamy tych, którzy nastają na nasze życie, albo pozbywamy się konkurentów. W taki sposób walczymy o przetrwanie. Ludzkość zawsze podlegała temu naturalnemu mechanizmowi oczyszczania, eliminując słabsze jednostki. Oto prawdziwe oblicze świata. Takie były nasze początki i niewiele się zmieniliśmy od tamtego czasu. I prawdopodobnie zawsze tacy będziemy, bo nikt nie wie, jak to powstrzymać. Dlatego zawsze znajdzie się ktoś, kto wcieli się w rolę alfonsa, prostytutki albo płatnego zabójcy. Co zabawne, musi tak być, żeby to wszystko dalej się kręciło.

Stary Jenot zakończył swoją przemowę i wrzucił papierosa do wiadra z brudną wodą.

– Jak to się ma do zabójstwa Hanji? – zapytał Reseng. – Kiedy jego miejsce się zwolni, zastąpi go ktoś inny.

– Ten, kto jest stworzony do tronu, powinien siedzieć na tronie. A Hanja jest w tym zdecydowanie lepszy ode mnie.

Reseng otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Zamierzasz tak to zostawić?

– A co znaczy jeden martwy kaleka, którego opuściło szczęście? Śmierć Hanji niczego nie zmienia.

Stary Jenot wziął ścierkę i schylił się po wiadro. Odsunął dłoń Resenga, który chciał mu pomóc, chwycił je i powolnym kołyszącym krokiem ruszył w stronę łazienki. Z tyłu wyglądał, jakby balansował na linie.

---

---

**Mito**

---

---

Mito pracowała w sklepie spożywczym. Każdego klienta witała gromkim „Dzień dobry!”, a następnie zagadywała energicznie: „Może pomóc coś znaleźć?” albo wtrącała niedyskretnie: „Och, mnie też smakują te ciastka”. Większość ludzi ignorowała jej zaczepki, ona jednak zdawała się tego nie zauważać, bo śmiała się i zasypywała ich żartami, stukając w klawisze kasy i przesadnie zamaszystymi ruchami przekładając artykuły na kontuarze. Kiedy nie było klientów, trajkotała do telefonu albo wycierała półki i porządkowała ustawiony w idealnym porządku towar. W kółko tylko gadała albo sprzątała. Była jak nadpobudliwe dziecko.

– Jesteś pewien, że właśnie ona skonstruowała tę bombę? – zapytał Reseng z niedowierzaniem.

– Trzy zamówione składniki przysły na jej adres – odparł tropiciel Jeongan. – Więc to raczej pewne. No bo do czego jej to potrzebne? Chciała urządzić pokaz fajerwerków? I dlatego kupiła materiał wybuchowy na czarnym rynku?

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby rzeczywiście to była ona.

– Otóż to. Wygląda, jakby lubiła się bawić fajerwerkami.

Reseng wyjął z kieszeni fiolkę i połknął tabletkę aspiryny. Ilekroć wychodził na miasto, dokuczał mu ból głowy. Na skrzyżowaniu zmieniło się światło i młody dostawca pizzy zawrócił w niedozwolonym miejscu. Mężczyzna w garniturze, który czytał gazetę, czekając przed przejściem dla pieszych, miał rozwiązaną sznurówkę w lewym bucie. Ten widok wytrącił Resenga z równowagi. Światło znów się zmieniło i sznur samochodów skręcił w lewo zgodnie z przepisami. Tymczasem dostawca pizzy wjechał skuterem na zatłoczony chodnik, jakby wykonywał jakąś sztuczkę cyrkową, po czym gwałtownie zahamował. Po raz kolejny



zmieniło się światło i zapatrzonej w gazetę mężczyzna wszedł na jezdnię, nie zdając sobie sprawy, że wlecze za sobą rozwiązaną sznurówkę. Właśnie tego rodzaju rzeczy działały Resengowi na nerwy. Od natłoku niepotrzebnych informacji bolała go głowa. Przetrawanie wymagało nieustannej koncentracji, ale długie i czułe macki jego percepcji nie potrafiły wyłowić kluczowych sygnałów z tego chaosu. Wiedział, że ten otepiający niepokój kiedyś doprowadzi go do zguby.

– Jaki ona ma w tym udział? – zapytał. – Konstruuje bomby na zamówienie?

– Trudno powiedzieć. Nie wydaje mi się, żeby to była jej specjalność, a sądząc po posturze i ruchach, nie wygląda na cyngla. Ale całkiem możliwe, że zajmuje się logistyką. Jeszcze jej nie rozgryzłem.

– W takim razie co wiesz?

– No przestań się czepiać – warknął tropiciel. – Od kilku dni wężę i nie dosypiam, próbując ustalić, co to za jedna. Gdyby nie ja, gównem byś się dowiedział. Nikt inny nie zaszedłby tak daleko. – Jeongan wyjął grubą szarą kopertę. – To jest niepokojąco złożona osobowość. Nie potrafię jej przejrzeć, ale może tobie się uda.

Reseng otworzył kopertę. W środku znajdowały się setki zdjęć i dossier kobiety. Zaczął przeglądać fotografie. Zostały zrobione przed wejściem do jakiegoś domu, w wąskiej uliczce, w autobusie, w bibliotece, w nocnym klubie, na basenie, w piekarni, w sklepie spożywczym, w kawiarni, na targu rybnym... Stanowiły dokładny rejestr wszystkich ruchów obiektu z ostatniego tygodnia.

– Co to jest? – zapytał Reseng, pokazując tropicielowi jedno ze zdjęć kobiety, na którym stała na jakimś placu i trzymała transparent z hasłem „Ratujcie koale!”.

Jeongan zachichotał.

– Niedawno odbyła się międzynarodowa konferencja na rzecz ochrony środowiska – wyjaśnił.

– No i?

– Zrobiłem jej to zdjęcie, kiedy brała udział w demonstracji przed gmachem Zgromadzenia Narodowego. Wiesz, przestańcie zatruwać powietrze i takie tam. Chodzi o to, że zwiększona ilość dwutlenku węgla w atmosferze obniża wartość odżywczą liści eukaliptusa, którymi posilają się koale. Była taka czerwona na twarzy od wznoszenia okrzyków, że zacząłem się zastanawiać, czy jej też nie grozi wyginięcie.

Reseng spojrział na tropiciela z niedowierzaniem.

– Co za nonsens. Podłożyła mi bombę, ale przejmuję się losem jakichś głupich torbaczy? A ja to co? Jestem gorszy od koali?

– A myślisz, że jesteś lepszy? – Jeongan był niewzruszony. – No i co teraz? Zamierzasz ją uprowadzić?

Reseng wyjął z kieszeni kuchenny nóż, wysunął ostrze ze skórzanej pochwy, obejrzał je i schował z powrotem. Tropiciel przyglądał mu się z oszołomioną miną.

– Chcesz ją zadźgać? – zapytał. – W biały dzień? Rozumiem, że puszczają ci nerwy, ale nie możesz tego zrobić.

– A czy ja jestem bandyta jakiś?

– To po co ci ten nóż?

– Podobno dużo więcej zdasz dobrym słowem i spluwą niż samym dobrym słowem. Znasz tę mądrość?

– Kto to powiedział?

– Al Capone.

– Więc dobre słowo i nóż chyba też poskutkują.

– Ona zaczęła rozmowę od podłożenia bomby w moim sraczu.

Ja tylko odpowiadam w jej stylu.

Kobieta wciąż rozmawiała przez telefon. Kiedy do sklepu ktoś wchodził, błyskawicznie odkładała słuchawkę, ale po obsłużeniu klienta wracała do rozmowy. Reseng zapalił papierosa, nie odrywając od niej wzroku. Nagle pozazdrościł jej, że ma kogoś, kto jest skłonny tak długo słuchać jej gadaniny.

– O której kończy pracę? – zapytał.

– O piętnastej. Jeszcze godzina.

Reseng spojrział na zegarek, po czym wyjął z kieszeni długopis z czerwonym wkładem i zaczął przeglądać dossier ekspedientki. Zmarszczył brwi, kiedy znudzony tropiciel zaczął stukać łyżeczką w bok filiżanki.

– Mógłbyś przestać z łaski swojej?

– Jezu, aleś ty wrażliwy... – obruszył się Jeongan. – Takie jest życie, chłopie, od hałasu nie uciekniesz.

Odrzucił łyżeczkę, która z głośnym brzękiem upadła na spodek. Reseng spiorunował go wzrokiem. Z kawiarni wyszła kelnerka i podeszła do ich stolika na tarasie.

– Panowie życzą sobie czegoś?

– A co? – Jeongan uśmiechnął się drwiąco. – Chciałabyś nam coś zaproponować?

Kelnerka zarumieniła się. Miała na sobie czarną kamizelkę i białą bluzkę, spod której prześwitywał obcisły podkoszulek.

– Podać jeszcze kawy? – zapytała, próbując ukryć zakłopotanie.

– O tak, to świetny pomysł! – Jeongan parsknął śmiechem i odprowadził wzrokiem dziewczynę, która zabrała puste filiżanki i wróciła do lokalu. – Całkiem niezła sztuka.

– Wygląda na to, że masz nawrót syndromu Casanovy. Co się

stało z twoją ostatnią dziewczyną?

– Którą?

– Tą, która mówiła przez nos.

Tropiciel zmarszczył czoło.

– Ach, pamiętam! No cóż, to już przeszłość. Tak jakbyś mówił o epoce kamienia łupanego.

– Jeśli trzy miesiące temu była epoka kamienia łupanego, to co mamy dzisiaj? Neolit? Jak to jest, że z żadną kobietą nie możesz wytrzymać dłużej niż miesiąc?

– W ostatnim przypadku nie ja zawiniłem! Kiedy mnie całowała, ciekło jej z nosa. Byłem cały w glutach.

Jeongan zrobił taką minę, jakby rzeczywiście czuł się pokrzywdzony. Reseng spojrział na niego z politowaniem i znów pochylił się nad dossier.

– Jeśli dalej będziesz tak się obchodził z dziewczynami, zostaniesz całkiem sam – powiedział, nie odrywając wzroku od kartki. – Młodszy już nie będziesz. Zamiast dłużyć laską w ziemi gdzie popadnie, musisz w pewnym momencie wybrać miejsce, w którym wykopiesz studnię.

– Nieważne, gdzie wtykam laskę, byle było wilgotno. Zresztą o co ci chodzi? Czy ja szukam złóż roponośnych?

Reseng podkreślił na czerwono kilka ważnych informacji. Kręcił głową, próbując poskładać wszystko w sensowną całość, i od czasu do czasu zerkał na kobietę za szybą sklepu spożywczego. Kiedy przewracał kolejne kartki, Jeongan nie przestawał głądzić.

– Kto powiedział, że krótkotrwały związek nie może być poważny? Kochałem wszystkie kobiety, z którymi się spotykałem. Naprawdę. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że moje życie uczuciowe podążało stromą i zdradliwą ścieżką. Ale

skąd ty możesz wiedzieć, co przeżyłem? Nigdy nie ugrzązłeś w bagnie miłości. Twojego serca nigdy nie rozkroił na pół ostry miecz rozstania. Nie masz pojęcia, ile wycierpiałem. Nie wiesz, jak to jest szukać nowego uczucia, żeby zaleczyć rany po ostatnim zawodzie miłosnym. Nie prześladowały cię bolesne wspomnienia, które nie znikają, choćbyś nie wiadomo ile pił albo walił się w piersi, albo...

– Ona jest lekarką? – przerwał mu Reseng.

– Co? Ile razy mam ci powtarzać? Teraz spotykam się z pielęgniarką.

Reseng spojrział na niego ze złością i wskazał głową na ekspedientkę. Jeongan obrócił głowę w ślad za jego gestem.

– Aha, ona. No tak, jest lekarką.

– Nie wygląda. Nie powinna pracować w szpitalu? Co lekarka, do cholery, robi za ladą?

– Właściwie nigdy nie pracowała w szpitalu, tylko w laboratorium, ale odeszła jakiś czas temu.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Skąd mam wiedzieć, co się dzieje w głowie jakiejś stukniętej panienki?

– Wiele słyszałem o patronach, którzy są lekarzami. Myślisz, że ona...?

– O ile mi wiadomo, żaden z patronów nie jest taki młody? To przeważnie starsi faceci. Najmłodszy z nich jest chyba jakoś przed pięćdziesiątką. A poza tym nie słyszałem, żeby zajmowały się tym kobiety.

– O ile ci wiadomo? A niby skąd to wszystko wiesz?

– Myślisz, że jesteśmy tacy sami? Reprezentujemy całkiem

różne sfery zawodowe. Moja praca polega na zaawansowanym obrocie informacjami, a ty jesteś zakapiorem, który rzuca się na ludzi z nożem do ryb. Gdybyśmy żyli w czasach dynastii Joseon, taki nędzny siepacz jak ty nie ośmieliłby się unieść głowy w mojej obecności i spojrzeć mi w oczy. A gdybyś to zrobił, twoje ciało zawinięte w słomianą matę stałoby się pożywieniem dla sępów. Powinieneś być mi dozgonnie wdzięczny i czuć się zaszczycony faktem, że raczę się z tobą przyjaźnić. A ty nic, tylko się mnie czepiasz.

– Dziękuję, że jesteś moim przyjacielem – odparł drwiącym tonem Reseng.

Jeongan zapalił papierosa, prężąc się dumnie.

Ojciec Jeongana też był tropicielem. Wcześniej jako zawodowy żołnierz walczył w Wietnamie, skąd wrócił obwieszony orderami. Okazało się jednak, że śledzenie ludzi dosyć kiepsko mu szło. Co zabawne, został tropicielem dopiero po tym, jak zjeździł cały świat w poszukiwaniu swojej zbiegłej żony. Matka Jeongana wsypała mężowi tabletki nasenne do piwa i kiedy spał odurzony, uciekła ze wszystkimi pieniędzmi, które zarobił, narażając życie w Wietnamie.

– Miała klasę ta moja matka, nie? Porzuciła męża i syna w imię wielkiej miłości. Kiedy człowiek jest zakochany, nie patrzy na koszty. Dla mnie też liczy się tylko miłość i chyba odziedziczyłem to po niej...

Ojciec Jeongana przysiągł, że gdy wreszcie dopadnie wiarołomną małżonkę, rozerwie na strzępy ją i jej kochanka, a potem odbierze sobie życie. Przeszukał każdy zakątek w kraju, a potem wyjechał za granicę i podążał za różnymi pogłoskami uzbrojony w nóż i kapsułkę z cyjankiem. Po pięciu latach w końcu natrafił na jej ślad. Razem z mężczyzną, z którym uciekła, prowadziła świetnie prosperującą pralnię na Filipinach. Ale nie

zadźgał swojej żony ani jej kochanka i nie połknął cyjanku. Nie dotknął nawet noża, który tyle czasu nosił pod koszulą blisko serca. Nie podszedł do kobiety, której szukał przez pięć lat, i nie zapytał: „Jak mogłaś mi to zrobić?”. Tylko przez chwilę przyglądał się z daleka, jak ona i jej nowy partner rozwieszają świeżo wypraną pościel, a potem wrócił do domu.

– Stary kiedyś się upił i wyjaśnił mi to. Powiedział, że pierwszy raz w życiu zobaczył ją taką szczęśliwą.

Oczywiście na jego decyzję mogło też wpłynąć coś innego. Tak jak wszystko we wszechświecie, nawet najbardziej zaciekle nienawiść, żądza zemsty i gniew z biegiem czasu słabną, by wreszcie zniknąć bez śladu. Gdy pewnego razu Jeongan wybrał się służbowo na Filipiny, Reseng zapytał go, czy spotkał się z matką.

– To bez sensu – odparł tropiciel, patrząc apatycznie na przyjaciela. – Po co miałbym się wcinać w jej życie, skoro zadała sobie tyle trudu, żeby być szczęśliwa? Każdy z nas, kimkolwiek jest, musi stoczyć swoją walkę o szczęście.

Jego ojciec był zaledwie trzeciorzędnym tropicielem, ale Jeongan należał do mistrzów w swoim fachu. Zazwyczaj potrzebował niecałych dwóch tygodni, żeby namierzyć cel – każdego bez wyjątku, o ile wciąż mieszkał gdzieś na Ziemi, a nie wyprowadził się na Marsa. Ale obdarzony niepospolitym talentem do odnajdywania ludzi, jeszcze lepiej radził sobie z ich śledzeniem. Takich jak on w środowisku likwidatorów nazywano cieniami. Podążali krok w krok za celem, robili mu zdjęcia i obserwowali jego zwyczaje, a potem przekazywali wszystkie informacje patronowi. Jak sugerowała nazwa, Jeongan potrafił deptać delikwentowi po piętach przez cały dzień i pozostawał niezauważony. Kiedyś Reseng zapytał go, w czym tkwi sekret jego skuteczności.

– Jestem przeciętny – wyjaśnił. – Nikt nie zwraca uwagi na to, co zwyczajne.

Jego zdaniem doskonały cień nie musiał wykazywać się niepospolitą zwinnością ani znajomością forteli czy sztuki kamuflażu. Nie potrzebował wymyślnych przebrań i nie starał się być niewidzialny. Najważniejsze, jak twierdził, to nie mieć w sobie nic godnego zapamiętania.

– Najpierw musisz sobie uzmysłwić, co oznacza przeciętny wygląd. Musisz być uosobieniem przeciętności. Ludzie nie zwracają uwagi na to, co zwyczajne, a nawet jeśli coś przyciągnie ich wzrok, szybko o tym zapominają. Ale nie jest łatwo stać się osobą, która nie zapada w pamięć. Musisz pozbawić swoją postać wyrazistości. Poruszać się w tak subtelny i ledwo dostrzegalny sposób, aż zaczniesz się zlewać z otoczeniem, rozplýwać się jak mgła. Ludzie będą cię mijać, jakbyś w ogóle nie istniał, jakbyś był powietrzem. Strasznie trudno zamienić się w kogoś takiego.

– Hm... – Reseng pokiwał głową. – Wydaje się niewykonalne.

– To jest tak samo trudne jak bycie kimś wyjątkowym. Ciągle się zastanawiam, jakie cechy o tym decydują. Czy chodzi o średni wzrost? Pospolite rysy twarzy? Szablonowe zachowanie? Prozaiczną osobowość i niewyszukany zawód? Nie, to nie jest takie proste. Nie istnieje coś takiego jak uśredniony styl życia. Czy to geniusz, czy miernota, każdy jest wyjątkowy. Właśnie dlatego nie możesz się przeciętnie zakochać ani być przeciętnie miły, ani poznać kogoś czy zerwać znajomość w przeciętny sposób. Zresztą w takim życiu nie ma miejsca na miłość, nienawiść, zdradę, cierpienie albo wspomnienia. Jest suche i pozbawione smaku, bezbarwne i bezwonne. Ale wiesz co, podoba mi się takie życie. Nie znoszę, kiedy coś jest zbyt intensywne. Dlatego uczę się, jak nie zapadać ludziom w pamięć. To bardzo skomplikowane. Nie ma



żadnych książek na ten temat, żadnych szkoleń. Każdy stara się żyć tak, żeby czymś się wyróżnić i żeby inni o nim pamiętali. Przeciętności, na której mi zależy, nikt nie pamięta. Chcę wieść życie w zapomnieniu. Oto, do czego dążę.

Resengowi spodobał się ten wywód. Dlatego się zaprzyjaźnili. Jeongan dorastał, podróżując wraz z ojcem, a w wolnych chwilach się uczył, ukończył liceum i poszedł na uniwersytet, gdzie studiował geologię. Nie dlatego, że miał zbyt słabe oceny, żeby dostać się na prawo czy ekonomię – sam wybrał taki kierunek. Mówił, że kiedy się nudził, wędrując z ojcem po świecie, ssał małe kamyczki, jakby to były cukierki, żeby poznać ich smak.

– Kamienie mają jakiś smak?

– Oczywiście. Granit i gnejs różnią się od siebie tak samo jak śliwki i cytryny.

– Chcesz powiedzieć, że studiowałeś geologię, żeby zgłębiać smak skał?

– W pewnym sensie tak, ale gdyby chodziło tylko o smak, powinienem być raczej wybrać gastronomię.

Reseng nie potrafił zrozumieć, jak można kierować się tak głupimi motywami, podejmując ważną życiową decyzję. Ale Jeongan, urodzony optymista, jakoś się tym nie przejmował. Radził sobie z trudnymi przedmiotami, sumiennie uczęszczał na zajęcia i uzyskał dyplom. Dzięki jego szczególnym zdolnościom nie zapamiętał go żaden z kolegów.

Jeongan zawsze miał jakąś dziewczynę. Bardzo często zmieniał partnerki, a jego życie uczuciowe byłoby dla każdej normalnej osoby tak absorbujące, jak praca na pełnym etacie.

– Jak ty to robisz, że wszystkie dziewczyny na ciebie lecą? – zapytał go kiedyś Reseng.

– Tak naprawdę nie lecą na mnie. To nie tak. Żadna dziewczyna nie zakocha się w facecie, który nie istnieje.

– Akurat. Przecież masz ich na pęczki.

– One po prostu czują się samotne. Przechodzą taki etap w życiu i potrzebują wtedy mężczyzny, który będzie im dotrzymywał towarzystwa. Równie dobrze mogłyby sobie wybrać drzewo albo jakiś kwiatek. A wiesz, że upodabnianie się do roślin doniczkowych to moja specjalność – wyjaśnił Jeongan z uśmiechem.

Ilekcio Reseng spotykał się ze swoim przyjacielem, myślał o jego dążeniu do przeciętności. Była to przeciętność jedyna w swoim rodzaju. Jeongan zbliżał się do poziomu, do którego dążył. Jego twarz mogłaby się wydać znajoma nawet komuś, kto widział go po raz pierwszy. Miał w sobie coś swojskiego i przystępnego, dlatego niejedna osoba mogłaby przysiąc, że już go gdzieś spotkała. A mimo to wyglądał tak zwyczajnie, że nie dało się znaleźć odpowiednich słów, żeby go opisać. Reseng podejrzewał, że pewność siebie i spokój, którymi Jeongan imponował kobietom, stanowiły część jego przeciętności. Przypuszczalnie dlatego tak łatwo nawiązywał z nimi zażyłe stosunki i tak łatwo z nimi zrywał.

Reseng spojrział na zegarek; była 14.40. Ekspedientka wciąż rozmawiała przez telefon. Z powrotem przeniósł wzrok na notatki.

– Czy Mito to jej prawdziwe imię? – zapytał.

– Na to wygląda. Jej siostra ma na imię Misa.

– Mito i Misa? Jak te japońskie miasta? Ich ojciec miał dziwne poczucie humoru – stwierdził Reseng i podsunął przyjacielowi kserokopię notki prasowej na temat jakiegoś wypadku samochodowego. – A to co tutaj robi?

– To było dwadzieścia lat temu – wyjaśnił tropiciel. – Jej rodzice jechali z przodu i zginęli na miejscu. Dziewczynki przeżyły, ale jej

młodsza siostra doznała urazu kręgosłupa i jest sparaliżowana od pasa w dół. Okazało się, że ojciec, który prowadził, miał alkohol we krwi, a przyczyną wypadku była prawdopodobnie nadmierna prędkość. Ze śladów opon wynika, że jechał ponad sto pięćdziesiąt na godzinę.

– Siadł za kółko po spożyciu i tak pędził z żoną i córeczkami?

Reseng jeszcze raz omiół wzrokiem artykuł. Do wypadku doszło w pogodny majowy dzień, a pogruchotany i wypalony wrak samochodu znaleziono na dnie ośmiometrowej przepaści nieopodal spokojnego prowincjonalnego miasteczka. Dziwne, że kierowca jechał tak szybko, zwłaszcza jeśli wcześniej pił. To załatywało na kilometr zamachem, w dodatku przeprowadzonym w bardzo szablonowy sposób. Co gorsza, ktoś poszedł na łatwiznę. Po co zabijać całą rodzinę? Jeśli zginąć miał ojciec dziewczynek, wystarczyło zlikwidować tylko jego, i w bardziej elegancki sposób.

– Czym on się zajmował?

– Był wysoko postawionym urzędnikiem. Miał jakieś szemrane koneksje, ale zbyt wiele czasu poświęciłem na tropienie jego córki, żeby to zbadać.

– Nawet jeśli za tym wypadkiem stoi jakiś patron, czemu, do kurwy nędzy, uwzięła się na mnie? – Reseng nagle poczuł irytację.

– Kiedy to się stało, miała jedenaście lat. A ja byłem zaledwie rok starszy!

– O co się wkurzasz? Idź do niej i spokojnie wyjaśnij, że miałeś wtedy dwanaście lat. I nie zapomnij wyjąć noża, no wiesz, żeby doceniła twoje dobre słowo.

Reseng znów spojrzął na zegarek. Za pięć minut kobieta powinna skończyć pracę. Schował zdjęcia i notatki z powrotem do koperty, wstał od stolika i przygładził ubranie. Czuł ciężar noża, który spoczywał w wewnętrznej kieszeni jego skórzanej kurtki.

Rozwiązał sznurówki i ściągnął je mocniej, żeby móc bez przeszkód ruszyć za ekspedientką, gdy tylko wyjdzie na ulicę. Widział przez szybę jej roześmianą twarz.

Zdziwił się, kiedy minęła piętnasta, a ona wciąż stała za ladą. Nie dość, że nie zbierała się do wyjścia, to jeszcze chichotała i paplała do tego cholernego telefonu przez kolejne dziesięć minut. Do sklepu weszła młoda kobieta, która wyglądała na jej zmienniczkę, ale Mito nadal nie ruszała się z miejsca, chociaż dochodziło już wpół do czwartej. Reseng spojrział na Jeongana.

– Mówiłeś, że kończy o trzeciej.

– Musiała zmienić grafik – odparł tropiciel i podrapał się po głowie. – Przez cały zeszły tydzień codziennie wychodziła równo o trzeciej. Chyba próbuje zszargać mi opinię.

Kiedy cel zmienia nagle swoje zwyczaje, sytuacja staje się ryzykowna. Takie rzeczy są irytujące i wywołują napięcie. Likwidator musi się dostosować do nowych okoliczności i też przestaje działać zgodnie z ustalonym schematem, a to nigdy nie kończy się dobrze. Może wtedy popełnić błąd, zostawić jakiś obciążający dowód i cały plan bierze w łeb. A kiedy plan bierze w łeb, likwidator płaci za to życiem. Ale dlaczego tak się dzieje? Jeśli odtworzymy przebieg wydarzeń, zawsze pojawia się jakiś na pozór nieistotny drobiazg – albo cel niespodziewanie zawraca, kiedy przypomina sobie, że zapomniał zabrać portfela; albo wychodzi wcześniej, bo akurat skończył mu się szampon; albo kiedy idzie ulicą, nagle jak spod ziemi wyrasta dziecko na rowerku.

Mito wciąż stała za ladą. Chociaż Reseng nie zamierzał nikogo zabić tego dnia, serce waliło mu jak młotem. Jego ciało rozsadał niepokój. Zaplanował sobie, że gdy kobieta wyjdzie z pracy o trzeciej, będzie ją śledził, a Jeongan pojedzie za nimi samochodem. Kawalek dalej znajdowała się boczna uliczka,

w której na odcinku dwustu metrów nie było kamer. Mito zawsze tamtędy chodziła. Reseng zamierzał podejść do niej i dotknąć jej ramienia. Jeśli rzeczywiście był jej celem, powinna od razu go rozpoznać. Zapytałby ją, czy mogą porozmawiać w spokojnym miejscu. Gdyby się zgodziła, byłoby po sprawie. Nie musiałyby niczego wyjaśniać, grozić jej ani sięgać po nóż.

Minęło kolejne pół godziny. O czwartej Reseng założył okulary przeciwsłoneczne i energicznym krokiem ruszył w stronę sklepu.

– Hej, zaczekaj! – krzyknął za nim Jeongan. – Nie możesz tam wymachiwać nożem. W takich miejscach jest pełno kamer!

\*\*\*

– Dzień dobry! – odezwała się kobieta, zakrywając słuchawkę dłonią.

Miała wesoły głos. Reseng zatrzymał się tuż za drzwiami i wbił w nią wzrok. Nic jednak nie wskazywało, by go rozpoznała, bo odwróciła głowę i znów zaczęła trajkotać. Było ją słychać w całym sklepie.

– Och, no wiesz, która piosenka... To leci tak: „Oj, zakochałem się w dziewczynie przyjaciela. Zakochałem się w dziewczynie i co teraz?”... Tak, właśnie ta! On to śpiewał, jakby się miał rozpłakać! I potrząsał tym tamburynem, chociaż to jest ballada! Myślałam, że umrę ze śmiechu... Przestań! Mówisz, jakbym śpiewała z nim w duecie! Ale potem zaczął naprawdę się mazać, jak śpiewał, że niby ta dziewczyna przyjaciela zamieszkała w jego głowie. I to taki duży chłop... No mówię ci... Co miałam zrobić? Objęłam go i poklepałam po ramieniu. Czułam, że tak trzeba. Wtedy on położył mi głowę na piersi i udawał, że dalej płacze, ale widziałam, jak patrzy na moje nogi. Naprawdę myślał, że udzieli mi się nastrój... Żartujesz sobie? No wiesz, nie mogłam go nie pocałować, ale jemu

to nie wystarczyło... Nie żebym nie miała ochoty. Tylko nie chciałam, żeby coś sobie o mnie pomyślał. Dopiero co się poznaliśmy. Co innego, gdybyśmy poszli do hotelu, ale w lokalu z karaoke? Facet był zielony w tym temacie... Nie, wcale nie był taki zły. Znaczący ma w sobie coś uroczego i chyba jest w porządku... No właśnie. Najważniejsze, żeby nie spać wszystkiego na wstępie. Kiedy facet zacznie sobie coś wyobrażać, nie ma już odwrotu.

Reseng wciąż stał przy drzwiach i patrzył. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, kiedy kobieta spojrzała w jego stronę.

– Zaczekaj, nie rozłączaj się – powiedziała i znów zakryła słuchawkę dłonią, po czym zwróciła się do Resenga: – Może pomóc panu coś znaleźć?

Jej twarz nie zdradzała ani odrobiny lęku czy podejrzliwości. Każdy likwidator doskonale wie, jak wygląda jego cel. Kiedy zapada decyzja o zabójstwie, w każdej wolnej chwili wpatruje się w zdjęcie przyszłej ofiary. To jest jak obsesja. W końcu twarz tej osoby tak trwale zapisuje się w jego pamięci, że widzi ją jeszcze długo po dokonaniu zamachu. Czasami nawiedza go w koszmarach. Kiedy zdarzy mu się zobaczyć na ulicy kogoś podobnego, omal nie wyskakuje ze skóry. Ta kobieta nie była patronką. Nie była też zabójczynią. Nie miała z tym światem nic wspólnego. Więc kim była, do cholery? Czyżby Jeongan się pomylił?

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – zapytała ponownie.

– Co? Och, tak. Gdzie znajdę batoniki?

Usta Resenga poruszały się instynktownie, jakby żyły własnym życiem. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zapytał akurat o batoniki. Przecież nawet za nimi nie przepadał.

– Batoniki? Tam po lewej, na drugiej półce od góry – odparła

Mito. Wciąż miała przyjazny głos.

Reseng podszedł do regału i wziął dwa czekoladowe batony. Chciało mu się pić, więc postanowił kupić również napój izotoniczny. Kiedy zamykał drzwi chłodziarki, dobiegły go słowa ekspedientki.

– Oddzwonię do ciebie – rzuciła do słuchawki. – Opowiem ci wszystko ze szczegółami, kiedy się zobaczymy.

Wisiąca na telefonie od kilku godzin. O jakich szczegółach mogła jeszcze nie wspomnieć? Reseng pomyślał, że nigdy nie zrozumie kobiet.

– Amator słodczy, co? – zapytała Mito, kiedy położył zakupy obok kasy.

Przytaknął zdawkowo. Nie był w nastroju do pogawędek.

– Ja też lubię batoniki, ale widzę, że wybrał pan snickersy – ciągnęła ekspedientka. – A próbował pan hot breaków?

– Co proszę?

– Hot breaki. Snickersy robi się dla Amerykanów, a hot breaki są bardziej dostosowane do naszych gustów i nie kleją się do zębów. Mają doskonałą jakość, mimo że są o połowę tańsze od snickersów, chociaż z roku na rok producent zmniejsza ich wagę, żeby zachować cenę niezmienną od dziesięciu lat. Taka jest smutna prawda, ale skoro wszystko inne ciągle drożeje, to chyba nie jest tak źle. No to jak? Chciałby pan zamienić jednego ze snickersów na hot breaka?

Kobieta mówiła tak szybko, że Reseng nie do końca zrozumiał, o co jej chodzi. Dotarło do niego tylko tyle, że jej zdaniem hot breaki są lepsze. No i co z tego? Gównu mnie obchodzi, które batoniki wolisz i że są o połowę tańsze, pomyślał. Zamknij się wreszcie, bo chcę zapłacić.

– Ile to kosztuje? – zapytał, wskazując na snickersy.

– Tysiąc wonów. A hot break tylko pięćset.

Ekspedientka uśmiechnęła się figlarnie, pokazując pięć palców. Reseng odłożył jednego ze snickersów i zastąpił go hot breakiem, po czym otworzył portfel. Chciał mieć to już za sobą.

– Nie pożałuje pan. – Mito uniosła wysoko pięść. – Hot break!

– Dziękuję bardzo.

– Ha, ha, ha! Nie ma za co! Jakżebym mogła nie podzielić się z rodakiem cenną informacją.

Roześmiała się serdecznie, jak gdyby natknęli się na siebie pośrodku syberyjskiej tajgi.

Jeongan czekał przed sklepem w samochodzie z włączonym silnikiem. Wyglądał na zmartwionego.

– Co się stało? – spytał zniecierpliwionym tonem, kiedy Reseng otworzył drzwi po stronie pasażera i rzucił w niego batonikiem. Hot break trafił go w czoło i wylądował na siedzeniu między jego nogami. – Co to jest?

– A jak myślisz? Baton czekoladowy. Skosztuj, a poczujesz smak braterskiej miłości.

Tropiciel zmarszczył czoło i rozdarł opakowanie.

– Wparowałeś tam, jakbyś miał zarznąć byka tym kuchennym nożem, a wychodzisz z batonikiem?

– W zasadzie z dwoma. – Reseng otworzył butelkę napoju i pociągnął łyk. – Ona nie jest likwidatorką. Jestem tego pewien. Nie rozpoznała mnie.

– Nie rozpoznała? – Jeongan spojrzał na niego z niedowierzaniem, po czym wyjął ceramiczną obudowę bomby. – Wiemy, że to amatorska robota, czyli ta kobieta nie ma również



przeszkolenia saperskiego? Kim ona jest?

– Jesteś pewien, że to w ogóle ona?

– Przecież nie siedzę w tym od wczoraj. Mówiłem ci, że części przyszły na jej adres.

Reseng spojrział w stronę sklepu. Mito rozmawiała z drugą ekspedientką, która przyszła ją złuzować. Po chwili młodsza kobieta spojrzała na zegarek, skłoniła się kilka razy i wyszła.

– Wzięła jej zmianę – odezwał się Reseng. – Namieszała dzisiaj wszystkim.

– Na to wygląda – przytaknął Jeongan. – Jakie to typowe, nie? Dlaczego ludzie nie mogą się trzymać ustalonego planu? Dlaczego muszą komplikować innym życie? To dlatego nasz kraj jest taki zacofany. Rozwój cywilizacyjny to coś więcej niż autostrady i drapacze chmur. Trzeba zacząć od zmiany mentalności, psiakrew!

– Co to ma wspólnego z rozwojem cywilizacyjnym?

Reseng rozpakował snickersa i odgryzł kawałek. Jego przyjaciel otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Hej, a dlaczego ty masz inny batonik?

– Mój został wyprodukowany w Stanach, a twój tutaj. Mój kosztował tysiąc wonów, a twój pięćset.

– Sukin... – Jeongan zrobił nadąsaną minę. – Dlaczego dałeś mi ten tańszy? Wiesz, że wolę amerykańskie produkty.

Reseng zamienił się z nim batonikiem, wywołując na jego twarzy dziecinny uśmiech zadowolenia.

– Przeświatl ją dokładniej – powiedział. – Jej rodziców, siostrę, obecną i poprzednią pracę, operacje na koncie. Wszystko, co uda ci się znaleźć.

– Co? Chyba nie oczekujesz, że zrobię to wszystko za

nadgryzionego snickersa. Ile zamierzasz mi zapłacić? Bo wiesz, moje ceny ostatnio wzrosły. Istnieje coś takiego jak wartość rynkowa.

– Twój przyjaciel jest w opałach, a ty gędzisz o pieniądzach...

– No dobra, zrobię to, jeśli będziesz mnie nazywać swoim starszym bratem. Mam w sobie jeszcze na tyle człowieczeństwa, by nie opuścić młodszego brata w potrzebie. Zresztą i tak jestem dwa lata starszy.

Reseng spiorunował przyjaciela wzrokiem. Jeongan poklepał go po ramieniu i spojrzał na niego z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „Nie znasz się na żartach?”.

– Proszę, starszy bracie – wyrecytował Reseng beznamiętnym tonem.

Tropiciel skrzywił się, udając niesmak.

– Gdzie twoja duma, do cholery? Co za ofiara! Naprawdę powinieneś zmęźnieć.

\*\*\*

Reseng wstąpił do sklepu zoologicznego, gdzie kupił karmę i przekąski dla kotów, a gdy wracał do domu, było już prawie ciemno. Przechodząc przez hol, zajrzał do skrzynki na listy. Same rachunki i ulotki reklamowe. Ruszył w stronę schodów, kiedy zobaczył, że na najniższym stopniu siedzi skulony jakiś mężczyzna. Wyglądał, jakby drzemał, jedną rękę miał owiniętą bandażem, a w drugiej trzymał papierową torebkę na prezenty. Reseng pochylił się nad nim i kiedy rozpoznał twarz, położył mu dłoń na ramieniu i mocno potrząsnął. Minari Pak uniósł powieki i potoczył dookoła oszołomionym wzrokiem, a potem ziewnął i wstał, stękając z wysiłku.

– Co tu robisz? – zapytał Reseng.

– Przyszedłem do ciebie.

– Trzeba było wcześniej zadzwonić.

– Byłem w okolicy i pomyślałem, że wstąpię.

– Chodźmy do środka.

– Nie, nie. – Minari pomachał zabandażowaną ręką i skrzywił się z bólu. – Tutaj jest dobrze.

– Jak twoje palce?

– W porządku. Przyszli mi je. Dzisiaj medycyna stoi na takim poziomie! Nie spodziewałem się, że lekarze zdołają tego dokonać, chociaż od razu pobiegłem do szpitala, ale jak widzisz, udało się. To jak odrastający jaszczurczy ogon. Taaa... jaszczurczy ogon. –

Minari powtórzył półgłosem ostatnie słowa, wyraźnie zafascynowany własną wyobraźnią. Uniósł rękę, prezentując opatrunek ze wszystkich stron. – Och, no tak! – dodał, jakby nagle o czymś sobie przypomniał, i wręczył Resengowi papierową torebkę.

– Co to jest?

– Sardele z Namhae. Wiem, jak bardzo lubisz piwo, a nie ma lepszej przekąski do piwa niż suszone sardele. Kupiłem je w sklepie, tak jak te, które podarowałem Staremu Jenotowi. Z certyfikatem Namhae! Bardzo drogie!

Minari wyglądał na zakłopotanego. Reseng uniósł brwi. Nie mógł pojąć, dlaczego ten człowiek przyszedł do niego z prezentem.

– Dajesz mi prezent po tym, jak odciąłem ci palce? A ja nawet nie odwiedziłem cię w szpitalu. Teraz jest mi naprawdę głupio.

– Och, nie, nie. Nie rób sobie wyrzutów. To nam wszystkim powinno być głupio za to, jak traktowaliśmy Starego Jenota. To nie

było w porządku. Tak naprawdę dzięki niemu żyjemy na jako takim poziomie. Pamiętam, jaki dobry był dla mnie, ale takie płotki jak my nie mają lekko. Wszyscy zaciskają pasa, a i tak ledwie udaje się przetrwać. Nie zapomnieliśmy, gdzie jest nasze miejsce ani nic z tych rzeczy. Po prostu życie nas przytłacza.

Minari wyjął papierosa i przez chwilę nieporadnie obracał zapalniczkę w lewej dłoni. Kiedy Reseng podał mu ogień, zaciągnął się głęboko i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– A co na to Stary Jenot?

– Na co? Że odciąłem ci palce?

– Nie, nie... Na to, że przechodzimy do Hanji. Domyślam się, że ta wieść już do niego dotarła. Oczywiście wszyscy jesteśmy niezależnymi biznesmenami i mamy własnych klientów, więc nie można powiedzieć, że Hanja sprawuje nad nami absolutną władzę. Ale i tak mi się to nie podoba.

– A więc to cię do mnie sprowadza? Przyszedłeś wybadać nastroje?

– Niezupełnie – odparł Minari tonem zdradzającym obawę. – To tylko jeden z powodów.

Dopalając papierosa, zerkał w stronę bramy, przez którą wlewał się do holu blask ulicznych latarni. Od czasu do czasu nabierał tchu, jakby chciał coś powiedzieć, ale wciąż milczał. W końcu rzucił niedopałek na posadzkę i przydeptał go. Jego starannie wyprasowane popielate spodnie i lśniące bordowe lakierki miały w sobie coś błazeńskiego.

– Ostatnio wszyscy mówią, że szykuje się wojna między Hanją i Psiarnią – odezwał się, zerkając na Resenga. – Prawdziwa wojna, jak za dawnych lat. To będzie jeden wielki bajzel. Gliniarze zaczną węszyć i dobierać się nam do skóry, a patroni będą likwidować

każdego, kto wyda im się niebezpieczny. Zdesperowani cyngle będą się błąkać niczym dzikie psy i atakować wszystkich bez powodu. Stracę tę garstkę klientów, jaką udało mi się zachować. Wypadnę z obiegu. W ostatecznym rozrachunku wyginą tylko takie płotki jak my. Posłuchaj, jestem za stary, żeby wdawać się w tę awanturę. Stary Jenot i Hanja są nieustępliwi i ambitni. Nie cofną się przed niczym, żeby ocalić swój honor. A co z nami? Jeśli sprzymierzmy się z Hanją, ściągniemy na siebie gniew Starego Jenota. Jeśli staniemy po stronie biblioteki, będziemy musieli strzec się Hanji. Jesteśmy między młotem a kowadłem. Mówię ci, jestem już na to za stary. Boję się. Wiesz, że nie mam wielkich aspiracji. Ja tylko próbuję jakoś przetrwać.

– Do czego zmierzasz?

– Hanja chce z tobą rozmawiać. Spotkaj się z nim.

Reseng zmrużył oczy.

– No i co, jeśli się zgodzę?

– Wiesz, że w jednym lesie nie ma miejsca dla dwóch tygrysów. Nie oszukujmy się, biblioteka nie wygra z Hanją. To już nie te czasy. Jeśli wybuchnie wojna, wszyscy zginiemy. Stary Jenot na pewno tego nie przeżyje. My obaj również. A Hanja też nic na tym nie zyska. Każdy z nas ciężko pracował na swoją pozycję, a teraz ktoś inny się obłowi.

Reseng rzucił Minariemu pod nogi torebkę z prezentem.

– Myślisz, że w zamian za kilka nędznych rybek możesz mnie namawiać, żebym wbił nóż w plecy Staremu Jenotowi?

– Masz pojęcie, ile to kosztowało? – wymamrotał Minari.

Schylił się, podniósł torebkę i potrząsnął nią ostrożnie, jakby w środku znajdowała się starożytna waza. Potem zrobił zasepioną minę.

– Nie namawiam cię do zdrady – powiedział. – Mówię tylko, jak się sprawy mają. Biblioteka już od dawna nie przynosi nam korzyści, a biznesmeni nie mogą sobie pozwolić na czekanie. Dobrze o tym wiesz. W naszej branży nie ma miejsca na lojalność. Stare dobre czasy? Przysługi? To nie wystarczy. Ludzie zawsze wybierają pieniądze. Stary Jenot posuwa się w latach i nigdy nie wyściubia nosa z biblioteki, więc nie widzi, jak świat się zmienił. Jeśli dojdzie do wojny, wszyscy staną po stronie Hanji. Tak to się skończy; prawie bez walki. Dlatego musisz porozmawiać z Hanją. Bo to ty jesteś prawą ręką Starego Jenota. Jeżeli się dogadacie, unikniemy wojny, a twój mentor ustąpi i wyprowadzi się na prowincję, gdzie w spokoju dożyje kresu swoich dni. A my również będziemy mogli spokojnie zająć się interesami. Nikt na tym nie straci.

Resengowi przypomniał się stary generał, który mieszkał w domku na odludziu ze swoim psem. Pewnie usłyszał od kogoś to samo, kiedy ustępował ze stanowiska: „Przenieś się w jakieś spokojne miejsce i ciesz się resztą życia, która ci została. Dzięki temu wszyscy zyskamy”. Co się kryło za tą propozycją? Miał sobie wybrać ostateczne miejsce spoczynku? Podlewać kwiaty, sadzić ziemniaki i bawić się z psem w ogrodzie? Wygrzewać się w promieniach popołudniowego słońca niczym sędziwy schorowany słoń, który porusza już tylko powiekami? Czy może zamieszkać w domu starców i dla zabicia czasu prowadzić monotonne pogawędki z tetrykami, którym nie miałby zupełnie nic do powiedzenia, grać w karty albo podkradać kamyki z planszy do go, żeby wzbogacić swoją kolekcję rzeczy bezużytecznych? Takie dni powtarzałyby się do znudzenia, aż w końcu pewnej nocy śmierć zakradłaby się do jego pokoju jak skrytobójca.

Minari Pak trzymał torebkę z sardelami, która kołysała się w jego wyciągniętej ręce.

– Weź to – powiedział. – Mają certyfikat Namhae.

– Zanieś je żonie. Albo Hanji, wszystko mi jedno. Dlaczego sądzisz, że przeszłyby mi przez gardło?

– Skoro z takim uporem obstajesz przy swoim, Hanja nie będzie miał innego wyjścia, jak cię wyeliminować.

– Czy to groźba? – Reseng zmierzył go srogim spojrzeniem.

– Proszę, nie utrudniaj wszystkiego. Wcale nie musi dojść do wojny. Mówię ci to jako ktoś dwa razy starszy od ciebie. Lepiej pocałować kogoś w dupę niż samemu dostać kopniaka.

Minari położył sardele na posadzce, po czym odwrócił się wolno i wyszedł na ulicę. Reseng spojrział na papierową torebkę spoczywającą u jego stóp i przyszło mu na myśl, że Stary Jenot nagle został całkiem sam. Biznesmeni, którzy kiedyś przychodzili do biblioteki z podarkami świątecznymi, odwrócili się do niego plecami. Teraz ten świat należał do Hanji. Jak długo jeszcze pożyję, zadał sobie w myślach pytanie, jeśli pójdę do niego? Trzy lata? Pięć? Może nawet doczekam starości, jeśli teraz padnę na kolana i zacznę całować go w dupę jak Minari Pak. A jakże, odrobina gówna pod nosem to jeszcze nie tragedia. Nie żeby honor i duma kiedykolwiek miały jakieś znaczenie.

Stary Jenot lubił żartować, że przygarnął Resenga wyłącznie po to, żeby mieć na kim się oprzeć podczas chodzenia. Mówiąc to, chciał mu dokuczyć, ale Reseng doszedł do wniosku, że było w tym wiele prawdy. Odkąd skończył jedenaście lat, stał się podporą Starego Jenota. Przynosił mu książki z regałów, załatwiał sprawy na Świńskim Targu i dostarczał listy, które anonimowi patroni wsuwali pod drzwi. A po śmierci Tresera, który od niepamiętnych czasów wykonywał mokrą robotę, Reseng przejął również jego obowiązki. Gdyby teraz zmienił front, Stary Jenot byłby jak chromy, któremu wyrwano kulę.

– To chyba nie jest najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić w tej branży – mruknął do siebie.

Jego mentor nawet nie kiwnął palcem, kiedy przed dziesięciu laty zginął Treser, chociaż krążyły pogłoski, że to sprawka Hanji. Wtedy układ sił był inny i Stary Jenot miał jeszcze wiele do powiedzenia, mimo to nie zarządził śledztwa i nie szukał zemsty. Nawet nie wpadł w gniew, chociaż Treser służył mu wiernie od trzydziestu lat. Po prostu umył jego ciało podziurawione nożem w zacieklej walce i spalił je potajemnie w piecu Niedźwiedzia. Potem rozsypał prochy ze szczytu wzgórza.

– Nic z tym nie zrobisz? – zapytał go wtedy Reseng, który był jedynym żalobnikiem towarzyszącym mu podczas tej ponurej ceremonii.

– Zabójcy tak kończą. Nie możesz wywracać całej szachownicy tylko dlatego, że straciłeś pionka.

Takimi słowami Stary Jenot pożegnał swojego długoletniego pracownika.

To właśnie Treser nauczył Resenga wszystkiego – strzelać i walczyć nożem, konstruować i rozbijać bomby, zastawiać pułapki, tropić i osaczać ofiarę, a nawet rzucać bumerangiem. Kiedy skończyła się wojna w Wietnamie, znalazł pracę w zagranicznej firmie najemniczej i walczył w różnych wojnach na całym świecie. Patrząc na jego łagodną twarz, trudno było uwierzyć, że zabił setki ludzi na polu bitwy. Mimo zwalistej postury miał zaskakująco zwinne dłonie. Własnoręcznie wykonał całe swoje wyposażenie, a wszystko robił starannie i z precyzją. Uwielbiał również prace domowe i doskonale gotował, ale największą radość sprawiało mu pranie. W słoneczne dni zawsze prał w rękach całą swoją pościel i zasłony, które rozwieszał na podwórku.



– Gdybym tylko mógł tak wyprać swoje życie – mówił z pełną zadowolenia miną, patrząc na prześcieradła, które suszyły się na sznurku.

Gdyby tylko mógł... Mógłby ożenić się z jakąś miłą dziewczyną, dochować się dzieci i wieść spokojne życie, czerpiąc radość z gotowania, porządków i prania. Ale niestety, życie nie jest kompletem pościeli. Nie da się sprać przeszłości, wspomnień, błędów ani wyrzutów sumienia i dlatego towarzyszą nam do samej śmierci. Jak to ujął Stary Jenot, tak kończą zabójcy.

Reseng podniósł torbę z prezentem i ruszył po schodach na górę. Kiedy otworzył drzwi, Stołek i Lampa wybiegły mu na spotkanie i zaczęły się ocierać o jego łydki. Napełnił ich miseczki potrawką z kurczaka, którą kupił w sklepie zoologicznym.

– Zdajecie sobie sprawę, jak ciężko mają wasi bracia i siostry na ulicy? – zwrócił się do kotów, które pałaszowały kolację. – Gdybym was wyrzucił, takie wypłosze jak wy nie przeżyłyby nawet tygodnia. Tam jest istne piekło.

\*\*\*

Kocia kawiarnia nazywała się Dom Kota.

Kiedy Reseng usiadł przy stoliku, z kontenera dobiegło miauczenie. Otworzył drzwiczki, ale Stołek i Lampa tylko spojrzały na dziesiątki innych kotów przechadzających się po lokalu i postanowiły nie opuszczać bezpiecznego schronienia.

– Och, któż to nas odwiedził! – zawołała podekscytowana właścicielka Domu Kota, która podeszła do Resenga z filiżanką kawy. – Czy to Stołek i Lampa?

Oba pupile Resenga okazały się żywo zainteresowane nawiązaniem nowej znajomości i mrucząc, wyszły z kontenera.

Jakimś tajemniczym sposobem właścicielka kawiarni potrafiła sprawić, że każdy kot zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Kiedyś była mężatką. Po ślubie zaczęła przygarniać koty i miała ich w domu ponad dwadzieścia. Ale gdy zwierząt wciąż przybywało, w pewnym momencie jej mąż nie wytrzymał i postawił ją przed wyborem – on albo koty. Więc rozwiodła się z nim. Na spotkaniach z bywalcami kawiarni wracała do tej historii i opowiadała ją ze śmiechem: „Wyobrażacie sobie, że kazał mi wybierać?”.

– Po tylu moich prośbach wreszcie przyszedł pan z nimi – powiedziała, bawiąc się z kotami. – Czy to jakaś specjalna okazja?

Reseng wręczył jej kopertę, którą wyjął z kieszeni kurtki.

– Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby mogła pani się nimi opiekować – odparł. – Może tylko przez parę dni, a może znacznie dłużej. Niewykluczone również, że nigdy się nie zgłoszę, żeby je odebrać.

Zerkając na niego ze zdziwieniem, kobieta wyjęła z koperty dwa czeki, każdy na milion wonów.

– Wybiera się pan w daleką podróż? Za granicę?

– Nie aż tak daleko, ale trudno przewidzieć, jak ta podróż się skończy.

Właścicielka Kocięgo Domu pokiwała głową, jak gdyby wszystko stało się dla niej jasne.

– Każdemu zdarzają się czasem trudne okresy – odezwała się po chwili i odłożyła kopertę na blat. – Ale to nie jest konieczne. Rozumiem, co pan przechodzi, i będę się nimi opiekowała do pańskiego powrotu.

– Skoro pani wie, co przechodzę, proszę wziąć pieniądze.

Reseng pochylił głowę w błagalnym geście. Kobieta spojrzała na

kopertę, która leżała między nimi na stoliku, i po długim namyśle pokiwała głową.

– Kiedy byłam w pańskim wieku, też kiedyś zapędziłam się bardzo daleko. Tak daleko, że nie wiedziałam, czy zdołam wrócić. Ale gdy w końcu wróciłam, okazało się, że nie byłam wcale tak daleko, jak się obawiałam.

Stołek i Lampa sprawiały wrażenie, jakby zdążyły już się zadomowić w nowym miejscu. Figlarnie skubały dłonie swojego pana, kiedy głaskał je po głowach.

Reseng wstał od stolika i pożegnał się z właścicielką Kocięgo Domu, która życzyła mu powodzenia. Po raz ostatni pogłaskał swoje koty i powoli ruszył do wyjścia.

Taksówką dojechał do Gangnam, gdzie mieścił się budynek L. Life Insurances. Firma Hanji zajmowała w nim szóste, siódme i ósme piętro. Krążyły pogłoski, że pod tym samym adresem figurowało siedemnaście innych spółek. Jak gdyby nie dość ironiczny był fakt, że krajowy potentat w branży zabójstw na zlecenie bezczelnie prowadzi interesy w biurowcu należącym do międzynarodowego towarzystwa ubezpieczeniowego. Zresztą ten sam prowadził również agencję ochrony. Jednak to nie czołowi eksperci od bezpieczeństwa napędzają obroty agencjom ochrony, ale siejący postrach terroryści, tak samo jak dla koncernu farmaceutycznego, który stoi na krawędzi bankructwa, nadzieją na przetrwanie nie będzie produkcja najlepszej szczepionki na świecie, ale epidemia najgroźniejszego wirusa. Na tym polega kapitalizm. Hanja widział, jak świat pożera własny ogon niczym mityczny wąż uroboros, i potrafił wyciągnąć z tego maksymalny zysk. Trudno o lepszy model biznesowy niż dysponowanie zarówno wirusem, jak i szczepionką. Pozwala to jedną ręką siać chaos i strach, a drugą

zapewniać spokój i bezpieczeństwo. Tego rodzaju interes nigdy nie upadnie.

Reseng wjechał windą na szóste piętro. Hanja miał swój gabinet na dziewiątym, ale żeby tam się dostać, trzeba było wysiąść dwa piętra niżej, gdzie znajdował się wykrywacz metalu podobny do tych używanych na lotniskach. Gdy Reseng przeszedł przez bramkę, rozległ się alarm. Podeszła do niego kobieta w czarnym kostiumie, przywitała się z nim uprzejmie i poprosiła, żeby uniósł ręce. Spełnił jej życzenie i kiedy zbliżyła do niego ręczny wykrywacz metalu, rozległ się pisk. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął nóż w skórzanej pochwie i położył go w koszyku.

– Właśnie kroilem warzywa przed wyjściem i zapomniałem go odłożyć – wyjaśnił z uśmiechem. – Ostatnio jestem taki roztargniony.

Zakłopotana kobieta obejrzała się za siebie i po chwili dołączył do nich krępy ochroniarz.

– Mamy jakiś problem? – zapytał, mrużąc oczy, i zmierzył Resenga wzrokiem od stóp do głów.

Przy pasie miał paralizator i pojemnik z gazem łzawiącym, a fałdy tłuszczu rozpychające jego koszulę upodabniały go do baleronu. Miał sylwetkę wykidajły z nocnego klubu i nerwowo napinał ramiona. Resengowi niemal zrobiło się go żal, kiedy wręczył mu ozdobną wizytówkę Hanji.

– Jest pan umówiony?

– Nie.

– Kogo mam zaanonsować?

– Powiedz, że przychodzę z Psiarni.

Po krótkiej chwili oczekiwania do Resenga podeszła kobieta,

która przedstawiła się jako sekretarka Hanji. Miała powierzchowność intelektualistki i nosiła się z elegancją. Zaprowadziła go do oddzielnej windy, która kursowała tylko między trzema piętrami zajętymi przez firmę Hanji. Znalazłszy się na górze, weszli do pomieszczenia przypominającego salonik dla VIP-ów w porcie lotniczym.

– Mogę podać panu coś do picia? – odezwała się sekretarka oficjalnym tonem, kiedy Reseng rozsiadł się w fotelu. – Herbatę, kawę, wodę mineralną? Mamy również alkohol, jeśli pan woli.

– Nie, dziękuję. Niedawno wypięłem kawę. Czy tutaj wolno palić?

Kobieta rozejrzała się po saloniku. Nigdzie nie było popielniczki.

– Obawiam się, że nie. W całym budynku obowiązuje zakaz palenia.

Reseng zmarszczył czoło, a sekretarka uśmiechnęła się dyskretnie.

– No cóż – dodała łagodniejszym tonem – ale zakazy są po to, żeby je łamać.

– W takim razie mogłaby pani przynieść mi popielniczkę?

– Szef spotka się z panem dopiero za jakieś pół godziny. Będzie pan łaskaw poczekać?

– Nie ma problemu. – Reseng skinął głową.

Kiedy dostał popielniczkę, zapalił papierosa i rozejrzał się po przestronnym wnętrzu. Zgodnie z minimalistycznym gustem Hanji nie było tu żadnych ozdób, nie licząc jednego obrazu. Reseng podszedł do okna i popatrzył w dół. Na wszystkich pasach Teheran Boulevard tłoczyły się uwięzione w korku samochody. Wydało mu się dziwne, że luksusowe biuro potentata w branży zabójstw na

zlecenie mieści się w samym sercu Republiki Korei. Fakt, że Hanja miał swoją siedzibę w tej dzielnicy i płacił niebotyczny czynsz, świadczył o ogromnym zapotrzebowaniu na jego usługi.

Reseng dopalał trzeciego papierosa, kiedy Hanja wreszcie się zjawił.

– Wybacz, że kazałem ci czekać – powiedział. – Naprawdę mogłeś wcześniej zadzwonić.

Choć słowami starał się wyrazić skruchę, ton jego głosu miał w sobie więcej złowieszczonego chłodu niż ubolewania.

– Nie napijesz się niczego? – zapytał, rozsiadając się na sofie. – Bo ja pozwolę sobie na drinka. Nie na co dzień zdarza mi się przyjmować tak wyjątkowego gościa.

Wydawał się bardziej wylewny niż zwykle. Reseng zawahał się, skrepowany tą osobliwą gościnnością.

– Dostanę jacka daniel'sa? – zwrócił się do sekretarki, która patrzyła na niego wyczekująco.

Kobieta skinęła głową.

– Dla mnie to samo – wtrącił gospodarz. – Z lodem.

Hanja co chwilę rozglądał się nerwowo po pomieszczeniu, jakby podejrzewał, że oprócz nich jest tam ktoś jeszcze. Próbował udawać, że to objaw podekscytowania wynikającego z dobrego nastroju, ale nie wypadł wiarygodnie. Był na własnym gruncie, gdzie sam dyktował warunki, więc kogo mógł się obawiać? Reseng wiele by dał, żeby się tego dowiedzieć. Siedzieli obaj w niezręcznym milczeniu, dopóki sekretarka nie przyniosła im whisky.

– Naprawdę się cieszę, że tu jesteś. Obawiałem się, że nie przyjdiesz.

Hanja uniósł szklanekę jak do toastu, ale gdy jego gość nawet nie

drgnął, zażenowany opuścił rękę i upił łyk jacka daniel'sa.

– Na czym ci zależy? – zapytał Reseng prosto z mostu. – Na Psiarni? Na śmierci Starego Jenota?

– A co mi po zatęchłych książkach albo po życiu jakiegoś niedołęźnego starca?

– Takie krążą pogłoski.

– Brednie i tyle. – Hanja upił kolejny łyk. – Wiesz, to właśnie Stary Jenot mnie nauczył, żebym nie zabijał, jeśli nie dostanę godziwej zapłaty. Każdy cyngiel powinien wbić sobie tę mądrość do głowy. Honor, zaufanie, przyjaźń, lojalność, zemsta, miłość czy dobre imię nie mają znaczenia, ponieważ żaden szanujący się likwidator nie odbierze nikomu życia, o ile nie przyniesie mu to zysku. A co ja bym zyskał, zabijając Starego Jenota? No tak, owszem, zawsze byłby z tego jakiś pożytek. Na pewno mniej zmartwień. Jednak ogólnie rzecz biorąc, gdyby wszystko skalkulować, nic mi to nie daje. Nawet jeśli on sam tego ode mnie oczekuje, nie jestem aż tak głupi.

– Nie obchodzą mnie twoje kalkulacje.

– A powinny. Na twojej śmierci mógłbym wiele zyskać. Tak jak na śmierci twojego przyjaciela Jeongana.

– Nie wiedziałem, że jestem aż tak wartościowy – odparł Reseng, unosząc szklanke do ust i wyrazista woń jacka daniel'sa wypełniła jego nozdrza.

Hanja popatrzył na niego kpiąco.

– Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Po prostu zajmujesz wyjątkowe stanowisko.

– Jakie?

– Źródłem wielkich pieniędzy jest polityka, ale wszyscy ci tetrycy, którzy pociągają za sznurki, nie ufają nikomu oprócz

Starego Jenota. Może biblioteka wzbudza w nich nostalgię, a może nie chcą zadawać się z nikim, kto ma mniej niż sto lat. Tak czy inaczej, to śmiechu warte. Od kiedy tradycja ma w tej branży znaczenie? Ale tak to jest ze starcami. Są nieufni i nie cierpią zmian. Irytujące, ale cóż zrobić? Dlatego potrzebny mi martwy Zhuge Liang.

Reseng zrobił zdziwioną minę.

– Kiedy podczas bitwy na Równinie Wuzhang generał Zhuge zmarł na gruźlicę, wykonano z drewna jego podobiznę, żeby wzbudzić postrach wśród żołnierzy królestwa Wei – wyjaśnił Hanja. – Ale żywy Zhuge Liang to dla mnie zbyt wiele, bo trudno przewidzieć, jak postąpi. Gdyby Stary Jenot siedział cicho w tej swojej psiarni, nie miałbym o nic pretensji. A ponieważ obaj wychowaliśmy się w tej bibliotece, myślę, że powinniśmy przejąć schedę po tym zgredzie. A to całkiem niezły interesik. Problem jednak w tym, że nie pozwalasz staremu odpoczywać w pokoju.

– Odpoczywać... w pokoju... – Reseng wolno powtórzył jego słowa.

– Jesteś jego prawą ręką, a twój przyjaciel – jego okiem i uchem. Ten palant Jeongan lata do niego z każdą nowinką niczym jaskółka, która przynosi robaki pisklętom, a ty uganiaasz się, podcierając mu tyłek. Przyznam szczerze, że byłem mocno wkurzony, kiedy przyniosłeś mi starego generała w urnie.

– No i co z tego? – zaperzył się Reseng.

– Co z tego? To, że nie wzbogacę się na śmierci Starego Jenota, ale za jego życia nie mogę dokończyć tego, co zacząłem. No i co zrobić? To naprawdę tragiczny dylemat, ale trzeba wykonać cięcie. Czasami dla ratowania życia należy amputować jakąś część ciała. Na przykład rękę albo... ucho.

– To dlatego zamordowałeś Tresera?



Hanja poczerwieniał na twarzy. Milczał przez chwilę, pocierając podbródek.

– Chyba jeszcze nie nauczyłeś się rozróżniać rzeczy, o których nie wypada wspominać – odezwał się w końcu i chciał dodać coś jeszcze, ale się rozmyślił.

Sięgnął po słuchawkę interkomu i kazał podać sobie kolejnego drinka. Kiedy sekretarka przyniosła mu whisky, uniósł szklankę do ust i wypił łyk.

– Wiem, że nie możesz mi tego wybaczyć – zwrócił się do Resenga. – Treser był dla ciebie jak ojciec, a dla mnie jak starszy brat. Mnie też nauczył wszystkiego, co potrafię. Ale świat jest o wiele bardziej skomplikowany, niż ci się wydaje. Musimy robić wszystko, co w naszej mocy, że przetrwać w tym nieprzyjaznym miejscu.

– Nie obchodzi mnie, jaki jest świat. Co masz z zabijania członków rodziny? To dzięki temu stać cię na luksusowe biuro?

– Nie mów, że uważasz nas za prawdziwą rodzinę – odparł Hanja z gniewną miną. – Niby kto jest krewnym Starego Jenota? Ty? A może ja? To jakaś pieprzona kpina. Obaj doskonale wiemy, że byliśmy dla niego jak kule, którymi się podpierał, a potem wyrzucił, kiedy się zużyły. Wydajesz się zdziwiony, więc spróbuję ci to wyjaśnić. Gdybyś w tej chwili zginął i trafił do krematorium Niedźwiedzia, twojemu mentorowi nawet nie drgnęłaby powieka. Znalazłby sobie nową kulę. Ja przekonałem się o tym dwadzieścia lat temu, ale ty, młody człowieku, wciąż tego nie pojmujesz.

Reseng zapalił papierosa i popatrzył spode łba na Hanję, który pociągnął kolejny łyk jacka daniel'sa i odwrócił się do okna. Wyglądał na poirytowanego; rozmowa najwyraźniej nie potoczyła się tak, jak oczekiwał. Nagle rozległ się dzwonek telefonu.

– W porządku – rzucił do słuchawki. – Powiedz mu, że będę za

dziesięć minut.

Rozłączył się i spojrzał na zegarek.

– To pan B. ze Zgromadzenia Narodowego – wyjaśnił. – Jego durny syn ciągle pakuje się w kłopoty, ale tym razem spotkało go to, na co zasłużył. Dorwał jakąś dziewczynę w hotelu i próbował jej wcisnąć fiuta do ust, a wtedy ona zacisnęła szczęki. Tak mocno, że prawie mu go odgryzła. Dobrze mu tak. – Hanja posłał swojemu gościowi szelmowskie spojrzenie. – Przyszyć fiuta chyba nie jest tak łatwo jak palce, nie? No więc pan B. przyszedł do mnie kilka dni temu i rozpaczał, że jego ukochany chłopiec, oczko w głowie, jedyny i pierworodny syn stracił przyrodzenie, a tym samym nadzieję na przedłużenie rodu. Chwycił mnie za rękę i powiedział, że tylko ja mogę coś na to zaradzić. To było takie żenujące! Jak zauważyłeś, stać mnie na luksusowe biuro w Gangnam i nieźle mi się powodzi. Ale co tu począć? Jeśli chcę się utrzymać, muszę mu pomóc. Kiedy deputowany do parlamentu decyduje się prać przede mną swoje brudy, przecież mu nie powiem, że nie zniżam się do takich rzeczy. Jakże bym śmiał! Tak naprawdę w niczym nie jestem lepszy od innych. Dlatego powinieneś schować dumę do kieszeni i przyłączyć się do mnie. Będziesz żył, twój przyjaciel Jeongan będzie żył i mam nadzieję, że ja też. Nie żądam od ciebie wiele. Zostań w bibliotece, ale dawaj mi znać za każdym razem, gdy pojawi się jakaś robota.

Reseng w milczeniu wypuścił kłęb dymu. Hanja spojrzał mu w oczy, a uśmiech powoli znikł z jego twarzy, ustępując miejsca zaciętej minie.

– Zbliżają się wybory, a to niespokojny okres – dodał. – Każdy się miota, próbując urwać coś dla siebie. Nietrudno o jakiś fatalny błąd. Wiesz, że D Group miała ponad dwadzieścia oddziałów, ale prokuratorom wystarczyło niecałe pół roku, żeby je wszystkie za-

mknąć? Tylko za to, że spółka odmówiła partii wsparcia finansowego podczas kampanii. Jeśli pozwolimy sobie na błąd, nim zdążymy się obejrzeć, będzie po nas. Już na samą myśl o tym zaczyna mnie boleć głowa, więc nie przysparzaj mi trudności. Nie chcę cię zabić, ale jeśli dalej będziesz stawał okoniem, nie pozostawisz mi wyboru.

– Jeszcze nie wiadomo, który z nas skończy z nożem w brzuchu – odezwał się Reseng półgłosem.

– Masz rację, nie wiadomo. Ale chcąc działać w tej branży, musisz być przygotowany, że pewnego dnia oberwiesz. A ty jesteś przygotowany?

Znów zadzwonił telefon.

– Zaraz będę – rzekł Hanja i rozłączył się. – Muszę iść. Bądź grzeczny i powtórz Jeonganowi, co powiedziałem.

– To ty podłożyłeś bombę w mojej muszli?

Hanja przystanął w drodze do wyjścia i obejrzał się ze zdumioną miną. Po chwili zrozumiał sens pytania i jego twarz przybrała wyraz urażonej dumy.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto ma czas grzebać w twoim brudnym kiblu? – odparł, po czym wyszedł.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Reseng usiadł, żeby dopalić papierosa. W jego głowie kotłowało się zbyt wiele myśli naraz. Zdusił niedopałek w popielniczce i wrócił windą na szóste piętro. Kobieta w czarnym kostiumie wyjęła nóż ze skrytki i zwróciła mu go. Baleron z paralizatorem u pasa gapił się na niego, starając się wyglądać groźnie. Kiedy Reseng spojrział na pamiątkę po Chu, ogarnęło go przytłaczające poczucie wstydu. Schował nóż do kieszeni, pokonał windą resztę drogi na dół i wybiegł z budynku. Zapragnął być jak najdalej od tego miejsca.

\*\*\*

Kiedy wrócił do domu, Stołek i Lampa nie wyszły mu na powitanie, żeby pocierać się o jego łydki. Stał przez chwilę na progu, omiatając wnętrze tępym wzrokiem. Brakowało tylko kotów, a mimo to całe mieszkanie wydawało się puste. Zdjął buty i wszedł do środka. Pod stołem stały puste kocie miseczki. Przyglądał im się przez chwilę, a potem wyjął z szafki karmę dla kotów i napełnił je po brzegi.

Postanowił wziąć gorącą kąpiel. Chociaż nie napracował się zbyt, był wyczerpany i obolały, jakby ktoś go pobił. Kiedy patrzył na kłęby pary unoszące się nad wanną, ogarnęła go bezsilność. Czuł się niepotrzebny. Był jak wyjęty z zegara trybik, który kiedyś stanowił integralną część skomplikowanego mechanizmu, ale okazało się, że i bez niego wszystko działa.

Ilekczo wracał do domu po wykonaniu zadania, popadał w marazm. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. To nie były wyrzuty sumienia, niesmak ani wstręt do samego siebie. Przytłaczało go poczucie, że nie jest już w stanie odpowiadać za nikogo, nawet za samego siebie. Wszystko wydawało mu się zbyt trudne – pogawędki i żarty ze znajomymi, umawianie się z kobietami albo klejenie modeli statków. Nawet gotowanie było ponad jego siły. Potrafił jedynie upijać się piwem, by potem obserwować zamroczonym wzrokiem świat za oknem albo leżeć na łóżku i wpatrywać się tępo w sufit. Gdy wreszcie zaczynał doskwierać mu głód, zjadał to, co znalazł w lodówce, i zapadał w sen. Powtarzał sobie, że to naturalna reakcja. Sądził, że byłoby naprawdę dziwne, gdyby ktoś, kto zarabia na życie, zabijając innych, czerpał energię ze swojej pracy.

Leżąc w gorącej wodzie i patrząc na pokryty skroploną parą sufit, Reseng analizował finansowe aspiracje Hanji, Starego Jenota

i Minarięgo Paka. W półświatku każdy miał własny i niepowtarzalny sposób na buchalterię. Nawet drobni biznesmeni ze Świńskiego Targu, wykonawcy dorywczych zleceń i wypaleni cyngle, którzy nie mogli już upaść niżej, prowadzili swoje kalkulacje. Niezależnie od tego, czy ostateczny bilans im się zgadzał, to właśnie na nim opierali swoje decyzje. Reseng nabrał garść mydlanej piany i pomyślał o swoim mentorze. Nie mógł dopatrzeć się ani odrobiny sensu w jego podejściu do interesów.

Zanurzył głowę pod wodą i zaczął liczyć, ile osób zabił do tej pory. Kiedy dodawał do listy kolejne ofiary, poczucie klęski zaczęło go przenikać niczym przykry zapach.

Jeongan zjawił się około północy, wrywając Resenga z głębokiego snu.

– Śpisz? No to pięknie. A ja się uganiałem nocą po mieście jak kot z pęcherzem – zwrócił się poirytowany do przyjaciela, który otworzył mu drzwi i spojrzał na niego półprzytomnie. – Stołek! Lampa! – zawołał, wchodząc do mieszkania. – Nie wstyďte się swoich głupich imion i chodźcie tu. Wiem, że usychałyście z tęsknoty za panem Przystojnym, i oto jestem.

Zajrzał do domku na szczycie kociej wieży, pod kanapę i za zasłony.

– Gdzie się podziały twoje gwiazdy? Nagle stały się takie nieśmiałe?

– Wysłałem je na wakacje.

– Dokąd?

– Tam, gdzie będzie im lepiej.

– Gdzie może być im lepiej niż w objęciach kochającego pana?

– Gdyby ktoś mnie zadźgał na ulicy, umarłyby z głodu.

Jeongan popatrzył zszokowany na Resenga i parsknął śmiechem.

– Ty durniu! Nikt cię nie... Bez obaw, twój starszy brat właśnie przeprowadził bardzo skrupulatne śledztwo – powiedział, po czym wyjął z torby grubą kopertę i położył ją na stole. – Słyszałeś o doktorze Kangu Jigyeongu?

– O tym medyku sądowym?

– Tak. Przez wiele lat pracował w Krajowej Służbie Kryminalistycznej i okazuje się, że był patronem. Zawsze mnie intrygował. Ilekroć widziałem jego zdjęcie w gazecie, miałem dziwne przeczucia.

– A czemuż to?

– Ta instytucja ma niezbyt chlubną historię. W czasach, kiedy rządziły te mięśniaki w mundurach, nikt nie zawracał sobie głowy wynajmowaniem likwidatorów, bo wystarczyło zdobyć podpis.

– Podpis?

– Nie bawili się w ceregiele, tylko przekonywali medyków sądowych do podpisywania sfałszowanych aktów zgonu. Oprawcy z Agencji Planowania Bezpieczeństwa Narodowego mogli tłuc ludzi do woli, a lekarz wpisywał w papierach, że przyczyną śmierci było samobójstwo, i sprawa załatwiona! Radzili sobie całkiem nieźle w porównaniu z dzisiejszymi likwidatorami, którzy nie zostawiają najdrobniejszych śladów. W każdym razie w taki sposób medycy sądowi zaczęli działać w naszej branży. Z początku nie mieli innego wyjścia, bo musieli myśleć o swoich żonach i dzieciach, a wojsko miało zbyt dużą władzę. Ale kiedy już w to wdepnęli, pogrążali się coraz głębiej. Myślisz, że potem mogli ot tak się wycofać? Wiesz, jacy są patroni.

– Ale co ma z tym wspólnego doktor Kang?

– Mito, ta kobieta ze sklepu, była jego asystentką w laboratorium.

Reseng pokiwał głową.

– Zaczynam rozumieć, o co chodzi.

– Zaczynasz rozumieć? Rozwiązanie jest widoczne jak na dłoni. Jak myślisz, z kim mógłby współpracować taki ważniak jak Kang? Z Minarim Pakiem? Już to widzę. Ale na pewno z Hanją albo ze Starym Jenotem. Ale teraz, kiedy ten ostatni praktycznie wypadł z obiegu, jest wielce prawdopodobne, że pracował dla Hanji.

Reseng zapalił papierosa. Nie był przekonany do słów przyjaciela. Poza tym nigdy nie spotkał doktora Kanga. A nawet gdyby mieli ze sobą do czynienia, czy patron o takiej pozycji zadawałby sobie trud, żeby podkładać bombę w toalecie pośledniego cyngla?

– Co teraz robi ten Kang? – zapytał.

– Nie żyje od niedawna.

– Nie żyje?

– I podobno popełnił samobójstwo. Dasz wiarę? Ktoś, kto przez tyle lat podawał właśnie taką przyczynę śmierci, tuszując morderstwa, w końcu odebrał sobie życie. Podejrzane, nie sądzisz?

– Jak umarł?

– Skoczył z dachu. Albo ktoś go zrzucił. Facet ważył ponad sto kilo, więc ten ktoś musiał być dosyć silny.

Jeongan wręczył przyjacielowi plik zdjęć wykonanych na miejscu wypadku. Otyły mężczyzna leżał rozciągnięty na chodniku niczym bryła wilgotnej gliny. Miał roztrzaskaną czaszkę i wyłamany prawy bark, a jego głowa była wykręcona pod nienaturalnym kątem. Ciemnoczerwona kałuża krwi kontrastowała ze śnieżnobiałym fartuchem laboratoryjnym, który miał na sobie

w chwili śmierci. W krzepnącej krwi leżał domowy pantofel.

– Tylko pięć pięter, a taka masakra – zauważył Jeongan. – Im więcej wazysz, tym gorzej. Miał niezły apetyt jak na kogoś, kto cały dzień kroi trupy. Wzrostem nie grzeszył, więc naprawdę musiał być spasiony. Pewnie jadł, co popadnie.

– Skąd masz te zdjęcia?

– A jak myślisz? Od gliniarzy. Dzisiaj gliniarze są życzliwi dla obywateli.

– Miał na nogach pantofle, kiedy ze sobą skończył. – Reseng przechylił głowę. – Oficjalną przyczyną śmierci jest samobójstwo?

– Wiesz, jacy są gliniarze. Zrobią wszystko, byle tylko się nie przepracowywać. A poza tym facet zostawił list pożegnalny i nie znaleziono nic, co wskazywałoby na morderstwo.

– Co napisał w tym liście?

Jeongan przewertował plik kartek.

– „Przepraszam wszystkich, którym zrujnowałem życie i sprawiłem ból. Wstyd mi za siebie” – odczytał na głos tekst z kserokopii.

– Kryzys sumienia?

– Ten facet nie miał sumienia. Ludzie na jego pogrzebie wyglądali tak radośnie, jakby przyszli na wesele.

Reseng zaciągnął się dymem. Bywało i tak, że patroni sami stawali się celami. Oni również popełniali błędy, tak jak zabójcy. Każdemu zdarzało się zapomnieć o zacieraniu śladów i policja wpadała na jego trop. Ale podczas gdy aresztowanie cyngla, który nigdy nie posiadał ważnych informacji, nie przynosiło śledczym żadnych rewelacji, wpadka mocodawcy pociągała za sobą ujawnienie całej pieczołowicie skrywanej sieci powiązań. Dlatego do likwidacji patronów podchodzono z dużo większą ostrożnością



i dyskrecją. Takie było niepisane prawo, które obowiązywało w tym środowisku.

– Kto go zabił? – spytał Reseng i parsknął śmiechem, kiedy Jeongan pokazał mu zdjęcie Mito. – Jasne, takie chucherko bez trudu poradziło sobie z tym grubasem. Niech zgadnę, walnęła go w łeb batonikiem Hot Break, a potem zawołała swojego przypakowanego chłopaka, który zrzucił go z dachu? No dobra, załóżmy, że to ona. Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie wiem, ale ta kobieta wydaje mi się bardzo podejrzana. Obaj doskonale wiemy, że likwidatorzy nigdy nie działają pod własnymi nazwiskami i korzystają z kilku lokali. Pod jeden adres przychodzi poczta, pod innym przygotowują się do zadań, a jeszcze gdzie indziej spotykają się z pośrednikami, żeby w razie wsypy wszystko nie zważyło im się na głowę. I oczywiście w każdym z tych miejsc występują pod inną tożsamością. Ale ona nie bawiła się w takie podchody, zamawiając części do budowy bomby.

– Może doktor Kang korzystał z jej adresu?

– Po co miałyby to robić, skoro może przebierać do woli w fałszywych nazwiskach i numerach ewidencyjnych?

Reseng spojrział na zdjęcie. Zapatrzona w niebo uśmiechnięta Mito sprawiała wrażenie prostodusznej, wręcz pospolitej dziewczyny. Jednej z tych, które piszczą na widok karalucha. Nie mieściło mu się w głowie, że za wszystkim stoi właśnie ona. Nawet jeśli Jeongan się nie mylił, nie trzymało się to kupy. Doktor Kang musiał mieć wielu wrogów, zważywszy na przeszłość. A jeżeli Mito również do nich należała? W takim wypadku mogło jej zależeć na jego śmierci. Ale jaki to miało związek z bombą w toalecie? Nie widział w tym sensu.

– Myślę, że po prostu się na nią napaliłeś. – Reseng rzucił zdjęcia na stół. – Idziesz fałszywym tropem.

Jeongan spojrział na niego z irytacją.

– Nie znasz jej. Ona mnie przeraża. Jak opowiadają ludzie z targowiska, na którym się wychowała, dziewczyna tyrała na okrągło. Roznosiła mleko i gazety, załatwiała różne sprawunki i pracowała na różnych straganach, żeby zarobić na utrzymanie siostry przykutej do wózka i skończyć szkołę. I zawsze miała doskonałe oceny. Każdy, kto ją znał, nie może się jej nachwalić i wspomina ją jak dar niebios. Ponoć była taka bystra, taka ładna, grzeczna, uczciwa i pracowita, że ludzie składali się co miesiąc, żeby pomóc jej pokryć koszty edukacji. I chociaż codziennie wstawiała do pracy bladym świtem, ukończyła studia z wyróżnieniem. To jest straszne!

Tropiciel sprawiał wrażenie autentycznie zauroczonego.

– Przerazają cię dziewczyny, które dobrze się uczą?

– Och, daj spokój, nie o to mi chodzi. Zastanawia mnie, czemu po tym wszystkim została asystentką patrona. Przecież najgorsze miała już za sobą. Dostała się na najlepszą uczelnię medyczną w kraju.

– Takie studia sporo kosztują, a w naszej branży można szybko się obłowić.

– Ale w jej przypadku to nie jest takie proste. Śledziłem setki osób i romansowałem z dziesiątkami kobiet. Jeśli chodzi o kobiety, w zasadzie możesz mnie uważać za eksperta. Czego jeszcze nie rozumiesz?

– W porządku. Więc czemu taka uczciwa i pracowita kobieta miałaby zabijać doktora Kanga i podkładać mi bombę?

– Jeszcze nie wiemy wszystkiego, ale to kwestia czasu – odparł Jeongan. – Mam przeczucie, że wkrótce ogarniemy całokształt.

Wyjął z torby mapę i podał ją Resengowi.

– Co to jest?

– Zaznaczyłem tutaj miejsca, w których najprawdopodobniej Kang i Mito mieli swoje kryjówki. Musisz je sprawdzić.

– A ty co będziesz robił?

– Mam swoje plany. Wrócę za tydzień.

– Jakie plany?

Jeongan uśmiechnął się, szczerząc zęby.

– Tajemnica.

– Życie przyjaciela wisi na włosku, a ty jedziesz sobie na wakacje z jakąś panienką? – obruszył się Reseng. – Kogo tym razem poderwałeś?

– Przykrzy mi się u ciebie, kiedy nie ma twoich kotów. Wiesz, że wolę towarzystwo dziewczynek.

Jeongan zapakował torbę i założył buty. Jego trampki nie były stare, ale miały wytarte zapiętki.

– Masz jakieś zlecenie od Starego Jenota? – zapytał Reseng.

– A jeżeli tak?

– Widziałem się dzisiaj z Hanją. Nie wiem, czy to przez nadchodzące wybory, ale był jeszcze bardziej nadęty niż zwykle. Powiedział, że jeśli nie odpuścimy, będzie musiał nas zabić. Mówił, że jestem prawą ręką Starego Jenota, a ty jego oczami i uszami. Żarty sobie stroi. W każdym razie wkurzyło go to, co zrobiliśmy ze starym generałem, i chce, żebyśmy siedzieli cicho do końca wyborów.

– Oj, czy nasz mały Reseng ma pietra? Nie uchronisz się długo w tym zawodzie, jeśli będziesz łykał każdy blef.

– Tym razem jest gorzej. Po wyborach Hanja ochłonie, więc do tego czasu lepiej siedźmy cicho.

– Wiesz, jak bardzo Stary Jenot się nudzi, kiedy nie przyniosę mu gazety. Zresztą ten szczywany lis Hanja nie kiwnie teraz palcem. Tylko blefuje, żeby cię nastraszyć. Więc przestań się zamartwiać i przynieś kociaki z powrotem. Bez nich ten dom jest pusty. Nie wierzę, że taki stary wyga wystraszył się jakiejś gównianej bombki. Czy ty nie przesadzasz?

Idąc w stronę drzwi, Jeongan przystanął, jakby sobie coś przypomniał. Odwrócił się, rozpiął pasek i opuścił dzinsy.

– Popatrz na to. Wzmagająca potencję bielizna marki Scorpion! Zapłaciłem sto siedemdziesiąt tysięcy za sztukę. A to krystaliczny nefryt i żółta glina, które wydzielają promienie podczerwone działające na siły witalne. Tak jakbym nosił majtki Supermana.

Reseng przyglądał mu się przez chwilę oszołomiony.

– Właściciel sklepiku na rogu takie nosił – powiedział.

– Tak? Idę o zakład, że bardzo je sobie chwali.

– Działały tak dobrze, że dostał udaru.

Jeongan wydał usta i podciągnął spodnie.

– Doprawdy nie wiem, dlaczego spodziewałem się jakiejś konstruktywnej odpowiedzi po kimś, kto postawił sobie za cel umrzeć jako prawiczek. Nic tu po mnie.

Reseng uśmiechnął się i odprowadził wzrokiem przyjaciela, który wyszedł z mieszkania, kręcąc tyłkiem.

---

---

# Robótki ręczne

---

---

Reseng obserwował od godziny witrynę sklepu z artykułami do robótek ręcznych. Napis na szyldzie, „Dziergalnia Misy”, wyglądał jak wykonany ręką dziecka. Sklepek mieścił się na parterze jednopiętrowego domu stojącego przy skrzyżowaniu ulic w spokojnej dzielnicy mieszkaniowej. Sam budynek był starą rudera, ale Dziergalnia Misy, obita boazerią i udekorowana draperiami, które dodawały jej uroku, wyglądała jak sceneria filmu Disneya. Na szybie wystawowej widniały różne reklamy, w których powtarzały się słowa: „dziewiarstwo”, „patchwork”, „naturalne barwniki”, „szydełkowanie” i „wspaniałe hobby dla gospodyń domowych”.

Dokładnie o jedenastej pojawiła się Misa. Na jednym podłokietniku wózka kołysał się woreczek śniadaniowy, a na drugim wisiała płócienna torba wypełniona tkaninami i kłębkami wełny. Kobieta otrzepała dłonie i sięgnęła po chusteczkę, żeby otrzeć pot z czoła. Dystans dzielący jej mieszkanie od sklepu dałoby się pokonać żwawym krokiem w dziesięć minut, ale dla kobiety na wózku inwalidzkim nie było to łatwe zadanie, zwłaszcza że droga biegła przez pagórkowaty teren. Prawdopodobnie jechała dobre pół godziny, nic więc dziwnego, że się zmęczyła. Otworzyła kluczem drzwi i schyliła się, żeby podnieść leżące na progu listy i gazetę. Obróciła głowę i zerknęła na paczkę, którą doręczyciel zostawił przed sklepem. Kartonowe pudło było zbyt duże, żeby zdołała sobie z nim poradzić, więc je zostawiła i wjechała do środka.

Reseng poświęcił kilka ostatnich dni na sprawdzenie miejsc, które jego przyjaciel zaznaczył na mapie. Żadne z nich nie wyglądało jednak podejrzanie. Laboratorium doktora Kanga nie różniło się niczym od innych pracowni uniwersyteckich

wypełnionych stęchłymi książkami i notatkami, a lokal, który Jeongan uważał za jego kryjówkę, okazał się pusty. Można było się tego spodziewać. Jeżeli Kang rzeczywiście współpracował z Hanją, to w chwili jego śmierci czyściciele wszystko zabrali. Hanja nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie obciążających śladów.

Mieszkanie sióstr również nie miało w sobie nic szczególnego. Reseng zauważył tylko, że w przeciwieństwie do Misy, której pokój był nieskazitelnie czysty i schludny, Mito nie dbała o porządek. Parapet pokrywały świeżo wyprane majtki, na sznurku za oknem suszyły się biustonosze, na łóżku leżała zmięta piżama w słońce, a po podłodze walały się brudne skarpetki. Pod łóżkiem znalazł pękniętą prezerwatywę i staromodne bokserki. Takie rzeczy noszą tylko podtatusiali panowie, pomyślał, biorąc je do ręki. Były pokryte kurzem i włosami. Co za idiota ucieka tak szybko, że zostawia swoją bieliznę? Zajrzał do notesu, który leżał na biurku obok stosu książek medycznych, ale nie znalazł żadnych dowodów wskazujących na to, że Mito jest likwidatorką.

Na domiar złego zapewnienia Jeongana, jakoby Mito była asystentką doktora Kanga, okazały się niczym więcej jak tylko spekulacjami. Ludzie na uniwersytecie i w centrum badawczym, z którymi rozmawiał Reseng, nie kryli zaskoczenia jego pytaniami.

– Z tego, co wiem, była asystentką profesora Kima Seonila.

Nie dowiedział się zatem niczego, co pozwalałoby sądzić, że tamtych dwoje cokolwiek łączyło. Jeonganowi wystarczyło to, że Mito zamówiła materiały do produkcji bomby i przez pewien czas pracowała w tym samym laboratorium co Kang, żeby wysnuć pochopte wnioski co do ich wzajemnych powiązań.

Reseng włożył papierosa do ust i właśnie miał go zapalić, kiedy Misa znów pojawiła się przed sklepem. Spojrzała ponuro na ogromną paczkę i nachyliła się, żeby ją podnieść. Stęknęła kilka

razy z wysiłku i dała za wygraną. Spróbowała pociągnąć wielki karton za sobą, ale to też na niewiele się zdało. Przy każdym szarpnięciu wózek przechylał się niebezpiecznie, grożąc upadkiem. Po chwili kobieta przerwała swoje bezowocne wysiłki, żeby otrzeć pot z czoła. Reseng schował papierosa z powrotem do paczki i podszedł do niej.

– Może pani pomóc? – zapytał.

Misa uniosła głowę i popatrzyła na niego. Miała gładką cerę niemowlęcia i wielkie sarnie oczy o niewinnym spojrzeniu. Nagle wyraz zaskoczenia znikł z jej twarzy, ustępując miejsca promiennemu uśmiechowi. Jednak wyglądała tak, jakby raczej próbowała stłumić śmiech, aniżeli cieszyła się z uczynności nieznajomego. Co ją tak bawiło?

– Jasne – odezwała się wreszcie. – Dziękuję bardzo!

Reseng podniósł paczkę. Była zdecydowanie za ciężka, żeby mogła sobie z nią poradzić kobieta przykuta do wózka. Zastygł w bezruchu, czekając na jakieś wskazówki, jednak Misa wciąż przyglądała mu się z nieskrywanym rozbawieniem.

– A więc... mam tu tak stać przez cały dzień?

W końcu kobieta wybuchła śmiechem. Reseng nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Zaśmiewała się tak bardzo, że oczy zaszły jej łzami.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam! – wykrztusiła. – Kiedy już zacznę, nie mogę się opanować. Ojej. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wejdź, proszę.

Otarła łzy z twarzy, po czym otworzyła drzwi i wprawnie lawirując wózkiem między krzesłem a maszyną do szycia, wskazała na okrągły drewniany stolik. Reseng postawił na nim paczkę.

– Ty jesteś Reseng, prawda? – zapytała Misa.

– Wiesz, jak się nazywam?



– Oczywiście! Przecież jesteś chłopakiem mojej siostry, więc jak mogłabym nie wiedzieć? Rozmawiamy o tobie codziennie na strychu.

Jej słowa zakotłowały się w głowie Resenga, który nie pojmował, co się dzieje.

– Twoja siostra powiedziała, że jestem jej chłopakiem? – spytał, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

– A co? Nie jesteś? Czyżby Mito coś sobie uroiła? – Misa zrobiła taką minę, jakby zaraz miała się rozplakać. – Wiedziałam, wiedziałam, że znowu się w kimś niezdrowo zadurzyła.

Wzięła ze stolika kawałek włóczki i owinęła go sobie wokół palca, a potem upuściła go na podłogę. Sprawiała wrażenie tak przygnębionej, że Resengowi niemal zrobiło się jej żal.

– Nie, ja... tylko chciałem się upewnić, bo myślałem, że tylko ja jestem zadurzony.

– Naprawdę?

– No jasne – odparł Reseng z uśmiechem.

Misa, która przyglądała mu się z niedowierzaniem, teraz rozpromieniła się jak dziecko.

– Och, gdzie moje maniery? Siadaj, proszę – powiedziała, wskazując krzesło. – Napijesz się kawy?

– Chętnie, jeśli to nie kłopot.

– Kłopot? Nie wygłupiaj się.

Nie przestając się uśmiechać, kobieta podjechała do aneksu kuchennego, który mieścił się w kącie pracowni. Błat i zlew zostały obniżone, żeby mogła do nich dosięgnąć, siedząc na wózku. Kiedy przygotowywała kawę, Reseng szybko rozejrzał się dookoła.

Choć w miejscu służącym do szycia i robienia na drutach można

by się spodziewać nieładu, wewnątrz pracowni było schludne i czarujące jak sama jej właścicielka. Na półkach serwantki leżały równiutkie stosy tkanin, przybory do szycia, kłębki wełny i próbki materiałów. Sąsiednią ścianę zajmowała wystawka z obrusami, fartuszkami, lalkami, torbami i innymi artykułami. Obok nich leżały etykiety ze starannie wykaligrafowanymi napisami „Dekoracja” albo „Na sprzedaż”. Na środkowej półce opatrzonej tabliczką „Pluszowe zoo” stały w rzędzie najróżniejsze maskotki. Były wśród nich brzuchate podobizny Kubusia Puchatka w spodenkach i bez oraz gepard Chester z uniesionymi kciukami i komiksowym dymkiem, który obwieszczał: „Lew jest królem zwierząt. Ja jestem królem chrupek”. Nie zabrakło również Toma i Jerry’ego, Papy Smerfa wraz z całą jego niebieską gromadką i wszystkich Teletubisiów, które unosiły ręce, jakby przystępowały do rozgrzewki. Reseng przyłapał się na niedorzecznych rozważaniach, kiedy zadał sobie pytanie, czy można zaliczyć te cztery stworki do pluszowego zwierzyńca. Sąsiednia półka z tabliczką „Ogród” mieściła kolekcję wypchanych kaktusów, marchewek, melonów i truskawek. Przy oknie stały dwie maszyny do szycia, a para manekinów ubranych w ręcznej roboty swetry sprawiała wrażenie, jakby zastygła w trakcie przyjaznej pogawędki. Nigdzie jednak nie było widać schodów prowadzących na strych.

– Co cię tutaj sprowadza? – zapytała Misa, która właśnie płukała owoce nad zlewem. – Umówiłeś się tu z moją siostrą?

– Tak – odparł Reseng roztargnionym tonem.

– O której przyjdzie Mito?

– Powiedziała, że za niedługo.

Reseng niby od niechcienia odchylił kotarę zasłaniającą przejście, obok którego wisiała tabliczka z napisem „Toaleta”. Udając, że tylko się rozgląda, doszedł do końca długiego na kilka metrów

korytarza i otworzył drzwi. Nie zauważył nic nadzwyczajnego oprócz poręczy ze stali nierdzewnej po obu stronach muszli i zamontowanej nisko umywalki. Zawrócił i kiedy zbliżał się do zasłoniętego kotarą wejścia do sklepu, jego uwagę przykuła sporych rozmiarów szafa wbudowana w ścianę. Zastanawiając się, po co komu garderoba w takim miejscu, zajrzał do środka. Przesunął wiszące na drążku ubrania na jedną stronę i zastukał lekko w drewnianą płytę w głębi szafy. Rozległo się głębokie dudnienie, jakby uderzył w pustą beczkę. Przesunął palcami w dół i natrafił na uchwyt przesuwanych drzwi. Kiedy je uchylił, jego oczom ukazały się strome i wąskie schody. Wystawił głowę zza kotary i rozejrzał się po sklepie. Od strony aneksu kuchennego wciąż dobiegał plusk płynącej wody.

– Mógłbym skorzystać z łazienki? – zawołał.

– Nie krępuj się! – odpowiedziała Misa pogodnie.

Reseng zdjął buty i trzymając je w dłoni, zasunął za sobą drzwi garderoby. Ogarnęła go całkowita ciemność. Stąpając niepewnie po drewnianych schodkach, wyciągnął rękę i wymacał włącznik światła. Znalazł się w pomieszczeniu, które na pierwszy rzut oka nie miało w sobie nic wyjątkowego poza tym, że było pozbawione okien. Podłogę pokrywała japońska mata ze słomy ryżowej, a całe umeblowanie ograniczało się do biurka i materaca z poduszką i kocem. Na biurku obok lampy spoczywał zamknięty laptop.

Reseng obejrzał się za siebie i znieruchomiał. Całą ścianę pokrywały setki fotografii, na których rozpoznał swoją twarz. Zauważył również swoje zdjęcia rentgenowskie, wyciągi z kartoteki medycznej, pokwitowania zakupów w internecie, kopię swojej książeczki oszczędnościowej, karty meldunkowej, karty ubezpieczenia zdrowotnego i prawa jazdy, a nawet rachunków za media. Na każdym ze zdjęć widniały zapisane markerem data,

godzina i miejsce, w którym zostało wykonane. Ktoś zgromadził tyle danych na jego temat, że Reseng miał wrażenie, jakby patrzył na całe swoje życie, wycięte i przyszpilone do ściany.

Przyjrzał się zdjęciom. Ktoś, kto go nie znał, mógłby pomyśleć, że to zwyczajne migawki z jego codziennego życia, ale tak naprawdę nie miały w sobie nic zwyczajnego ani codziennego. Kilka z nich przedstawiało Resenga tuż przed dokonaniem zabójstwa, a inne tuż po. Co gorsza, Mito zrobiła nawet zbliżenie czarnego neseserka Samsonite w jego ręce, takiego samego, w jakim przekazywano mu informacje na temat celu. W środku znajdował również broń, narkotyki oraz inne przedmioty potrzebne do wykonania zadania. Kiedy było już po wszystkim, oddawał neseserek mocodawcy. Na ścianie wisiały też fotografie ludzi, którzy zginęli z jego ręki.

– A jednak Mito jest likwidatorką – mruknął do siebie.

Spojrzał na zegarek. Minęło już pięć minut, odkąd powiedział Misie, że chce skorzystać z toalety. Przy pomocy szwajcarskiego scyzoryka wymontował z laptopa twardy dysk, który schował do kieszeni, i przykręcił z powrotem pokrywę. Po raz ostatni rozejrzał się po pokoju, a potem zgasił światło i wrócił na dół. Zamknął drzwi garderoby i wyjrzał dyskretnie zza kotary. Misa czekała na niego przy stoliku, na którym stała kawa i patera z owocami. Reseng zakradł się do toalety, gdzie spuścił wodę, umył ręce i głośno zamknął za sobą drzwi.

– Musiałem zjeść coś nieświeżego – powiedział, trzymając się za brzuch. – To krępujące, jak człowiek dostaje rozwolnienia akurat w chwili zawarcia nowej znajomości.

Kiedy Misa zakryła usta dłonią i zachichotała, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jej uśmiech napełnił blaskiem całe wnętrze sklepu.

– Kawa stygnie. Lepiej smakuje, kiedy jest gorąca.

– Nie szkodzi. I tak wolę letnią. – Reseng upił łyk z filiżanki, wciągając w nozdrza mocny i bogaty aromat. – Pyszna! Kenijska?

– Etiopska.

– Och, ty pewnie rozpoznajesz po samym smaku, z jakiego kraju pochodzi kawa, ale ja jeszcze nie jestem taki oblatany.

Misa znów parsknęła śmiechem.

– Czego bym nie powiedział, to się śmiejesz. – Reseng zrobił poważną minę. – Taki jestem komiczny?

– Ależ nie! – zaprotestowała dziewczyna. – Nie jesteś komiczny ani nic z tych rzeczy. Po prostu łatwo mnie rozbawić i lubię się śmiać.

– Tak naprawdę jestem klaunem. Wszyscy tak uważają.

Misa przez chwilę nie odrywała od niego wzroku.

– Co ci się podoba w mojej siostrze? – odezwała się wreszcie, a jej głos przybrał teraz całkowicie poważny ton.

Patrząc w sufit, Reseng zaczął się zastanawiać, co tak naprawdę może mu się podobać w tej kobiecie. Co powinienem odpowiedzieć?

– Hm, no cóż, przede wszystkim Mito jest ładna i mądra. No i wszystko o mnie wie. Zna mnie tak dobrze, że to wręcz niepojęte. I zawsze mi mówi, co mam robić, nawet kiedy sam nie wiem, jak powinienem postąpić.

Jego odpowiedź najwyraźniej zadowoliła Misę.

Nagle rozległ się szcęk otwieranych drzwi i wewnątrz sklepu wypełnił donośny piskliwy głos:

– Och, Miso, kochanie! Nareszcie skończyłam ten przydługi sweter!

Reseng uniósł głowę i wytrzeszczył oczy, kiedy zobaczył przed

sobą znajomą postać. Zezowata bibliotekarka stanęła jak wryta i wbiła w niego zdumione spojrzenie.

– To jest Reseng! – oznajmiła Misa tonem małej dziewczynki, która koniecznie chce się pochwalić nowym prezentem. – Chłopak mojej siostry! Tym razem Mito nie zmyślała.

Bibliotekarka przytaknęła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. Reseng wolno podniósł się z krzesła i zmierzył ją surowym spojrzeniem. Jej oczy wypełnił strach i szybko odwróciła wzrok. Znów rozległ się odgłos otwieranych drzwi i do sklepu weszła Mito. Od razu zobaczyła zastygłą w bezruchu bibliotekarkę, uśmiechniętą promiennie siostrę i Resenga, który stał między nimi ze śmiertelnie poważną miną. Wyglądała na zaskoczoną, ale jej wyraz jej twarzy nie zdradzał ani odrobiny przestachu.

– Reseng! – odezwała się, szczerząc zęby w uśmiechu. – To miło, że twój zgrabny tyłeczek nadal jest w jednym kawałku.

Reseng gapił się na nią osłupiały.

– Ty szurnięta dziwko.

Słowa same wyrwały się z jego ust. Miso z wrażenia głośno wciągnęła powietrze.

Przez chwilę wszyscy troje stali jak zakłęci. Żadne z nich nie było w stanie wydobyć z siebie głosu ani się poruszyć. Reseng nie potrafił ogarnąć tego wszystkiego. Likwidatorka, bibliotekarka i właścicielka sklepu z artykułami do robótek ręcznych – co mogło łączyć te trzy tak bardzo różniące się od siebie kobiety? I jeszcze to niedorzeczne miejsce, w którym spoglądają na nich z półek Papa Smerf, Kubuś Puchatek i Teletubisie. Rzeczywistość przypominała mu kłębek włóczki, który rozwija się powoli i nagle zaczyna się zamieniać w niemożliwą do rozsupłania płataninę.

Bibliotekarka wydała pełne napięcia westchnienie. Ona też była

dla niego zagadką. Nie mógł pojąć, co tu robi ta potulna zezowata kobieta, z którą tyle razy spotykał się w Psiarni. Czyżby przeszła na stronę Hanji? Nie, to niemożliwe. Uświadomił sobie teraz, że odkąd zaczęła pracę w bibliotece pięć lat temu, zawsze dziergała na drutach jak szalona. To mogło oznaczać, że była w zмовie z Mito od samego początku.

Mito pierwsza przerwała milczenie.

– Porozmawiajmy gdzie indziej – zaproponowała.

Zabrzmiało to tak, jakby zwracała się do rozgniewanego dziecka, chcąc je udobruchać.

– Wolałbym zostać tutaj. Właśnie gawędziłem sobie z Misą, a to miejsce jest takie urocze i ma w sobie coś szczególnego. – Reseng poruszył dłońmi, jakby robił na drutach, i spojrział wymownie w stronę kotary, za którą znajdowało się ukryte wejście na strych. – Zresztą twoja droga siostra zadała sobie tyle trudu, żeby zaparzyć kawę i podać owoce. Nieładnie byłoby teraz wychodzić.

Misa spojrzała na niego z niepewną miną i przygryzła wargę.

– W porządku – powiedziała, starając się zachować swobodny ton. – Nie wiem, o co wam chodzi, ale powinniście tu zostać i wyjaśnić to sobie przy filiżance kawy.

Ciągnąc za sobą bibliotekarkę, która od czasu do czasu zerknęła trwożliwie na Resengę, Mito wolnym krokiem podeszła do stolika, jakby znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

– Miso, czy dla nas też mogłabyś zaparzyć kawę? – zapytała z uśmiechem, a gdy jej siostra odjechała w stronę aneksu kuchennego, pochyliła się nad stolikiem i wyszeptała: – Ona nie ma z tym nic wspólnego. Wyjdźmy stąd.

– Wszyscy jesteśmy w to zamieszani – odparł Reseng, patrząc na bibliotekarkę, która odwróciła głowę, umykając przed jego

spojrzeniem. – Za sprawą jakiegoś niepojętego zbiegu okoliczności.

– Zrób coś mojej siostrze, a już jesteś martwy.

Reseng odchylił głowę do tyłu i spojrzał gniewnie na Mito.

– Oho, aleś ty groźna! Wyglądacie na taki uroczy duet jak te śpiewające i tańczące siostry Bell, a tu się okazuje, że jesteście parą zmij – warknął.

Spojrzał w stronę aneksu kuchennego. Misa właśnie wyjmowała kubek z szafki.

– Mito, przecież ty nie jadłaś śniadania – zawołała. – Zrobić ci tosty?

– Nie trzeba, zaraz wychodzimy.

– A ja chętnie bym coś zjadł – wtrącił Reseng beztrósco.

Mito spiorunowała go wzrokiem, a potem puściła oko do bibliotekarki, jakby chciała ją zapewnić, że nie ma się czego obawiać. Po chwili Misa wróciła do stolika. Jedną ręką przytrzymała tacę z tostem i dwoma kubkami kawy, a drugą kierowała wózkiem.

– A więc pracujesz w bibliotece, tak? – zagadnęła Resenga, na próżno starając się rozładować napięcie. – Bo Sumin też pracuje w bibliotece.

– Tak, pracowaliśmy razem. Mieliśmy różne obowiązki, ale okazuje się, że w zasadzie robimy to samo. To miło, że się tu spotkaliśmy. Zawsze jest tyle wspólnych tematów, kiedy człowiek trafi na kolegę po fachu.

Bibliotekarka pokiwała głową, zerkając z zakłopotaniem na Misę. Tymczasem Reseng wziął tosta z talerzyka i ugryzł spory kęs.

– Ojej, ale pyszny! Jeśli znów będę w okolicy, mogę wstąpić po dokładkę? – zapytał i poczuł na sobie gniewne spojrzenie Mito.



– Oczywiście! – odparła Misa z uśmiechem. – Wpadaj, kiedy tylko zechcesz.

Jej wzrok wciąż błędził po twarzach gości. Sprawiała wrażenie, jakby chciała zmienić temat, ale żaden pomysł nie przychodził jej do głowy. Przy stole panowało niezręczne milczenie, a bibliotekarka wciąż była tak samo spięta. Mito, która siedziała naprzeciwko Resenga, zabębniła palcami o blat.

– Kiedy dwoje ludzi jest ze sobą, nie da się uniknąć nieporozumień – odezwała się po chwili. – Mężczyzna zrobi jakieś głupstwo i wydaje mu się, że to nic wielkiego, ale kobieta czuje się zraniona. A jedno jej nieostrożne słowo może urazić jego dumę. Wysłałam ci tę wiadomość nie dlatego, że chcę z tobą zerwać na dobre. Po prostu chodziło mi o to, żebyśmy trochę odpoczęli od siebie, wszystko sobie przemyśleli i zdecydowali, co chcemy robić w przyszłości. Ale ty chyba nie jesteś wystarczająco cierpliwy i zjawileś się od razu. Ale czemu akurat w sklepie mojej siostry? Nie jest ci teraz głupio?

Reseng patrzył na nią, nie wierząc własnym uszom. O czym ona, do cholery, mówi?

– Co? Rzuciłaś go? – zapytała Misa. – Coś takiego!

– Ale skoro już się tu pofatygowaleś, chodźmy na drinka – ciągnęła Mito. – Wyjaśnimy sobie wszystkie nieporozumienia. Wysłucham cię, jeżeli coś ci leży na sercu. A jeżeli nie jesteś czegoś pewien, możesz mnie zapytać.

– Nieporozumienia? – Reseng spojrzał na nią wilkiem.

Misa położyła dłoń na jego ramieniu.

– Ona ma rację. Napijcie się i powiedz jej, co cię gnębi.

Mito wstała i zarzuciła torbę na ramię.

– No to chodźmy – powiedziała, po czym zwróciła się do

bibliotekarki, która również podniosła się z krzesła: – Ty tu zostań. Chyba nie chcesz się mieszać w cudze sprawy.

– Tak, Sumin, zostań! – zawtórowała jej siostra. – Pomożesz mi szyć Pikachu.

Z jakiegoś powodu wydawała się szczególnie podekscytowana tym pomysłem. Bibliotekarka usiadła z ociąganiem. Zgarbiła się i wbiła wzrok w podłogę. Reseng odrzucił głowę do tyłu, westchnął ciężko i wstał od stołu.

– Dziękuję ci za pyszną kawę i pysznego tosta – zwrócił się z uśmiechem do Misy. – Och, i za owoce również dziękuję.

– Zapraszam cię znowu.

– Na pewno skorzystam. Muszę jeszcze porozmawiać z Sumin.

Misa obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Mito zabrała Resenga do baru, w którym jako specjalność serwowano zupę z kaszanką i ryżem. Wyglądało na to, że jest tam stałą klientką.

– Ciociu, podasz nam smażone flaczki na ostro i wątróbkę na przystawkę? – zwróciła się do właścicielki lokalu, która powitała ją, zwracając się do niej po imieniu. – I dwie butelki soju.

Kiedy usiedli przy stoliku w kącie, kobieta zwana ciocią przyniosła alkohol i małą miseczkę z kawałkami cebuli i papryki, marynowanymi w sosie sojowym.

– Będziecie pić w środku dnia? – zapytała.

– Ten facet twierdzi, że się we mnie zakochał, i nie daje mi spokoju – odparła Mito z udawaną arogancją. – Więc postanowiłam zrobić mu tę uprzejmość i pójść z nim na drinka tylko ten jeden raz.

Właścicielka baru otaksowała Resenga wzrokiem.

– Taki przystojny chłopak musiał cię błagać o randkę? Lepiej

uważaj, dziewczyno. Żebyś znowu nie przyszła do mnie zapłakana jak ostatnio.

Kiedy kobieta wróciła do kuchni, Mito napełniła swoją szklankę i opróżniła ją jednym haustem. Włożyła do ust plasterki cebuli i zaczęła go przeżuwać.

– Chcesz się popisać, jaka z ciebie twarda sztuka? – zapytał Reseng.

– Zawsze piję szybko. Ja się nie obijam tak jak ty. Muszę się uczyć, muszę pracować i potrzebuję miłości, a ponieważ życie jest smutne, muszę pić. Ale nie mam aż tyle czasu, żeby się z tym ociążać.

– Strasznie jesteś zapracowana, bo oprócz tego musisz jeszcze zabijać.

Mito parsknęła śmiechem. Potem nalała soju do obu szklanek i schrupała kolejny plasterki cebuli.

– Przejdźmy do rzeczy – ciągnął Reseng. – Dlaczego podłożyłaś bombę w mojej toalecie? To jest rzecz, której nie pojmuję.

– Żebyś się zastanowił nad swoim życiem. Bo najwyraźniej masz wszystko w dupie.

– Próbujesz się mścić za śmierć rodziców? Tak bardzo przepełnia cię nienawiść, że chcesz wymordować wszystkich, którzy mają coś wspólnego z branżą likwidatorów?

Dziewczyna przez chwilę patrzyła oniemiała na Resenga, aż w końcu roześmiała się głośno.

– Wiesz, co ci powiem? Myślenie nie jest twoją mocną stroną. Wysłil ten swój ptasi mózdzek i spróbuj wyjść poza schematy. Spójrz na wszystko z szerszej perspektywy. Na przykład pomyśl o pokoju na świecie albo o przyszłości naszego gatunku.

Reseng nie mógł pojąć, skąd u niej tyle pewności siebie. Została

zdemaskowana przez jedną ze swoich niedoszłych ofiar. I to przez zawodowego mordercę. Była drobna i bez trudu dałby sobie z nią radę. Mógłby ją zabić zaraz po wyjściu z tego baru. Mimo to zachowywała się spokojnie i nie był to udawany spokój, choć w jej położeniu całkowicie nieuzasadniony. Nie mieściło mu się to w głowie.

– Wydaje mi się, że powinnaś być w tej chwili nieco zdenerwowana – zauważył.

– A czemuż to? Bo rzucisz się na mnie z nożem?

Mito znów zachichotała. Najwyraźniej nie tylko jej siostra reagowała śmiechem, ilekroć ktoś się odezwał. To pewnie jakaś cecha wrodzona.

– A jeżeli tak?

– Nie wyglądasz mi na takiego.

– Wydaje ci się, że wszystko o mnie wiesz, bo zawiesiłaś sobie na ścianie kilka moich zdjęć?

– Pamiętasz kobietę, której Chu darował życie? Tę śliczną rozczulającą kruszynkę? Dostałeś wyraźne polecenie, że masz jej skrócić kark, ale ty postąpiłeś inaczej. Nie rozumiem, dlaczego zabójcy uważają się za mądrzejszych od patronów. Jeżeli ekspert w dziedzinie kryminalistyki specjalnie zaznacza, żebyś skrócił komuś kark, a nie dawał prochy, to powinieneś założyć, że ma ku temu poważny powód.

– Skąd o tym wiesz?

– To ja włożyłam ci do walizeczki barbiturany. Fiolka wróciła pusta.

– To po co ją tam włożyłaś, skoro nie powinienem był jej użyć?

– zapytał Reseng.

Czuł, że czerwienią mu się policzki.

– Bo chciałam się przekonać, co wybierzesz – odparła Mito, patrząc mu w oczy.

Wypiła łyk soju. Miała szorstkie, pokryte odciskami dłonie. Pewnie od tej harówki na targu, o której opowiadał mu Jeongan. Uśmiechnęła się do niego, kiedy sięgnął po swoją szklanę i wychylił jej zawartość jednym haustem.

– Wygląda na to, że dzisiaj mnie oszczędzisz. Nigdy nie pijesz przed wykonaniem zadania.

– Jesteś moją patronką?

– Nie. Twoim patronem był doktor Kang. Ja byłam jego asystentką.

– Myślałem, że doktor Kang współpracował z Hanją.

– Koniec końców Hanja i Stary Jenot niczym się od siebie nie różnią. Niby skaczą sobie do gardeł, ale tak naprawdę są sobie potrzebni. Są jak lew i hiena. Kiedy jeden upoluje dużą zwierzynę, drugi obgryza kości. Ale po wyborach Hanja zamierza się pozbyć Starego Jenota. Wtedy ciebie czeka taki sam los.

Właścicielka baru wyszła z kuchni, niosąc półmisek z flaczkami. Tym razem dokładniej przyjrzała się Resengowi.

– Ojej, ale z ciebie przystojny i krzepki facet! Najedz się. A to na koszt firmy. – Postawiła na stole butelkę cydru. – Nasza Mito zachowuje się jak w gorącej wodzie kąpana, ale kiedy lepiej ją poznasz, przekonasz się, że to dobra dziewczyna. Sporo wycierpiała za młodu, więc dbaj o nią.

Reseng nieśmiało pokiwał głową.

– Ciociu – odezwała się Mito gderliwym tonem – mówiłam ci, że on się za mną ugania.

Kobieta żartobliwie postukała ją w czoło zgiętymi palcami.

– Komu by się chciało uganiać za taką wariatką? – zapytała.

Schyliła głowę przed Resengiem, który odruchowo podniósł się z krzesła, żeby odwzajemnić jej ukłon. Kiedy ruszyła z powrotem w stronę kuchni, Mito chwyciła pałeczkami spory kęs flaczków i wepchnęła sobie do ust.

– Spróbuj – powiedziała, przesuwając półmisek na środek stołu.  
– Niebo w gębie. Ta kobieta naprawdę świetnie gotuje.

Reseng zmarszczył czoło, kiedy w nozdrza uderzyła go charakterystyczna ostra woń. Potrawa wyglądała tak, jakby ktoś posiekał wąż ogrodowy i oblał sosem.

– Zawsze kiedy jem tutaj flaczki, przed oczami stają mi jelita samego Boga – ciągnęła Mito. – Coś, czego żaden człowiek nie widział i nie potrafi sobie wyobrazić. Uświęcone i czcigodne trzewia, a w nich smród i ohydztwo. Jak hańba kryjąca się za dostojeństwem. Brzydota przyczajona za pięknem. Płatanina kłamstw pod osłoną tego, co uważamy za prawdę. A mimo to ludzie starają się nie dopuszczać do siebie faktu, że każda żywa istota musi mieć trzewia.

– Bez przesady. To tylko świńskie flaki.

– Organy wewnętrzne świni są najbardziej zbliżone do ludzkich, a według Biblii Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, więc te flaki muszą przypominać jego trzewia.

– To ty zabiłaś doktora Kanga? – Reseng niespodziewanie zmienił temat.

– Może i ja.

– Sama?

– A ile potrzeba osób, żeby sprzątnąć jednego grubasa? – spytała Mito beznamiętnie. – To nie jest trudne.

Przełknęła kęs flaczków, który przeżuwała, i popiła soju.

– Nie wyglądasz na tak silną. Ten facet ważył ponad sto kilo.

– Koło wynaleziono sześć tysięcy lat temu. Dźwigów używali już starożytni Grecy.

Reseng zapalił papierosa.

– Podstawiłaś swojego kreta w bibliotece, upozorowałaś samobójstwo Kanga, który był człowiekiem Hanji, podłożyłaś mi bombę... – wymamrotał Reseng. – Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Wypowiadasz wojnę całej gildii likwidatorów?

– Być może – odparła Mito prostodusznie, jakby rozmawiali na zupełnie inny temat.

– Chcesz zniszczyć Hanję? Czy Starego Jenota?

– Ich obu.

Na jej twarzy wciąż malował się ten sam niewinny wyraz. Reseng spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Taka dziewczyna jak ty zamierza się rozprawić z tymi potworami – powiedział, uśmiechając się sztywno. – Chyba sobie żartujesz.

Mito odłożyła pałeczki i wytarła usta serwetką.

– Co ma znaczyć: „taka dziewczyna jak ty”? I co w tym widzisz zabawnego? – zaperzyła się.

– Hanja i Stary Jenot nie nabiorą się na twoje sztuczki tak jak doktor Kang. Ich nie zrzucisz z dachu. Wydaje ci się, że znasz to środowisko, bo kilka razy pomagałaś patronowi. Ale nie możesz się równać z kimś takim jak Hanja. Zanim się obejrzysz, trafisz do pieca. Przestań, zanim jeszcze nie zabrnęłaś zbyt daleko. Jeśli teraz dasz sobie spokój, przez wzgląd na twoją uroczą siostrę będę udawał, że o niczym nie wiem. Wybaczę ci nawet tę bombę.

– Jest już za późno. A Hanję i Starego Jenota znam tak samo

dobrze jak ty.

– Wiesz, ile potrzebowiałem czasu, żeby cię wytropić? Niecały tydzień. Hanji zajmie to jeszcze mniej. A wtedy szumowiny ze Świńskiego Targu rzucają się na ciebie z nożami. Oczywiście Misa też znajdzie się w niebezpieczeństwie. Dlatego cię ostrzegam. On nie będzie taki uprzejmy jak ja.

– Nie wytropiłeś mnie. To ja cię zwabiłam.

Reseng uniósł brwi, a jego wzrok natrafił na poważne i pełne determinacji spojrzenie Mito. Zgasił papierosa, nalał sobie soju do szklanki i pociągnął spory łyk. Nic nie jadł i poczuł bolesne pieczenie w żołądku. Kiedy się skrzywił, Mito postukała palcem w półmisek. Po chwili wahania sięgnął po pałeczki. Nigdy wcześniej nie jadł flaczków, ale okazało się, że faktycznie smakują dużo lepiej, niż wyglądają.

– Zabawna z ciebie kobieta – odezwał się.

– Dzięki. Potraktuję to jako komplement. Ty też jesteś zabawny.

– Ale czemu właśnie ja? Na Świńskim Targu możesz przebierać wśród cyngli.

– Podobasz mi się.

Kiedy Mito znów zrobiła minę niewiniątka, zgromił ją wzrokiem, ale nie wywarło to na niej wrażenia. Jak gdyby chciała zrobić mu na złość, włożyła do ust następny kęs i zaczęła przeżuwać.

– Potrzebny mi ktoś, kto może się zbliżyć do Starego Jenota i Hanji. Kto będzie krążył między nimi, podjudzał jednego przeciwko drugiemu i doprowadzał ich do ostateczności. Ty nadajesz się do tego idealnie, bo dla jednego jesteś synem, a dla drugiego bratem.

– Nie jestem synem Starego Jenota! I na pewno nie jestem



bratem Hanji! – wykrzyknął Reseng, zanim zdążył nad sobą zapanować.

Kiedy zorientował się, że właścicielka baru przerwała siekanie cebuli i patrzy na niego, zawstydzony wyjął papierosa i zapalił. Mito roześmiała się i pokręciła głową.

– Już nie jesz? Musimy wybrać całe mięso, a wtedy ciocia usmaży nam ryż z resztką sosu.

Reseng spojrział na nią. Jak ona może teraz myśleć o smażonym ryżu? Naprawdę, skąd się takie biorą? Kiedy mówiła z pełnymi ustami, miał ochotę wyrzucić ją w zęby, którymi przeżuwała te cuchnące świńskie trzewia.

– Dlaczego myślisz, że zechcę ci pomóc? – zapytał.

– Bo beze mnie nie wyjdiesz z tego cało. Obmyśliłam cały ten wspaniały plan specjalnie dla ciebie.

– Cóż, to ciekawe. Ostatnio wszyscy dookoła mi mówią, że bez nich nie przeżyję.

– Patroni prowadzą wstępną listę celów i zbierają informacje na ich temat, żebyśmy mogli szybko działać, kiedy zapadnie decyzja o likwidacji. A ty jesteś na tej liście.

– Czy to Hanja mnie na nią wpisał?

– Niewykluczone. Ale równie dobrze mógł to zrobić ktoś inny.

Reseng zaciągnął się głęboko papierosem i powoli wypuścił dym.

– Na szczęście jestem tylko na liście wstępnej – powiedział. – Ale nawet gdyby wyznaczono datę mojej śmierci, ani myślę chować się pod spódniczką jakiejś panienki i błagać o darowanie życia.

Mito spojrzała na niego kpiąco.

– Dlaczego? Bo jesteś mężczyzną? Same problemy przez ten cholerny chromosom Y. Kobiety mają dwa urocze chromosomy X, które równoważą się nawzajem, a jedyny pożytek z tego waszego to erekcje i napady furii.

– Sam potrafię zatroszczyć się o siebie, więc zajmij się własnym życiem. Jak widzę, niewiele ci go zostało. Że nie wspomnę o twojej siostrzyczce. Jak ona będzie uciekała na tym wózku?

Mito spojrzała na niego surowo.

– Nie waż się wycierać sobie gęby moją siostrą – wycedziła.

Jej oczy błyszczały chłodno jak ostrza sztyletów. Reseng uniósł dłoń w pojednawczym geście. Nagle stanęła mu przed oczami twarz Misy rozpromieniona w niewinnym uśmiechu.

– Swoją drogą, dlaczego tak się uwzięłaś na Hanję i Starego Jenota? – zapytał. – Mścisz się za śmierć rodziców? Czy za nogi Misy?

Mito opróżniła szklankę i dołała sobie soju.

– Z początku robiłam to ze względu na nich, ale tak naprawdę nie wiem, kto zabił moich rodziców. Już mnie nie obchodzi, kto za tym wszystkim stał, i nie szukam zemsty na parszywcach, przez których moja siostra jest przykuta do wózka. Zresztą oni prawdopodobnie już dawno nie żyją. Zginęli z ręki takich jak my. Ludzi, którzy zabijają innych, żeby potem wrócić do domu, zjeść kolację, wziąć kąpiel i zasnąć spokojnie, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Takich niemoralnych i zdradliwych potworów jak my. Tchórzliwych słabeuszy, którzy mówią: „Nie mieliśmy wyboru, bo taki jest świat, bo życie jest ciężkie, a my nie możemy temu zaradzić”.

– Więc chcesz naprawić świat, zabijając wszystkich likwidatorów? – zapytał Reseng, ale nie doczekał się odpowiedzi. –

Czy bez Hanji i Starego Jenota świat będzie lepszy? Zostanie pusty fotel, który bardzo szybko zajmie ktoś inny. Ich śmierć niczego nie zmieni.

– Masz rację – odparła Mito. – Usunięcie kilku nędznych likwidatorów niczego nie zmieni. Dlatego zamierzam pozbyć się fotela, żeby ci następni już nie mieli na czym siedzieć.

Reseng spojrział na nią badawczo. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Miałem cię za mądrą dziewczynę, ale teraz widzę, jaka z ciebie nienormalna suka.

– Myślałeś, że jestem normalną suką? Do tej pracy nie nadaje się nikt normalny.

– Chcesz wymierzać sprawiedliwość na własną rękę? Chyba sobie kpisz. Takie rzeczy nie przechodzą już nawet w filmach.

– Wiesz, dlaczego świat jest taki beznadziejny? Myślisz, że to wina łotrów pokroju Starego Jenota i Hanji? Albo mocodawców, którzy dają im zlecenia? Bynajmniej. Garstka szubrawców nie wystarczy, żeby zmienić aż tyle. Świat wygląda tak, a nie inaczej, bo jesteśmy zbyt potulni. Bo ludzie tacy jak ty poddają się apatii i trwają w przeświadczeniu, że niczego nie da się zmienić. Machasz na wszystko ręką i mówisz o jakimś pustym fotelu. Wydaje ci się, że to robi na kimś wrażenie? Winę ponoszą tacy jak ty, którzy bez zmrużenia oka wypełniają każde polecenie, martwią się tylko o pełną michę, przeklinają i utyskują po pijanemu, i zachowują się, jakby pozjadali wszystkie rozumy. Jesteś gorszy od Hanji. Pomagając mu w osiągnięciu jego szemranej pozycji, próbujesz sobie wmawiać, że jesteś lepszy od niego. Nie cofniesz się przed żadnym łajdactwem, a potem twierdzisz, że nie miałeś wyboru. Ale to Hanja jest lepszy od ciebie. Bo on przynajmniej jest gotów wziąć na siebie winę.

– A więc błyskotliwa panna Mito wymyśliła genialny plan zbawienia świata, ale potrzebuje takiego idioty jak ja, żeby wcielić go w życie? – odparł szyderczo Reseng. – Jeśli chcesz znać moją odpowiedź, brzmi ona „nie”. Nie interesują mnie twoje poglądy ani zamiary. Dalej będę sobie wiódł moje niemoralne i tchórzliwe życie, aż pewnego dnia ktoś mi je odbierze pchnięciem noża. Ale mam to gdzieś. Żyłem jak robak i umrę jak robak.

Wstał od stolika i pochylił się nad Mito.

– Jeśli znów ze mną zadrzesz, zabiję cię – dodał. – To ostatnie ostrzeżenie.

Mito uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Jej twarz wciąż miała ten sam arogancki wyraz.

– Lepiej zjedz hot breaka – powiedziała. – Będziesz potrzebował dużo energii.

Potem wypła łyk soju i włożyła do ust kęs flaczków. Reseng patrzył na nią jeszcze przez kilka sekund, a potem podszedł do kasy.

– Ile płacę? – zwrócił się do właścicielki baru, która od jakiegoś czasu przyglądała się ich rozmowie z wyraźnym rozczarowaniem.

– Osiemnaście tysięcy.

Kobieta patrzyła na niego, kiedy wyjmował z portfela dwa banknoty po dziesięć tysięcy wonów i kładł je na kontuarze. Wydała mu resztę.

– Wiem, że ona ma trudny charakter, ale mógłbyś jej dać jeszcze jedną szansę... – powiedziała ze smutną miną.

– Dziękuję za obiad – odparł Reseng i ruszył w stronę drzwi.

Nie wiedział, czy to z powodu alkoholu, ale kiedy wyszedł na spieczone słońcem targowisko, zakręciło mu się w głowie.

---

# Wielkie ryby pożerają mniejsze

---

>

W weekend przywieziono ciało Jeongana. Hanja nie dostarczył go osobiście, tylko wysłał swojego adwokata, który zjawił się w towarzystwie dwóch mężczyzn w czarnych garniturach. Jego pomocnicy wyjęli ciało z bagażnika i zanieśli je do biblioteki, a kiedy wrócili na zewnątrz, prawnik skłonił się w pas przed Starym Jenotem.

– Jest to dla nas tak samo bolesne, jak dla pana – oznajmił. – Jeongan przekroczył pewną granicę, której nie powinien był przekraczać. Oczywiście wypadało najpierw to z panem uzgodnić, ale sprawa okazała się zbyt nagłąca...

Stary Jenot rozsunął zamek błyskawiczny i zajrzał do plastikowego worka, żeby zidentyfikować zwłoki. Rozpoznał posiniałą i wykrzywioną w grymasie przerażenia twarz swojego protegowanego.

– Przekroczył granicę, tak? – powiedział spokojnie i powoli, jakby upominał niesforne dziecko. – Chyba się starzeję, bo kiedy młodzi ludzie owijają w bawełnę, nie mogę zrozumieć, o co im chodzi. Wyjaśnij mi to wprost, prokuratorze. Jaką granicę przekroczył.

Adwokat Hanji zaczynał swoją karierę jako prokurator i ludzie wciąż zwracali się do niego, używając starego tytułu, choć już od dawna nie piastował tego stanowiska.

– Jeongan zdobył listę naszych patronów, jakieś pięć nazwisk i adresów. Sądzymy, że zamierzał dobić targu z konkurencją. Jak ci wiadomo, tego rodzaju informacje są niezwykle poufne, zatem...

Prawnik zawiesił głos.

– Co to za konkurencja?

– Kilku gości z Chin. Mieli mu zapłacić trzy miliardy wonów.

Stary Jenot wykrzywił twarz w grymasie gniewu.

– Spodziewasz się, że w to uwierzę? Skąd Jeongan miałby wystraszyć listę waszych patronów, skoro nawet ja nie wiem, kim oni są? Nikt nie trzyma takich informacji na drzwiach lodówki.

Adwokat wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Nie wiemy jeszcze dokładnie, jak wszedł w ich posiadanie, ale gdy tylko ustalimy, mój szef osobiście złoży panu pełne sprawozdanie.

Stary Jenot odsunął zamek do końca. Jeongan miał siedem ran od noża na szyi, klatce piersiowej i brzuchu.

– Czy to Hanja wydał rozkaz?

– Szef obecnie przebywa za granicą.

– W takim razie kto?

– To ja kazałem go zatrzymać i sprowadzić do nas, ale Jeongan nie należał do tych, którzy poddają się bez walki. Chyba nasz człowiek trochę się przeliczył.

– Przeliczył się...

– Zostanie za to przykładowie ukarany – oświadczył prawnik.

– Przykładowie? Znaczący zapłaci głową?

Adwokat zakrył usta dłonią i zakasłał, próbując zamaskować wyraz zakłopotania, który pojawił się na jego twarzy. Stary Jenot spojrzał na niego z pogardą.

– A może od początku planowaliście zabić mojego króla w zamian za jednego z waszych pionków? – zapytał.

Reseng zacisnęła zęby, słysząc tę szachową metaforę.

– W ciągu zaledwie dwóch miesięcy straciliśmy aż trzech naszych patronów – wyjaśnił uprzejmie były prokurator. – Nie

wiemy na pewno, czy Jeongan maczał w tym palce, ale teraz nie możemy sobie na to pozwolić. Zbliżają się wybory. Liczymy, że rozumie pan naszą sytuację.

Na wzmiankę o trzech zabitych patronach Stary Jenot uniósł głowę z zaciekawieniem. Miał podwinięte rękawy i opuszkami palców badał rany na ciele Jeongana. Z ich układu wywnioskował, że morderca działał powoli i metodycznie, zaczynając od mniej wrażliwych miejsc, żeby najpierw osłabić ofiarę i zadać śmiertelny cios w klatkę piersiową. Treser i Chu zginęli tak samo.

– Wynajęliście Golibrodę? – zapytał.

– Nie – natychmiast zaprzeczył prawnik. – To zrobił pewien młody nożownik. Kiedyś pracował dla yakuzy...

Stary Jenot podejrzewał, że to kolejne z kłamstw. Prychnął pogardliwie. Wymacał miejsce, w którym ostrze weszło w serce Jeongana, niemal na pewno pozbawiając go życia.

– Imponująca robota jak na młodzieniaszka. Jak się nazywa?

Adwokat zawahał się, próbując na poczekaniu wymyślić odpowiedź.

– Mówi o sobie Dalja.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Bardzo młody. W porządku, przywieziecie mi jego ciało i będziemy kwita. Niech sobie nie myśli, że zadzieranie z Psiarnią ujdzie mu płazem. To by mogło uderzyć mu do głowy.

Reseng spojrział zaskoczony na swojego mentora, ale nie dostrzegł na jego twarzy śladu niepewności.

– Umowa stoi – rzekł były prokurator po chwili namysłu. – Kiedy będzie po wszystkim, osobiście przygotuję raport i każę go



panu dostarczyć.

– Nie potrzebuję żadnego zasranego raportu! – krzyknął nagle Stary Jenot. – Za kogo ty mnie uważasz? Za jakiegoś biurokratę?

– Proszę wybaczyć.

– Jesteś wolny. Zajmiemy się ciałem.

Adwokat znów zgiął się wpół w uprzejmym ukłonie, po czym skierował się w stronę drzwi. Dopiero po jego wyjściu Stary Jenot pozwolił sobie na okazanie żalu. Zawsze krzepki i wyprostowany, teraz sprawiał wrażenie, jakby zapadł się w sobie. Wsparty o stół długo patrzył na Jeongana, a potem położył dłoń na jego czole.

– Jakim cudem udało mu się zdobyć tę listę? – zwrócił się do Resenga, nie odrywając wzroku od siennej twarzy zabitego.

– Nie mam pojęcia.

– Jakieś domysły?

– Żadnych.

Resengowi przyszło na myśl, że jego przyjaciel mógł przypadkowo natknąć się na te informacje, kiedy trafił do kryjówki doktora Kanga. Ale czy to możliwe, żeby likwidatorzy wykazali się taką beztroską i zostawili tam nazwiska i adresy swoich mocodawców? W żadnym wypadku. To musiała być przynęta, którą zarzuciła Mito. A Jeongan połknął haczyk. Zachował się jak skończony idiota. Naprawdę sądził, że uda mu się sprzedać listę patronów i ujść bezkarnie? Marzenie ściętej głowy.

– Co się, do cholery, dzieje? – zapytał Stary Jenot.

– Jeśli ty tego nie wiesz, to ja tym bardziej.

– Czy Jeongan przyjmował zlecenia od kogoś innego?

– Trafił na ślad bomby, ale to nie miało nic wspólnego z Hanją.

– Zginęli trzej patroni, Jeongan nie żyje, wszyscy szczerzą kły,

jakby mieli się pozagryzać, a ja nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi!

Oczy starego likwidatora podbiegły krwią, a w jego głosie słychać było furję.

– A więc o to się wściekasz?

– Co?

– Czujesz się urażony, bo już nie trzymasz ręki na pulsie, tak? Nie chodzi ci o Jeongana. A on nie żyje! Nie widzisz tego? –

Reseng ujął w dłonie bezwładną głowę przyjaciela i obrócił jego twarz w stronę mentora. – Kogo obchodzi twoja duma? Nawet jeśli dowiesz się wszystkiego, jemu życia nie przywrócisz. Nie ulega wątpliwości, że to Golibroda go zabił, ale tobie wystarczy, że ktoś inny zapłaci głową za tę śmierć? To ma być sprawiedliwość? Chyba wszyscy jesteśmy dla ciebie warci tyle samo. Traktujesz nas jak figury na szachownicy i jest ci wszystko jedno, czy straciłeś konia, czy więź. W twojej rozgrywce i tak wszyscy jesteśmy martwi.

Staremu Jenotowi drżały dłonie. Spojrzał na zalaną łzami twarz swojego wychowanka.

– Przenieś go do piwnicy – powiedział łagodnie. – Musimy umyć i przygotować ciało.

\*\*\*

– To naprawdę Jeongan? – zapytał zszokowany Niedźwiedź, pochylając się nad bagażnikiem, i pociągnął za suwak plastikowego worka na zwłoki. – Biedny Jeongan! Biedaczek! Taki byłeś młody! Spaliłem twojego ojca, a teraz muszę spalić ciebie. Co się porobiło z tym światem?

Reseng zapalił papierosa i patrzył na właściciela krematorium, który opadł na kolana i zaniósł się szlochem. Upłynęło sporo czasu,

zanim wreszcie podniósł się z klęczek i otrzepał spodnie. Z przyzwyczajenia omiół wzrokiem okolice, po czym okrążył samochód i zapukał w okno. Stary Jenot opuścił szybę.

– Mam zaczynać? – spytał Niedźwiedź, ocierając łzy wierzchem dłoni. – Niedługo będzie świtać.

Stary Jenot przyzwalająco kiwnął głową. Niedźwiedź przyprowadził wózek z szopy i skinął na Resenga, który odrzucił papierosa i podszedł do bagażnika. Jeongan wydawał się niesamowicie ciężki, jakby rzeczywiście mieli rację ci, którzy twierdzą, że po śmierci człowiek waży więcej niż za życia.

Niedźwiedź rozwinął przed drzwiczkami pieca matę i postawił na niej stolik. Zapalił kadzidełko, spojrział na stojącą obok świecę, butelkę wina oraz gliniane czarki i upewniwszy się, że niczego nie brakuje, znów podszedł do samochodu.

– Wszystko gotowe, proszę pana – oznajmił i przez kilka sekund czekał w milczeniu, ale Stary Jenot tylko patrzył na niego tępym wzrokiem. – W porządku. Rozumiem, że mamy zacząć bez pana.

Kiedy starzec wykonał prawie niezauważalny ruch głową, Niedźwiedź skłonił się nisko i wrócił do krematorium. Zapalił następne kadzidełko, napełnił winem czarke, którą uniósł w ofiarnym geście, i złożył dwa pokłony. Zerknął na Resenga, który podszedł do stolika i odprawił taki sam rytuał, a potem zastygł w bezruchu, jakby wpadł w jakiś trans. Niedźwiedź poklepał go po ramieniu, ale kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, zabrał stolik i zwinął matę, po czym sam przełożył ciało Jeongana na blaszaną rynnę, którą wsunął do pieca.

Kiedy zapłonął ogień, Niedźwiedź przyniósł butelkę soju. Otworzył ją, pociągnął łyk i poczęstował Resenga, a potem usiadł i wlepił wzrok w zamknięte drzwiczki pieca.

Płomienie trawiły ciało Jeongana. Jeongana, który postawił sobie

za cel, żeby nie zapaść nikomu w pamięć, nie rzucać się w oczy i być niewyraźny jak tuman mgły, stać się zaprzeczeniem indywidualności i wieść życie bez miłości i nienawiści, bez zdrady, cierpienia i wspomnień. Dlaczego musiał umrzeć? Przecież nikt by nawet nie zauważył różnicy, gdyby nadal żył. Reseng oczyma wyobraźni ujrział człowieka stojącego na szczycie wzgórza w promieniach słońca, które padają prosto na jego głowę. Jak ja teraz będę żył bez cienia? – pomyślał.

Gdyby nie zadzwonił do Jeongana, teraz sam mógłby figurować na liście śmierci. Nie zwracałby głowy przyjacielowi, gdyby ten był zajęty jakimś innym zadaniem. Wciągnął go w tę sprawę, chociaż powinien był rozwiązać ją na własną rękę. Zadzwonił do niego i teraz Jeongan był martwy. Tak jak jego ojciec, w którego ślady poszedł za życia, teraz płonął w piecu Niedźwiedzia. Reseng wyobraził sobie, jak ciało człowieka, który zawsze pragnął być zapomniany, zamienia się w dym i popiół. Kiedy wiatr rozwieje jego prochy, już nikt nie będzie o nim pamiętał.

Wschodziło słońce. Niedźwiedź zerknął na zegarek, a potem popatrzył w stronę drogi, żeby się upewnić, czy nikt nie nadjeżdża. Otworzył drzwiczki pieca i nie czekając, aż opadnie temperatura, długim żelaznym hakiem wyciągnął blaszaną rynnę. Wyjęte z pożogi białe kości Jeongana wyglądały krucho, jakby lada chwila miały się rozsypać. Niedźwiedź przełożył je do moździerza tandetnymi szczypcami, jakie można kupić w każdym sklepie żelaznym. Znów spojrzął na zegarek i zabrał się do roboty, wyraźnie podenerwowany myślą o niespodziewanej wizycie jakiegoś klienta.

Skończył po niecałych pięciu minutach i szybko przesypał prochy do skrzyneczki z drewna klonowego, którą owinał w białe płótno. Wyglądał na zawstydzonego, kiedy wręczał ją Resengowi.

– Trzeba było przyjechać wcześniej – powiedział. – Chciałem bardziej się dla niego postarać, ale zabrakło czasu.

Reseng wziął od niego urnę i podał mu kopertę.

– Nie szkodzi – odparł beznamiętnym tonem. – I tak by nie ożył, gdybyś lepiej rozdrobnił jego szczątki.

Oczy Niedźwiedzia zaszkliły się od łez.

– Dobry chłopak był z tego Jeongana.

– Dzięki za pomoc i do zobaczenia.

Kiedy Reseng położył urnę na fotelu pasażera i uruchomił silnik, właściciel krematorium podszedł do tylnych drzwi samochodu.

– Do widzenia panu. Życzę dużo szczęścia.

Stary Jenot popatrzył na niego i w milczeniu pokiwał głową.

W drodze powrotnej do Seulu Reseng zaparkował na szczycie jednego ze wzgórz i sięgnął po leżącą obok drewnianą skrzyneczkę.

– Zaraz wracam – oznajmił, nie oglądając się na swojego mentora.

Krótką stroma ścieżka kończyła się nad urwiskiem. Miejsce było idealne i wiał silny wiatr. Reseng założył białe rękawiczki, otworzył urnę i nabrał garść popiołu. Kiedy rozprostował dłoń, mocny podmuch porwał to, co zostało z Jeongana, i uniósł wysoko w powietrze. Nagle Reseng przypomniał sobie głupkowatą rozmowę, którą odbył kiedyś z przyjacielem.

– Zastanawiam się, czy moja zdolność kamuflażu jest dziedziczna. Może to jakiś gen popolitości, który mam po ojcu. Pewnie dlatego mojej matce nie było przykro, kiedy go opuściła. Nie tęsknisz za kimś, kto nie zapadł ci w pamięć. Całkiem fajnie, co?

– Co fajnego może mieć w sobie jakiś głupi gen? – zapytał Reseng.

– Mogę okantować kogoś, kogo już raz okantowałem, albo poderwać dziewczynę, z którą już raz zerwałem, a potem bez wyrzutów sumienia znowu ją rzucić – odparł Jeongan ze śmiechem.  
– Bo i tak nikt nie zapamięta mojej twarzy.

Jeszcze tego samego ranka po powrocie do domu Reseng wziął długą gorącą kąpiel. Potem stanął przed otwartą szafą i przez chwilę patrzył na ubrania, zanim zdecydował się na białą koszulę, czarną skórzaną kurtkę i niebieskie džinsy. Kiedy nacierał się balsamem i zaczesywał do tyłu włosy, próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zaczął dzień tak spokojnie. Napięcie, które nigdy go nie opuszczało, teraz znikło bez śladu. Spojrzał w lustro i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Kurde, przystojniak z ciebie – powiedział do swojego odbicia.

Otworzył szufladę, w której leżał kuchenny nóż Chu i pistolet. Używał wyposażonego w tłumik rosyjskiego PB. Postukał palcem w ebonitową okładzinę chwytu, wyjrzał za okno i po chwili namysłu wybrał białą broń.

Zaczął od wizyty w jatce należącej do starego dziwaka Heesu. Ludzie nazywali Heesu królem Świńskiego Targu, gdyż wszyscy przedstawiciele półświatka musieli co miesiąc płacić mu haracz. Dilerzy narkotyków, gangsterzy, przemytnicy, oszuści, cyngle, włamywacze i alfonsi – wszyscy bez wyjątku. Płacili mu nawet Hanja i Stary Jenot, żeby móc robić interesy na jego terenie. Ale Heesu żądał jedynie piętnastu tysięcy wonów miesięcznie. Nigdy nie wyciągał ręki po więcej, jeśli komuś lepiej się powodziło, ani nie traktował ulgowo tych, którzy zarabiali mniej. Dopóki płacili,

nie obchodziło go, co robią. Jaki sens miało zbieranie tak śmiesznej kwoty? Czy wydawał te pieniądze na wymianę żarówek na targowisku? Tego nikt nie wiedział.

Kiedy Reseng otworzył drzwi jatki, dwaj mężczyźni – jeden miał pooraną zmarszczkami twarz i dobiegał sześćdziesiątki, a drugi był tuż po dwudziestce i wyglądał jak dziecko – oprawiali krowę. Ten młodszy właśnie wyjmował jelita z czerwonego kubelka, a starszy wykrawał wątrobę i płuca małym zakrzywionym nożem. Każdy z organów wędrował do osobnego wiadra.

– Przyszedłem do pana Heesu – odezwał się Reseng uprzejmie.

Starszy mężczyzna przerwał pracę i spojrzał na niego.

– Coś ty za jeden?

– Przychodzę z Psiarni.

Rzeźnik zmierzył go wzrokiem, a potem zwrócił się do swojego młodszego kolegi:

– Rzuć to i biegnij do pana Heesu. Powiedz mu, że ma gościa z biblioteki.

Dwudziestolatek o twarzy dziecka odłożył krowie wnętrzności do wiadra i oddalił się pośpiesznie. Starszy mężczyzna zdjął gumowe rękawice, usiadł na ławce i zaczął siorbać zupę z ryżem, od czasu do czasu pociągając łyk soju z butelki, jak gdyby ciężki odór krwi i żółci, który wypełniał pomieszczenie, nie robił na nim wrażenia. Po chwili wrócił ten młodszy.

– Szef zaprasza do siebie.

Stary Heesu siedział przy niskim stoliku i czytał gazetę. Przed nim stał kubek czarnej kawy, opróżniona do połowy butelka soju, miseczka oleju sezamowego i popielniczka z długim niedopałkiem. Obok stał talerz z surową wątrobą, która wyglądała na świeżo wyciętą z krowiego brzucha. Reseng skłonił się nisko.

– Dawno się nie widzieliśmy – odezwał się Heesu, odkładając gazetę. – Wszystko w porządku u Starego Jenota?

– Tak.

– Z tego, co słyszę, ostatnio zrobiło się u niego niespokojnie.

– Z tego, co widzę – odparł Reseng – zazwyczaj jest spokojny. Ale chyba ostatnimi czasy ktoś wystawia jego cierpliwość na próbę.

– Tak? Oczywiście większość plotek, jakie krążą po targowisku, jest gównem warta. – Heesu zachichotał, wypił łyk kawy i zapalił reszkę papierosa, która tkwiła w popielniczce. – A więc co cię sprowadza w to cuchnące miejsce?

– Nadzieja, że czegoś się dowiem.

– No to pytaj.

– Szukam Golibrody. Pan wie, gdzie mogę go znaleźć, prawda?

Właściciel jatki uniósł brwi i spojrzał na gościa.

– Fatygujesz się do mnie, żeby zadać mi pytanie, na które mógłby ci odpowiedzieć twój pryncypał? Może i Stary Jenot nie wyściubia nosa ze swojej biblioteki, ale nie ma rzeczy, której by nie wiedział.

– W tym przypadku nie mogę na niego liczyć.

– Czyżby Golibroda trafił na listę śmierci?

– Nie, to sprawa osobista.

– Tylko mi nie mów, że chcesz się ostrzec – rzekł Heesu z szelmowską miną.

– W rzeczy samej.

Starzec uśmiechnął się i starannie zgasił papierosa. Najwyraźniej zamierzał dopalić później to, co z niego zostało.

– I co zrobisz? Nie jesteś taki bystry jak ci likwidatorzy, którzy załatwiają wszystko z za biurka. A zakładam, że nie chcesz go



zastrzelić ani wysadzić w powietrze.

– Wystarczy mi nóż.

Heesu opadł na oparcie kanapy.

– Reseng kontra Golibroda... – mruknął. – Jak to się może skończyć?

Do gabinetu wpadł młody rzeźnik o chłopięcej twarzy.

– Dziadku, Mangbong powiedział, że nie wyjdzie, dopóki nie dostanie flaków.

– Wszystko już sprzedaliśmy. Każ mu przyjść w czwartek.

– Nie posłucha mnie. Przecież go znasz.

Starzec parsknął śmiechem.

– Co on tam wyprawia? – zapytał.

– Rzucił się na podłogę i płacze bez przerwy. Poprzednim razem histeryzował tak przez dwie godziny i nie dało się pracować. Straszny z niego upierdliwiec.

– Ech, ten Mangbong. – Heesu znów się roześmiał i pokręcił głową. – Kiedy szlachtował ludzi, był dużo szczęśliwszy. Starość przynosi mu same zgryzoty. Wiesz co, chłopcze, uszczknij trochę z zamówienia Kima i daj Mangbongowi, żeby miał cokolwiek. I niech przyjdzie w czwartek z samego rana, kiedy mamy najlepszy towar.

Młody mężczyzna skinął głową i z wyrazem ulgi na twarzy znikł za drzwiami.

Nie przestając się śmiać – zapewne na myśl o zdesperowanym kliencie, który miota się na podłodze – nalał sobie soju do szklanki, a potem odciął kawałek surowej wątroby, zanurzył w miseczce z olejem i zjadł.

– To zabawne, że im człowiek starszy, tym zręczniejszy broni się

przed nożem, ale nie idzie to w parze z odpornością na łyzy. Zaiste łyzy silniejsze są od miecza.

Ukroił następny plaster wątroby, zamoczył w oleju i podał Resengowi, który z wahaniem ugryzł niewielki kęs.

– Świeżutka, co?

– Tak, pyszna. Chociaż wygląda okropnie.

Heesu pokiwał głową i przysunął gościowi szklanekę soju.

– Takie jest życie – powiedział. – Nic specjalnego, tylko jedna wielka kupa cuchnącego plugastwa. Ale gdy tylko skosztujesz kawałek, możesz się przekonać, że wcale tak źle nie smakuje. Czasami bywa nawet pyszne. No to jak będzie? Myślę, że powinieneś teraz wrócić do domu i dać sobie na wstrzymanie. Ale tutaj mógłbyś wpadać częściej, żeby się ze mną napić.

– Ale ja już dobyteń noża – oznajmił Reseng z powagą.

– No i co z tego? Nic się nie stanie, jeśli schowasz go z powrotem do pochwy i wrócisz do domu.

– Najpierw Treser, potem Chu, a teraz Jeongan. Nie ulega wątpliwości, że Golibroda rzuca mi wyzwanie. – Reseng uśmiechnął się z pogardą. – Tych pierwszych dwóch mógłbym przeboleć, ale wszystkich trzech? Tego już za wiele. A poza tym przypuszczam, że jestem następny w kolejce. Na pewno doszły pana jakieś słuchy. A nawet gdyby było inaczej, to nie należę do tych, którym pisane jest długie życie.

Wypił soju jednym haustem i napełnił szklaneczkę gospodarza, który poczęstował go jeszcze jednym kawałkiem surowej wątroby.

– A co ja z tego będę miał? – zapytał Heesu.

– Pomyślałem, że najprościej będzie zapłacić. Bądź co bądź to właśnie pieniądź wprawia Świński Targ w ruch.

– Cztery tysiące zielonych – powiedział starzec, ale kiedy Reseng sięgnął po portfel, powstrzymał go gestem dłoni. – Rozliczymy się później. Jeśli przeżyjesz.

– A jeśli nie przeżyję? Co mi wtedy po forsie?

– Weź pod uwagę koszty podróży na tamten świat. Nie mogę być zbyt pazerny. To niekorzystne dla ducha.

Heesu odstawił szklanekę i zapisał adres Golibrody na skrawku papieru, który pokazał Resengowi, a potem podpalił i wrzucił do popielniczki. Gdy karteluszek spłonął doszczętnie, Reseng wstał, skłonił się uprzejmie gospodarzowi i wyszedł.

Reseng wysiadł z taksówki przed sklepem spożywczym i zajrzał do środka przez szybę wystawową. Przy kasie stała młoda kobieta, która powitała go, kiedy wszedł. Wyglądało na to, że Mito nie zjawiała się w pracy. Rozejrzał się po sklepie. Wyjął z lodówki puszkę mrożonej kawy, wziął z regału dwa batoniki hot break i podszedł do lady.

– Co się stało z kobietą, która pracowała tu wcześniej? – zapytał.

– Chodzi panu o Mito? Zwolniła się kilka dni temu – wyjaśniła ekspedientka obojętnie, skanując kody produktów.

Reseng pokiwał głową i wyszedł.

Był pogodny listopadowy dzień, więc usiadł przy stoliku przed sklepem, wypił łyk mrożonej kawy i zapalił papierosa. Wiedział, że za kilka godzin może zginąć, mimo to nie czuł niepokoju ani strachu. Wyjął z kieszeni hot breaka, rozpakował i ugryzł kawałek. Wydawało mu się dziwne, że batonik wciąż ma słodki smak, nawet kiedy jego przyjaciel nie żyje.

– Golibroda, Hanja, Mito... – wymamrotał z pełnymi ustami, patrząc w niebo.

Na twardym dysku, który wykradł z laptopa Mito, znalazł

mnóstwo rysunków technicznych i schematów przedstawiających szczegóły konstrukcyjne wind, kamer przemysłowych, czujników i układów oświetleniowych. Miał wrażenie, jakby pozbawił pracy semestralnej jakiegoś studenta politechniki. Kiedy jednak przejrzał dokładniej cały materiał, znalazł dossier celu przeznaczonego do likwidacji, sprytnie ukryte wśród setek innych plików. Zawierało zdjęcie łysiejącego mężczyzny po czterdziestce – inżyniera, który wpadł do szybu windy. Zapewne był to jeden z trzech zabitych patronów Hanji.

Plan był prosty. Mężczyzna naciska guzik i czeka, czytając gazetę. Zawsze tak robi; jest bardzo zapracowany. Winda dojeżdża do siedemnastego piętra. Ale tak naprawdę zmieniają się tylko cyfry na wyświetlaczu, a winda jest zupełnie gdzie indziej. Rozsuwają się drzwi przy wtórze przyjaznego dzwonka i zapala się światło. Nie odrywając wzroku od gazety, mężczyzna robi krok przed siebie i zapada się w ciemność.

Dostępny w sieci artykuł sprzed miesiąca opowiadał o tragicznym wypadku, do którego doszło wskutek awarii czujnika windy. Według producenta dźwigu wszystko działało bez zarzutu. Administrator budynku zapewniał, że winda przechodziła regularne przeglądy i podczas ostatniego z nich niczego nie pominięto. Również kamery monitoringu nie zarejestrowały niczego nadzwyczajnego. Jeden z krewnych denata zapytał: „Całkowicie zdrowy człowiek nie żyje i nikt nie ponosi za to odpowiedzialności?”.

Reseng dokończył hot breaka i wstał od stolika. Przechodząc przez ulicę, zastanawiał się, czy powinien teraz pójść do mieszkania sióstr, czy do sklepu Misy. Wybrał to drugie.

Na szczęście nie zastał Misy, za to jej siostra już czekała na niego, siedząc w fotelu bujanym i robiąc na drutach. Tak po prostu

sobie dziergała jak gospodyni domowa, która uporała się już ze wszystkimi obowiązkami i nie miała innych zajęć na wieczór. Zerknęła w jego stronę, nabrała jeszcze kilka oczek, żeby dokończyć rząddek, po czym wstała i przyłożyła mu do piersi prawie gotowy przód swetra.

– Pasuje, jak ulał. Robię to dla ciebie.

Z wyrazem zadowolenia na twarzy wróciła na fotel i znów zaczęła dziergać. Reseng przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

– Słyszałam, że Jeongan zginął – odezwała się Mito, nie odrywając wzroku od robótki.

– Owszem. Dzięki tobie.

– Więc teraz przyszedłeś mnie zabić?

Reseng wziął ze stołu kłębek włóczki i zaczął owijać ją sobie wokół palców.

– Jeszcze się nie zdecydowałem, czy zacząć od ciebie – odparł. – Czy najpierw zabić Golibrodę, potem Hanję, a ciebie zostawić na koniec.

– Jeśli mogę wybierać, to wolałabym zginąć jako ostatnia. Mam jeszcze tyle do zrobienia. Muszę skończyć tę robótkę przed zimą, znaleźć dla Misy jakieś bezpieczne schronienie, a potem sprzątnąć Starego Jenota, Hanję i inne śmieci.

– Wydaje ci się, że jesteś zabawna?

Głos Resenga był zimny jak lód. Mito spojrzała na niego.

– Nie martw się – powiedziała. – Nawet jeśli nie zdążysz mnie zabić, zatroszczę się o to sama.

– Chcesz popełnić samobójstwo?

– Tak – odparła dziewczyna z prostoduszną miną, jakby nie

mówiła o niczym nadzwyczajnym.

– Nic dziwnego, że jesteś taka harda, skoro od samego początku zamierzasz sama się odmeldować.

Mito znów zajęła się dzierganiem. Wprawne ruchy jej dłoni, w których trzymała druty, miały w sobie coś nieustępliwego.

– Ale dlaczego? – zapytał Reseng. – Mogłabyś obmyślić jakiś lepszy plan. Zabijesz wszystkich patronów i wszystkich likwidatorów, a kiedy już oczyścisz świat wedle swojego upodobania, uciekniesz z Misą i Sumin za granicę, gdzie będziecie sobie żyły długo i szczęśliwie.

Mito odłożyła robótkę i druty do koszyka, a potem splotła dłonie i przeciągnęła się, unosząc ręce nad głowę.

– Chciałabym, ale w pewnym momencie stałam się taka sama – wyznała z kamienną twarzą. – Pewnie znasz niejedną smutną historię o bohaterze, który walczy z potworem, aż w końcu sam zamienia się w potwora. Mnie spotkał taki właśnie los, więc cóż mogę zrobić? Kiedy zakończę swoją misję, ten przerażający i nieszczęsny potwór będzie musiał wykończyć również pocziwą Mito. Ale jeśli nadal jesteś na mnie wściekły, sam to możesz zrobić.

– Planowanie zamachów sprawia ci radość?

– Wręcz przeciwnie. Cierpisz po śmierci Jeongana, prawda? Ja też. Zawsze mnie to bolało. Śmierć naszych ofiar i cierpienie tych, którzy po nich płaczą, sprawiają mi taki sam ból.

Reseng popatrzył na nią ze złością, ale przyjęła jego spojrzenie z podniesioną głową. Spuścił wzrok i zauważył na czubku swojego buta plamkę zaschniętej krwi, która pochodziła zapewne z jatki starego Heesu.

– Golibroda, Hanja, a potem ty – oznajmił, wstając z krzesła. – Więc lepiej się pośpiesz z tym dzierganiem.

Mito otworzyła szeroko oczy.

– Golibroda cię zabije! – krzyknęła z przejęciem.

Reseng parsknął śmiechem.

– Myślałem, że jestem taki dobry w swoim fachu, a tu nikt nie chce na mnie postawić.

– Na razie nic nie rób. Mam plan. To ja zabiję Golibrode i Hanję, a potem pocziwą Mito. Dokładnie w taki sposób, jak ty chciałeś to zrobić.

– Już ci powiedziałem ostatnim razem, że nie będę się chował pod twoją spódniczką. Mógłbym tam zajrzeć z innego powodu, choć szczerze mówiąc, nigdy nie gustowałem w takich chudych jak ty. – Reseng wyjął z kieszeni drugi batonik i położył go na stole. – Masz. To prezent.

Mito patrzyła na niego oszołomiona. Uśmiechnął się do niej i ruszył w stronę drzwi. Kiedy wychodził na ulicę, ścigał go jej krzyk.

– Ty durniu! Jeśli pójdziesz do Golibrody, jesteś trupem!

---

# Golibroda i jeho žena

---



– Wygląda pan na wytwornego dżentelmena – powiedział Golibroda. – Widać, że wie pan dostatnie i wytworne życie.

Nożyczki szczękały metalicznie, kiedy wywijał nimi wokół uszu Resenga. Jego zakład fryzjerski ze staromodnymi białymi kafelkami nad umywalką przywodził na myśl jedno z tych wnętrz, które można zobaczyć już tylko na czarno-białych fotografiach. Kiedy Reseng był nastolatkiem, odwiedzał takie miejsca jako posłaniec Starego Jenota. Przed rozpoczęciem nauki w gimnazjum jego rówieśnicy wychodzili z takich zakładów, z zakłopotaniem gładząc ostrzyżone krótko włosy, i on też strzygł się na jeża, choć nikt tego od niego nie wymagał.

– Pan wydaje mi się o wiele bardziej dystyngowany.

– Ja? Nic z tych rzeczy. Ja ledwie wiązę koniec z końcem, zarabiając na życie nożyczkami, za to pan wygląda mi na człowieka sukcesu. Od trzydziestu lat strzygę ludzi i potrafię wyczytać takie rzeczy z kształtu czaszki. Mam do tego jakiś szósty zmysł.

Reseng z niedowierzaniem przechylił głowę.

– Tak?

– Oczywiście – zapewnił z uśmiechem Golibroda. – Proszę mi zaufać. Pewnego dnia będzie pan sławny.

Miał pospolitą twarz dobrotliwego wujka z sąsiedztwa, jakich można zobaczyć wiele. Nie był szczególnie wysoki i miał zadziwiająco chude ciało, niemal całkowicie pozbawione mięśni. Wydawało się nieprawdopodobne, że ktoś tak wątłej postury mógł pozbawić życia Tresera i Chu, którzy należeli do elity zabójców. Reseng zaczynał się zastanawiać, czy trafił pod właściwy adres.

Golibroda delikatnie obrócił jego głowę, przyjrzał mu się

w lustrze, po czym chwycił nożyczki i dokonał drobnej poprawki nad prawym uchem.

– Ma pan wysokie czoło, więc chyba nie powinienem za bardzo skracać z przodu...

– Proszę ciąć tak, jak pana zdaniem będzie najlepiej, byle tylko wyglądało ładnie i schludnie.

– Ładnie i schludnie – powtórzył fryzjer. – Założę się, że to na jakąś specjalną okazję. Czyżby randka?

Reseng roześmiał się.

– Coś bardziej poważnego.

Golibroda pokiwał głową. Rozczesał grzywkę Resenga i trzymając ją między palcami, przystrzygł wystające końcówki. Potem jeszcze raz przejechał włosy grzebieniem i upewnił się, czy są równo obcięte. Z satysfakcją pokiwał głową.

– Chyba jest dobrze – powiedział. – Może tak być?

Reseng przejrzał się w lustrze.

– Ma pan wielki talent.

Fryzjer z zadowoloną miną sięgnął po szczotkę, którą omiółł głowę Resenga i swoje ręce. Potem podgolił mu kark i ostrożnie zdjął z niego ceratową pelerynkę.

– Gotowe! – oznajmił i wykonał zapraszający gest w stronę umywalki.

Włożył końcówkę prysznicza do plastikowej miedniczki i napełnił ją do połowy gorącą wodą. Potem dolał zimnej wody, którą nabierał z beczki, i sprawdził palcem temperaturę. Powtórzył cały proces kilka razy i w końcu wręczył Resengowi plastikowy czerpak.

– Wiem, że to trochę nieporęczne, ale czasem woda z prysznicza

za bardzo się nagrzewa i parzy klientów.

Reseng nachylił się nad umywalką i polał sobie głowę. Dzięki skrupulatności Golibrody woda miała idealną temperaturę. Patrzył na spływające po białej emalii drobinki włosów, które wyglądały jak litery na czystej kartce. Kiedy sięgnął po szampon, fryzjer położył obok niego dwa czyste ręczniki i nucać, zaczął zamiatać podłogę.

Na koniec Reseng zanurzył czerpak w beczce i spryskał sobie twarz zimną wodą. Zauważył gruby plik kopert, które piętrzyły się na szafce przed lustrem. Pochylił się nad nimi i wysunął jedną z nich, kiedy wycierał włosy ręcznikiem. Było to wezwanie do zapłaty rachunku ze szpitala.

– Dzisiaj już rzadko się widuje takie zakłady jak ten – zagadnął.  
– Interes chyba dobrze się kręci, co?

– Niezbyt. Teraz młodzi ludzie wolą się strzyc w salonach, gdzie pracują ładne stylistki. Kto by przychodził do takiego starego pryka jak ja? Ale ponieważ jesteśmy na przedmieściach, a w pobliżu znajduje się baza wojskowa, od czasu do czasu wpadają tu żołnierze. Głównie dzięki nim i kilku starszkom z okolicy, którzy przychodzą pograć w szachy i się ogolić, jakoś udaje mi się wyjść na swoje. – Fryzjer zmiotł włosy na szufelkę i wrzucił je do plastikowego kubła na śmieci. – Życzy pan sobie golenie?

Na blacie przed lustrem leżały trzy świeżo naostrzone brzytwy. Wyglądały tak schludnie, jak sam ich właściciel. Reseng pogłodził się po brodzie.

– Goliłem się dziś rano – odparł.

Gdy usiadł z powrotem w fotelu, właściciel zakładu osuszył mu włosy suszarką, a potem wręczył grzebień. Reseng uczesał się i spojrzął w lustro. Idealna fryzura, pomyślał. Te trzydzieści lat w zawodzie to nie bujda.

– Pochodzi pan stąd? – spytał.

– Tak, tutaj się urodziłem i wychowałem. Wojsko też tu odsłużyłem.

– Kiedyś ta baza należała do wywiadu, prawda? To w niej szkolono tajnych agentów, których przierzucano na północ?

Dłonie fryzjera, który właśnie składał ceratową pelerynkę, lekko zadrżały.

– To było dawno temu. Nic mi o tym nie wiadomo. Byłem zwykłym żołnierzem.

Reseng odkorkował flakonik z wodą kolońską i roztarł sobie na policzkach kilka kropel. Pachniała tak samo jak specyfik, którego używał Golibroda.

– Pewnie ciężko się żyje na takim odludziu.

– Czasami bywa trochę nudno, ale nie narzekam. Raz w miesiącu jeżdżę z żoną do domu starców w prowincji Gangwon, gdzie strzygę pensjonariuszy. To dla nas okazja, żeby się nacieszyć górskim powietrzem.

– Ma pan jakieś dodatkowe zajęcia?

– Chodzi panu o prowadzenie taksówki albo coś w tym rodzaju?

– Nie, raczej o zabójstwa na zlecenie.

Twarz Golibrody stężała.

– Ma pan osobliwe poczucie humoru. Jak słabowity stary fryzjer mógłby robić takie straszne rzeczy, jakie widuje się tylko w filmach?

Reseng zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Na moje oko jest pan całkiem sprawny i zadbany – powiedział.

– Ani grama tłuszczu.

– Zadbany? Bardziej wymizerowany.

Właściciel zakładu spuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Ile za strzyżenie?

– Siedem tysięcy.

– Tanio.

– Jak to na prowincji.

Reseng podszedł do wieszaka na ubrania i sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej kurtki. Tymczasem Golibroda wrzucił wilgotny ręcznik do kosza na pranie i zaczął mydlić ręce nad umywalką.

– Niech ten nóż zostanie tam, gdzie jest – odezwał się, stojąc zwrócony plecami do Resenga. – Wyjmij go, a jesteś martwy.

Reseng założył kurtkę, podszedł do drzwi i przekręcił zamek, a potem powoli wysunął ostrze ze skórzanej pochwy. Rękojeść wciąż była obwiązana chusteczką Chu. Golibroda wytarł dłonie w świeży ręcznik i powiesił go na fotelu.

– Chyba już walczyłem z właścicielem tego noża – powiedział, kładąc dłoń na zagłówku. – Jak się nazywasz?

– Reseng.

– A więc przybywasz z biblioteki. Jestem na liście Starego Jenota?

– Nie ma żadnej listy. To sprawa osobista.

– Osobista... – powtórzył fryzjer matowym głosem.

Na jego twarzy nie widać było strachu, chociaż stał oko w oko z uzbrojonym przeciwnikiem. Wlepił zadumany wzrok w bliżej nieokreślony punkt i od czasu do czasu jego oczy robiły się szkliste, jakby przypominał sobie jakieś wydarzenia z przeszłości. Przez

jego oblicze przemknął ledwie dostrzegalny cień. W zakładzie panowała cisza, którą zakłócało jedynie głośnie tykanie staromodnego ściennego zegara. Reseng ocenił odległość między nimi. Około czterech metrów. Wystarczy jeden szybki krok, potem drugi, odbicie i wyskok, żeby zatopić ostrze w szyi Golibrody. Nóż, który trzymał przed sobą na wysokości splotu słonecznego, zaczynał mu ciążyć, więc opuścił rękę. Tymczasem Golibroda, który powrócił już do rzeczywistości, spojrzał na niego.

– Chodzi o tego chłopca, którego zabiłem przed kilkoma dniami?

– Może tak, a może nie – odparł Reseng i spuścił wzrok, który spoczął na sterczącej z chusteczki Chu samotnej nitce. Oderwał ją i upuścił na podłogę. – Szczerze mówiąc, właściwie nie wiem, co ja tutaj robię – dodał z uśmiechem.

– Więc możesz jeszcze odejść.

– Nie sądzę. Skoro już tu jestem, jak miałbym teraz się wycofać?

– Żeby schować nóż, potrzeba więcej odwagi, niż żeby go wyciągnąć.

– W takim razie chyba jestem tchórzem. Niestety.

Golibroda uniósł rękę i nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i tylko westchnął ciężko. Stał przygarbiony i wydawał się kruchy jak jeden z tych starców, którzy przesiadują na ławkach i wygrzewają się w słońcu. Na jego białym fartuchu czerniło się kilka krótkich włosów.

– Przykro mi z powodu człowieka, do którego należał ten nóż – powiedział. – I tego chłopaka też mi szkoda, ale nie miałem wyboru. Też jesteś zabójcą i wiesz, o czym mówię.

– Tak, wiem.

– Ponieważ nie jestem na twojej liście ani ty na mojej, wcale nie musimy walczyć. Nie należymy do ludzi, którzy załatwiają

porachunki w ten sposób. Jesteśmy tylko najemnymi mordercami.

– Tak, jesteśmy tylko najemnymi mordercami – powtórzył Reseng.

Golibroda spojrzął mu w oczy.

– Schowasz ten nóż i odejdiesz? – zapytał.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nuda mi nie pozwala. Wszystkie wcielenia nudy, która zżera nas powoli – odparł Reseng i dodał, naśladując głos Golibrody: – Też jesteś zabójcą i wiesz, o czym mówię.

Fryzjer nagle spochmurniał i na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– Zaczekaj tu chwilę z łaski swojej – powiedział.

Zdjął biały fartuch, zawiesił go na haczyku i wyszedł do drugiego pomieszczenia w głębi zakładu. Reseng przełożył nóż do lewej ręki i otarł spoconą dłoń o dzinsy. Kiedy spojrzął na podłogę pokrytą linoleum w czarno-białą szachownicę, zakręciło mu się w głowie. Tykanie staroświeckiego zegara zagłuszyły na chwilę trzy uderzenia gongu. Wrócił Golibroda. Otworzył czarną skórzaną torbę, zajrzał do środka i wyjął nóż. Był to Mad Dog ATAK zaprojektowany dla amerykańskich SEALs. Takiego samego używał Treser. Reseng też z niego korzystał, kiedy uczył się władać nożem. Najemnicy i żołnierze jednostek specjalnych uwielbiali ten model. Miał prostą budowę, niesamowitą siłę cięcia i znakomicie wyprofilowaną rękojeść, która ułatwiała chwytanie nawet w ciemności. Był ostry i mocny, ale osiągał zawrotne ceny.

– Ładny nóż – odezwał się Reseng.

Jego przeciwnik miał niepocieszoną minę. Zerkał to na niego, to na jego odbicie w lustrze.

– Lepszy od twojego – odparł i westchnął ciężko, po czym zamknął torbę i wyszedł na środek pomieszczenia. – Dobra pora – dodał, wskazując głową zegar. – Mojej żony nie ma w domu. Ona wciąż myśli, że jestem zwykłym fryzjerem.

– Lepiej dla niej, że nigdy nie poznała prawdy.

– Tak sądzisz?

– Lepiej nie wiedzieć niż udawać, że się nie wie. Zwłaszcza jeśli chodzi o takich jak my.

– Chyba masz rację – przyznał Golibroda. – Od takich jak my najlepiej trzymać się z daleka.

Spojrzał Resengowi w oczy. Wyglądało na to, że nie mają sobie już nic więcej do powiedzenia. Reseng obrócił nóż ostrzem w dół i wyprężył się w gotowości do walki. Znów ocenił odległość dzielącą go od przeciwnika. Dwa metry? Gdyby zrobił krok w jego stronę i dobrze się zamachnął, mógłby dosięgnąć jego gardła albo piersi. Tymczasem Golibroda stał w bezruchu, trzymając ręce za plecami, a w jego ciele nie było odrobiny napięcia. Spokojny i rozluźniony czekał na atak, prowokując go swoją postawą.

Reseng uzmysłowił sobie, że popełnia błąd. Wyprostował się, obrócił nóż w dłoni i bardzo wolno posunął się naprzód o pół kroku. Wyciągnął rękę przed siebie w stronę szyi Golibrody, na którym nie zrobiło to jednak wrażenia.

Tykanie zegara wydawało się nienaturalnie głośne. Reseng zauważył, że powieki starego fryzjera drgnęły, i wykorzystał ten moment. Jego ręka wystrzeliła do przodu. Golibroda zrobił nieznaczny unik i ostrze minęło jego szyję o parę centymetrów. Jednocześnie zamachnął się nożem, który dotąd trzymał za plecami, trafiając Resenga w przedramię. Potem błyskawicznie uskoczył w lewo i ciął go po żebrach. Zanim Reseng zdążył się obrócić przodem do niego, poczuł ból w udzie i pod lewą pachą. Wykonał



szeroki zamach, ale jego nóż przeciąż tylko powietrze. Golibroda zdążył uskoczyć kilka kroków w tył. Nie spuszczać go z oczu, strzepnął krew ze swojego ostrza i znów założył ręce do tyłu. Nie był ani trochę zdyszany.

Reseng słyszał, jak krople krwi spadają na czarno-białe linoleum. Ciepła strużka ściekała po jego przedramieniu na grzbiet dłoni i wsiąkała w chusteczkę zawiązaną na rękojeści noża. Powoli spuścił wzrok. Krwawa plama na jego białej koszuli sięgała już do pasa. Przyłożył dłoń do boku i namacał ranę. Nie była tak głęboka, jak się obawiał. Gdyby nie miał na sobie kurtki, ostrze mogłoby wejść znacznie głębiej.

Golibroda stał nieruchomo, wciąż trzymając nóż za plecami, i patrzył na niego. Po tym, jak obnażył jego słabość, wydawał się beztroski, wręcz arogancki, jakby prowokował go do kolejnego ataku. Ale nie byłoby to rozsądne posunięcie. Gdyby Reseng znów go zaatakował, konsekwencje mogłyby się okazać równie opłakane. Trudno mu było przewidzieć, z której strony Golibroda uderzy, kiedy nie widział jego noża. Nie mógł określić, jak balansuje swoim ciężarem, ani wyczytać czegokolwiek z jego twarzy i postawy. Zaczynało do niego docierać, że nie wygra tego pojedynku. Że nie wyjdzie stąd żywy.

Reseng przełożył nóż do lewej ręki i zrobił pół kroku naprzód. Jego przeciwnik ani drgnął. Kolejne pół kroku. Wciąż żadnej reakcji, tylko to prowokujące spojrzenie. Zrobił wykrok, zadając cios lewą ręką, i Golibroda rozciął mu przedramię. W tej samej chwili Reseng uderzył go mocno prawą pięścią w gardło. Golibroda zatoczył się do tyłu. Zrobił unik, kiedy Reseng przełożył nóż do prawej ręki i zamachnął się. Mierzył w jego twarz, ale tylko dla zmyłki. Zatoczył łuk i płynnym ruchem zatopił nóż w jego udzie. Natychmiast wyciągnął ostrze i skierował je w górę, żeby zadać kolejny cios w podbrzusze. Golibroda zdążył już odzyskać

równowagę i sparował uderzenie grzbietem dłoni. W tej samej chwili ugodził Resenga w bok. Wbił nóż w jego ciało aż po rękojeść, po czym wyciągnął go i cofnął się kilka kroków, żeby złapać oddech.

Reseng osunął się na kolana. Rana w jego boku obficie krwawiła i kręciło mu się w głowie. Podparł się ręką, żeby nie runąć jak długi na podłogę. Golibroda patrzył na niego z góry.

– Chciałeś mnie podejść – odezwał się. – Szybko się uczysz. Znacznie szybciej niż poprzedni właściciel twojego noża.

Nogawkę spodni miał przesiąkniętą krwią, która buchała z rany w jego udzie. Reseng zdał sobie jednak sprawę, że nic więcej nie wskóra. Nie zada Golibrodzie śmiertelnego ciosu w serce. Podniósł się z klęczek i stanął na chwiejnych nogach. Zaciskając dłoń na rękojeści noża, poczuł, że zaczyna słabnąć.

– Ta praca ma jedną niezaprzeczalną zaletę – powiedział Golibroda. – Przynajmniej nie muszę dezynfekować narzędzi.

– Zabawne.

– Teraz chyba już nie posłuchasz, jeśli poproszę, żebyś przestał.

– Zaraz kończę.

Reseng zamachnął się nożem. Bez powodzenia. Żyłasta dłoń zacisnęła się na jego nadgarstku, wykręcając mu rękę. Znów opadł na kolana, kiedy ząbkowane ostrze przeszło mu bok. Golibroda ukląkł naprzeciwko niego i położył mu dłoń na piersi. Znieruchomiał na chwilę i zwiesił głowę, jakby nie mógł złapać tchu.

– Wybacz mi – wyszeptał. – Staremu fryzjerowi tak bardzo jest wstyd.

Reseng zachwiał się i oparł głowę na jego ramieniu. Tymczasem Golibroda wodził palcem między jego zębami, szukając

odpowiedniego punktu. Potem uniósł nóż, mierząc prosto w serce.

Wtedy pojawiła się jakby znikąd delikatna dłoń o bladej skórze i zacisnęła się na ostrzu. Spomiędzy cienkich palców wypłynęła strużka krwi.

– Kochanie, już wystarczy. Nasza córka też by chciała, żebyś przestał.

Reseng ostatkiem sił uniósł głowę. Za plecami Golibrody pochylała się kobieta. Wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat i miała łagodną twarz, po której spływały łzy.

– Już czas, żebyśmy pożegnali naszą córkę i pozwolili jej odejść – powiedziała. – My też już swoje przeżyliśmy.

Wciąż trzymała ostrze noża, coraz obficie brocząc krwią. Jej głos pełen stłumionej rozpaczki był chłodny niczym podmuch zimowego wiatru wdzierający się przez uchylone drzwi. Zaciśnięta na rękojeści dłoń jej męża zaczęła dygotać. Resengowi zrobiło się ciemno przed oczami. Stracił zbyt wiele krwi. Znow oparł czoło na ramieniu Golibrody i stracił przytomność.

---

---

# Drzwi po lewej

---

---

Usłyszał śmiech.

Ten odgłos był jak kwitnący wiosenny ogród. Jak trzepot ptasich skrzydeł albo brzęczenie pszczół, które uwijają się pracowicie wśród kwiatów. Wystrzelił z wartkiego potoku słów niczym salwa fajerwerków. Co wywołało takie rozbawienie? Słyszając ten odgłos, Reseng sam zaczął śmiać się przez sen, chociaż nie wiedział z czego.

Nie miał pojęcia, gdzie jest. Słyszał szum płynącej wody. Czyżby jakiś strumień? Mało prawdopodobne. W okolicy nie było żadnych strumieni. Może po prostu szumiało mu w uszach bez powodu. Odkąd został zabójcą, czasami słyszał ten odgłos w snach. Ilekroć mu się śniło, że nie żyje, leżał nieruchomo w jakimś miejscu, gdzie płynęła woda. W takim miejscu jak to. Tutaj też słyszał szum wody i nie mógł się poruszyć. Obmywał go lodowaty prąd, a on leżał na kamienistym dnie, patrzył w niebo i nagle dotarło do niego, że śmierć może być bardzo blisko. Znow zapadł w sen.

Wszedł do zasnutego mgłą lasu. Brodząc po kolana w wilgotnych oparach, stąpał wolno i ostrożnie jak bawół niosący dziecko na grzbiecie. Ciężkie od lodowatej rosy liście lizały go po policzkach. Pod drzewem stał kubeł na śmieci sprzed zakonnej ochronki; ten sam, w którym go znaleziono. Kiedy zajrzał do środka, poczuł zapach niemowłęcego oddechu. Moja kołyska wcale nie była aż taka zła, pomyślał. Uniósł twarz ku niebu i wybuchnął śmiechem. Zawtórowało mu tysiącletnie drzewo żeń-szenia. Zadarł głowę i spojrział na nieprzebraną gęstwinę zieleni, która wisiała nad nim jak ciężka kopuła. Z każdym podmuchem wiatru wszystkie liście przechylały się zgodnie w jedną stronę, śmiejąc się chórem. Nie miał pojęcia, co je rozśmieszyło.

– Z czego się śmiejecie? – zawołał, osłaniając usta dłońmi. – Powiedzcie mi!

Ale zamiast odpowiedzi słyszał tylko ich śmiech. Śmiały się perliście jak młode robotnice z fabryki, które w porze lunchu przechodziły pod jego oknem. Teraz też chichotały, idąc w czwórkę malowniczą leśną ścieżką, która niczym tunel ciągnęła się między pniami wysokich drzew. Dziewczyna o ładnej okrągłej twarzy trzymała się za brzuch, jakby miała pęknąć ze śmiechu.

– Ja nie mogę! Jakie to pocieszne!

Reseng ucieszył się na ich widok.

– Co tu robicie w głębi lasu? – zapytał, stając przed nimi na ścieżce. – Nie musicie wracać do pracy?

– A ty kim jesteś?

– Nie znacie mnie? Pracowałem przy chromowaniu odlewów. Jeździłem na rowerze z różowym koszykiem.

Dziewczyny pokręciły głowami. Nie rozpoznawały go. Chciały iść dalej, ale zastąpił im drogę. Zaczęły się cofać, spoglądając na niego z przestachem, i tylko ta o okrągłej twarzy nie straciła rezonu.

– Przepuść nas! – zażądała.

Uśmiechnął się szeroko i wymierzył w nią palec.

– A ja cię znam całkiem dobrze.

Otworzyła szeroko oczy.

– Czyżby? – zapytała z niedowierzaniem.

– Masz znamię na lewym pośladku. W kształcie zająca. I dwa pieprzyki obok prawego sutka. Większy i mniejszy. Wyglądają jak bałwanek. Albo jak słońce i księżyc. I... hm... nie podoba ci się, kiedy mężczyzna wyrzuca majtki i skarpetki, których użył tylko raz.

Według ciebie to marnotrawstwo. Dlatego pierzesz bieliznę setki razy, dopóki się nie rozleci. Kucasz przy tym na podłodze w łazience i nucisz wesołe piosenki. A kiedy się złościsz, czerwienią ci się uszy. O, właśnie tak jak teraz!

Dziewczyna była wściekła i rzeczywiście miała zaczerwienione uszy. Spoliczkowała go z całej siły. Oczy Resenga zaszkliły się od łez, kiedy na nią patrzył, ale jej złość nie przechodziła. Zamierzyła się, żeby znów go uderzyć. Odskoczył wystraszony.

– Naprawdę mnie nie znasz? – zapytał, tłumiąc płacz. – Nie pamiętasz mnie?

– Nie, nie pamiętam – odparła z zaciętą miną. – Co za dziwak, ja nie mogę!

Cztery dziewczyny ruszyły dalej malowniczą leśną ścieżką. Znów zaczęły trajkotać z ożywieniem.

– O co chodziło temu facetowi? Odbiło mu?

– Nie przypuszczałam, że jesteś taka odważna. Ja omal nie umarłam ze strachu.

– Właściwie nie wyglądał groźnie, ale może to jakiś czubek.

Kiedy się oddalały, Reseng jeszcze długo słyszał ich głosy przeplatane wybuchami śmiechu. Dlaczego ona mnie nie pamięta? – zastanawiał się, patrząc za czterema postaciami, które znikwały w oddali.

Znów usłyszał plusk wody. Lodowato zimna struga ciekła po kamieniach.

– Czy ja nie żyję? – zapytał.

Odpowiedział mu szelest poruszanych wiatrem liści.

– Tak, umarłeś. Umarłeś. Umarłeś. Już dawno umarłeś.

Tysiącletnie drzewo zdawało się przytakiwać, kołysząc gęstą

koroną.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył tuż przed sobą smukłą jasnowłosą Barbie. Lalka podskakiwała w ręku Misy, uderzając stopami w jego obojczyk. Obok siedział brzuchaty Kubuś Puchatek, a pluszowy dalmatyńczyk warował na jego mostku i przyglądał mu się z głupkowatą miną.

– Nuuda! O mój Booże, ale nuuda!

Piesek zamerdał ogonem i zaczął biegać po brzuchu Resenga. Po chwili Misa odłożyła go i znów sięgnęła po lalkę.

– Och, jaki on umięśniony! – krzyknęła Barbie.

– Masz słabość do mięśni, co? – odezwał się Kubuś Puchatek. – Ale przecież to tylko pagórek. Słyszałaś kiedyś o umięśnionym pagórku?

– Zamilcz, spaślaku! Lepiej byś wdział jakieś portki.

Wiedziona ręką Misy lalka przemaszerowała po piersi i brzuchu Resenga. Kiedy wbijała plastikowe stopy w jego ciało, rany od noża zdawały się płonąć żywym ogniem.

– To boli – wyszeptał.

Misa wzdrygnęła się zaskoczona i jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Mito! Sumin! – zawołała w stronę drzwi. – Reseng się obudził!

Dwie kobiety wbiegły do pokoju i pochyliły się nad łóżkiem. Miał wrażenie, że patrzą na niego z bardzo wysoka, jakby leżał na dnie studni. Mito wyciągnęła rękę i kilka razy przesunęła mu przed oczami wyprostowany palec, ale zignorował ją i tylko zmarszczył czoło. Przez chwilę przyglądała mu się badawczo i w końcu parsknęła śmiechem.



– Cześć, panie Frankenstein – powiedziała.

Reseng potoczył wzrokiem dookoła. Znajdowali się w izbie o drewnianych ścianach. Za oknem rozpościerały się bezlistne gałęzie hurmy, a w oddali majaczyła sylwetka wysokiej góry.

– Gdzie jesteśmy?

– W domu, w którym Mito została poczęta – odparła dziewczyna, mówiąc o sobie w takiej formie, jakby zwracała się do dziecka. – Na to gospodarstwo mój ojciec zwabił moją naiwną matkę pod pretekstem zbierania pomidorów, żeby ją przelecieć. Ale dzięki temu Mito przyszła na świat.

– No wiesz! – Misa zganiła ją gniewnym spojrzeniem.

– Och, przepraszam. Nasza droga Misa została poczęta z miłości i za pełnym przyzwoleniem. Ale z jej starszą siostrą nie było tak pięknie. Kiedy nasza matka złościła się na ojca, opowiadała mi: „Ten człowiek rzucił się na mnie. Wziął mnie od tyłu, kiedy schylałam się nad grządką. Stąd się wzięłaś. I właśnie dlatego moje życie potoczyło się w taki sposób”. Ilekroć to mówiła, ojciec cały się czerwienił i nie wiedział, gdzie oczy podziać.

Mito roześmiała się głośno, a jej siostra i bibliotekarka patrzyły na nią oszołomione.

– Długo byłem nieprzytomny? – Reseng nagle zmienił temat.

Misa pokazała mu pięć palców.

– Zjesz coś? – zapytała.

Nie wiedział, czy jest głodny. Miał wrażenie, jakby stracił kontakt ze swoim ciałem.

– Nie wiem.

– Na pewno umierasz z głodu. Przecież od pięciu dni nic nie jadłeś.

– Czemu miałyby umierać z głodu? – Bibliotekarka wydeła usta.  
– Cały czas żłopał ten drogi roztwór glukozy.

– Wiesz, że to nie zastąpi jedzenia – odparła Misa. – Przyrządę mu pyszny kleik ryżowy.

Kiedy odjechała do kuchni na swoim wózku, Reseng uniósł głowę i spojrzał na swoje ciało. Rękę, ramię i brzuch miał owinięte bandażami.

– To ty mnie opatrzyłaś? – zwrócił się do Mito.

– Moja przyjaciółka ma przychodnię weterynaryjną. Straciłeś tyle krwi, że omal nie umarłeś.

Zezowata bibliotekarka patrzyła na niego z tą samą kwaśną miną, co zawsze. W każdym razie zakładał, że patrzy na niego, bo tego nigdy nie był do końca pewien. Był natomiast pewien, że dostrzega politowanie w jej oczach.

– Następnym razem użyj pistoletu. – Sumin odezwała się półgłosem, żeby Misa jej nie usłyszała. – Nie porywaj się z motyką na słońce, bo tylko przysparzasz innym kłopotów.

– Dzięki tobie Golibroda wie teraz, kim jestem – wtrąciła Mito. – Sumin też została zdemaskowana. Przez twój wyczyn wszystkie trzy jesteśmy w niebezpieczeństwie. A przy okazji pokrzyżowałeś trochę moje plany względem Hanji. Ale nic nie szkodzi. To oznacza, że będę musiała wcielić je w życie nieco wcześniej. Najważniejsze, żeby dalej myśleć pozytywnie.

Zerknęła na bibliotekarkę, która uśmiechnęła się do niej. Reseng nie miał pojęcia, jakie szalone pomysły kielkują w ich głowach.

– A kiedy mnie ratowałyście – zagadnął nieśmiało – czy przypadkiem któraś z was nie zabrała mojego noża?

Poczuł się zaskoczony własnym pytaniem, kiedy Mito spojrzała na niego z takim chłodem, jakby chciała zapytać: „A na cholere ci

jeszcze ten nóż?”.

– Sama się zajmę Golibrodą – oświadczyła stanowczo. – Dla ciebie mam inne zadanie.

Obie kobiety wyszły. Reseng słyszał dobiegające z kuchni śmiechy i rozmowy, głównie na temat gotowania. Po chwili znów zjawiała się Misa i pokój wypełniła woń kleiku ryżowego. Jej siostra i bibliotekarka zaczęły szykować się do wyjścia. Kiedy Sumin wiązała sznurówki, klęcząc przy drzwiach, Mito podeszła do Resenga i pochyliła się nad nim.

– Tylko żeby znowu coś ci nie strzeliło do tego pustego łba, bo narobisz nam jeszcze więcej kłopotów – wyszeptała mu do ucha. – Najedz się, dużo śpij i czekaj na moje wezwanie.

Misa podstawiała mu pod nos parującą łyżkę. Przez chwilę wpatrywał się tępo w jej twarz, a potem otworzył usta. Jej kleik, pierwsza ciepła potrawa, jaką miał w ustach od pięciu dni, był smakowity. Spałaszował całą porcję i znów zapadł w sen. Spał i śnił, a kiedy się obudził, zjadł jeszcze jedną miseczkę kleiku ryżowego i znów zasnął. Ale bez względu na to, jak dużo spał, wciąż morzyła go senność. Zaczął się zastanawiać, czy Misa nie dodaje czegoś do kleiku. A może w kubku z wodą jest jakiś środek nasenny? Albo w kwiatkach, albo w ciepłych promieniach słońca, które sączyły się przez okno i padały na łóżko. Nawet w snach chciało mu się spać.

Wieczorami przychodziła Mito, odwijała bandażę i przemywała jego rany. Potem robiła mu zastrzyk. Raz zamiast niej zjawiała się bibliotekarka.

– Jak się w to wszystko wpakowałaś? – zagadnął ją, kiedy w milczeniu zakładała mu świeży opatrunek.

Zbyła jego pytanie milczeniem.

– To nie jest zabawa – dodał po chwili. – Ryzykujesz życiem.

Jęknął z bólu, kiedy Sumin szarpnęła mocno, zawiązując bandaż na jego ramieniu.

– Nie ty jeden masz swoje przejścia – powiedziała. – Więc przestań się zachowywać, jakbyś wszystkie rozumy pozjadał.

Miała rację. Każdy kiedyś coś przeszedł. Stary Jenot, Chu, Niedźwiedź, Mito, Golibroda, a nawet Hanja. Wszyscy podsycali swój gniew, nienawidzili się nawzajem i zabijali z tego powodu. Byli przekonani, że cierpienia z przeszłości usprawiedliwiają ich postęпки. Ale czy rzeczywiście tak było? Wierutna bzdura, pomyślał Reseng, a ja jestem takim samym fiutem jak oni wszyscy.

Kiedy się budził, czasami Misa siedziała przy nim i bawiła się maskotkami na jego brzuchu. Przypomniały mu się Stołek i Lampa, które zasypiały rozciągnięte na jego plecach.

– Nie jesteś trochę za stara na takie zabawy? – zapytał. – Może byś spróbowała czegoś innego?

– Czegoś innego?

– Na przykład mogłabyś sprawić sobie kota. Koty uszczęśliwiają ludzi.

Misa uniosła brwi i przez chwilę zastanawiała się nad jego propozycją, ale w końcu pokręciła głową.

– Żaden kot ani pies nie będzie żył dłużej ode mnie, a ja nie chcę się przywiązywać do istoty, która umrze przede mną – odparła i potrząsnęła sfatygowanym Kubusiem Puchatkiem. – Za to moje maskotki mnie przeżyją, jeżeli będę o nie dbała.

– Dlaczego nigdy nie zadajesz żadnych pytań?

– O co miałabym pytać?

– O cokolwiek.

– Bo nawet gdybym wiedziała, co się dzieje, i tak nie mogłabym nic z tym zrobić. Dlatego udaję, że nic nie wiem o rzeczach, na które nie mam wpływu. Im bardziej udaję, tym mniej naprawdę wiem.

Uśmiechnęła się, a siedzący na brzuchu Resenga miś pokręcił głową.

– Znasz może książkę Gumdory’ego *Niedźwiedź niedowiarek*? – zapytał Reseng.

– To jakiś znany pisarz?

– Zupełnie nieznany. To jest historia niedźwiedzia polarnego, który wątpi, czy rzeczywiście jest niedźwiedziem polarnym.

– Dlaczego miałby w to wątpić?

– No cóż, na tym właśnie polega cały dowcip. Niedźwiedź zastanawia się, czemu akurat musi być niedźwiedziem polarnym, a nie jakimś innym. Czy tylko dlatego, że pochodzi z Arktyki? Bardzo mu się nie podoba, że miejsce urodzenia decyduje o jego tożsamości, a on nie ma na to żadnego wpływu. Przecież równie dobrze mógłby być pandą albo grizzly. Długo ubolewa nad tym, że akurat musiał się urodzić niedźwiedziem polarnym.

– Jak dla mnie, to on raczej urodził się głupcem.

– Bynajmniej, bo jeśli niedźwiedź snuje takie rozważania, to oznacza, że jest bardzo rozumnym niedźwiedziem. W każdym razie nasz bohater postanawia wyruszyć w świat i przekonać się, kim naprawdę jest. Rozkłada mapę, żeby poszukać jakiegoś miejsca, które jest zupełnie inne niż Arktyka, i jego wybór pada na Kalifornię.

– Niedźwiedź wybiera się do Kalifornii?

– Tak.

Misa z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Czy nie przydałaby mu się jakaś łódź, żeby tam dopłynął?

– Oczywiście, ale niestety niedźwiedź nie ma łodzi. Dlatego odpiłowuje kawałek góry lodowej, wchodzi na niego i wyrusza w rejs. Silny wiatr i prąd oceaniczny kierują go na południe, ale im bardziej oddala się od bieguna północnego, tym szybciej topnieje lód. Jego tratwa staje się coraz mniejsza, a na horyzoncie nie widać żadnego lądu, nie mówiąc o Kalifornii. Kiedy z ogromnej bryły lodu zostaje tylko mały kawałek kry, niedźwiedź w końcu doznaje olśnienia. A więc to tak, mówi. Nigdy nie wydostanę się z Arktyki i to dlatego jestem niedźwiedziem polarnym! Zaraz potem wpada do wody, kiedy znika resztkę lodu pod jego łapami, i drogę powrotną do domu musi przebyć wpław. Koniec historii.

– Utopił się?

– Nie wiem. Kiedy kończy się historia, niedźwiedź wciąż płynie.

– Mam nadzieję, że jest dobrym pływakiem – powiedziała Misa zatroskanym tonem.

– Nie sądzisz, że jesteśmy tacy sami?

– Tacy sami jak kto? Jak ten głupi niedźwiedź polarny?

– Wszyscy urodziliśmy się za kołem podbiegunowym i bardzo nam się to miejsce nie podoba – wyjaśnił Reseng. – Ale choćbyśmy nie wiadomo jak się starali, i tak stamtąd nie uciekniemy.

Misa przyglądała mu się przez chwilę.

– Nie mam nic przeciwko Arktyce – powiedziała z uśmiechem. –

W Kalifornii jest za gorąco. A poza tym czy ktoś słyszał kiedyś o niedźwiedziu kalifornijskim? Jakoś dziwnie to brzmi. Gdybym się urodziła na dalekiej północy, nie przeszkadzałoby mi, że jestem niedźwiedziem polarnym.

Nastał grudzień i zaczęło robić się mroźno. Rankiem szron pokrywał trawę i liście wyglądały jak posypane cukrem. W lesie panowała cisza, jakby wszystkie ptaki odleciały w cieplejsze strony. Pewnego dnia Sumin ścięła sosnę. Wieczorem kobiety przystroiły drzewko maleńkimi lampkami, kolorowymi bańkami i ozdobami w kształcie prezentów, gwiazdek, dzwoneczków, świętych mikołajów, reniferów, magicznych różdżek i cukierków. Z kawałków bawełny Misa wycięła płatki śniegu i rozwiesiła je na gałązkach. Śmiały się przy tym bez przerwy i wydawało się, że będą trwać w takim radosnym nastroju aż do Bożego Narodzenia. Było jednak w tym zachowaniu coś niespokojnego i czasami w ich śmiechu pobrzmiewała rozpaczliwa nuta, która przywodziła na myśl nocne wycie psów. Cieszyły się z takim entuzjazmem i zachłannością, jakby gromadziły siły, żeby stawić czoło nadchodzącemu smutkowi.

Reseng wracał do zdrowia. Jego rany już się zagoiły i chodzenie sprawiało mu coraz mniejszą trudność, chociaż wciąż nie mógł jeszcze całkiem się wyprostować. Misę bawiło to, jak powłóczył nogami, wypinając tyłek, i zrywała boki ze śmiechu, ilekroć wychodził na spacer.

Mito ciągle mu przypominała, że powinien jak najwięcej się ruszać, więc spacerował po lesie w okolicy chatki. Kiedy patrzył na ogród pełen drzewek owocowych i sosen, nachodziła go refleksja, że gdyby nie śmierć i cierpienie, które ciągnęły się za nim, mógłby spędzać w takim miejscu błogie weekendy i rozkoszować się pięknem natury.

Chatka stała na zboczu wzgórza i prowadziła do niej brukowana droga. Dalej w górę zbocza ciągnęła się stroma ścieżka. Była nieutwardzona i zbyt wąska, by dało się po niej przejechać samochodem. Tu i ówdzie z ziemi sterczały korzenie drzew, które stanowiły przeszkodę nie do przebycia również dla wózka

inwalidzkiego. Gdyby trafili tu zabójcy, Mito, Misa i Sumin znalazłyby się w potrzasku bez szans na przeżycie. Reseng był pewien, że wieści o jego pojedynku z Golibrodą i o kobiecie, która go zabrała i znikła bez śladu, dawno się rozeszły. Mogły dotrzeć nawet do Hanji, a w takim wypadku tropiciele już za nimi węszyli. Ile czasu im jeszcze zostało?

Mito i zezowata bibliotekarka ciągle gdzieś wyjeżdżały, a wieczorami, kiedy Misa leżała już w łóżku, prowadziły na strychu długie ożywione dyskusje. Czasami rozmawiały tak długo, że Reseng słyszał ich stłumione głosy, kiedy wschodziło słońce. Nie wtajemniczyły go jednak w swoje plany. Nie powiedziały mu, w jaki sposób zamierzają rozprawić się z Hanją albo Starym Jenotem ani jak wyobrażają sobie dalsze życie.

Czas upływał Resengowi na czytaniu książek, spaniu i kontemplowaniu zimowego krajobrazu za oknem. Czasami leżał ze wzrokiem wlepionym w belki stropowe i przypominał sobie ruchy Golibrody – lekkie, szybkie niczym błyskawica i tak płynne, że zlewały się ze sobą. Zastanawiał się, czy zdołałby go pokonać, gdyby jeszcze raz doszło do walki, ale gdy tylko zaczynał o tym myśleć, przenikał go lodowaty dreszcz strachu. Nie miał żadnych szans. Gdyby znów zmierzył się z Golibrodą, byłby trupem.

Kiedy Reseng się obudził, zobaczył nad sobą poważną twarz Mito. Nie wiedział, jak długo stała obok jego łóżka.

- Która godzina? – zapytał.
- Trzecia.
- Co tu robisz?
- Mam dla ciebie instrukcję.
- Obejdzie się. Wystarczy mi pistolet i nóż.



– Przestań się wygłupiać. To nie czas na twoje dziecinne wybryki.

– Czym się będziecie bronić, kiedy wtargną tu ludzie Hanji? Garnkami i patelniami?

– Do wyborów zostały niecałe trzy tygodnie, więc Hanja nie ma czasu, żeby się nami przejmować. Zresztą, szczerze mówiąc, nie daliśmy mu jeszcze powodów. Zaatakujemy go, zanim on zaatakuje nas.

– Świetnie – powiedział Reseng. – Jaki macie plan?

– A więc pomożesz nam?

– Nie wiem. Niczego nie mogę obiecać.

Mito przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

– Mam wszystkie dane doktora Kanga – odezwała się w końcu.  
– Informacje o ludziach, którzy przepadli bez śladu dwadzieścia lat temu. A Hanja przechowuje w swoim sejfie księgi rachunkowe. Zapisywał w nich wszystkie swoje transakcje z politykami, biznesmenami, biblioteką, pośrednikami i zabójcami. Z okazji wyborów zaciągnął spory kredyt i to też powinno być odnotowane. A poza tym jest jeszcze kronika Starego Jenota.

– Jaka kronika?

– Szczegółowe opisy wszystkich poważniejszych zabójstw, jakich dokonano w Korei Południowej w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat. Przez pół wieku zapiski prowadzili poprzedni dyrektorzy biblioteki, a czterdzieści lat temu przejął ją twój mentor.

– Stary Jenot prowadził kronikę? Musisz być świetnie zorientowana, skoro nigdy nawet nie byłaś w bibliotece. Ja spędziłem tam dwadzieścia osiem lat i ani razu o niej nie słyszałem.

Mito zerknęła w stronę pokoju Sumin.

– Ta kronika naprawdę istnieje – powiedziała. – I wiem, gdzie jest.

– Chcesz mi powiedzieć, że zapiski, które mogą całkowicie zmienić oblicze naszej historii najnowszej i pogrążyć cały kraj w chaosie, stoją sobie gdzieś na półce wśród dwustu tysięcy innych książek w Psiarni? Gdzie? Obok *Zbrodni i kary*? Albo nie, zaczekaj. Wiem. Obok *Walorów scenicznych japońskiego bejsbolu*, zgadłem?

– Jest pod gabinetem Starego Jenota – odparła spokojnie Mito.

– W piwnicy?

Dziewczyna pokiwała głową.

– To gruby tom w skórzanej oprawie. Wygląda jak Biblia. Na pewno go rozpoznasz.

– Jak go znalazłaś?

– Mężczyznom pokroju Starego Jenota wydaje się, że wszystkie kobiety to ptasie mózdzki. A już na pewno taka, która ma zeza.

Reseng parsknął śmiechem. Któż by pomyślał, że zezowata bibliotekarka o niezbyt inteligentnym wyglądzie tak łatwo wykiwała Starego Jenota. Próbował sobie wyobrazić, jaki wyraz przybrałaby dumna twarz jego mentora, gdyby się o tym dowiedział.

– Hanja nie trzyma swoich książek w biurze – ciągnęła Mito. – Są ukryte w jego tajnym domu i oprócz niego ma do nich dostęp tylko jego adwokat. Hanja nie da się zastraszyć, ale jego adwokat ma dwie ładne córki i żonę. To tchórz i wystarczy postraszyć go nożem, żeby zaczął śpiewać. Jeśli zaś chodzi o piwnicę pod biblioteką, również tylko dwie osoby mogą się tam dostać: Stary Jenot i ty. Jeśli przyniesiesz mi te księgi rachunkowe i kronikę, twoje zadanie będzie skończone. Potem możesz robić, co ci się

żywnie podoba. A ja będę miała w ręku trzy atuty, wliczając archiwum doktora Kanga.

– Naprawdę myślisz, że ci się uda? – zapytał Reseng. – Nawet jeśli dostaniesz te dokumenty, wszyscy płatni zabójcy będą dybać na twoje życie. I nie tylko oni. Politycy, wojsko, policja i prokuratorzy też zaczną cię ścigać. Bo za każdym, kto ma choć odrobinę władzy w tym kraju, stoją patroni.

– Zbliżają się wybory, które są jak jeden wielki cyrk. Ambicje, chciwość i próżność kotłują się w jednym miejscu, a ludzie oglądają to przedstawienie w nadziei, że wybuchnie jakiś skandal. To dla mnie idealny moment. Wszyscy tylko czekają na skandal. Taki mam plan. Co o tym sądzisz? Pomożesz mi?

– Jeśli ci się uda, zginą wszyscy, których znam – odparł Reseng po chwili zastanowienia. – Ja też. A patroni, którzy zza kulis pociągają za sznurki? Im nie spadnie włos z głowy. Zawsze tak się dzieje.

Mito się zaśmiała.

– Może tak, a może nie. Jeszcze nie przystąpiłam do ostatecznej rozgrywki. Ale ty przynajmniej nie umrzesz jako bojaźliwy niedźwiedź polarny.

\*\*\*

Następnego dnia spadł pierwszy śnieg tej zimy. Misa patrzyła przez okno jak urzeczona, za to Reseng na widok białego kobierca poczuł się odcięty od świata i miał wrażenie, że zaszedł zbyt daleko, narażając się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Dorzucił węgla do piecyka i napełnił czajnik wodą. Mięśnie w jego boku były wciąż sztywne, ale poruszał się już z większą swobodą. Ulżyło mu, kiedy Mito i bibliotekarka gdzieś pojechały. Gdyby zostały w chatce, cała trójka doprowadzałyby go do szewskiej pasji,

trajkocząc przez cały dzień zapewne o śniegu.

– Czyż świat nie jest piękny, kiedy spadnie śnieg? – odezwała się Misa.

– Piękny? Kilka centymetrów białego puchu wystarczy, żeby zapomnieć o całym brudzie, który kryje się pod spodem?

– Skąd w tobie tyle niechęci? Przecież to tylko śnieg.

Reseng parsknął śmiechem.

– Chyba masz rację. To tylko śnieg.

Dziewczyna przeciągnęła się, unosząc ręce nad głowę.

– Jaka szkoda, że muszę tutaj siedzieć.

Reseng natychmiast założył czapkę, wyszedł z chatki i zabrał się za odśnieżanie. Kilka zimnych płatków osiadło mu na twarzy. Rozkoszował się przyjemnym chłodem, kiedy topniały na jego skórze. Jako dziecko spędził wiele godzin, zamiatając kwiaty wiśni, które każdej wiosny zaścielały dziedziniec biblioteki. Odgarniał je miotłą, która była większa od niego, by zaraz potem odkryć, że za jego plecami leży pełno nowych płatków. Doprowadzony do rozpaczony przez nieustannie opadające kwiaty zmagął się z nimi całymi popołudniami.

Kiedy skończył odśnieżać ścieżkę prowadzącą od drzwi do podjazdu, wrócił do chatki i okrył kocem nogi Misy.

– Załóż coś na głowę, bo inaczej tu zostaniesz – zwrócił się do niej.

Kiedy posłusznie naciągnęła włóczkową czapkę, posadził ją na wózku i wyjechał na zewnątrz. Udeptany śnieg cicho skrzypiał pod naciskiem kół.

– Czy mój wózek nie jest za ciężki?

– Wcale nie jest ciężki.

Za każdym razem, gdy koła podskakiwały na wystających korzeniach albo kamieniach, Misa wybuchała śmiechem. Wyciągnęła rękę i złapała jeden z wirujących w powietrzu płatków śniegu, a potem zamknęła oczy i zadarła głowę, wystawiając twarz ku niebu.

– Co byś chciała zmienić w swoim życiu? – zapytał Reseng.

– Podoba mi się to, co jest. Tak jest dobrze.

Mito wróciła po północy. Silnik zawodził na wysokich obrotach, a skrzynia biegów rzeziła, kiedy jej samochód przedzierał się przez zasy na drodze. Blask reflektorów omiótł okno od frontu, a potem zapadła ciemność. Reseng spodziewał się usłyszeć skrzywienie butów na śniegu, ale do jego uszu nie dobiegł żaden odgłos. Po kilku minutach wstał z łóżka i wyjrzał na zewnątrz. W mroku dostrzegł zaciśnięte na kierownicy dłonie, zwieszoną głowę i wstrząsane spazmami ramiona. Minęło pół godziny, zanim Mito wysiadła wreszcie z samochodu i weszła do chatki. Reseng położył się z powrotem i znieruchomiał, udając, że śpi. Słyszał, jak otworzyła i zamknęła drzwi lodówki, jak osunęła się ciężko na podłogę, a potem zapanowała cisza. Przez dwadzieścia minut leżał, wlepiając wzrok w sufit, aż w końcu wstał i poszedł do kuchni. Włączył światło i zobaczył, że Mito siedzi skulona na podłodze i płacze. Patrzył na nią przez chwilę, a potem nalał wody do szklanki i podał jej.

– Nie wiedziałem, że taka twarda suka jak ty może się rozkleić – powiedział.

Uśmiechnęła się szyderczo i otarła łzy rękawem.

– Nie interesuje cię, dlaczego taka twarda suka płacze? – spytała żartobliwie.

– Kobiety mają tyle powodów do płaczu, ile gwiazd na niebie.

Mito kiwnęła potakująco głową.

– Gdybym darowała ci życie, mógłbyś zaopiekować się Misą? Przez pięć... nie, tylko przez najbliższe trzy lata.

Jej lśniąca od łez oczy miały szczery i pełen smutku wyraz. Reseng spojrział na nią zdziwiony.

– Ja nie będę żyła tak długo.

– Czemu miałybyś umrzeć, skoro ja przeżyję? Przez te twoje niedorzeczne wymysły o potworach? Twoja śmierć nie zbawi świata, więc daruj sobie skrupuły. Po to chcesz pozbywać się szumowin, by potem sama zginąć? To bez sensu. Chcesz być drugim Jezusem?

– Zabiłam dzisiaj dziewczynkę – odparła Mito takim głosem, jakby była pijana. – Od dziewiątego roku życia leżała w śpiączce. Była bezbronna i nikomu nie wyrządziła krzywdy, a dzisiaj umarła od mojego zastrzyku.

– Co to za dziewczynka?

– Córnica Golibrody.

Reseng wstał od stołu i zaczął się rozglądać za papierosami. Przypomniało mu się, że leżały gdzieś w kuchni. Kiedy zajrzał do puszki po kawie, Mito wyjęła paczkę z kieszeni i poczęstowała go. Nie palił od miesiąca, więc kiedy wciągnął do płuc pierwszy haust dymu, zakręciło mu się w głowie.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo to ona popychała go do zabijania, a nie Hanja.

Nagle Reseng poczuł, że drga mu lewa powieka. Potarł dłonią twarz. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zabił kogoś, kierując się osobistymi przekonaniem, poczuciem sprawiedliwości

albo podobnymi względami. Nigdy. Nie wierzył w takie rzeczy. Zabijał, bo mu kazano. Bo wykonywał swój zawód, a człowiek, który miał zginąć z jego ręki, był na liście śmierci. A jakimi motywami kierowała się Mito? Na samą myśl, że można zabić z powodu czegoś, w co się wierzy, nagle ogarnął go strach. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że właśnie coś takiego napędza koniunkturę w tej branży.

– Człowiek ukrywa swoje prawdziwe motywy nawet przed samym sobą – powiedział. – Mami sam siebie, dorabiając do swojego postępowania fałszywą ideologię. Tak naprawdę nie wiesz, dlaczego to robisz, nie? W zasadzie nie zdajesz sobie nawet sprawy, co robisz. Z tego, co widzę, niczym nie różnisz się od nas wszystkich. Jesteś taka sama jak Golibroda czy Hanja. Dokładnie taka jak cała reszta likwidatorów. A świat, który sobie wymyśliłaś, w końcu przestanie się różnić od rzeczywistości. Tak samo jak nie ma znaczenia, czy kot jest czarny, czy biały, dopóki łowi myszy.

Zgasił papierosa w wypełnionym wodą spodeczku na dnie zlewu i wrzucił go do kosza na śmieci. Mito wciąż siedziała na podłodze. Wyglądała na zdruzgotaną.

– Zdobędę dla ciebie książki Hanji – dodał Reseng. – Ale to wszystko, na co mnie stać. Na kronikę Starego Jenota nie licz.

Następnego dnia Reseng spakował swoje rzeczy. Misa wyjęła z szafy trochę zimowych ubrań po ojcu i włożyła mu do torby. Były na niego trochę za duże.

– Wasz ojciec był wysoki? – zapytał.

– Wysoki i przystojny – odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem.

Do pokoju weszła Mito.

– Podwiozę cię na stację – zwróciła się do niego.

Sprawiła wrażenie, jakby chciała jeszcze coś mu powiedzieć na osobności.

– Nie, dzięki – odparł. – Przejdę się sam.

Zerkając na siostrę, Mito wręczyła mu kopertę. Domyślił się, że w środku znajdzie instrukcje, jak trafić do kryjówki Hanji, gdzie szukać sejfu, jak unieszkodliwić system alarmowy, kiedy zacząć się na adwokata i które dokumenty wykraść. Schował ją do torby.

– Nie spóźnij się – dodała Mito.

– Bez obaw.

Uśmiechnął się do Misy. Wyglądała na zasmuconą. Poklepał ją po ramieniu i ruszył w stronę drzwi. Kiedy oddalał się, brnąc w topniejącym śniegu, machała za nim, dopóki nie znikł jej z pola widzenia.

Kryjówka Hanji mieściła się w zacisznej dzielnicy mieszkalnej. Był to jednopiętrowy dom z zadbanym ogrodem. Wyglądał całkiem zwyczajnie i przywodził na myśl przytulne gniazdko jakiejś rodziny z dwójką dzieci. Sąsiedni budynek stał tak blisko, że gdy zgodnie z instrukcją Reseng najpierw wspiął się na jego dach, bez większego trudu przeskoczył na dach domu Hanji. Obok zbiornika na wodę znajdowało się małe okienko. Reseng chwycił framugę i mocno szarpnął. Była tak mizerna, że mógł ją wyrwać i dostać się do środka bez wybijania szyby. I to ma być ten jej genialny plan zdobycia niedostępnej twierdzy? – pomyślał z przekąsem i zaśmiał się w duchu.

Spojrzał na zegarek. Minęła dwudziesta, ale adwokat Hanji się nie zjawiał. Oparty plecami o zbiornik na wodę wyciągnął pistolet z kabury i przyjrzał mu się w blasku latarni ulicznych. Odkręcił



tłumik i przykręcił go z powrotem, a potem wyjął magazynek, odciągnął zamek, odblokował go i opuścił kurek. Wszystko działało bez zarzutu. Lubił rosyjskie pistolety, bo nie robiły zbyt dużego hałasu. Zwłaszcza ten, który trzymał w dłoni, ponieważ był przystosowany specjalnie do pracy z tłumikiem. Kiedy ostatnio go używał? Co najmniej kilka lat temu. Większość zawodowców wybierała noże, jeśli dawało się podejść do celu dostatecznie blisko. Broń palna nie była tak precyzyjna i zostawiała ślady prochu na rękach, nie mówiąc o łuskach. Ale teraz Resengowi było już wszystko jedno.

Zawahał się, sięgając do kieszeni, ale w końcu wyjął papierosy i zapalił.

– Tym też nie muszę się już przejmować – mruknął do siebie.

Parę minut później zawibrowała jego komórka. Dzwoniła Mito.

– Prawnik wyszedł właśnie z biura – powiedziała. – Będzie na miejscu za dwadzieścia minut.

– Tylko się nie wygłupiaj i nie próbuj mu siedzieć na ogonie. Po prostu tu przyjedź i czekaj.

– Kiedy już będziesz miał książki w ręku, powiedz mu, że może je odzyskać za siedemset pięćdziesiąt milionów. W przeciwnym razie Hanja zacznie coś podejrzewać.

– Czemu siedemset pięćdziesiąt? – zapytał mrukliwie Reseng. – Nie może być równe siedemset albo osiemset?

– Ma ze sobą dwóch goryli, więc uważaj. Będę czekała w tym zaułku naprzeciwko.

Kiedy Mito się rozłączyła, Reseng zgasił papierosa i wiedziony przyzwyczajeniem schował niedopałek do kieszeni. Potem wyważył okienko i wrzucił je do środka. Wsadził głowę w kwadratowy otwór, który miał niewiele ponad czterdzieści centymetrów po

przekątnej. Było ciasno, ale uznał, że przy odrobinie wysiłku zdoła się przedostać na drugą stronę.

Po niecałych dwudziestu minutach przed dom zajechał czarny sedan. Wyskoczył z niego przysadzisty mężczyzna i otworzył tylne drzwi prawnikowi, który ruszył w stronę wejścia do budynku. Za nim kroczył drugi ochroniarz, wysoki chudzielec. Sprawiał wrażenie silnego i niebezpiecznego. Silnik umilkł i z samochodu wysiadł pulchny kierowca. Jeden grubas, dwaj goryle i adwokat. Gdyby coś poszło nie tak, sytuacja mogłaby się skomplikować.

Kiedy adwokat wszedł do domu, Reseng przecisnął się przez otwór w dachu i uchylił drzwi pomieszczenia gospodarczego, w którym się znalazł. Z parteru dobiegały odgłosy rozmów. Po chwili prawnik wszedł na górę. Był sam. Wyjął klucze, otworzył sobie jeden z pokoi i znikł w środku. To pewnie tam mieści się sejf, pomyślał Reseng. Bezszelestnie zakradł się na koniec korytarza i wyteżył słuch. Trzej mężczyźni jedli kolację w kuchni na dole i opowiadali sobie dowcipy. Zawrócił i stanął pod drzwiami pokoju, do którego wszedł prawnik. Poczł opór, kiedy delikatnie nacisnął klamkę. Były zamknięte na klucz. Znów spojrział w stronę schodów. Kierowca i ochroniarze głośno się śmiali. Zapukał.

– Co jest? – rozległ się głos adwokata.

Reseng milczał. Gdy z kuchni dobiegła kolejna salwa śmiechu, zapukał jeszcze raz. Usłyszał skrzypienie odsuwanej krzesła i kroki. W lewej dłoni trzymał wilgotną chusteczkę, a prawą zaciskał na chwycie pistoletu.

– Co jest, do jasnej cholery? – zapytał prawnik, otwierając drzwi.

Reseng błyskawicznie wcisnął mu w usta chusteczkę i pchnął go do pokoju, a potem wycelował w jego lewe udo i nacisnął spust. Wystawił głowę na korytarz. Mężczyźni na dole wciąż się śmiali.

Zamknął drzwi i przekręcił klucz.

– Spróbuj pisnąć, a wpakuję ci kulkę w łeb. Jasne?

Były prokurator przytaknął. Wciąż wpatrywał się zszokowany w plamę krwi na nogawce swoich spodni. Zaraz potem jęknął głośno, gdy kolejny pocisk roztrzaskał mu lewe kolano.

– Głuchy jesteś? Przed chwilą ci powiedziałem, że masz być cicho, bo zginiesz. – Reseng uniósł brwi i wymierzył pistolet w jego głowę. – Chyba już jesteś gotów do współpracy, co?

Adwokat znów przytaknął. Jego oczy szklily się od łez. Kiedy Reseng jeszcze raz strzelił mu w lewe kolano, upadł na podłogę. Tarzał się z zaciśniętymi zębami, plamiąc dywan krwią, aż w końcu oswoił się z bólem i jego stłumione jęki ucichły.

– Postrzał w kolano jest bardzo bolesny, ale znosisz to po mistrzowsku – odezwał się Reseng. – Myślę, że właśnie dlatego przyjęli cię do palestry.

Usiadł przy stole na środku pokoju i zapalił papierosa.

– Tej nogi już nigdy nie zegniesz – ciągnął. – Staw kolanowy ma bardzo skomplikowaną budowę i bardzo trudno go naprawić, ale jedna sztywna noga to nie to samo co dwie. Różnica jest mniej więcej taka sama jak między laską i wózkiem inwalidzkim. No więc jak? Chciałbyś ocalić swoje prawe kolano?

Prawnik skwapliwie pokiwał głową.

– Chcę dostać księgi rachunkowe Hanji – oświadczył Reseng i wydmuchał wielki kłęb dymu. – Wiem, że tu są, a ty znasz szyfr do sejfu. Jeśli mi go nie otworzysz, jesteś trupem. Jeśli będziesz się ociągał, resztę życia spędzisz na wózku.

– Po co ci te księgi?

– Chcę przejść w stan spoczynku, ale nikt się nie kwapi wypłacać mi emerytury.

– W tej walizce jest jakieś trzysta milionów. Możesz je zabrać.

Pod biurkiem stała czarna walizka na kółkach. Reseng pochylił się nad nią z papierosem w ustach i zajrzał do środka. Była wypełniona po brzegi plikami banknotów.

– Trzysta milionów... Kupa forsy. Domyślam się, że to jakiś fundusz wyborczy. W każdym razie dzięki.

Zabrał walizkę i podszedł do leżącego na dywanie mężczyzny, który uniósł głowę. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Reseng strzelił mu w prawe udo. Adwokat stłumił jęk, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Następnym razem trafię cię w kolano, więc lepiej mi powiedz. Gdzie są księgi Hanji?

– Jeśli ci je dam, i tak wydam na siebie wyrok śmierci.

– Nienawidzę prawników. Zawsze tak elegancko się ubieracie, jesteście tacy wygadani, tacy bezbłędni w swoim rozumowaniu i wydaje się wam, że od wszystkiego potraficie się wyłgać. Ale jak dzisiaj wybrniesz z tarapatów? Chyba będziesz musiał posłużyć się tą samą niezawodną logiką co ostatnio, kiedy przyjechałeś do biblioteki z ciałem Jeongana. Wolisz, żebym to ja cię zabił, kiedy już przestrzeleę ci wszystkie stawy? Czy wolisz zginąć z ręki Hanji? Wybieraj szybko, bo nie mam zbyt wiele czasu.

– Sejf jest w podłodze pod biurkiem – powiedział adwokat.

Reseng chwycił go za kołnierz i nie zważając na opór, powłókł w stronę biurka. Przycisnął mu do głowy wylot tłumika. Prawnik odsunął dywan, wyjął z kieszeni pilot i wstukał kilka cyfr. Kiedy panele podłogowe rozsunęły się bezgłośnie, odsłaniając sejf, wprowadził kod na klawiaturze i uniósł grubą pancerną pokrywę. W środku leżało kilka płyt CD. Reseng włożył je wszystkie do plecaka.

– A oto, co przekażesz Hanji – zwrócił się do adwokata, który wpatrywał się w niego tępym wzrokiem. – Zależy mi tylko na pieniądzach. Dwa miliardy w obligacjach na okaziciela, jeden w gotówce. Pieniądze mają być podzielone równo w dwóch skórzanych torbach.

Prawnik pokiwał głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, który jednak ustąpił miejsca przerażeniu, gdy nagle rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

– Zapomniałem wyłączyć alarm, kiedy otwierałem sejf... – wyjąkał.

Zaczął dygotać spazmatycznie. Reseng zmarszczył czoło i strzelił mu w prawe kolano. Tym razem prawnik wrzasnął z bólu na cały głos.

Pukanie ustało i zastąpił je głuchy łoskot, kiedy ktoś zaczął kopać w drzwi. Reseng stanął przy ścianie, przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę w chwili, gdy spodziewał się następnego kopnięcia. Do pokoju, zataczając się, wpadł gruby kierowca z przestrzelonymi nogami i runął na podłogę. Reseng natychmiast wymierzył do stojącego w korytarzu wysokiego chudzielca, ten jednak zanurkował do przewrotu, schodząc z linii strzału, przetoczył się przez bark i wyrósł tuż przed nim. Prostując się, złapał go za rękę i pociągnął płynnym ruchem. Reseng przeleciał nad jego ramieniem i kiedy uderzył całym ciałem o podłogę, pistolet wypadł mu z dłoni. Wstał, rozcierając obolały bark, i z pochwy ukrytej pod pachą wyjął nowiutki nóż kuchenny, który kupił po drodze w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Chudy ochroniarz, który trzymał teraz jego broń i mierzył do niego, prychnął pogardliwie.

– Zgłupiałeś? Mogę cię zastrzelić.

– Nie masz amunicji.

Mężczyzna skierował lufę w stronę ściany i kiedy nacisnął spust, rozległ się tylko suchy trzask. Rzucił pistolet na podłogę. Miał pod kurtką kaburę, ale to, co w niej tkwiło, wyglądało raczej na miotacz gazu. Wyciągnął zza paska wojskowy nóż – model używany przez jednostki specjalne.

– Spotkaliśmy się już kiedyś? – zapytał Reseng.

Miał wrażenie, że widział już tę tyczkowatą postać w otoczeniu Hanji. Chudzielec potwierdził jego przypuszczenia.

– Tak, na pogrzebie Chu – odparł.

– Nie wyglądasz mi na zabójcę. Nie jesteś przypadkiem żołnierzem?

– Byłem przez wiele lat.

– Więc lepiej niech tak zostanie. To zaszczyt stać na straży swojego kraju i rodziny.

– Nie najem się zaszczytami – powiedział ochroniarz i uniósł rękę, w której ściskał nóż.

Reseng ruszył w jego stronę. Poruszał się swobodnie, jakby postanowił wybrać się na spacer. Zrobił unik w lewo, uchylając się przed ciosem chudzielca, i w tej samej chwili zamachnął się, rozcinając mu ramię. Potem przeniósł ciężar ciała z powrotem na prawą nogę i płynnym ruchem dźgnął przeciwnika w bok. Mężczyzna wypuścił nóż z ręki, osunął się na kolana i zwiesił głowę. Nawet nie jęknął. Reseng wyciągnął ostrze spomiędzy jego żeber i wytarł je chusteczką. Podniósł z podłogi swój pistolet i schował go do kabury. Kiedy wrócił do pokoju, adwokat wił się w kałuży krwi i trzymał komórkę przy uchu.

– To ten gnojek z biblioteki. Zabrał księgi. Tak. Tak. Ale on strzelał do mnie...

Na widok swojego oprawcy zamilkł natychmiast i z przerażoną

miną odłożył telefon. Reseng spojrział na niego z rozbawieniem.

– Przepracowujesz się – powiedział.

Zarzucił plecak na ramię, chwycił walizkę z gotówką i wyszedł. Kiedy był na schodach, zobaczył drugiego ochroniarza. Mężczyzna trzymał kij bejsbolowy, ale chociaż był słusznej postury, nie mógł zapanować nad drzeniem rąk. Reseng przyjrzał mu się uważnie i rozpoznał tę podobną do baleronu sylwetkę, którą widział w biurze Hanji.

– Chcesz mnie tym uderzyć? – zapytał, patrząc na kij. Baleron podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Miał przerażoną minę. – Daj spokój, tak się nie traktuje ludzi.

Zwalisty ochroniarz osunął się na podłogę.

Reseng ominął go i wyszedł z domu. W zaułku naprzeciwko dostrzegł znajomy samochód. Mito opuściła szybę, kiedy zapukał w okno.

– Teraz jesteśmy kwita – rzekł, wręczając jej plecak. – Spłaciłem swój dług.

Gdy kobieta rozsunęła zamek błyskawiczny i zajrzała do środka, pokazał jej walizkę, którą zabrał prawnikowi.

– Tutaj jest trzysta milionów – dodał. – Są twoje, jeśli mi obiecasz, że dasz sobie spokój i wyjedziesz z Misą za granicę.

– Myślisz, że dam się przekupić?

– Może.

– Wsiadaj.

Reseng pokręcił głową.

– Powinnaś już jechać. Lada chwila zjawią się ludzie Hanji.

Mito niechętnie przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Spotkamy się jeszcze, a póki co uważaj na siebie – powiedziała

z uśmiechem. – I pamiętaj, że tylko Mito może cię uratować.

Kiedy tylne światła jej samochodu znikły w oddali, Resenga ogarnęło dziwne poczucie osamotnienia. Zapalił papierosa. Chociaż spędził tylko miesiąc w chacie u podnóża góry, zdążył się odzwyczaić od miasta, które wydawało mu się obce i przyprawiało go o zawroty głowy. Nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, dokąd pójść i gdzie szukać schronienia przed tropicielami i zabójcami, których niebawem Hanja spuści ze smyczy.

Ruszył przed siebie ulicą. Małe kółeczka walizki stukotały głośno, tocząc się po chodniku. Pomyślał, że mógłby wyjechać z kraju. Miał trzysta milionów w gotówce. Nie była to zawrotna suma, ale też nie byle co. Mógł sobie kupić fałszywy paszport, wejść na pokład jakiegoś statku, który płynie do Meksyku, i tam w spokoju dożyć późnej starości, popijając tequilę. Mógł zamieszkać na końcu świata, gdzie nikt go nie zna i gdzie nie dopadnie go przeszłość, nauczyć się miejscowego języka i przyjąć nowe nazwisko, poślubić jakąś egzotyczną piękność, płodzić dzieci i zarabiać na życie uczciwą pracą.

– Naprawdę bym tak mógł? – zadał sobie na głos pytanie.

Kiedy uniósł głowę, blask neonów i latarni boleśnie przeszył jego źrenice. Nagle opadło go zmęczenie i każdy krok stał się nie lada wyzwaniem. Pistolet i nóż wiszące pod jego kurtką zaczęły mu ciążyć, a walizka, którą włókł za sobą, zdawała się ważyć tonę. Ale nie był pewien, czym tak naprawdę jest ten ciężar, który przytłoczył go znienacka. Zatrzymał taksówkę i kazał szpakowatemu kierowcy zawieźć się na dworzec.

Stojąc w holu dworca, blisko godzinę wpatrywał się w zawieszony nad kasami biletowymi rozkład jazdy pełen nazw, które widział po raz pierwszy w życiu. W końcu uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, dokąd chciałby pojechać. Wyszedł na zewnątrz.



Podróżni w pośpiechu przemierzali rozległy plac przed dworcem przy akompaniamencie kołęd dobiegających z głośników. Reseng zszedł do przejścia podziemnego i zamknął walizkę w schowku na bagaż.

Na drugim końcu tunelu dwaj pijani bezdomni popychali się nawzajem i obrzucali przekleństwami. Inni spali na posłaniach z kartonowych pudeł, a kilku chrupało suche kostki makaronu błyskawicznego, popijając soju. Reseng usiadł obok nich na kawałku kartonu. Jeden z mężczyzn przysunął się do niego, nalał trochę alkoholu do papierowego kubka i podał mu. Miał zapuchnięte oczy pijaka, a jego twarz wyrażała bezbrzeżną pogardę wobec życia. Reseng przyjął poczęstunek, ale podziękował gestem dłoni, kiedy mężczyzna zaproponował mu następną kolejkę. Poczuł, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po jego ciele. Położył się na wolnym płacie kartonu. Od strony wejścia do tunelu zawiewał mroźny wiatr, a z oddali dobiegał stłumiony dźwięk dzwoneczka Armii Zbawienia. Kilka elegancko ubranych kobiet, chichocząc, przeszło obok grupki bezdomnych. Kobięcy śmiech zawsze brzmi tak samo, pomyślał Reseng. Lubił ten odgłos. Sam też potrafił się śmiać. Przyciągnął kolana do piersi, podłożył sobie rękę pod głowę i zasnął.

Rano wsiadł do pierwszego pociągu, który jechał do miasteczka D., gdzie podczas poprzedniej wizyty omal nie stracił życia. Spodziewał się, że zakład fryzjerski będzie zamknięty, ale kiedy nacisnął kłamkę, drzwi ustąpiły. Przesząpił próg. W środku panował półmrok, a w jednym z foteli siedział Golibroda. Zauważył go w lustrze, ale jego spojrzenie pozostało obojętne. Nie było w nim złości ani zaskoczenia. Miał zmęczoną twarz starego człowieka, którego przytłacza cierpienie.

– Och, dobrze, że się wylizales – powiedział cicho.

Reseng pokiwał głową i usiadł obok. Zauważył owiniętą w białe płótno urnę, która stała na półce.

– To twoja córka? – zapytał uprzejmie.

– Żona – odparł Golibroda tonem pozbawionym emocji i zwiesił głowę, wbijając wzrok w swoje dłonie splecione na brzuchu. – Wczoraj był pogrzeb.

Zapadło milczenie. Reseng długo wpatrywał się w swoje odbicie, aż w końcu wyjął z kieszeni papierosy. Zapalili.

– Mógłbym wiedzieć, co cię tu sprowadza? – odezwał się stary fryzjer. – Przypuszczam, że nie chodzi ci tylko o zemstę.

Reseng zaciągnął się papierosem.

– Czy gdyby twoja córka była zdrowa, pracowałbyś jako likwidator? – zapytał.

Golibroda spojrzał na niego. Teraz to on się zaciągnął i wolno wypuścił dym.

– Trudno powiedzieć. A jak ty byś postąpił na moim miejscu?

– Kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, popełniłem straszny błąd. Byłem wtedy jeszcze młody, nieśmiały i zalękniony jak dziecko. Ale w tej branży to niczego nie usprawiedliwia. Wiesz, że likwidator, który spaprze robotę, musi zapłacić życiem. W przeciwnym razie ktoś inny poniesie karę. Tak jak Dalja, który zginął zamiast ciebie. – Reseng zauważył, że przez twarz starego mężczyzny przemknął ledwie zauważalny grymas. – Za mój błąd zapłacił Treser, a był sto razy lepszy ode mnie. A wiesz, co ja zrobiłem? Uciekłem. Zatrudniłem się w fabryce na prowincji. Ale coś we mnie umarło. Od tamtego czasu wciąż uciekam. Przed własnymi błędami, przed śmiercią Tresera, przed szansą na normalne uczciwe życie, przed kobietą, którą pokochałem. Treser powiedział mi kiedyś, że jeśli raz zamknę oczy, już nigdy więcej

nie odzyskam wzroku. No cóż, a ja zamknąłem oczy. Bałem się stawić czoło okrutnemu Golibrodzie, którego nawet Treser i Chu nie zdołali pokonać.

– To dlatego mnie odnalazłeś? – zapytał fryzjer z nutą szyderstwa w głosie.

Reseng przytaknął. Golibroda odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się w sufit. Nie zauważył, jak z papierosa, który tkwił między jego palcami, oderwał się długi słupek popiołu i spadł bezgłośnie na podłogę.

– To ta kobieta odebrała życie mojej córce? – odezwał się po chwili.

– Ona jest lekarką, więc śmierć była bezbolesna.

Stary mężczyzna zdusił niedopałek w popielniczce i wstał z fotela.

– Zaczekaj tu chwilę.

Wyszedł do pomieszczenia w głębi zakładu i wrócił z czarną skórzaną torbą. Wyjął z niej nóż kuchenny i wręczył Resengowi. Owiniętą wokół rękojeści chusteczkę pokrywały brunatne plamy, ale na ostrzu nie było śladów krwi. Potem znów zanurzył rękę w torbie i w jego dłoni pojawił się mad dog.

– Zabiłeś kiedyś człowieka, za którego ci nie zapłacono? – spytał.

– Nie, nigdy. Wczoraj zraniłem kilku ludzi, ale będą żyć.

– Jesteś ostatnim likwidatorem, który zginie z mojej ręki. I pierwszym, którego zabiję za darmo.

Reseng zdjął kurtkę i powiesił ją na jednym z haczyków na ubrania. Potem zrobił to samo z szelkami, na których nosił kaburę z pistoletem, i wyszedł na środek pomieszczenia. Golibroda wolnym krokiem zbliżył się do niego, muskając palcem czubek

swojego noża. Skinął nieznacznie głową i zaatakował. Reseng zrobił unik i zablokował przedramieniem kolejny cios wymierzony w jego gardło. W tej samej chwili ugodził przeciwnika w rękę i poczuł piekący ból, kiedy ostrze rozorało mu policzek. Obaj odskoczyli od siebie.

– Teraz idzie ci dużo lepiej – zauważył Golibroda, ocierając stróżkę krwi, która spływała mu po nadgarstku.

– Leżałem w łóżku i myślałem o tobie sto razy dziennie.

– W łóżku, powiadasz?

Tak jak poprzednio stary fryzjer schował ręce za plecami i stanął w rozluźnionej pozycji. Reseng oderwał dłoń od krwawiącego policzka i znów wyprężył się w gotowości. Podeszwy jego butów zapiszczały na linoleum. Wydawało mu się, że słyszy cichy plusk. Plusk zimnej wody ciekącej po kamieniach. Uświadomił sobie, że jest mu już obojętne, czy spocznie obok tego strumienia. Stary zegar na ścianie tykał miarowo, odmierzając sekundy. Ciało Golibrody kołysało się lekko z boku na bok niczym drzewo poruszane wiatrem. Ten monotony ruch miał w sobie coś zapraszającego.

Reseng rzucił się na niego z impetem, on jednak zdawał się właśnie na to czekać. Cofnął się o krok, a jego lewa ręka uzbrojona w nóż wystrzeliła zza pleców. Czując uderzenie w bok, Reseng chwycił rękę przeciwnika i jeszcze głębiej wbił ostrze w swoje ciało. Potem spojrzął w jego rozszerzone ze zdumienia oczy i płynnym cięciem rozplątał mu gardło. Zatoczył się do tyłu i oparty o jeden z foteli patrzył, jak oszołomiony Golibroda unosi rękę i dotyka rany, z której bucha krew, jak spogląda na urnę z prochami żony, jak uśmiecha się do niego i opada na kolana.

Reseng usiadł w fotelu i odchylił się na oparcie. Ból zaczynał do niego docierać. Spojrzał na gumowaną rękojeść sterczącą z jego boku. Krew powoli sączyła się z rany, wsiąkając w koszulę. Gdyby wyjął nóż, przyspieszyłoby to tylko krwawienie. Zapalił papierosa i wydmuchał kłąb dymu w stronę lustra. Widział odbicie Golibrody, który zastygł na klęczkach ze zwieszoną głową, jakby modlił się o odpuszczenie grzechów. Stary zegar ścienny pokazywał ósmą czterdzieści. Reseng wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer. Po około dziesięciu sygnałach usłyszał zaspany głos.

– Nie wiesz, że ósma rano to dla mnie środek nocy? – burknął Niedźwiedź.

– Będziesz musiał się pofatygować po towar do zakładu fryzjerskiego naprzeciwko poczty w D. To małe miasteczko, więc na pewno trafisz. Znajdziesz tu ciało i urnę. Po kremacji zmieszaj prochy z tymi z urny i rozsyp je razem. Proszę, przyłóż się do tego.

– Kto to jest?

– Golibroda.

Niedźwiedź, który dotąd sprawiał wrażenie półprzytomnego, głośno przełknął ślinę.

– Będziesz tam? – zapytał.

– Nie. Zamknę drzwi na klucz, więc będziesz musiał się włamać.

Reseng rozłączył się i spojrzał na swoje odbicie. Wierzchem dłoni otarł krew sączącą się z rozciętego policzka.

– Wyglądasz jakby inaczej – powiedział.

Mężczyzna w lustrze wykrzywił twarz w szyderczym grymasie i wolno pokręcił głową. Reseng posłał mu chłodny uśmiech i zaciągnął się papierosem. Kiedy wstał z fotela, ściekająca po rękojeści mała dogą krew zaczęła kapać na podłogę. Wziął z półki dwa ręczniki. Jeden zwilżył pod kranem i obmył sobie nim bok,

a z drugiego zrobił prowizoryczny opatrunek, wpychając go sobie za koszulę, żeby zatamować krwawienie. Odchylił głowę do tyłu i krzywiąc się z bólu, wydał przeciągły jęk. Potem wyjął z portfela wizytówkę Hanji i wprowadził jego numer.

– Przypuszczam, że twój adwokat przekazał ci już wiadomość – powiedział. – Trzy miliardy i lepiej zacznij już liczyć gotówkę.

Hanja milczał przez chwilę.

– Widziałeś kiedyś, jak anakonda połyka aligatora? – odezwał się wreszcie. – Nie może go strawić i umiera z rozdętym żołądkiem.

W jego głosie słychać było tłumioną furję.

– Nie martw się, nie dostanę niestrawności. Daję ci trzy dni, a potem sprzedam księgi komuś innemu, i to dużo taniej. Bądź grzecznym chłopcem i przygotuj pieniądze. I nie spuszczaaj swoich psów zbyt wcześnie.

Reseng zakończył połączenie. Idąc w stronę wieszaka, przekroczył kałużę krwi, która rozlewała się po podłodze. Założył z powrotem kaburę z pistoletem, ale kiedy chciał zapiąć kurtkę, nie pozwoliła mu na to stercząca z jego boku rękojeść noża. Zauważył wiszący na haczyku stary płaszcz zimowy Golibrody i po chwili wahania opatulili się nim.

Zamknął drzwi zakładu fryzjerskiego na klucz. Odszedł pięć kroków i spojrział za siebie. Upewnił się, że nie zostawia na chodniku śladów krwi, i ruszył wolno w stronę drogi wylotowej, przyciskając wsunięty za koszulę ręcznik. Zanim jednak dotarł do granicy miasteczka, zaczęło kręcić mu się w głowie. Zraniony bok płonął żywym ogniem. Co gorsza, kiedy zwijał się z bólu, na drogę spadło kilka kropel krwi. Pośpiesznie zatarł ślad butem. Wiedział, że w takim tempie daleko nie zajdzie. Zatrzymał się i rozejrzał dookoła. W jednopiętrowym budynku na obrzeżach miasteczka znajdowała się przychodnia lekarska. Ruszył w tamtą stronę.

Była to mała i bardzo stara przychodnia. W poczekalni siedziała tylko jedna pacjentka. Pielęgniarka musiała gdzieś wyjść, bo za biurkiem nikogo nie było. Reseng zajrzał przez uchylone drzwi do gabinetu i zobaczył mężczyznę około siedemdziesiątki, który grał w karty z komputerem. Wyjął pistolet z kabury i wszedł do środka.

– Pójdę sobie, kiedy tylko powstrzyma pan krwawienie – powiedział, siląc się na uprzejmy ton. – Jeżeli nie wezwie pan policji, nikomu nic się nie stanie.

Odchylił połą płaszcz, pokazując sterczącą rękojeść noża. Stary lekarz zsunął okulary na czubek nosa i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Potem wstał, podszedł do niego bardzo powoli i obejrzał ranę.

– Rozbierz się i usiądź tam – rozkazał, wskazując głową leżankę w kącie gabinetu.

Reseng zdjął płaszcz, a potem kurtkę i zawiesił je na wieszaku. Lekarz spojrział na skórzane szelki z kaburą i też kazał mu je zdjąć. Na metalowej tacy położył strzykawkę, kilka fiolek, nożyczki, gazę i bandażę, po czym założył rękawiczki chirurgiczne. Wszystko to wyglądało dosyć skromnie, ale Reseng nie miał wyboru. Położył się na leżance.

– Będziesz tak mierzył do mnie cały czas? – zapytał lekarz, rozcinając nożyczkami jego koszulę.

Reseng opuścił broń. Lekarz zamoczył kawałek gazy w alkoholu i przemył skórę wokół rany. Potem zanurzył igłę w jednej z fiolek.

– Tylko żadnej narkozy.

– Będzie bolało – odparł lekarz.

Wcisnął tłoczek strzykawki, wypychając pęcherzyk powietrza. Pochylił się, żeby wbić igłę w bok rannego, ale znieruchomiał, kiedy zobaczył przed sobą wylot lufy.

– Powiedziałem, że nie chcę narkozy. Ani znieczulenia.

– To jest antybiotyk.

Reseng z zakłopotaną miną znów opuścił pistolet i pozwolił zrobić sobie zastrzyk. Po paru minutach uniósł wzrok.

– To nie był antybiotyk, prawda? – zapytał podejrzliwie.

Lekarz stał bez ruchu i przyglądał mu się badawczo.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Mogłem pomylić fiołki.

Jego głos brzmiał jakoś dziwnie. Resengowi wydawało się, że słyszy Starego Jenota. Zdążył jeszcze zaśmiać się ponuro, zanim stracił przytomność.

Promienie grudniowego słońca sączyły się przez okno. Reseng poczuł na twarzy ich ciepło, kiedy się ocknął. Zobaczył nad sobą szklaną butlę kroplówki. Musiał zebrać w sobie wszystkie siły, żeby podnieść się z łóżka. Jego koszula i spodnie zniknęły, a na sobie miał teraz staroświecką szpitalną piżamę w niebieskie paski. Bandaż na jego brzuchu był przesiąknięty krwią. Wyrwał tkwiący w nadgarstku wenflon i narzucił na siebie stary płaszcz Golibrody, który zauważył na wieszaku. Kiedy wyszedł na korytarz, usłyszał dobiegający z innego pokoju kobiecy śmiech. Stary lekarz znów grał w karty z komputerem. Oderwał wzrok od monitora i spojrzał na Resenga, który stanął w drzwiach gabinetu i skłonił mu się uprzejmie.

– Obudziłeś się, co? – zagadnął.

– Dlaczego nie wezwał pan glin?

– To bez sensu. Z nimi tylko same kłopoty, a ja jestem za stary na szukanie kłopotów. Przyszedłeś się pożegnać?

– Tak.



– Wiesz, że ubezpieczenie tego nie pokryje.

Reseng uśmiechnął się zadowolony, że trafił na kogoś z poczuciem humoru.

– Dziękuję za pomoc – odparł. – Chciałbym obiecać, że zrewanżuję się panu następnym razem, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy będę miał okazję.

Lekarz wyjął spod biurka reklamówkę i podał ją Resengowi. W środku znajdował się nóż kuchenny, mad dog i pistolet w skórzanej kaburze z szelkami.

– Znam właściciela tego płaszcza – powiedział. – Byłem jego stałym klientem.

– Przyjaźnił się pan z nim?

– Niezupełnie. Tacy wyrafinowani intelektualiści jak ja nie widzą powodu, żeby bratać się z tym światem. Strzygł mnie i od czasu do czasu grywaliśmy w go. W każdym razie nie sądzę, żeby planował pozbawić cię życia, skoro użył tak tandetnego noża.

Lekarz uśmiechnął się porozumiewawczo i z powrotem wlepił wzrok w monitor. Reseng przez chwilę patrzył na niego oszołomiony, a potem wolno pokiwał głową. Skierował kroki do poczekalni, gdzie siedząca za biurkiem pielęgniarka tłumaczyła coś starszej pacjentce. Kiedy kobieta znikła za drzwiami, wyciągnął portfel.

– Już się pan wypisuje?

Pokiwał głową. Pielęgniarka zaczęła stukać w klawiaturę, żeby wystawić rachunek, ale po chwili znieruchomiała i wlepiła wzrok w dziesięć czeków gotówkowych po sto tysięcy wonów każdy, które położył przed nią na blacie. Rozdziawiła usta ze zdumienia.

– To za leczenie i tę ohydną piżamę. Wystarczy? – zapytał Reseng i położył na kupce kolejne pięć czeków. – I proszę

zapomnieć, że kiedykolwiek tu byłem.

Potem wyszedł na ulicę.

Była już noc, kiedy dotarł na dworzec w Seulu. Otworzył schowek bagażowy i zamyślił się, patrząc na walizkę. Czy uszedłbym z życiem, gdybym teraz zabrał pieniądze i znikł? Indie, Brazylia, Meksyk, Nowa Gwinea, Wenezuela, Filipiny, Nowa Zelandia, Czechy... W jego głowie przewijała się lista krajów, w których nigdy nie był.

– Słyszałem, że w Wenezueli jest dużo pięknych kobiet – mruknął do siebie.

Wiedział, że to jego ostatnia szansa, bo kiedy wszyscy tropiciele i zabójcy ze Świńskiego Targu wyruszą na łowy, za trzy dni będzie po nim.

Obrócił głowę w stronę wejścia do tunelu, skąd dobiegł głośny krzyk. Dwaj bezdomni popychali się nawzajem i obrzucali wyzwiskami. Rozpoznał siedzącego obok nich mężczyznę. To od niego dostał zeszłego wieczoru papierowy kubek z alkoholem. Cały jego dobytek składał się z kilku warstw brudnych łachmanów, skrawka kartonu, który chronił go przed ciągnącym od posadzki zimnem, i butelki soju. Życie nie do pozazdroszczenia. A mimo to jego twarz, która wyrażała całkowitą rezygnację, miała w sobie coś pogodnego.

Reseng przełożył do reklamówki dziesięć plików banknotów po milion wonów każdy. Potem zasunął zamek błyskawiczny walizki i zamknął schowek. W drodze do wyjścia z tunelu zatrzymał się, żeby spojrzeć na bezdomnego.

– Odpaliłbyś tysiąka na makaron? – zagadnął bez ogródek mężczyzna. Wyglądało na to, że nie rozpoznał człowieka, którego

dzień wcześniej poczęstował soju. – A jak nic dla mnie nie masz, to możesz iść. I nie gap się tak, kiedy do ciebie mówię. Nie jestem żebrakiem.

Niezły żart, pomyślał Reseng. Domaga się pieniędzy, ale zapewnia, że nie jest żebrakiem. Co chciał przez to powiedzieć? Prawdopodobnie nic. Zwykła paplanina, tak samo bezsensowna jak całe jego życie.

– No co? Co? – krzyknął bezdomny. – O co ci chodzi? Co tak stoisz jak fiut? Masz coś do mnie? Jak chcesz się wyżyć, to mnie uderz! No już, uderz mnie!

Reseng oderwał wzrok od jego twarzy i potarł butem o posadzkę, żeby oderwać kawałek gumy do żucia, który przykleił mu się do podeszwy. Wyjął z reklamówki pięć milionów i położył je przed siedzącym mężczyzną, który właśnie przerwał swoją tyradę i pociągnął łyk z butelki.

– Weź to i zacznij wszystko od nowa – powiedział. – Zanim do reszty się zapijesz i zamarzniesz na ulicy.

Bezdomny patrzył na pliki banknotów wielkimi ze zdumienia oczami, ale nie wyciągnął ręki w ich stronę, jakby jeszcze nie dowierzał, że należą do niego. Nie sądzę, żeby dzięki temu odbił się od dna, pomyślał Reseng. Przez jakiś czas poużywa sobie na całego i nie będzie musiał się martwić, za co kupić następną flaszkę, ale kiedyś pieniądze się skończą. A wtedy znów wyląduje tutaj, w tym samym zimnym i cuchnącym kącie, który tak dobrze zna, żeby zapić się na śmierć albo zamarznąć.

– Dziękuję panu! Dziękuję! – powtarzał bezdomny. – Ludzie tacy jak pan idą prosto do nieba.

Reseng wciąż słyszał za plecami jego głos, kiedy wolnym krokiem oddalał się w stronę schodów.

Wyszedł na plac przed dworcem i zapalił papierosa. Kiedy wciągnął pierwszy haust dymu, miał wrażenie, jakby jego gardło wypełniło się ostrymi drobinkami potłuczonego szkła. Środek przeciwbólowy przestawał działać i rana po nożu pulsowała dotkliwie, a mroźne grudniowe powietrze wzmagało ból. Reseng przykucnął i nie zważając na zaciekawione spojrzenia przechodniów, niedopałkiem nakreślił dwa chińskie znaki, które stanowiły fonetyczny zapis jego imienia. Po chińsku znaczyły „życie pozagrobowe”. Obok napisał „Wenezuela”. Próbując sobie przypomnieć, gdzie mieści się ten kraj, wyobraził sobie globus.

– Idiota ze mnie – mruknął pod nosem i roześmiał się głośno.

Wstał, odrzucił niedopałek i ruszył w kierunku postoju taksówek.

Psiarnia wyglądała jak po przejściu huraganu. Podłogę zaścielały tysiące książek, które spadły z poprzewracanych regałów, a na biurku bibliotekarki piętrzyły się rozrzucone pudełka i szuflady. Reseng wszedł do gabinetu Starego Jenota. Ukryte w głębi pomieszczenia drzwi, za którymi mieściło się tajemne przejście do piwnicy, były otwarte na oścież, a jego mentor zbierał rozrzucone encyklopedie i stawiał je z powrotem na półkach.

– Hanja to zrobił?

– A kto? Przecież nie stado dzików – odparł Stary Jenot, siląc się na żartobliwy ton.

Stado dzików wyrządziłoby mniejsze szkody. Nikt dotąd nie odważył się na taki wybryk. Biblioteka od dziewięćdziesięciu lat służyła najpotężniejszym ludziom w kraju, a dla wszystkich patronów, pośredników i likwidatorów była świętym miejscem, w którym zapadały decyzje o każdym większym zamachu. Hanja

musiał wpaść w panikę albo w końcu zbrzydło mu okazywanie wymuszonego szacunku.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem. Musiałeś mu wywinąć jakiś niezły numer, bo odchodził od zmysłów. Na przemian odgrażał się i błagał. – Stary Jenot zachichotał. – A swoją drogą, co tu robisz? Ludzie Hanji pewnie już za tobą węszą?

W jego przepojonym cynizmem głósie dało się wyczuć niepokój.

– Pomyślałem, że wypadałoby się pożegnać, zanim zniknę.

– Zanim znikniesz? Chyba zanim umrzesz.

Reseng nic nie odpowiedział. Podniósł z podłogi jeden z tomów i postawił go na półce. Stary Jenot rozsiadł się na kanapie i wskazał mu fotel naprzeciwko.

– To z powodu tej kobiety?

– Kto ci takich bzdur naopowiadał? – zapytał Reseng ze złością.  
– Hanja?

– Nie, Jeongan. Na kilka dni przed śmiercią powiedział mi, że oszalałeś na punkcie jakiejś niesamowitej dziewczyny.

– Nic podobnego. Jeongan bredził od rzeczy. Miał za dużo do powiedzenia w kwestiach, których nie ogarniał.

– A mimo to brakuje mi teraz tych jego bredni. Kiedy żył i za dużo gadał, przynajmniej wiedziałem, co w trawie piszczy.

Stary Jenot uśmiechnął się ponuro i zapalił papierosa. Zerkając nad jego ramieniem, Reseng dostrzegł leżącą na biurku otwartą kasetkę z trzydziestką ósemką Smith & Wesson. Była to w zasadzie zabytkowa broń. Nie widział jej od dzieciństwa, kiedy wyjął ją z kasetki, żeby się pobawić, i jego przybrany ojciec zbeształ go za to niemiłosiernie. Nagle wszystkie wydarzenia z ostatnich kilku dni,

które zalegały w jego głowie niczym gęsta mgła, nabrały ostrości. Niepokój napełnił jego serce chłodem. Poczul się, jakby nastąpił na minę. Był jak pływak, który zapuścił się za daleko w morze i nie miał siły wrócić do brzegu. Stary Jenot zdawał się czytać w jego myślach.

– Ludzie uważają, że tacy nikczemnicy jak ja pójdą do piekła – powiedział. – Ale to nieprawda. Oni już tam są. Bo czym jest prawdziwe piekło? Kiedy każdą chwilę twojego życia spowija nieprzenikniony mrok, kiedy nieustannie drzysz ze strachu, zastanawiając się, kiedy ktoś przyjdzie po ciebie, już jesteś w piekle i nawet o tym nie wiesz.

Reseng zwiesił głowę i zapadło milczenie. Po chwili Stary Jenot zgasił niedopałek w popielniczce i zapalił następnego papierosa.

– Nie przyszedłeś tu po książkę? – spytał.

– Nie – zaprzeczył Reseng stanowczo.

Jego mentor pokiwał głową na znak, że i tak jest mu wszystko jedno.

– Chodź ze mną.

Wstał z kanapy i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się między regałami w głębi biblioteki i zdjął książkę z półki. Stała w miejscu dostępnym dla każdego, podobnie jak wszystkie inne książki w Psiarni, i kiedyś nawet pewien dziewięcioletni chłopiec mógł po nią sięgnąć w każdej chwili. W przeciwieństwie do tego, co mówiła Mito, nie miała skórzanej oprawy i nie przypominała Biblii. Wyglądała całkiem zwyczajnie i nie wyróżniała się niczym wśród niezliczonych tomów, które ją otaczały.

– Czy to sprawi, że świat stanie się lepszy? – Stary Jenot potoczył wzrokiem po półkach. – Trudno powiedzieć, ale wątpię. Z książek jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło.

Podał kronikę swojemu wychowankowi, który patrzył na niego oszołomiony.

– Co mam z nią zrobić?

– Co zechcesz. Możesz ją oddać tej kobiecie, wrzucić do pieca, sprzedać albo własnoręcznie zapisać resztę stron. To i tak tylko kupa papieru.

Książka musiała sporo ważyć, bo jego ręka lekko drżała. Reseng wciąż się wahał.

– Zawsze się zastanawiałem, co oznacza imię, które mi nadałeś – powiedział. – Że skoro to życie już przegrałem, to powinienem bardziej się postarać w następnym?

Stary Jenot parsknął śmiechem.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że twoje imię kryje w sobie tak celne przesłanie.

Podniósł książkę wyżej, nieomal dotykając nią podbródka Resenga, który wreszcie chwycił ją drżącymi rękami.

– Nie wracaj tu – dodał. – Ucieczka wymaga nie lada odwagi. Ja nigdy nie potrafiłem się na nią zdobyć i dlatego tkwię w tym piekle. Wiesz, kiedy tu trafiłem jako młody bibliotekarz i nie miałem o niczym pojęcia, ta posada była dla mnie darem niebios. Ale z tobą było zupełnie inaczej.

Stary Jenot oddalił się, kuśtykając między regałami, i zamknął za sobą drzwi gabinetu. Reseng przyglądał się długo tym drzwiom, które zawsze były zamknięte na głucho, ale teraz wydawały się bardziej solidne. Idąc w stronę wyjścia, raz po raz zerkał za siebie, jakby w każdej chwili spodziewał się usłyszeć huk wystrzału.

Kiedy Reseng szedł przez las w górę zbocza, zaczął sypać śnieg

i wąska ścieżka znikła pod warstwą białego puchu. Kilka razy się pośliznął, a wtedy rana w boku przypominała o sobie tępym pulsowaniem. Spojrzał na zegarek. Była trzecia w nocy. Grube wirujące płatki migotały w ciemności, a cienie drzew na śniegu wyglądały jak rozlana krew.

Zatrzymał się przy furtce, żeby zapalić papierosa. Cały dom był pogrążony w mroku i tylko w pokoju na poddaszu świeciła się lampa. Okno jaśniało ciepłym zachęcającym blaskiem jak latarnia morska na ojcystym brzegu. Chociaż nie zapukał do drzwi, otworzyły się przed nim, jak gdyby cały czas wyczekiwały na jego powrót. Na progu stała Mito. Odrzucił papierosa i wszedł do środka.

Na łóżku pod oknem – tym samym, na którym wylizywał się z ran – spała Misa, trzymając w objęciach wysłużonego Kubusia Puchatka. Piżama w słoniki spływała luźnymi fałdami z jej ramion. Albo zawsze była na nią za duża, albo dziewczyna kurczyła się w oczach.

– To było jej łóżko?

– Nie, to łóżko dla gości, ale po twoim odejściu tu się przeniosła.

Reseng spojrział na uśpioną twarz Misy. Kilka maleńkich żyłek prześwitywało spod bladej skóry. Poruszyła się przez sen, kiedy delikatnie położył zimną dłoń na jej czole.

– Czemu obmacujesz moją siostrzyczkę?

– Jest taka ładna.

Mito uśmiechnęła się i pokiwała głową, jakby usłyszała coś oczywistego.

– To chyba oznacza, że ja też jestem ładna – powiedziała szeptem. – Mamy tych samych rodziców.

Reseng spojrział na nią z udawanym zaskoczeniem.



– Co ty, lustra nie masz?

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i skinęła głową w stronę schodów.

– Zaczekaj tam na mnie. Przyniosę coś do picia.

Blat stolika w pokoju na poddaszu był zavalony dokumentami, a w pudełkach na podłodze leżało jeszcze więcej papierów. Reseng zaczął je przeglądać.

– Co to jest? – zapytał, kiedy Mito przyszła z czajniczką herbaty. – Przygotowania do wojny z Hanją?

– Hanja bije się w piaskownicy z takimi smarkaczami jak ty. Mito dobierze się do skóry znacznie silniejszym przeciwnikom.

– Nie zamierzasz rozprawić się z Hanją?

– Ale nie przy pomocy noża.

– To jak?

– Wtrącę go do więzienia.

– Ależ ty jesteś naiwna – obruszył się Reseng, nie kryjąc rozczarowania. – Naprawdę myślisz, że jakiś sędzia go skaże?

– Nie, w żadnym wypadku.

– No więc...?

– Władze będą musiały przynajmniej wdrożyć procedury. Przed wyborami nie da się tego tak łatwo zatuszować. W grę wchodzi wielkie pieniądze, wszystko jest udokumentowane, a sprawa nabierze zbyt dużego rozgłosu. A kiedy tama się przerwie, nikt tego nie powstrzyma. – Mito zerknęła na stertę dokumentów. – A ja cały czas będę dorzucała do pieca, aż temperatura osiągnie poziom krytyczny.

– Jak zamierzasz doprowadzić do jego aresztowania?

– Trzeba zrobić wokół tego jak największy szum. Musi być dużo

świadców, a najlepiej kamery i transmisja na żywo.

– Śnij dalej. Taki szczwany lis jak Hanja nie wystawi nosa z kryjówki.

– Nie ma wyboru. Przejeliśmy jego księgi, więc i tak jest już martwy, a w tej chwili nie zdąży się wywinąć. W tej sytuacji nawet szczwany lis będzie musiał wyleźć z nory.

– A co z tobą? Jak zamierzasz uciec, kiedy już rozprawisz się z Hanją? Jego ludzie rzucą się na ciebie jak rój szerszeni. Nie poradzisz sobie z nimi, szkicując plany na kartce. To fachowcy najwyższej klasy.

– Nie zamierzam uciekać – odparła Mito.

Reseng spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie?

– Muszę wejść do jaskini lwa, żeby dobrać mu się do skóry. Śledczy wezmą pod lupę walizkę pełną gotówki, księgi rachunkowe Hanji, archiwum doktora Kanga i mnie, asystentkę największego pośrednika i patrona na koreańskim rynku zabójstw na zlecenie. Wyobrażasz sobie, ilu ludzi wpadnie w panikę?

Mito przysiadła na skraju stołu. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy i wyglądała na wyraźnie rozbawioną. Reseng nie mógł pojąć, co ją bawi w całej tej sytuacji.

– Zamierzasz się poświęcić.

– Nie bez walki.

– Mogłabyś po prostu go wykurzyć. Jesteś w tym dobra.

– Takie metody działają tylko na króliki.

– A jeśli ciebie zabraknie, kto zajmie się resztą?

– Sumin będzie czuwała nad przepływem informacji i puszczała je w obieg, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Zna się na tym lepiej

niż ja; w końcu jest specjalistką od zarządzania informacjami.

– To prawda. Jako bibliotekarka zawsze miała do tego dryg. Pasujecie do siebie. – Reseng uśmiechnął się szyderczo. – Jak Dyludyludi i Dyludyludam. Ale wątpię, abyście zdołali upolować choćby królika.

– Kiedy mnie aresztują, Sumin zacznie ujawniać dokumenty. Oczywiście stopniowo, żeby wciąż podtrzymywać napięcie. Będzie je wysyłała do gazet i stacji telewizyjnych albo publikowała w sieci. Mogłaby nawet rozesłać je mejlem do kilku tysięcy osób. Ze specjalnym wirusem, który po otwarciu załącznika przekierowuje wiadomość na wszystkie adresy w bazie kontaktów. Po kilku dniach miliony ludzi mogłyby uzyskać dostęp do tych informacji.

– Chyba nie sądzisz, że to wystarczy, by cię ochronić, co?

– Nie będą mogli mnie zabić od razu – odparła Mito z poważną miną. – Dopiero kiedy wyśledzą nadawcę.

Reseng zapalił papierosa i rozparł się na krześle.

– W takim razie niepotrzebnie podniosłem kwotę okupu do trzech miliardów – powiedział. – Gliny i tak zatrzymają wszystko dla siebie.

– Do trzech miliardów?

– Tak. Siedemset pięćdziesiąt milionów to za mało dla nas czworga.

– Więc zażądałeś trzech miliardów wonów?

Reseng przytaknął onieśmielony, kiedy Mito spiorunowała go wzrokiem. Wyglądała na autentycznie poirytowaną, ale po chwili jej mina złagodniała.

– Naprawdę zamierzałeś podzielić te pieniądze między nas?

– Oczywiście.

– Nieźle kombinujesz jak na takiego półgłówka – stwierdziła Mito z uśmiechem.

Wypiła łyk herbaty i poczęstowała się papierosem z paczki Resenga.

– Przystudiowałam każdy z tych dokumentów – powiedziała, trzymając w dłoni jedną z kartek, które piętrzyły się na stole. – To jest zapis wszystkich szemranych interesów, wszystkich odrażających zagrywek i potwornych zbrodni. Zginęło tyle osób, a ich krewni i przyjaciele nadal nie wiedzą, kto za tym stoi. Myślę, że ujawnienie tych informacji to dla nas połowa sukcesu. Nawet jeśli ja nie wyjdę z tego cało, tysiące ludzi poznają prawdę. Niektórzy z nich będą na tyle odważni albo lekkomyślni, żeby podnieść bunt, a nawet stanąć do walki.

– Naprawdę myślisz, że znajdzie się druga taka wariatka jak ty?

Pograżona w zadumie Mito nie odpowiedziała.

– Przyniosłeś książkę? – odezwała się po chwili.

– Nie.

– Nie znalazłeś jej? Czy nie szukałeś?

– W piwnicy jej nie ma. Dopóki Stary Jenot żyje, trudno będzie znaleźć. Zresztą po jego śmierci też nie będzie łatwo. W każdym razie wątpię, aby w ogóle istniała jakaś oprawiona w skórę książka, o której mówiłaś.

Mito zrobiła rozczarowaną minę, ale otrząsnęła się szybko. Podeszła do biurka, wyjęła z szuflady kopertę i wręczyła Resengowi.

– Co to jest?

– Twój plan ucieczki, który ci obiecałam. Ponieważ siedzisz w tym po uszy, nie możesz tu zostać i liczyć na bezkarność. Będziesz musiał umrzeć i zmartwychwstać gdzie indziej.

– Kiedy to wymyśliłaś?

– Na początku był chaos, a z chaosu wyłonił się plan... Kiedy tylko cię zobaczyłam.

Koperta nie różniła się niczym od tych, w których mocodawcy przysyłali do biblioteki swoje dyspozycje. Reseng wyjął z niej kartkę i omiół ją wzrokiem.

– Musisz tylko wykonać dokładnie instrukcję – zastrzegła Mito.

– Postępuj zgodnie z planem i nie strugaj waśniaka. Popracujesz trochę nad swoim samochodem i włożysz do środka ciało. Wiesz, jak zdobyć trupa, prawda?

– Niezbyt oryginalny plan.

– Jak wszystkie dobre plany. Szczególnie przypadki wymagają szczególnych zabiegów, ale twój przypadek do takich nie należy.

– Czy ktoś to w ogóle kupi?

– A więc jednak chcesz przeżyć! – zawołała Miso prześmiewczym tonem.

– No cóż, skoro nie ma powodu, żebym umierał – odparł Reseng z zakłopotaniem. – Ale co z tobą?

– O czym mówisz?

– Czy musisz oddawać za to życie?

– Gdybym tego nie zrobiła, nie miałabym po co żyć.

– A Misa?

Mito zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie jestem taka jak Golibroda, który zasłaniał się córką, żeby usprawiedliwiać swoje postęпки. W mojej relacji z Misą nie ma na to miejsca. Na świecie panuje taki bajzel nie dlatego, że ludzie są źli. Świat jest zły, bo każdy potrafi znaleźć wymówkę dla swoich grzechów. Ale ja nie jestem aż tak głupia czy nieczuła, żeby

wykorzystywać do tego swoją siostrę. Po prostu nie potrafię tak żyć. To nie leży w mojej naturze.

– W całym życiu poznałem tylko jednego człowieka podobnego do ciebie – odparł Reseng. – Jest zimny jak gad, bo do siebie czuje większą nienawiść niż do świata. I nigdy nikogo tak naprawdę nie zaakceptował, bo nie potrafi zaakceptować samego siebie. Tym człowiekiem jest Stary Jenot.

Mito rozważała przez chwilę jego słowa, a potem pokiwała głową.

– Prześpij się trochę. Łóżko Misy jest wolne – powiedziała i na jej twarzy nagle pojawiło się zmęczenie. – Zaopiekujesz się nią, kiedy już mnie dopadną? Tylko do czasu, aż wszystko wróci do normy. Wystarczą trzy lata.

– Powierzasz zabójcy los swojej siostry? Oszalałaś?

– Oprócz Misy nie znam nikogo tak dobrego jak ty. No i moja siostra cię lubi.

Reseng milczał. Kiedy Mito nie doczekała się jego odpowiedzi i poszła do swojego pokoju, schował do koperty kartkę, którą od niej dostał. Potem zszedł na dół i położył się w łóżku Misy. Poduszka, koc i prześcieradło były przesiąknięte jej zapachem i miękkie jak świeżo wyprane dziecięce ubranka, które suszyły się na słońcu. Gdy tylko zamknął oczy, po raz pierwszy od bardzo dawna zapadł w głęboki i spokojny sen.

Obudził się, kiedy poczuł coś ciepłego na policzku. Otworzył oczy i zobaczył Misę, która pochylała się nad nim.

– Przepraszam, że cię obudziłam – powiedziała.

– Nie szkodzi, i tak powinienem wstać. Która godzina?

– Druga w nocy. Zaraz wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Do Japonii. Nasz daleki krewny ma tam łaźnię nad gorącymi źródłami.

Reseng wstał z łóżka. Kiedy wyrzął przez okno, zobaczył Mito, która pakowała walizki do samochodu.

Do pokoju weszła zezowata bibliotekarka.

– Miso, nie możesz się spóźnić na samolot – odezwała się, spoglądając na zegarek.

– Odwiedzisz mnie kiedyś? – zapytała Misa. – Tam jest naprawdę ładnie.

Reseng kiwnął potakująco głową i ruszył w ślad za Misą, która pomachała mu i wyjechała przed chatkę. W samochodzie było o wiele za dużo bagaży jak na krótką wizytę u krewnych. Mito posadziła siostrę w fotelu i złożyła jej wózek. Misa opuściła szybę.

– Zabierz go ze sobą, kiedy wybierzesz się do mnie w odwiedzimy – zawołała do Sumin.

Mito spojrzała na bibliotekarkę i zwróciła się do Resenga.

– Zastanę cię tu, kiedy wrócę? – zapytała.

– Tak.

Kiedy samochód znikł w głębi lasu, Reseng i Sumin wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Teraz, kiedy Misa jest bezpieczna, możecie spokojnie umierać, prawda? – odezwał się Reseng z przekąsem.

Zerknął na niewzruszoną twarz bibliotekarki, która milczała, wpatrując się w drogę.

– To się wam nie uda – dodał. – Mito zginie, a ty razem z nią.

Sumin spiorunowała go wzrokiem.

– Lepiej umrzeć niż żyć jak trup – odparła. – Mam już tego dosyć.

Była piąta nad ranem, kiedy Reseng wstał z łóżka, ubrał się i poszedł do łazienki, żeby opłukać twarz, która spoglądała na niego z lustra. Spowijał ją cień, jakby wisiała nad nią mroczna chmura. Wiedział, że tak wygląda strach. Wytarł się ręcznikiem i wrócił do pokoju, gdzie spakował swoje rzeczy i położył torbę na stole. Potem zakradł się pod drzwi pokoju na piętrze. Odczekał chwilę i kiedy jego oddech się wyrównał, cicho wszedł do środka. Mito leżała w łóżku. Jej wymizerowana twarz nosiła ślady wielu ciężkich dni i nieprzespanych nocy. Reseng otworzył fiolkę i nalał trochę chloroformu na chusteczkę, którą przycisnął do jej ust i nosa. Gwałtownie uniosła powieki i wpatrywała się w niego przez długie trzy sekundy. W jej oczach nie było strachu ani zaskoczenia, tylko rozczarowanie graniczące z rozpaczą. Po chwili straciła przytomność.

Reseng wyciągnął spod jej łóżka dwie torby. W jednej znajdowały się księgi rachunkowe Hanji, a w drugiej broń, materiały wybuchowe i ekwipunek przygotowany z myślą o ostatecznej konfrontacji. Zlustrował zawartość tej drugiej, po czym zasunął zamek błyskawiczny i przewiesił pasek przez ramię. Zszedł na dół, zabrał ze stołu przygotowany bagaż i zerkając w stronę zamkniętych drzwi pokoju Sumin, wymknął się z chatki.

Tuż po przyjeździe do Seulu Reseng zadzwonił do Hanji.

– Masz pieniądze? – zapytał.

– Wszystko przygotowane. Co potem zrobisz?



– Wyjadę za granicę. Wiesz, że nie mam wyboru.

Hanja kipiał ze złości.

– Lepiej uważaj. Możesz być pewien, że nie ujdzie ci to na sucho.

– Czekaj na następny kontakt i nie próbuj żadnych sztuczek. Zrobisz coś głupiego, to pożałujesz.

Reseng zakończył rozmowę i wyłączył komórkę.

Wsiadł do taksówki, którą dojechał do Gangnam. Stał pośrodku placu i zaczął obserwować dwie przeszklone windy sunące w górę i w dół po elewacji dziesięciopiętrowej galerii handlowej. Na wysokości szóstego piętra znajdował się łącznik, który prowadził do sąsiadującego z galerią hotelu. Reseng wszedł do jednej z wind i nacisnął po kolei wszystkie guziki na panelu. Jakaś kobieta w średnim wieku spojrzała na niego z nieskrywanym oburzeniem.

– Pani wybaczy – zwrócił się do niej. – To rutynowa kontrola.

Kobieta przepraszająco pokiwała głową. Na każdym piętrze Reseng wychodził z kabiny i rozglądał się dookoła. Przez prawie godzinę jeździł w ten sposób obiema windami na przemian, a potem wrócił na środek placu, usiadł na ławce i zapalił papierosa. Chwilę wodził wzrokiem za gołębiami, które zlatywały z trzepotem na plac i wydziobywały rozrzucone okruszki. Przecież mają skrzydła, pomyślał. Czemu nie uciekną z tego nędznego miasta? Zdeptał niedopałek i wszedł do galerii, gdzie w ekskluzywnym butiku kupił sobie nowy garnitur i koszulę. Ekspedientka podała mu reklamówkę na stare ubranie.

– Może pani je wyrzucić – powiedział.

W sklepie naprzeciwko wybrał buty, które najbardziej przypadły mu do gustu. Stare cisnął do kosza. Kiedy zaopatrzył się w bieliznę,

skarpetki i przybory toaletowe, wjechał przeszkloną windą na szóste piętro i ruszył w stronę łącznika prowadzącego do hotelu. Przemierzył go trzy razy tam i z powrotem, zanim udał się do hotelowej restauracji na najwyższym piętrze. Kelner podszedł do niego majestatycznym krokiem i zaproponował mu danie dnia – stek z polędwicy wołowej dojrzewającej na sucho.

– Dojrzewającej na sucho? Co to takiego?

Słuchając wykładu na temat różnicy między sezonowaniem mięsa na sucho i na mokro, Reseng obserwował widoczny za przeszkloną ścianą budynek galerii handlowej.

– Czy zatem zechce pan skosztować naszej specjalności? – zapytał kelner.

– Tak, oczywiście.

Stek okazał się wyśmienity. To właśnie stek najczęściej zamawiali amerykańscy skazańcy na ostatni posiłek przed egzekucją. Choć zaliczał się do smażonych potraw, zaspokajał apetyty drapieżców na surowe mięso, pozwalając im poczuć w ustach smak krwi i zatopić zęby w ciele innego ssaka. Żałobnicy na stypach wspólnie raczą się mięsem, gdyż jest to przywilej ocalonych i świadectwo ich silnej chęci przetrwania. Reseng delectował się posiłkiem, jakby sam miał wkrótce zostać stracony.

– Zwykle nie piję w pracy – mruknął do siebie, zerkając na kieliszek czerwonego wina, który podano mu do obiadu, po czym sięgnął po niego i wypił łyk.

To dlatego ludzie tak uwielbiają steki, pomyślał, bo krwiste mięso wyzwala w nich kanibalistyczne instynkty ukryte pod starannie wyprasowanymi garniturami.

Reseng zjadł i zjechał do recepcji, gdzie wynajął pokój na szóstym piętrze z widokiem na plac. Wziął długą kąpiel i stojąc

przed lustrem, natarł sobie twarz balsamem. Ślad po nożu Golibrody odznaczał się wyraźnie na jego prawym policzku.

– Przystojniak z ciebie, sukinsynu – powiedział do swojego odbicia. – Seksownie wyglądasz z tą blizną.

Ubrał się i założył skórzane szelki. W kaburze po prawej stronie wisiał PB z przykręconym tłumikiem, a po lewej kuchenny nóż Chu. Za pasek na plecach wsunął rewolwer, który znalazł w torbie Mito. Do prawej kieszeni marynarki włożył trzy zapasowe magazynki do pistoletu, a do lewej trzydzieści naboji rewolwerowych. Zakończywszy przygotowania, usiadł na skraju łóżka, żeby poczekać na zachód słońca.

Kiedy zapadł zmierzch i przeszklona fasada budynku za oknem rozjarzyła się blaskiem setek lamp, Reseng włączył komórkę i ponownie wybrał numer Hanji.

– Galeria handlowa w G World, wejście numer jeden. Masz być sam.

Pół godziny później zjawił się Hanja. Ciągnął za sobą dwie walizki na kółkach i na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, aby ktoś mu towarzyszył. Reseng dokładnie obejrzał przez lornetkę plac przed galerią, wszystkie wejścia do budynku i schody przeciwpożarowe. Sięgnął po komórkę.

– Wjedź na szóste piętro – rozkazał.

Hanja wykonał polecenie. Kiedy wyszedł z windy na szóstym piętrze, Reseng znów do niego zadzwonił.

– Wyjście ewakuacyjne na dziesiątym piętrze – powiedział i rozłączył się.

Potem kazał mu zjechać na trzecie piętro, stamtąd na szóste do butik z galanterią, a potem stanąć przed sklepem spożywczym na parterze. Po dziesiątym telefonie Hanja stracił cierpliwość.

– Co to, kurwa, jest? – krzyknął. – Lekcja posłuszeństwa?

– Całkiem nieźle aportujesz jak na kundla. Odetchnij sobie teraz w drugiej windzie. Zasłużyłeś.

Wlokąc za sobą walizki, Hanja znów ruszył we wskazanym kierunku. Ilekroć się przemieszczał, Reseng obserwował przez lornetkę cały budynek. Wypatrzył siedemnastu zabójców. Obstawiali wszystkie cztery wejścia do galerii, obie klatki schodowe, windy i prowadzący do hotelu łącznik, a facet kierujący całą akcją stał na środku placu. Prawdopodobnie było ich więcej na parkingu i na dachu, a przed galerią musiał czekać samochód z pracującym silnikiem. Reseng chwycił torbę, założył okulary przeciwsłoneczne i wyszedł z pokoju. Ruszył w stronę dwóch muskularnych mężczyzn w garniturach, którzy stali na końcu łącznika i przyglądali się bacznie każdemu, kto ich mijał. Jeden z nich zauważył go i uniósł rękę.

– Hej, ty w okularach!

Reseng strzelił mu w nogę, a potem tak samo rozprawił się z jego kolegą. Kiedy upadli, wpakował każdemu z nich jeszcze po dwie kule w uda i wymienił magazynek. Odchodząc, słyszał za plecami ich krzyki. Szybkim krokiem podszedł do jednej z wind i nacisnął guzik. Kabina znajdowała się na ósmym piętrze i zanim zjechała na szóste, minęło kilka sekund, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Rozsunęły się drzwi i Reseng stanął oko w oko z Hanją. Wyciągnął zza paska trzydziestkę ósemkę i strzelił dwa razy w sufit kabiny. Kawałki stłuczonego szkła posypały się na głowy ogłuszonych hukami ludzi, którzy rzucili się do ucieczki, krzycząc z przerażenia. Hanja patrzył na niego zszokowany. Zaraz potem wrzasnął z bólu i zatoczył się pod ścianę, kiedy dwa kolejne pociski z rewolweru roztrzaskały mu prawe kolano. W kącie kulił się jakiś

corpulentny jegomość, który nie wybiegł wraz z innymi.

– Proszę pana. – Reseng poklepał go po ramieniu. – Wszyscy już sobie poszli. Na pewno chce pan tu zostać?

Mężczyzna spojrział na niego i pośpiesznie opuścił windę. Korzystając z zamieszania, Hanja sięgnął pod marynarkę, ale Reseng postrzelił go dwa razy w rękę i odebrał mu broń. Potem wyrzucił łuski na podłogę i załadował do bębenka nowe naboje. Wyjął z torby kilka kostek materiału wybuchowego i przykleił je taśmą izolacyjną do ścian kabiny.

Na szóste piętro wjechała druga winda. Reseng zaczekał, aż rozsuna się drzwi, i znów strzelił dwa razy w sufit, a kiedy wszyscy uciekli w popłochu, zapalił koktajl Młotowa i wrzucił do środka razem z małą puszką rozpuszczalnika. Wnętrze kabiny natychmiast stanęło w płomieniach. Wrócił do pierwszej windy i zamknął drzwi.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – wyjęczał Hanja.

Reseng wpakował mu kulę w udo.

– Będiesz obrywał za każdym razem, kiedy się odezwiesz.

Zapalił papierosa i spojrział na płonąca kabinę, która ruszyła w górę i zatrzymała się kilka pięter nad nimi. Na placu przed galerią rosło zbiegowisko.

– Liczyłem na większą publiczność – mruknął pod nosem.

Otworzył jedną z walizek, które przyniósł Hanja. Była wypełniona po brzegi pieniędzmi. Strzelił cztery razy w szklaną ścianę i wybił szybę ręką rewolweru, a potem chwycił garść banknotów i cisnął na zewnątrz. Kiedy zaczęły opadać, wirując w podmuchach wiatru, wyrzucił w ślad za nimi całą zawartość walizki. Hanja patrzył na niego oszołomiony. Na placu przed galerią nagle rozpętało się istne pandemonium. Ludzie przepychali się i tratowali nawzajem, próbując łapać spadające z nieba

pieniądze. Kilkanaście radiowozów policyjnych i samochodów straży pożarnej, które nadjechały przy akompaniamencie syren, ugrzęzło w falującym tłumie.

Reseng wyjął z torby następny koktajl Mołotowa i puszkę rozpuszczalnika. Potrząsnął nimi przed kamerą zamontowaną pod sufitem kabiny, po czym zapalił nasączony benzyną lont i postawił butelkę na podłodze. Hanja pobladł z przerażenia. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował, widząc przed sobą wylot lufy rewolweru.

Reseng wyjął komórkę i wybrał numer Mito. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Przykro mi, że nie będę się przyglądał, jak naprawiasz świat – powiedział. – Szczerze mówiąc, nie bardzo wierzę, aby to było możliwe... Ale kronikę i klucz do skrytki bagażowej znajdziesz w szufladzie biurka. Proszę, przekaz Misie, że bardzo żałuję, ale nie wpadnę do niej w odwiedziny.

Rozłączył się, zanim Mito zdążyła zapytać, o co mu chodzi. Wyjął kartę z komórki i przytknął do niej płomień zapalniczki, a kiedy zaczęła się topić, wyrzucił ją przez otwór wybity w szklanej ścianie. Potem zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Ludzie w dole stali z zadartymi głowami, jakby wypatrywali kolejnego deszczu banknotów. A może czekają, aż skoczę albo kogoś zabiję, pomyślał Reseng. Jeden z policjantów krzyczał coś do niego przez megafon, ale nie dało się zrozumieć jego słów. Panujący na placu gwar wszystko zagłuszał. Może chciał go zapytać, jakie ma żądania.

A czego ja właściwie żądam?

Minęło bardzo wiele czasu, odkąd Reseng zastanawiał się ostatnio, czego tak naprawdę chce od życia. Nie żeby takie pytania coś go kosztowały. Może po prostu doszedł do wniosku, że ich

zadawanie nie ma sensu. Jako morderca wiódł życie, które było jak dym z papierosa – zbyt ulotne i niewyraźne, by mógł gdziekolwiek zapuścić korzenie. Każdy jego dzień był jak haust mocnego dymu tytoniowego, który docierał do najgłębszych zakamarków jego płuc. Kiedy wypuszczał go z ust i patrzył otępiąłym wzrokiem, jak w powietrzu unosi się dusząca chmura apatii, zdjęty strachem przed tą apatią zaciągał się ponownie. To było życie podszyte tchórzostwem. Każdy, kto szedł przez życie, nie zastanawiając się nad tym, co tak naprawdę kocha, był tchórzem.

Reseng wyobraził sobie dom z wysokimi sklepieniami. Gdyby mieszkał w takim domu, w jednym z pokoi postawiłby kocią wieżę ogromną jak sekwoja, żeby przyglądać się, jak Stołek i Lampa bawią się, skacząc po konarach jak wiewiórki. A gdyby Stary Jenot zdecydował się porzucić tę przeklętą bibliotekę i kupić farmę, mógłby uprawiać ziemniaki i całymi dniami czytać swoje ukochane encyklopedie. Reseng mógłby do spółki z Treserem, który był doskonałym kucharzem, kupić przewoźny stragan i sprzedawać pizzę albo makaron przed szkołą. Słuchaliby codziennie śmiechu dziewcząt, czystego i pogodnego jak słowicze trele. Gdyby chuligani z okolicy szukali zaczepki i przyszli zapytać, kto im pozwolił postawić stragan na ich terenie, Reseng i Treser upadliby na kolana, udając skruchę, by w pewnym momencie wymienić porozumiewawcze spojrzenia i stłuc napastników na kwaśne jabłko. Potem zaśmiewaliby się do rozpuku, patrząc na swoje posiniaczone twarze.

Przed oczami stanął mu rower z różowym koszykiem. W tamtych czasach, kiedy pracował w fabryce na prowincji, bardziej podobałby mu się zielony koszyk, taki w kolorze szmaragdowych fal Morza Śródziemnego. Ale teraz, kiedy patrzył na to z perspektywy czasu, doszedł do wniosku, że ten różowy wcale nie był taki zły. Zresztą jego dziewczyna uwielbiała róż.

Jakże chciałby znów napełnić ten koszyk po brzegi rybami, owocami i warzywami, a potem popedałować do mieszkanca na wzgórzu. Albo jeszcze lepiej wybrać się na przejażdżkę wzdłuż rzeki, by poczuć na twarzy rześki powiew wiatru i chwycić w nozdrza woń świeżo wypranych dziecięcych ubranek suszących się w popołudniowym słońcu. Jej ciało zawsze roztaczało taki właśnie zapach. Gdyby tylko mógł znów stanąć przy obrabiarce, żeby nauczyć się fachu, zdobyć dyplom i całymi dniami wycinać z kawałków żelaza zgrabne elementy mechanizmów. Gdyby uśmiechnęło się do niego szczęście, zostałby ojcem ślicznej dziewczynki uderzająco podobnej do jego ukochanej i chwyciłby jej maleńkie stopki w pokryte odciskami dłonie. Cóż za cudowne życie mógłby wieść. Jego serce byłoby pełne szczęścia i wiedziałyby, że nie mogło go spotkać nic lepszego.

– Odłóż broń i porozmawiajmy! – krzyknął gliniarz do megafonu. – Inaczej nie będziemy mogli spełnić twoich żądań.

Reseng uśmiechnął się kpiąco. A więc teraz chcą spełniać moje żądania, pomyślał. Wystrzelił dwa razy, celując w dach jednego z zaparkowanych na dole radiowozów. Policjant z megafonem uskoczył, kuląc się ze strachu, i przykucnął za bagażnikiem. Stojący w pobliżu inni funkcjonariusze i gapie rozpierzchli się we wszystkie strony. Reseng podpalił następną butelkę z benzyną i rzucił nią w samochód, który stanął w płomieniach. Zauważył, że w hotelu zajmują pozycje snajperzy. Chociaż wypatrzył tylko trzech – na dachu, w pokoju na wysokości windy i w łączniku prowadzącym do galerii handlowej – przypuszczał, że gdzie indziej ukrywają się inni. Na obrzeżach placu zaparkowały furgonetki stacji telewizyjnych i operatorzy z kamerami przeciskali się przez ciżbę, żeby podejść jak najbliżej. Wśród zgietku przebijały się zniekształcone przez megafon słowa. Reseng domyślił się, że gliniarz wciąż próbuje się z nim dogadać. Wyjął z torby kostkę materiału wybuchowego,



uniósł ją wysoko i poruszył ręką, jakby machał do zgromadzonego tłumu.

Nagle Hanja zaczął się śmiać. Reseng spojrział na niego i wpackował mu kulę w lewe udo. Huk wystrzału sprawił, że panujący na dole tumult przybrał jeszcze na sile. Ranny jęknął z bólu, lecz mimo to złamał zakaz i przemówił.

– Sądzę, że chcesz być jak Chu. Ale czy tacy jak my w ogóle dorastają mu do pięt?

– Tacy jak my?

Hanja otarł wierzchem dłoni strużkę krwi, która pociekła mu z ust, i znów parsknął śmiechem.

– Wiesz, czemu tak mnie nienawidzisz? – zapytał. – Bo jesteśmy jak bliźnięta. Wściekasz się, bo masz w sobie tyle cech, którymi gardzisz. Ale cóż możesz na to poradzić? Tacy jesteśmy i już.

Najwyraźniej było mu obojętne, czy przypląci swój monolog kolejnym postrzałem. Jego twarz, choć wykrzywiona grymasem bólu, nie straciła drwiącego wyrazu.

– Niby co takiego nas łączy?

– Ludzie zawsze upodabniają się do tego, czego najbardziej nienawidzą. Tak jak syn wdaje się w ojca. – Hanja wziął głęboki oddech, chociaż spiął się tak, jakby sprawiało mu to trudność. Zakasłał i splunął krwią. – Ale tak naprawdę chciałbym się dowiedzieć, który z nas jest bardziej podobny do Starego Jenota. Ty czy ja?

Reseng zastanawiał się chwilę nad jego pytaniem. Ja czy on? Który z nas? Wiedział, że snajperzy obserwują go przez lunety na swoich karabinach. Zawsze tak jest, pomyślał, że kiedy ktoś znajdzie się na celowniku, ktoś inny musi nacisnąć spust. Tym razem to jego twarz albo pierś przecinała siatka śmierci. Był

ciekaw, jak teraz wygląda, i gdyby mógł, zapytałby o to snajpera. Przypomniawszy sobie twarz starego mężczyzny, który przemawiał do kwiatów w swoim ogrodzie. Oczywiście wyobraźni zobaczył nawet psa uganiającego się za sflaczałą piłką. Był pogodny wiosenny dzień, a starzec, który wiódł samotne życie w głębi lasu, uśmiechał się promiennie, jak gdyby nareszcie udało mu się zrzucić rzeźbioną maskę i odsłonić prawdziwe oblicze.

Reseng opuścił rewolwer.

– A jak teraz wyglądam? – zapytał.

Hanja przestał się śmiać i uniósł ku niemu wzrok.

– Jakie to ma znaczenie?

– Gdybym mógł wyjść z tego cało, od jutra stałbym się lepszym człowiekiem.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

Reseng nie odpowiedział. Skierował wzrok w stronę leżącego na dachu snajpera, który uniósł głowę i przyglądał mu się przez chwilę, zanim znów przyłożył oko do celownika. Na dole gliniarz z megafonem wciąż coś wykrzykiwał, a kamerzyści i fotoreporterzy tłoczyli się, walcząc o jak najlepsze ujęcia. W blasku wielkomiejskich świateł nikły gwiazdy, a nocne niebo było mroczne i mętne. Wyglądało jak wejście do jaskini prowadzącej do innego świata albo jak rozdziawiona paszcza gigantycznej ryby. Reseng nasycił się jego widokiem i pokiwał głową, jakby na znak, że jest już gotowy. Potem uniósł broń i wycelował w twarz Hanji, który leżał w kącie kabiny i patrzył na niego z zaniepokojoną miną.

– O tym, że czuję się, jakbym wreszcie uciekł z piekła. A ty gdzie jesteś?

Podszedł do niego i przystawił mu lufę do czoła. Niemal wyczuwał jego przerażenie. Hanja zamknął oczy.

Huknął strzał. Reseng opuścił wzrok i zobaczył ranę na swojej piersi. Wsunął w nią palec. Krew była ciemna. Musiał dostać w wątrobę. Kiedy obrócił głowę, żeby zobaczyć, skąd padł strzał, drugi pocisk przeszył jego płuco. Zatoczył się i chwycił za balustradę. Krwawił obficie i trzęsły mu się nogi. Czuł, że z jego ciała coś szybko ucieka. Co takiego? Krew i woda? Mocz, kał i inne plugastwa? A może niezliczone pasożyty, które na nim żerowały? A może tym, co właśnie go opuszczało, była jego dusza? A wraz z nią ulatywały wszystkie myśli, które nawiedzały go w tym życiu, cały jego żal, wściekłość, zniechęcenie i inne emocje oraz wszystkie doznania, zarówno te ciepłe i rozczulające, jak i te bolesne. Było mu coraz lżej, kiedy pozbywał się tego uciążliwego balastu, który nosił w sobie od chwili narodzin. Pomyślał, że nie byłoby to wcale takie złe, gdyby wyciekła z niego cała krew, gdyby jego ciało stało się pokarmem larw, a jego kości rozsychały się na słońcu niczym stary szkielet wielbłąda na środku pustyni. Stawałby się coraz mniejszy, coraz lżejszy, i mógłby wędrować po świecie unoszony wiatrem.

Jego uszy wypełnił plusk wody. Była lodowata jak zawsze, ale teraz kamieniste dno strumienia nie wydawało mu się najgorszym miejscem. Mógłby się zamienić w jeden z kamyków. Albo w kępkę mchu. Albo w motyla umykającego przed kroplami wody.

Reseng osunął się na kolana i spojrzał w niebo, a na jego twarzy pojawił się triumfujący uśmiech.